

Kulisy zakazanych związków

IGOR KACZMARCZYK

# WE WŁADZY SZEJKA

*Poruszające  
i prawdziwe*  
LAILA SHUKRI

Prószyński i S-ka

IGOR KACZMARCZYK

# WE WŁADZY SZEJKA

Prószyński i S-ka

Wszelkie postaci ukazane na kartach tej powieści są wytworem wyobraźni autora, a zbieżność nazwisk i wydarzeń jest przypadkowa. Wątki z udziałem postaci historycznych lub osób publicznych zostały zbeletryzowane.

Copyright © Igor Kaczmarczyk, 2023

Projekt okładki  
Mariusz Banachowicz

Zdjęcia na okładce  
archiwum M. Banachowicz

Redaktor prowadzący  
Anna Derengowska

Redakcja  
Renata Bubrowiecka

Korekta  
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8352-580-8

Warszawa 2023

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

*Muzie i miłości mojego życia*

*Jeśli niebo jest czyste,  
to skąd ten mrok?  
Nikt w sąsiedztwie nie umarł,  
więc czemu panuje żałoba?  
Jakże potworne są ziemie Jemenu!*

*Matko! Jeszcze nie umarłem,  
więc skąd ta rozpacz?  
Oto Jemen, gdzie róże  
obracają się w popiół!  
Kto tam idzie, nigdy nie wraca.  
Ciekawe dlaczego?*

*Yemen Türküsü<sup>1</sup>*

---

<sup>1</sup> *Yemen Türküsü* – turecka pieśń ludowa o oddziale żołnierzy, którzy w okresie Imperium Osmańskiego wyruszyli na podbój Jemenu i wszyscy zginęli. Prezentowana wersja w przekładzie (z języka angielskiego) Igora Kaczmarczyka.

## PROLOG

Wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Zosia czuła się, jakby żywcem została pochowana w grobowcu. Pomimo starań nie mogła wyłowić w tej czerni najmniejszego zarysu otaczających ją sprzętów, a bateria w telefonie, którym sobie przyświecała, padła. Przerwy w dostawie prądu, zwłaszcza nocą, stały się codziennością w jemeńskiej wiosce, oddalonej ponad sto kilometrów od stolicy, Sany. Zresztą dla niej było to bez różnicy – zdążyła poznać swój karcer jak własną kieszeń i nawet w takich ciemnościach mogła się po nim poruszać.

Leżała na śmierdzącym pleśnią materacu, który Ismail rzucił na zardzewiałe sprężynowe łóżko, zapewne pamiętające jeszcze czasy kolonialne. W dłoniach czuła mrowienie, a puls rozsadzał jej skronie. Zwinęła się w kłębek i naciągnęła czarną abaję<sup>2</sup> na głowę. Wcale nie poczuła się bezpieczniej. Jak to możliwe, że pozbawiono ją wolności? – zastanawiała się, ale nie umiała znaleźć racjonalnej odpowiedzi. Kierując się młodzieńczym impulsem, przyjechała tutaj na własne życzenie. Lecz co dawało szejkowi<sup>3</sup> prawo, żeby ją przetrzymywać wbrew jej woli?

Wtem frustracja zamieniła się we wściekłość. Skoczyła na równe nogi, a zgrzyt zużytych sprężyn łóżka rozproszył ciszę. Zrobiła kilka niepewnych kroków, ostrożnie macając w ciemnościach rękami. Poczowała twardą krawędź stołu. Zaraz obok stała siermiężna szafa, co wyczuła, muskając palcami sterczące drzazgi w popękanej politurze. Wreszcie, omal nie wywracając wiadra z jej ekskrementami, dotarła do jedynej w tym pomieszczeniu okna. Zabite z zewnątrz grubymi deskami, nie przepuszczało ani odrobiny światła nawet w najbardziej słoneczny dzień, a co dopiero w nocy. Droga powrotna na śmierdzące legowisko zajęła Zosi zaledwie chwilkę. Jej domowe więzienie było niewielkim pokoikiem. Parę kroków i już była przy przeciwległej ścianie. Kilka ruchów i znalazła się przy masywnych drewnianych drzwiach, stojących na drodze do wolności.



Miotła się jak dzikie zwierzę w klatce, to dochodziła do ściany z zabitym oknem, to z powrotem przysiadła na brzegu łóżka. Potem drzwi i okno. Od ściany do ściany. Trasę opanowała perfekcyjnie, lecz w ciemnościach traciła poczucie czasu. Nie wiedziała, jak długo trwa jej szamotanina. Jedno tylko było pewne: nigdy do tej pory w tym domu nie było tak cicho. Nie potrafiła wyłowić żadnego odgłosu zdradzającego obecność mieszkańców. Gdzie się wszyscy podziali? – zastanawiała się. Czyżby tak mocno spali? W przypływie złości znów doskoczyła do drzwi i z całej siły zaczęła w nie łomotać.

– Wypuście mnie! Natychmiast! – krzyczała ile tchu w piersiach. – Nie macie prawa mnie więzić! Zgnijecie w więzieniu! Już polski konsul o to się postara!

Na chwilę zamilkła, by nabrać sił i wytrzeć pot spływający po twarzy.

– Dzieci! – zawyła rozpaczliwie i bezradnie rzuciła się na kamienną podłogę.

Odpowiedziała jej tylko głucha cisza. Nagle wydało jej się, że słyszy ciche bzyczenie. Na początku myślała, że to złudzenie, potem, że jakiś zbłąkany owad, lecz dźwięk stawał się coraz donośniejszy. Rozlegał się bardzo blisko. Coś buczało dosłownie za ścianą, nad niedalekim tarasem. Wtem pokojem wstrząsnęła potężna eksplozja. Małe okienko zostało wyrwane ze ściany razem z ramą. Dzięki temu do wnętrza wraz z gęstymi kłębamii czarnego dymu, dobywającego się z płonącego dachu, wdarła się poświata księżycowa. Na Zosię posypały się kawałki pokruszonych cegieł i tynku z sufitu. Na szczęście osuwający się strop utworzył nad nią rodzaj parasola i doznała jedynie niezbyt groźnych obrażeń. Ogłuszający huk wciąż dźwięczał jej w uszach, gdy pełzła na czworakach w stronę wyjścia. Starła się głowę trzymać tuż przy podłodze, by uniknąć duszącego czadu wiszącego w powietrzu. Gwałtowny napływ adrenaliny pozbawił ją czucia. Nie zdawała sobie sprawy z bólu, krwi spływającej po twarzy, która sączyła się z rozciętej skóry na czole. Powoli przemieszczała się przed siebie, a kawałki ostrego gruzu pomieszane z odłamkami szkła bezlitośnie wrzynały się jej w dłonie i kolana. Zamiast pieczenia i szczypania odczuwała jedynie pulsowanie. Fale gorąca zalewały jej ciało. Nie dochodziły do niej ani odór moczu z przewróconego kubła, ani smród resztek rozkładającego się jedzenia w glinianym naczyniu. Pragnęła jak najszybciej wydostać się ze swojego więzienia.

Liczyła, że tym razem odzyska wolność. Ostatnio nie udało jej się uciec i szybko wpadła w bezwzględne macki szejka. Wierzyła, że teraz będzie inaczej. Przecież w Sanie czekał na nią ratunek, musi tylko tam dotrzeć...

W końcu wyczuła pod dłońmi masywne drzwi. Nawet nie drgnęły. Wybuch nie naruszył ich konstrukcji i żeliwne zawiasy nadal tkwiły na miejscu. Cała nadzieja prysła. Załkała i zrezygnowana siadła na podłodze, opierając się plecami o ścianę. Podkurczyła nogi i oplótła je ramionami. Brodę położyła na kolanach. Stopniowo wracało do niej czucie i świdrujący ból świeżych ran stawał się nie do zniesienia. Nie mogła opanować drgawek, które wstrząsały całym jej ciałem. Zacisnęła powieki i przed oczami stanęły jej kolorowe obrazy chwil, gdy była szczęśliwa. Nie było jej w zbombardowanej pułapce, duszącej się kłębamii dymu, tylko biegła po ukwieconej łące, błyszczącej od porannej rosy. Pamiętała jeszcze krwistą czerwień zachodzącego słońca nad horyzontem i ugwieżdżone niebo ze srebrnym półksiężycem. Cudowne wspomnienia nie trwały zbyt długo, zaczęły blaknąć, bo zakrył je cień znieawidzonego człowieka winnego jej nieszczęścia i udręki. Niechętnie cofnęła się myślą do czasu, kiedy sprawy zaczęły przybierać tragiczny obrót. Nie sądziła, że zostanie uwięziona w tej malowniczej górskiej wiosce. Nawet do głowy by jej nie przyszło, że jej los będzie zależec od kaprysu jednego człowieka. A wszystko to z powodu jej bezgranicznej miłości do mężczyzny, bez którego nie wyobrażała sobie życia.

– Odsunąć się od drzwi! – Gardłowy krzyk przywrócił ją do rzeczywistości. – Zaraz je wyważymy!

Miała wrażenie, że mocne uderzenia metalowego młota walącego w zawiasy lądują na jej skroni. Zaczęła histerycznie krzyczeć, nie mogąc dłużej tego wytrzymać. Wreszcie zapora oddzielająca ją od zewnętrznego świata runęła z hukiem i do pomieszczenia weszły dwie umundurowane postaci w hełmach i z karabinami gotowymi do strzału. Spodziewała się najgorszego, ale nie mogła się ruszyć. Naraz oślepił ją snop światła latarki.

– To ona! – usłyszała. – Proszę się nie bać. Jest już pani bezpieczna. Zaraz się panią zaopiekujemy – obiecał ktoś o miłym niskim tembrze głosu, a silne męskie dłonie podniosły ją z podłogi.

Wsparała się na ramionach żołnierzy, którzy skierowali się ku schodom. Bezwładnie zwisając między swoimi wybawcami, ledwie powłóczyła nogami, gdy pokonywali kolejne piętra prowadzące w dół. Wkrótce znaleźli

się na pierwszej kondygnacji z pomieszczeniami gospodarczymi, ale przede wszystkim obszerną kuchnią. Teraz ziała tam wielka dziura, przez którą można było zobaczyć czarne zachmurzone niebo. Pokonali ostatnie stopnie i wydostali się na podwórko. Rześkie powietrze natychmiast ją otrzeźwiło. Zaczynało już świtać i to, co zobaczyła, napełniło ją zgrozą. Główna ściana domu runęła, tworząc rumowisko brązowych cegieł, odsłaniając wnętrza pokoi, które kiedyś tętniły życiem, a teraz straszyły pustką – nie było w nich żywej duszy. W pobliżu studni Zosia wyłowiła kątem oka leżące ludzkie kształty, które częściowo pokrywał gruz.

– Proszę tam nie patrzeć, to drastyczny widok – zasugerował żołnierz uspokajającym głosem. – Zaraz panią opatrzymy. Coś oprócz głowy jeszcze panią boli? – zapytał, jednocześnie zdecydowanym ruchem owijając jej czoło bandażem. Po chwili wsadził ją już na pakę wojskowego samochodu.

– Pić! Wody... – szepnęła, starając się pokonać ogarniającą ją słabość.

Wypiła parę łyków mineralnej, krztusząc się nią jak dziecko. W otoczeniu mundurowych Zosię przepełniły błogi spokój i zobojętnienie.

– Spadamy! – jak przez mgłę dotarł do niej żołnierski rozkaz. – Ruszać!

Nagle wróciły do niej bolesne wspomnienia. Zdała sobie sprawę ze swojego położenia i przypomniała przyczynę nieszczęścia.

– Panowie! Błagam, przeszukajcie dom! – rzuciła resztką sił. – One muszą gdzieś tu być... – jęknęła, załamując ręce i opadając bez przytomności na metalową pakę.

– Co się dzieje? – zainteresowali się mundurowi. – O co chodzi?

– Niech to licho! Zemdlała – odparł ten, który się nią opiekował. – Mówiła, żebyśmy jeszcze raz przeczesali rumowisko.

– Przecież już to zrobiliśmy i nikogo nie znaleźliśmy. Nie mamy czasu na babskie fanaberie. Trzeba natychmiast się ewakuować. Oddział Ismaila może pojawić się tu lada chwila.

– Zaczekaj! Słyszysz? Cóż to, do diaska?!

W porannej kryształowej ciszy echem niósł się dziecięcy rozpaczliwy szloch. Żołnierze biegiem rzucili się w stronę ruin oświetlonych pierwszymi promieniami brzasku.

---

<sup>2</sup> Abaja – wierzchnie tradycyjne okrycie w krajach muzułmańskich; szeroki, luźny płaszcz noszony przez kobiety i mężczyzn.

<sup>3</sup> Szejk – dosł.: starzec, naczelnik; powszechnie stosowane określenie arabskiego władcy, przywódcy plemienia lub terytorium, a także tytuł honorowy wyższej rangi duchownego muzułmańskiego.

# ROZDZIAŁ 1

## NOWY POCZĄTEK STAREGO

Ostatnimi czasy życie mnie nie rozpieszczało. Bynajmniej nie spadłem na cztery łapy i kiepsko dawałem sobie radę w Polsce. Dręczyła mnie moja beznadziejna sytuacja, zarówno materialna, jak i osobista. Po powrocie z placówki w Trypolisie byłem sam jak palec, a po rozwodzie z Wiołką goły jak święty turecki. Zaoszczędziłem jedynie na zakup w kredycie małego mieszkania na obrzeżach Warszawy na Białołęce, a raty zżerały każdy mój grosz, jaki dostawałem za dorywcze tłumaczenia. Nie miałem stałej pracy i nadal figurowałem na rezerwowej liście kadr Ministerstwa Spraw Zagranicznych jako zewnętrzny specjalista. Czekać na kolejny wyjazd mogłem jak na Godota. Gdyby nie znajomi, to z Polski bym się już nie ruszył. Na szczęście było jeszcze kilku arabistów, którym się powiodło, a ja, chowając honor do kieszeni, pukałem do ich drzwi.

Marek był moim kolegą jeszcze ze studiów orientalistycznych, które ukończyliśmy pod koniec lat osiemdziesiątych. Zawsze był pracowity i wszystkie egzaminy zdawał w zerowych terminach, typowy kujon. Chociaż nie był zbyt miły ani towarzyski i nie tryskał humorem, zbliżyły nas obozy językowe i wspólne zakuwanie, a przede wszystkim pasja i zainteresowanie Orientem. W tamtych latach dyplom arabisty był przepustką w szeroki świat, ale nie każdy miał tatusia z koneksjami, które umożliwiły Markowi błyskotliwą karierę. Już od dwóch lat zajmował stanowisko polskiego ambasadora w Królestwie Arabii Saudyjskiej. O dziwo, nie zapomniał o swoim dawnym kumplu i nawet całkiem sympatycznie odniósł się do mojej prośby. Dzięki jego wsparciu moja kandydatura na stanowisko konsula, a zarazem jego zastępcy, została klepnięta przez kadry. Nagle przestałem być nikomu nieznanym kandydatem, a stałem się pożądanym i dobrym narybkiem. Wiedząc, jak

powolna i bezduszna jest biurokratyczna machina resortu spraw zagranicznych, ambasador wykonał kilka telefonów, dzięki czemu przygotowania do mojego wyjazdu nabrały tempa. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że już niedługo odmieni się mój los i dostanę paszport dyplomatyczny i bilet lotniczy do Rijadu. Bałem się trochę, jak będzie się układać nasza wzajemna współpraca, bo swego czasu poróżniła nas paskudna sercowa sprawa, ale na dawne dzieje postanowiłem machnąć ręką. Było, minęło.

Tak się dobrze złożyło, że mój nowy szef akurat przyleciał do Warszawy, wezwany przez ministerstwo, by towarzyszyć państwowej wizycie króla Arabii Saudyjskiej Abdullaha bin Abdul Aziza Al Sauda. Przy okazji mogliśmy się spotkać i osobiście obgadać szczegóły mojej nominacji, a także odświeżyć znajomość.

– Słuchaj, Tomku... – zadzwonił do mnie tuż po wylądowaniu, czym miło mnie zaskoczył. – Niestety, nie mogę ci poświęcić zbyt wiele czasu – wylał mi na głowę kubek zimnej wody.

– Nie ma sprawy – odpowiedziałem beztrąsko. – Ja też jestem zagoniony. – Usiłowałem wyjść z tego z twarzą.

– To super. Zjedźmy razem lunch na placu Zamkowym. Ty stawiasz.

Marek nic a nic się nie zmienił, bo chociaż pochodził z bogatej rodziny, a teraz jako ambasador też nie należał do biednych, pozostał centusiem.

Był czerwcowy pogodny dzień. Podenerwowany spotkaniem wstałem skoro świt i dla zabicia czasu gapiłem się w telewizor, na którym relacjonowano ostatnie wydarzenia. W warszawskich Alejach Ujazdowskich trwał kolejny dzień protestu zdesperowanych pielęgniarek. Chcąc dodać sobie animuszu, kobiety nieznośnie hałasowały, grzechocząc plastikowymi butelkami wypełnionymi kamieniami i drobnymi monetami. Zgiełk wzmacniało jeszcze wycie syren strażackich, co prawie zagłuszało relację reportera. Wypatrywałem wśród pań w białych strojach mamy, która zawsze mnie wspierała, a po ograbieniu przez Wiołkę starała się pomóc mi finansowo na tyle, na ile pozwalała jej skromna pensja. Postanowiłem, że tym razem dla odmiany to ja ją nakarmię i zaniosę na manifestację domowe potrawy. Jej pomidorowa z ryżem zawsze rozgrzewała nie tylko mój żołądek, ale i serce. Dlatego zdecydowałem się przyrządzić dla niej to właśnie danie. Bezczyenne wyczekiwanie nie leżało w mej naturze. Wszystkie produkty miałem w domu, więc zabrałem się za pichcenie.

Gorącą zupę przelałem potem do termosu, a ciepłe jeszcze ciasteczka czekoladowe włożyłem do plastikowego pojemnika. Starczy jeszcze dla koleżanek mamy.

Z trudem dotarłem na miejsce, bo ruch drogowy oraz komunikacja miejska były zablokowane. Miasteczko składające się z białych namiotów było gęsto obstawione siłami prewencyjnymi. Wybierałem numer mamy raz za razem, ale w kakofonii otaczających dźwięków nie usłyszała dzwonka. Denerwowałem się, bo dopiero teraz doszedłem do wniosku, że to był chyba głupi pomysł. Stałem akurat od tej strony, gdzie poprowadzono kordon. Łaziłem wzdłuż metalowych barierek i wlepiełem oczy w podekscytowane twarze wykrzykujących hasła pielęgniarek. Jest! – ucieszyłem się, bo to był istny cud.

– Mamuś! – krzyknąłem na pełne gardło. – Maria Skalczyk!

– Czego drze ryja? – Od razu jak spod ziemi wyrósł funkcjonariusz w kamizelce kuloodpornej.

– Przyniosłem mamie wałówkę – odparłem zwyczajnie, a trep gapił się na mnie jak cielę na malowane wrota. – No, żeby zjadła domowy posiłek.

– Ale czemu tu?

– Jak to czemu? Bo jest tam moja mama. Pielęgniarka.

– Z tej strony nie ma przejścia.

– Ale ja muszę! – darłem się zrozpaczony. – Nie mam czasu!

– Spierdalaj mi stąd! – Nie wiem czemu tak się na mnie nagle wściekł. – Wynocha!

– Mama! – podjąłem ostatnią desperacką próbę, co przyniosło niespodziewany efekt, bo odwróciła się w moim kierunku. – Mam coś pysznego dla ciebie! – wycharczałem, kiedy wielki mundurowy chwycił mnie pełną garścią za chabety.

– Syneczku! Nie trzeba było.

Staliśmy na wyciągnięcie ręki, choć po dwóch stronach barykady. Widziałem w jej oczach taką radość i bezgraniczną miłość, że rosło mi serce. Gdy tylko udało mi się wcisnąć jej dwie reklamówki pełne jedzenia, policjant postanowił pokazać, kto tu rządzi. Szarpnął z całej siły za kołnierz mojej marynarki od wyjściowego garnituru i odrzucił od barierki. Zrobił to tak nagle, że poplątały mi się nogi i upadłem na asfalt, tłukąc kości. Byłem cały pobrudzony pyłem ulicznym, a na kolanie przez sporą dziurę widać było otarcie, z którego wypływała krew. Nie rzuciłem się do

funkcjonariusza, bo byłem już prawie spóźniony. Otrzepałem nogawki, poprawiłem marynarkę, szybko pomachałem mamie i pobiegłem.

Kiedy wszedłem do szpanerskiej restauracji, zaraz zobaczyłem zadowolonego Marka, średniego wzrostu grubaska ze zroszoną potem zaróżowioną twarzą, rozwalonego przy jednym z nielicznych zajętych stolików i sączącego z dużej oszronionej szklanki whisky, i przypomniałem sobie, jaki z niego zawsze był bufon. A zaraz po tym przez głowę przebiegła mi myśl, czy dobrze robię, godząc się na jego wyrobnika.

– Premier jest zadowolony z podpisanych z Saudyjczykami umów – od razu się pochwalił i nawet nie zwrócił uwagi na mój niezbyt schludny strój.

– Cieszę się – zdyszany i obolały powiedziałem dość bezbarwnie, starając się ukryć dziurę w spodniach.

– Więcej entuzjazmu! – Klepnął mnie w ramię, pijąc Chivas Regal jak wodę, a potem machnął na kelnera, żeby przyniósł następną kolejkę. – Musisz wiedzieć, że Saudia to wspaniały kraj z ogromnymi perspektywami.

Marek ewidentnie był zakochany w Królestwie. Pytłował jak najęty o jego skokowym rozwoju, bo dzięki ropie i kreatywnym władcom w ciągu pięćdziesięciu lat Arabia Saudyjska przeskoczyła wieki powolnej ewolucji, piał peany na temat Abdullaha, o którym miałem nie najlepsze zdanie, a kiedy zasychało mu w gardle, zwilżał je kolejną szklanką whisky. Stek z angusa pochłonał błyskawicznie i przeszedł do deseru, nie przerywając sobie wykładu. Bałem się, żeby tylko nie zaczął gadać o swoim małżeństwie, bo tego już bym nie zniósł.

– Powiem ci coś *à propos* króla – zagaił na koniec tajemniczo.

– Co takiego? – Miałem dość i aż szumiało mi w głowie.

– Ty wiesz, jaki on jest dowcipny? – zadał retoryczne pytanie. – Gdy dyrektor naszego protokołu dyplomatycznego przeproszał Abdullaha za utrudnienia w Alejach Ujazdowskich, ten wypalił jak z armaty. – Marek zaśmiał się idiotycznie.

– Poradził, żeby zainwestować w służbę zdrowia?

– Dobry żart, ale jego jeszcze lepszy. Powiedział, że nie spodziewał się, że nasz prezydent ma większy harem niż on.

Marek zaśmiewał się do rozpuku, aż jego podwójny podbródek trząsał się jak galareta. Nigdy jeszcze nie widziałem go tak rozbawionego, zwłaszcza że było to całkiem nie na miejscu. Dla mnie protest pielęgniarek był sprawą



osobistą, a gadka o arabskich nałożnicach nie pasowała do napiętej sytuacji i groźby strajku generalnego. Nie wyobrażałem sobie jakoś mojej mamy jako mieszkanki seraju.

– Jutro wracam do Rijadu – wykrztusił, gdy trochę się opanował. – Rozmawiałem z dyrektorem kadr – najdalej w przyszłym tygodniu powinieneś dotrzeć na placówkę.

– Wszystko mam dopięte na ostatni guzik. Mogę lecieć choćby dziś.

– Zatem do zobaczenia w Królestwie, panie konsulu.

Dopił kolejnego whisky, nonszalancko klepnął mnie w ramię i opuścił lokal, zostawiając z rachunkiem na horrendalną kwotę. Połknąłem tę żabę, bo w zasadzie nie miałem innego wyjścia. Wizja powrotu na pustynne piaski, a szczególnie wyjazdu do kolebki islamu, dodawała mi skrzydeł i znów poczułem dreszczyk emocji, zastanawiając się, jakąż to niewiadomą tym razem szykuje mi los. Liczyłem na to, że po raz drugi nie przeżyję takiej tragedii jak w Libii i nikogo nie stracę.

## ROZDZIAŁ 2

### SAMIR I ZOSIA

Wysłużona toyota land cruiser powoli pokonywała kolejne wzniesienie, kierując się w stronę górzystego rejonu na wschód od stolicy Jemenu Północnego, Sany. Kamienista droga stawała się coraz bardziej stroma i wąska. Siedzący za kierownicą mężczyzna nie przejmował się, że rozklekotany mechanizm łapał zadyszkę, a spaliny nieustannie wdzierały się do środka. Nie przeszkadzał mu zgrzyt w skrzyni biegów. Silnik był niemiłosiernie, a pojazd, niebezpiecznie się chybocząc, podskakiwał na wertepach. To wszystko nie miało dla niego najmniejszego znaczenia. W uszach brzmiał mu tylko ponury głos szwagra: „Twoja siostra nie żyje”. Ta hiobowa wieść jak zacinająca się płyta gramofonowa odtwarzała się w jego mózgu i nie pozwalała skupić na drodze. Nie zwracał uwagi, gdy pojazd zbyt blisko zbliżał się do urwiska okalającego trakt z prawej strony, a wylatujące spod kół kamienie toczyły się prosto w przepaść. Teraz najważniejsze dla niego było spełnienie ostatniej woli siostry.

Jak tylko mąż Dżamili Nadżib poinformował o jej śmierci, Ali bezzwłocznie wyruszył na północ do ich wioski Tanaam. Niestety, podróż z Adenu, gdzie mieszkał, a także pokonanie granicy oddzielającej Jemen Południowy od Północnego zajęły mu całą noc. Dopiero nad ranem ujrzał na horyzoncie skupisko ciasno do siebie przylegających domów z suszonej brązowej cegły. Zbudowane na wysokiej skale budynki różniły się liczbą pięter i wapiennymi zdobieniami. Osada z jednej strony była wkomponowana w strome górskie zbocze, a z drugiej przylegała do urwiska. Z tej odległości do złudzenia przypominała orle gniazdo.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy dotarł na miejsce i skierował się do namiotu żałobnego rozstawionego w pobliżu najokazalszego, kilkupiętrowego bliźniaczego budynku, należącego do rodziny szejka

Nadžiba. Szybko przeszedł przez podwórko, gdzie grupa chłopców w śnieżnobiałych *tobach*<sup>4</sup> i ściśle przylegających do czubków głów *takijach*<sup>5</sup> grała na bosaka w piłkę nożną. Przy każdym kopnięciu szarej rozdartej futbolówki ich stopy wzniecały tumany kurzu. W prowizorycznej bramce, zrobionej z dwóch zardzewiałych puszek po mleku w proszku, stał najszcuplejszy z nich. Od pozostałych odróżniała go ciemna karnacja. Rozwrzeszczana zgraja była tak zaaferowana zabawą, że nie zwróciła najmniejszej uwagi na nieznanego pod krawatem, w brązowym garniturze i skórzanych butach, który przystanął na moment i z lekkim uśmiechem przyjrzał się dzieciakom, po czym szybkim krokiem udał się złożyć kondolencje wdowcowi.

Przed namiotem stała długa kolejka mężczyzn, którzy trzykrotnie całowali policzki Nadżiba i przekazywali mu swoje ubolewanie. Ubrani byli typowo jak na tę okazję – w świeżo wykrochmalone białe *toby*, na które narzucili bluzy, kurtki, a niektórzy nawet wyświechtane ciemnogrnatowe marynarki. Każdy miał głowę owiniętą bawełnianym szalem, a przy pasie dzambiję<sup>6</sup>, symbol statusu społecznego. Oczywiście najpiękniejszą, z rękojeścią z rogu nosorożca, posiadał pogrążony w żałobie szejk, naczelnik tej osady. Następnie siadali w kręgu znajomych na rozłożonych w środku grubych wełnianych dywanach i oddawali się towarzyskiej pogawędce przy szklaneczce herbaty, którą na srebrnej tacy roznosił usługujący im młodzieniec. W kącie namiotu siedziały płaczki, żałośnie lamentując i od czasu do czasu bijąc się dłońmi po twarzy. Kiwały się przy tym rytmicznie, wychwalając głośno zmarłą. Pochodziły z niewielkiej mojżeszowej gminy, która od lat żyła w zgodzie z tutejszymi mieszkańcami. Chociaż islam zabraniał rozpaczania z powodu śmierci, traktując je jako wyraz niewiary w Allaha, tak już się tu utarło, że Arabowie zapraszali żydowskie kobiety na wszystkie swoje stypy.

– Niech Allah przyniesie ci pocieszenie, szejku Nadżibie – powiedział nowo przybyły, kiedy przyszła jego kolej.

– Witaj, nawet nie wiesz, jak cieszy mnie twój widok – odparł ze smutkiem w głosie. – Wszyscy należymy do Boga i do niego wrócimy – skwitował, po czym dodał: – Tak się też stało z moją ukochaną Dżamilą.

– Jeśli była taka ukochana, to dlaczego wzięłaś sobie drugą żonę, Zubeidę? – spytał Ali z przekąsem. – Chociaż w pełni cię rozumiem, urodziwa i o dziesięć lat młodsza. Kto by się oparł takiej pokusie?

– Jesteś niesprawiedliwy! Wiesz doskonale, że nie mieliśmy z twoją siostrą dzieci. Moja matka, niech Allah ma ją w opiece, wciąż mnie naciskała i nieustannie swatała. Nigdy nie potrafiłem się jej przeciwstawić i zawsze dopięła swego. Zubeida to i tak był najlepszy wybór.

– Skąd mogłeś przypuszczać, że niespodziewanie obie obdarzą cię pociechami i to prawie w tym samym czasie.

– Zostałem najszczęśliwszym ojcem na świecie. Dżamila urodziła Samira, a Zubeida Ismaila. Obu pokochałem najszczerszą ojcowską miłością. Żadnego z nich nie faworyzowałem. Pragnąłem, żeby połączyły ich braterskie więzi i wspierali się nawzajem.

– Stało się jednak inaczej – przerwał mu Ali. – Potem Zubeida powiła bliźniaki i było coraz gorzej. Dżamila skarżyła mi się, że chłopcy wciąż wyśmiewali się z ciemnej skóry Samira. Wyzywali go od *achdamów*<sup>z</sup> i traktowali jak niewolnika.

– Tak jak relacje między przyrodnimi braćmi wyglądały też stosunki między moimi żonami – westchnął ciężko szejk. – Okazało się, że komitywa ciemnoskórej piękności z Południa z ambitną kobietą o jasnej karnacji z Północy to rzecz niemożliwa. Przebywając na co dzień w stałej bliskości, choć jedna i druga miały swój dom – twoja siostra lewą, a Zubeida prawą część bliźniaka – stanowiły niezmierną mieszankę wybuchową. Zubeida prowadziła walkę na śmierć i życie z Dżamilą, a jej najsilniejszą bronią było żyzne łono. Zresztą znów jest brzemienna.

– Przejdźmy do rzeczy. Jaka jest ostatnia wola mojej siostry? – spytał Ali, zniesmaczony zwierzeniami.

– Chciała, żebyś wziął Samira do siebie do Adenu i otoczył go opieką – z ciężkim sercem przekazał Nadżib, nie patrząc szwagrowi w oczy.

– To niemożliwe! – wykrzyknął zaskoczony Ali. – Zajęcia na uczelni całkiem mnie pochłaniają, a Latifa jest wziętym psychologiem i nie może się opędzić od pacjentów. W naszej małej rodzinie nie ma miejsca na potomstwo.

– Wiem, że nie macie dzieci, ale najwyższy czas to zmienić – zasugerował z mądrą miną szejk. – Samir nada waszemu życiu sens, sami się o tym przekonacie. Pamiętaj, że to syn twojej siostry, krew z krwi. Poza tym jest już prawie dorosły, w przyszłym roku powinien pójść do gimnazjum. Nie sprawi wam wielkiego kłopotu, wręcz przeciwnie, będzie służyć pomocą i z pewnością odwdzięczy się za stworzenie mu rodzinnego domu.

– Chociaż my, Jemeńczycy, jesteśmy jednym narodem, Ludowo-Demokratyczna Republika Jemenu, której jestem obywatelem, to niezależne państwo, zdecydowanie różne od waszej Jemeńskiej Republiki Arabskiej. Zatem podróż ze mną będzie dla Samira wyjazdem za granicę. Jak go u nas zarejestruję? Przecież będzie obcokrajowcem. – Ali podawał słuszne argumenty, choć ostrożnie brał pod uwagę możliwość przygarnięcia siostrzeńca.

– Czyżby wyleciało ci z głowy, że Samir przyszedł na świat w Adenie? Było to za czasów brytyjskiego protektoratu. Z takim aktem urodzenia nie będzie z jego przenosinami żadnego problemu.

– Muszę najpierw skontaktować się z Latifą. To zbyt poważna decyzja, żebym podjął ją sam. Nie mogę jej postawić przed faktem dokonanym.

– Wysłuchaj mnie, i to bardzo uważnie – powiedział Nadżib grobowym tonem. – Dopóki żyła Dżamila, chroniła syna i łagodziła sprzeczki. Teraz, bez matki, chłopak może się całkowicie załamać lub, co gorsza... Nie chcę nawet o tym myśleć. Nie ma dnia, żeby nie dochodziło między braćmi do rękoczynów, a Zubeida tylko dolewa oliwy do ognia.

– Rozumiem. Ale jak to zorganizujemy? – Ali był do głębi poruszony patową sytuacją, bo nie zdawał sobie sprawy, że jest aż tak źle. – Nie sądzisz chyba, że mały dobrowolnie wsiądzie ze mną do samochodu i spokojnie opuści swoje, było nie było, rodzinne gniazdo?

– Zostaw to mnie. Pamiętaj tylko! Nie ma prawa się dowiedzieć, że tę decyzję podjęła jego matka, bo zapewne by ją znienawidził. Ja ze swojej strony co miesiąc będę wysyłać ci pieniądze na jego wykształcenie – dodał, z trudem tłumiąc łzy. – Naprawdę bardzo go kocham i ogromnie ciężko jest mi się z nim rozstać. Robię to dla jego dobra, prawdopodobnie ratując mu życie, bo moi pozostali synowie są... – Zawiesił głos, nie wiedząc, jak to delikatnie ująć, ale znalazł dobre określenie i wyrzucił je z siebie: – Jak ich matka! – Na chwilę zapadła pełna napięcia cisza, lecz Nadżib miał jeszcze coś do powiedzenia: – Samir jest też zbyt inteligentny, by zmarnować sobie życie w tej dziurze. Dżamila wiedziała, jak rzeczy stoją, i dlatego poprosiła cię o tę przysługę. Na pewno wyjdzie to memu synowi na dobre, a i mnie będzie łatwiej, jak się moja druga żona trochę uspokoi.

Nagle od strony placu, gdzie chłopcy grali w nogę, doszły ich dzikie wrzaski i odgłosy łomotaniny. Mężczyźni rzucili się tam biegiem. Zobaczyli zaciekle broniącego się Samira, który usiłował wyrwać się

z uchwytu bliźniaków, z całych sił przygniatających kolanami jego ramiona do ziemi. Starali się unieruchomić jego głowę i siłą otworzyć mu usta. Chłopak, przygwożdżony, bezsilnie miał nogami powietrze i zaciskał wargi, by prowodyr Ismail, siedzący mu na piersiach, nie wsypał mu piasku w gardło.

– *Kul chara! Kul chara!*<sup>8</sup> – darł się napastnik.

Samir charczał i pluł, aż smarki poszły mu z nosa. Dorośli doskoczyli do nich, przerywając nierówną walkę, i na siłę rozdzielili chłopców.

– Sam widzisz, co się tu wyprawia – skwitował Nadzib, patrząc głęboko w oczy Alego. – Raz na zawsze musi się to skończyć. Jeszcze kiedyś Samir mi podziękuje.

– Za co podziękuję? – chwytając oddech, spytał wysmarowany ziemią podrostek.

– Jedziesz ze swoim wujem do Adenu.

– Jak to?! Nie chcę się z tobą rozstawać! Straciłem matkę, a teraz mam opuścić ciebie?! – Zaskoczony takim obrotem wydarzeń, uderzył w głośny płacz.

Zubeida wyrosła przy nich jak spod ziemi i pełna pretensji objęła trzech swoich ukochanych synalków sadystów. Smarkacze poczuli się bezpiecznie, kryjąc w szerokich fałdach czarnej abai matki, i odgrywali niewiniątka. Bliźniacy jak na komendę żałośnie załkali, a starszy Ismail z satysfakcją mierzył się spojrzeniem z bladym jak ściana ojcem.

– Co się tu dzieje? – napadła na męża Jemenka. – Znowu ten odmieniec narozrabiał, a teraz wszystko spada na moje dobre chłopczyny?

– Ten odmieniec to twój pasierb i ma na imię Samir! – huknął rozeźlony szejk, ale zaraz powietrze z niego uszło i machnął na wszystko ręką. – Zresztą to już nieistotne. Ali zabiera go do Adenu. Przynieś kufer mojego syna i wrzuc do bagażnika! – rozkazał twardo. – Przygotowałaś, jak ci kazałem?

– Oczywiście, mój mężu – odparła z ulgą, nadając namiętym ustom powabny grymas i tym samym stając się całkiem inną osobą. – Wreszcie podjąłeś słuszną decyzję.

– Zamilcz i rusz się! Nie chciałbym, żeby jechali po nocy, bo to niebezpieczna droga.

Zubeida odwróciła się na pięcie i lekko kołysząc biodrami, skierowała się do domu. W ślad za nią ruszyły jej dzieci, ciesząc się z takiego obrotu

spraw.

– Na co czekasz?! Zrób coś ze swoją twarzą i wsiadaj do auta! – popędzał ojciec Samira, chcąc mieć za sobą ten najtrudniejszy moment. Moment rozstania.

– Nigdzie nie jadę! Chcę zostać z tobą, *baba*<sup>2</sup> – nadal wzbraniał się chłopiec. – Już będę grzeczny i nie dam się więcej sprowokować.

– Nie dyskutuj! – Szejk był nieugięty. – Do łazienki, a potem marsz do samochodu!

Chłopiec ze spuszczoną głową wykonał polecenie ojca, bo wiedział, że dłuższy opór nie ma sensu. W ciągu kilku minut wszystko było gotowe do odjazdu, a milczący Samir siedział na tylnym siedzeniu. Nadżib odprowadził szwagra do szoferki i bojaźliwie rozglądając się na boki, wcisnął mu w garść niewielkie zawiniątko.

– Co to jest? – zdziwił się Ali.

– Pilnuj tego jak oka w głowie. To brytyjski paszport Samira ważny jeszcze prawie dziesięć lat. Może uda nam się go wysłać na studia do Anglii? Pamiętaj, że to jest jego przepustka do lepszego życia.

Mężczyźni bez słowa objęli się na pożegnanie. Ali wskoczył za kierownicę i pojazd ruszył w daleką drogę na południe. Nikt nie widział, że twarz twardego szejka przybrała bolesny wyraz, oczy mu się zamgliły i zwilgotniały. Po chwili opanował wzruszenie, bo przecież to uczucie niegodne muzułmańskiego mężczyzny.

– Weź koc i rozłóż się na tylnym siedzeniu – zaproponował siostrzeńcowi Ali. – Czekają nas długa i uciążliwa eskapada.

Chłopiec się nie poruszył. Jak skamieniały patrzył przez tylną szybę na niknącą w oddali sylwetkę ojca, a wielkie jak grochy łzy bezwiednie spływały mu po policzkach.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszał go wuj. – Rok szkolny minie jak z bicza strzelił i już wkrótce odwiedzisz tatę.

– Nigdy tu nie wrócę! – wycierając mokrą buzię, złowrogo wycharczał przez ściśnięte zęby nedorostek, po czym ostatni raz spojrzął na znikające domostwo i wykrzyknął: – Nienawidzę cię! Słyszysz? Nienawidzę cię, *baba! Allah jachdek!*<sup>10</sup>

– Nie mów takich rzeczy! Rzucanie klątwy na rodziców to najcięższy grzech. Módl się, żeby Bóg ci wybaczył i nie zwrócił się przeciwko tobie!

\*\*\*

Młoda uśmiechnięta dziewczyna w krótkiej kwiecistej sukience szła zwawym krokiem w stronę zabrzańskiego robotniczego osiedla. Minęła szkołę podstawową, do której kiedyś uczęszczała, i skierowała się w stronę familoka<sup>11</sup>, gdzie spędziła całe swoje dotychczasowe życie. Mogłaby tę trasę pokonać z zamkniętymi oczami, bo znała tu wszystkie zakamarki, każdą szczelinę i wyrwę w trotuarze, które bynajmniej jej nie cieszyły. Dzisiaj było inaczej. Zupełnie jakby chciała nasycić się widokiem niszczących murów i dróg, których nikt nie kwapił się naprawić. Wtem ogarnęła ją taka radość, że aż podskoczyła kilka razy na jednej nodze, zupełnie jak za dawnych lat, a jej blond włosy ściągnięte w kucyk kołysały się przy każdym podrygu. Już wkrótce miała opuścić tę dziurę! Delektowała się myślą, że w końcu nie będzie oglądać walących się kamieniczek z brunatnej cegły z oknami pokrytymi sadzą i odłazącej z futryn i parapetów czerwonej farby. Nie będzie musiała obsługiwać obmierzłemu ojczymowi, żyjącemu w symbiozie ze swoim potarganym fotelem, telewizorem i nieodłączną butelką piwa. Odpocznie od wiecznie niezadowolonej matki, która zawsze brała jego stronę, a na dokładkę zagrabiała prawie wszystkie pieniądze z jej skromnej pensji nauczycielskiej. Jedyne żal jej było przyrodniej siostry, którą uwielbiała i której z racji różnicy wieku niemal matkowała.

Pogrążona w myślach, kurczowo ściskając torebkę z bezpiecznie spoczywającym w niej biletom lotniczym do Londynu, nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się przed swoją klatką schodową.

– Hej! Zocha! – usłyszała znajomy głos. – Chodź do nas na browca!

Obejrzała się i spostrzegła w zdezelowanej altance pod rozłożystym platanem kolegów ze szkolnej ławy: Gerarda, Bernarda i Joachima, jak zwykle nierozłącznych i do bitki, i do wypitki, a ostatnimi czasy do szabrowania węgla. Każdy z nich mógł się poszczycić kartoteką policyjną, a Beniek zaliczył dwa lata odsiadki.

– Dzięki, chłopaki, ale nie dzisiaj – odparła miło, bo wolała z nimi nie zadzierać. – Mam pilną sprawę do załatwienia.

– Nie żartuj! – zachęcał Beniek, który z racji więziennego doświadczenia uważał się za herszta tej bandy. – Rodzinka nie ucieknie, a browar zaraz nam się skończy.



– Nie mogę, niestety...

– Daj spokój pani psorce – pogardliwie wtrącił Gerard. – Nie, to nie, dla nas będzie więcej.

Zosia nie słyszała dalszej wymiany zdań mężczyźni, z którymi od dawna nie miała nic wspólnego. Ich drogi życiowe się rozeszły, gdy ona rozpoczęła studia na polonistycę, a oni wybrali szybki, lecz ryzykowny zarobek.

Weszła do budynku i z miejsca wbił jej się w nozdrza zatęchły smród wilgoci pomieszanej z fetorem zgniłych ziemniaków, dochodzącym z piwnicy. Te aromaty w połączeniu z kocią szczyną były nie do wytrzymania, starała się więc oddychać ustami. Przytrzymując się wytartej poręczy, przeskakiwała po dwa skrzypiące drewniane stopnie i błyskawicznie wspięła się na drugie piętro, otworzyła drzwi i wpadła do środka. Pierwsze co, wbiegła do kuchni, gdzie zastała matkę wypakowującą zakupy z dwóch ciężkich siatek, które jak zwykle sama tachała z oddalonego niemal dwa kilometry marketu i wniosła tu aż na samą górę. Przesadzista kobieta w słusznym wieku z dużą nadwagą spowodowaną zaniedbaną cukrzycą ciężko sapała ze zmęczenia, układając sprawunki w szafkach i lodówce.

Życie jej nie rozpieszczało. Pierwszy mąż zginął lata temu w kopalni na skutek wybuchu metanu. Po jakimś czasie wydawało się, że los się do niej uśmiechnął, bo przystojny Alojzy zaczął smalić cholewki do sympatycznej wdówki. Niestety, wkrótce szczęście się od niej odwróciło. Ktoś z lokalnych władz doszedł do wniosku, że kopalnia jest nierentowna, i urzędnicy podpowiedziały idealną metodę na rozwiązanie problemu: sztolnię należy zamknąć, a górników przekwalifikować. Nikt nie pomyślał, że nie da się z kogoś, kto całe życie fedrował węgiel, zrobić budowlańca, rzemieślnika czy sprzedawcy. W efekcie, nie mogąc się odnaleźć w nowej rzeczywistości, drugi mąż pogrążył się w marazmie. Pozostały mu tylko wspomnienia o kamratakach, którzy zginęli na szychcie, i sporadyczne wypadki do biedaszybów, wciąż tropionych i zamykanych przez policję. Nie próbował szukać żadnej pracy, jedynie z dużym powodzeniem topił smutek w alkoholu. Nie trzeba było długo czekać, by pieniądze z odszkodowania się rozeszły, i teraz matka z trudem wiązała koniec z końcem, żyjąc ze swojej marnej renty i tego, co udało się zarobić Zosi w szkole.

– Mamo, jutro się stąd zmywam – wypaliła prosto z mostu córka.

– Dokąd? Wybierasz się do Katowic? Do koleżanki? – spytała matka, nie przerywając krztałania.

– Wyjeżdżam do Anglii, i to na długo – wyjaśniła Zosia, czując, jak z nerwów uszy jej się czerwienią, a twarz pali rumieniem. – Chciałam ci to już wcześniej powiedzieć, ale dopiero dzisiaj dostałam potwierdzenie.

– Skąd wzięłaś pieniądze na taką wyprawę? – spytała, starając się zachować spokój, ale dłonie zaczęły jej się trząść, a podbródek drgać.

– Wysyłają mnie w ramach programu *au pair*<sup>12</sup> – odparła, a wiedząc, że matce to nic nie mówi, dodała: – Wszystko pokrywa rodzina, która mnie zaprasza. W zamian za opiekę nad ich dziećmi będę dostawać niezłą tygodniówkę. Nic się nie bój, dalej będę ci pomagać i przysyłać pieniądze. Zrozum, to dla mnie wielka szansa. Życie w brytyjskiej rodzinie pozwoli mi doszlifować angielski i może z czasem uda mi się tam znaleźć dobrze płatną pracę.

– Zosia jedzie do opery! – dziewczęcy głosik zaszczębiotał za plecami zaskoczonych pań.

Różia, nie zwlekając, pobiegła do salonu, gdzie jej ojciec jak zwykle drzemał przed telewizorem.

– Tatusiu, Zosia jedzie do opery! Do opery! – Szarpała śpiącego mężczyznę za ramię.

– Jak już koniecznie chcesz to spolszczyć, to powiedz, że będę operką w Londynie – ząartowała niepewnie Zosia, która wraz z matką podążyła za małą.

– Alojz! Nasza córka nas zostawia – żałośnie chlipała matka, na co nawet rozbawiona Różia posmutniała. – No powiedzże coś!

– A co ja mogę, Wanda? – wychrypiał. – Jak wy, baby, coś postanowicie, to święty Boże nie pomoże. Tak gada, to i tak robi. Lepiej przynieś piwo z lodówki, trzeba to opić.

– No nie wytrzymam z tym pijakiem! – krzyknęła zrozpaczona kobieta. – Najstarsze dziecko nas porzuca, a on myśli tylko o chlaniu.

– Nie porzuca, tylko jedzie szukać szczęścia – starała się załagodzić sytuację sprawczyni tego zamętu. – Tutaj nie ma dla mnie żadnych perspektyw. Nie będę tyrać w państwowej szkole aż do emerytury, a potem chodzić z ręką po prośbie, bo pieniędzy na nic nie starczy.

– Ja chcę z Zosią! Ja z Zochą! – domagała się coraz bardziej zaniepokojona Różia. – Zabierz mnie ze sobą, proszę!

- Nie mogę. Ale jak wszystko dobrze się ułoży, to cię do siebie zaproszę.
- Hurra! – Od smutku do radości w tym wieku jest krótka droga.
- Dość już tego gadania po próżnicy. – Matka twardo stąpała po ziemi i zawsze szybko otrzepywała się z przygnębienia. – Rózia, do lekcji, a ty, skoro jutro wyjeżdżasz, idź się pakować.

Popatrzyła tylko z wyrzutem na córkę i bez słowa wróciła do kuchni.

Następnego dnia, gdy dom był jeszcze pogrążony we śnie, Zosia zarzuciła niewielki plecak na ramiona i poszła pożegnać się z mamą, która jak zawsze od świtu krzątała się po domu. Wanda mocno przycisnęła córkę do swych obfitych piersi.

– Pamiętaj, córeczko, jeśli będzie ci się dziać jakaś krzywda, wracaj natychmiast – powiedziała łamiącym się głosem. – Twój pokój będzie na ciebie czekać.

– Nie martw się, mamusiu! – uspokajała, wtulając się w jej miękkie ciepłe ciało. – Wszystko będzie dobrze. Jadę do szanowanej rodziny i będę się opiekować ich na pewno dobrze wychowanymi dziećmi. Nic złego mi się nie przydarzy.

– Niech cię Bóg ma w swojej opiece – szepnęła matka na pożegnanie i na jej czole nakreśliła kciukiem znak krzyża.

Zosia jak na skrzydłach popędziła na spotkanie przygodzie. Na dworzec kolejowy dotarła o wiele za wcześnie. W dodatku na tablicy informacyjnej pojawił się komunikat, że jej pociąg opóźniony jest o dwie godziny. Dla zabicia czasu krążyła bez celu po lokalach usługowych znajdujących się w podziemiu. Najpierw zahaczyła o małą piekarnię, gdzie prócz pieczywa i ciastek serwowano kawę. Potem ruszyła dalej. Nagle zaskoczona spostrzegła niedaleko salon tatuażu. Pomimo wczesnej pory w środku był właściciel, który stanowił żywą reklamę swojej pracowni, bo nie miał skrawka skóry, gdzie nie byłoby jakiegoś kolorowego malunku.

– Jeszcze zamknięte – burknął, gdy zapukała.

– Dzisiaj wyjeżdżam za granicę, możliwe, że na dłużej, ale mam jeszcze chwilę do odjazdu pociągu. Czy nie mógłby pan zrobić dla mnie wyjątku i wcześniej otworzyć? – spytała.

– No dobra, mała – rozpogodził się. – Wskakuj, trafiłaś na mój dobry humor. Gdzie chcesz tę dziarę?

– Na prawej kostce nad stopą. – Pokazała palcem.  
– Jaki wzór?  
– Nie mam pojęcia. Doradziłby mi pan?  
– Kobitki zazwyczaj decydują się na róże albo jaskółki. Ostatnimi czasy popularne są też delfiny i motylki.  
– Nie, to nie dla mnie. Chciałabym coś, co oddawałoby stan mojej duszy.  
– A co ci tam w duszy gra? – zaśmiał się z młodej romantyczki.  
– Wyrrywam się na wolność.  
– Ptak wylatujący z klatki jest oblatany.  
Klientka przytaknęła.

– Co powiesz na zerwany łańcuch?  
– Świetnie! To mi pasuje!  
Zosia była tak podekscytowana, że nawet nie czuła bólu, gdy igły z farbą wbijały się w czułe miejsca.

– Opóźniony pociąg pośpieszny z Warszawy Wschodniej do Katowic wjeżdża na tor piąty przy peronie trzecim – zaskrzeczał głos w megafonie.

Młoda kobieta, lekko kulejąc, ale z uśmiechem od ucha do ucha, pobiegła na stację. Ledwo zdążyła zająć miejsce w pustym przedziale, a już skład ruszył w drogę. Świeża rana pulsowała, więc zdjęła but i oparła stopę o kanapę znajdującą się naprzeciwko. Wtuliła się w zagłówek i przymknęła oczy. Myślami była już na lotnisku w Pyrzowicach. Troszkę niepokoiła się, jak da sobie radę, bo do tej pory nigdy nie podróżowała samolotem, nie była za granicą, ale wcale jej to nie przerażało, a było tylko ekscytującym wyzwaniem.

Lot przebiegł nadzwyczaj spokojnie, a obsługa linii Wizz Air okazała się niezwykle uprzejma. Nikt jej nie niepokoił, gdy zapadła w głęboki młodzieńczy sen. Obudziła się tuż przed lądowaniem, kiedy kapitan informował pasażerów, że samolot zbliża się do lotniska w Luton.

---

<sup>4</sup> *Toba (thoba)* – męska długa biała suknia.

<sup>5</sup> *Takija* – muzułmańska czapeczka przykrywająca czubek głowy.

<sup>6</sup> Dżambija – tradycyjny jemeński nóż o krótkim obustronnym ostrzu, noszony w zakrzywionej pochwie włożonej za szeroki bogato inkrustowany pas.

<sup>7</sup> *Achdam* – dosł.: służący; najniższa grupa społeczna o ciemnym kolorze skóry, która prawdopodobnie przybyła do Jemenu z Afryki Wschodniej jeszcze w czasach przedmuzułmańskich.

<sup>8</sup> *Kul chara* – dosł.: jedz gównno.

<sup>9</sup> *Baba* – ojciec.

<sup>10</sup> *Allah jachdek* – dosł.: Niech Bóg zabierze twoją duszę. Używane, gdy komuś życzy się śmierci. Polski odpowiednik: „Obyś szczęł”.

<sup>11</sup> *Familok* – nazwa przyjęta na Górnym Śląsku w odniesieniu do wielorodzinnych budynków mieszkalnych przeznaczonych dla górników, hutników i średniego personelu urzędniczego.

<sup>12</sup> *Au Pair* /*əu'peə*/ to program, który powstał we Francji i polegał na zatrudnianiu opiekunek pochodzących z Anglii. Nazwa ta znaczy tyle co „równno”, „na równych warunkach”. Program polega na tym, że osoba w wieku 18–26 lat, która decyduje się zostać *au pair*, staje się członkiem rodziny goszczącej.

## ROZDZIAŁ 3

### RIJAD WITA

Do Arabii Saudyjskiej wyleciałem późną jesienią dwa tysiące siódmego roku. Rijad spowijała gęsta chmura czerwonego pustynnego pyłu, ograniczająca widoczność prawie do zera, i gdyby nie dane lotu wyświetlane na monitorze przed fotelem pasażera, nie wiedziałbym, że osiągnąłem cel mojej podróży. Ostatecznie upewniłem się, że jestem na miejscu, po tym, jak samolot, niebezpiecznie kołysząc się na boki, z impetem uderzył kołami o pas startowy, niemal wciskając mi żołądek do gardła.

Idąc za tłumem mężczyzn w powłóczystych *tobach* z głowami okrytymi *ghutrami*<sup>13</sup> w biało-czerwoną kratę, udałem się do odprawy paszportowej. Za nimi powoli sunęły kobiety, spowite od stóp do głów w czarne szaty. Niektóre trzymały na ręku śpiące niemowlę, inne pchały wózki z kilkulatkami lub szły za rękę z trochę starszą latoroślą. Zdarzały się też pary, które niczym się nie przejmując, szły bez obciążenia, bo ich przychówkiem i dobytkiem zajmowali się służący. Wokół słyszało się krzyki, głośne nawoływania i płacz dzieci. Cudzoziemców można było policzyć na palcach jednej ręki. Nie było wątpliwości, że wylądowałem za piaskową kurtyną, zamykającą ten kraj dla turystów i globtroterów. Żaden cudzoziemiec nie mógł się tutaj dostać, jeśli nie posiadał wizy wjazdowej wydanej na podstawie gwarancji sponsora, tak zwanego *kafila*<sup>14</sup>, lub, jak w moim wypadku, noty dyplomatycznej. Zaspany pogranicznik na stanowisku kontroli paszportowej długo kartkował mój dokument, spoglądając raz za razem to na zdjęcie, to na moją fizis. W końcu wystukał coś na klawiaturze komputera i po zadaniu kilku rutynowych pytań przybił pieczętkę i machnął do mnie nonszalancko ręką, bym sobie poszedł.

Moje walizki już krążyły na taśmie bagażowej. Wrzuciłem je na wózek i z trudem go prowadziłem, starając się pokonać opór zardzewiałych kółek, które nieprzyjemnie piszczały. W hali przylotów przystanąłem na moment przed tłumem witających, starając się odnaleźć kogoś z tabliczką z moim nazwiskiem, lecz na próżno. Prócz żywo wymachujących transparentami Azjatów z nic mi niemówiącymi imionami nie było żadnej europejskiej twarzy. Zniechęcony przedłużającym się oczekiwaniem ruszyłem w stronę wyjścia. W tym momencie w drzwiach obrotowych pojawił się młody śniady mężczyzna z małym mięsistym nosem i długimi czarnymi kręconymi włosami, opadającymi mu na ramiona. Gdy zobaczyłem, że w ręce trzyma wymiętoszony kartonik z napisem: „Ambasada RP”, ruszyłem w jego stronę.

– Witam pana konsula! Nazywam się Chalil i jestem kierowcą ambasady. Przepraszam za spóźnienie – wysapał. – Na autostradzie był straszny wypadek i dojazd na lotnisko zablokowano prawie na godzinę.

– Najważniejsze, że ktoś się zjawił, bo już się bałem, że będę musiał jechać taksówką – powiedziałem rozczarowany takim przywitaniem. – A gdzie jest dyplomata, na którego stanowisko przyjechałem? Czemu nie ma go z tobą?

– Wrócił do Polski wczorajszym lotem. Gadają, że to z powodu choroby żony. To chyba rak – ściszył głos, ujawniając takie dyskretne wiadomości. – Dlatego też ambasador wysłał mnie. – Cieszył się, jakby nasze spotkanie było najprzyjemniejszym wydarzeniem w jego życiu.

– Wyjdźmy na zewnątrz. Muszę zapalić. – Odwzajemniłem uśmiech, gdyż z miejsca polubiłem młodego, bezpretensjonalnego Azjatę.

– Proszę dać wózek – dyrygował zadowolony Chalil. – Włączę klimatyzację w aucie i wrzucę walizki do środka. Zanim pan skończy kopcić, samochód będzie wychłodzony i nie będzie się pan smażył jak w piekarniku.

– Nie ma sprawy – uspokajałem go, żwawo maszerując i delektując się pierwszym papierosem po wielogodzinnym locie. – Jestem przyzwyczajony do wysokich temperatur. Nawet je lubię. Tutejsza pogoda przypomina mi trochę Libię, gdy znad Sahary przychodziło *ghibli*<sup>15</sup>, z którym byłem za pan brat.

– Z tym że w Arabii wilgotność powietrza to zaledwie kilka procent i można wyschnąć na wiór przy takim wiaterku – dowcipnie stwierdził

kierowca, otwierając czarnego chevroleta tahoe. – Zaś tony pyłu spadające na miasto powodują, że wiele osób ma astmę i ciągle nosi dyżurny inhalator ze sterydami.

– W końcu stolica Saudii znajduje się na środku pustyni – podsumowałem, zajmując miejsce obok niego.

– *Jalla*<sup>16</sup>! Jedźmy na kompaund, gdzie będzie pan mieszkać. – Chalil odpalił pięciolitrowy silnik vana.

Wkrótce pędziliśmy trójpasmową drogą szybkiego ruchu, mijając rozłożyste palmy daktyłowe rosnące na poboczach i osady pasterzy wielbłądów, bezładnie rozsiane na okolicznych piaszczystych wzgórzach. Gdy minęliśmy punkt kontrolny przed wjazdem do Rijadu, krajobraz diametralnie się zmienił. Ujrzałem zwartą tradycyjną arabską zabudowę – domy otoczone wysokimi murami. Powietrze trochę się oczyściło i promienie zachodzącego słońca przebijały się krwawą poświatą przez nisko skłębione rudobure chmury. Samochód przeciskał się przez wąskie uliczki dzielnicy willowej, co chwilę hamując przed progami zwalniającymi. Z okolicznych minaretów dało się słyszeć zawodzący głos muezzinów nawołujących wiernych na wieczorną modlitwę.

– Jesteśmy na miejscu – poinformował Chalil, zatrzymując samochód przed główną bramą, wiodącą na osiedle o egzotycznej nazwie Las Palmas.

Furta z kutego żelaza była otwarta, lecz wjazd do środka blokował opuszczony szlaban w biało-czerwone pasy. Wokół rozpościerał się wysoki na ponad cztery metry mur z betonowych pustaków, zwieńczony metalowymi kątownikami, między którymi przechodziło kilka rzędów drutu kolczastego. Nad wszystkim górowała wieża wartownicza, w której stał ciężki karabin maszynowy, oparty na workach z piaskiem. Całość sprawiała upiorne wrażenie. Trafiłem na front czy do pierdła? – przeszło mi przez głowę. Ten kompleks wygląda jak więzienie Sing Sing, a nie osiedle mieszkaniowe.

W tym momencie do samochodu podszedł żołnierz pod bronią gotową do strzału i wycelowaną prosto w nas. Słońce już zdążyło zejść i dookoła panowały ciemności. W świetle reflektora umieszczonego na szczycie wartowni ujrzałem zaciętą twarz mundurowego okoloną gęstą krzaczastą brodą, w którą wrzynał się pasek metalowego hełmu.

– Otwierać bagażnik! – wydał ostry rozkaz kierowcy.



– Ani się waż! – Szarpnąłem Chalila za ramię, gdy ten pokornie zamierzał wysiąść z auta. – To jest samochód dyplomatyczny i grzebanie w nim to jawne naruszenie konwencji wiedeńskiej – powiedziałem ze złością, czując, że krew uderza mi do głowy. Gdzie ja się znalazłem za namową tego durnia Marka? Co to za kraj? Na każdym kroku szlabany, worki z piaskiem i żołnierze uzbrojeni po zęby.

– To Gwardia Narodowa – pośpieszył z wyjaśnieniem szofer. – Odpowiada za bezpieczeństwo tego osiedla. Walka z Al-Kaidą nadal trwa.

– To znaczy, że to my, dyplomaci, jesteśmy terrorystami?! Nas trzeba sprawdzać?! – Nie miałem zamiaru odpuścić.

– Otworzyć drzwi albo wynocha stąd! – ryknął wściekły Saudyjczyk, bo tarasowaliśmy bramę i po obu stronach szlabanu ustawiła się długa kolejka aut. Zewsząd słychać było klaksony, niektórzy niecierpliwi kierowcy wysiedli z pojazdów, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Widząc nieoczekiwane zamieszanie, postanowił podejść do nas oficer, który do tej pory siedział z grupą żołnierzy pod siatką maskującą po wewnętrznej stronie muru.

– Szanowny panie – zaczął pompatycznie, patrząc na mnie jak na intruza. – Kontrola służy państwa bezpieczeństwu – mówił spokojnie, choć gdyby wzrok mógł zabijać, to już bym pewnie nie żył. – Nas nie obchodzi, co jest w walizkach, proszę mi wierzyć. Sprawdzamy, czy przypadkiem ktoś nie podłożył ładunku wybuchowego w waszym aucie. Nie tak dawno temu jeden z mieszkańców tego kompaundu wyleciał w powietrze, gdy tylko wjechał samochodem za bramę. On też nie pozwalał na kontrolę bezpieczeństwa, zasłaniając się immunitetem. Widzi pan z lewej strony muru te świeże cegły? Załatali wyrwę po wybuchu, ale z faceta została miazga. Nie było co zbierać. Huk zaś rozległ się taki, że we wszystkich pobliskich domach szyby powylały. Aktualnie sprawdzamy każdy samochód bez wyjątku.

– Przepraszam. Dopiero przyleciałem i za bardzo nie zdawałem sobie sprawy, gdzie wylądowałem – tłumaczyłem się, teraz dopiero się orientując, jak okrutnie się wygłupiłem.

– Zawsze do usług! – Zasalutował oficer i odszedł do swoich chłopaków, siedzących na ziemi, gdzie, jak się zorientowałem po jabłkowym aromacie dymu, krążyła szisza.

Wartownik sprawnie dokonał inspekcji. Zajrzał do kufra i pod maskę silnika, a jego pomocnik skontrolował podwozie, zręcznie manipulując metalową rurką z przyczepionym do jej końca dużym lusterkiem, w którym obserwował, czy nie sterczą tam podejrzane druty. Po kontroli bezpieczeństwa Chalil natychmiast uruchomił samochód i powoli wtoczył się do środka osiedla, by zatrzymać prosto pod furtką prowadzącą do domu w zabudowie szeregowej, który miał się stać moją przystanią na najbliższe cztery lata.

– Jutro przyjadę po pana o ósmej rano – poinformował, gdy wnieśliśmy do mieszkania ciężkie walizki. – Pan ambasador kazał.

– Oczywiście. Będę czekać przed główną bramą.

Moja długa podróż dobiegła wreszcie końca. Marzyłem tylko o tym, by wskoczyć pod miękką kołdrę i do samego rana spać snem sprawiedliwego. Miałem dość lotnisk, jazdy samochodem i użerania się z Gwardią Narodową. W ogóle miałem dość Saudii, chociaż przebywałem tutaj dopiero od kilku godzin.

Ambasada znajdowała się w centrum Rijadu, niecałe sześć kilometrów od kompaundu Las Palmas. Na miejscu byliśmy w niecałe dziesięć minut. Jazda trwała krótko, lecz była bardzo ekscytująca. Po kilku wymuszeniach pierwszeństwa przez Chalila, slalomie na zderzak między chmarą innych pojazdów wysiadłem z samochodu spocony jak mysz. Już zapomniałem, jak się prowadzi u Arabów. Ile to razy w Libii jechało się pod prąd czy straciło boczne lusterko, siłując się w korku z innym kierowcą? Trzeba znów się do tego przyzwyczaić, stwierdziłem. Przecież ambasador przydzielił mi szofera tylko na chwilę. Niedługo będę musiał sam usiąść za kółkiem.

Spojrzałem na budynek ambasady. Nie wyglądał zbyt prestiżowo. Była to typowa piętrowa willa arabska z płaskim dachem, ogrodzona wysokim murem. Elewacja z jasnobrązowego piaskowca czyniła ją bliźniaczo podobną do sąsiednich zabudowań. Gdyby nie mosiężna tabliczka z wygrawerowaną nazwą instytucji i maszty z polską i unijną flagą, w życiu nie domyśliłbym się, że to placówka dyplomatyczna. Na zewnątrz posesji w rogu ogrodzenia stała budka wartownicza, obok której saudyjski żołnierz w polowym mundurze pustynnym opierał się plecami o mur. Z niedbale

przewieszonym przez ramię karabinem rozglądał się na boki, nerwowo paląc papierosa.

– Cześć, Muhammad – przywitał się z nim Chalil. – Znów masz dyżur?

– Za chwilę kończę – odparł strażnik. – Mój zmiennik się spóźnia. Mogę u was zostawić giwerę na przechowanie?

– Nie wiem, pogadaj z polskimi ochroniarzami – przezorny szofer nie miał zamiaru podejmować decyzji.

– Tylko na moment! Salem zaraz przyjedzie i odbierze – nalegał.

– Mówię ci, to nie zależy ode mnie. Spróbuj...

W tym momencie nadjechał wojskowy hummer, z którego wyskoczył wysoki jak tyczka żołnierz z małą łysą głową i rzadką postrzępioną bródką.

– Wreszcie jesteście! – krzyknął z ulgą w głosie do zmiennika wojak. – Dzisiaj mam ślub bratanka i dłużej już nie mogę czekać! – Nie zwlekając, przekazał broń i wskoczył do pojazdu. – Obeszło się bez waszej pomocy.

Zadowolony machnął nam na do widzenia, trzasnął drzwiami i opancerzony pojazd odjechał z rykiem silnika, zostawiając za sobą kłęby czarnego dymu.

– Ach, ci Saudyjczycy! – Trudno było wierzyć w to, co przed chwilą się zdarzyło. – Zostawiłby swój karabin gdziekolwiek? Czy to armia, czy cyrk?

– Tutaj to normalka – powiedział zaznajomiony z realiami Chalil.

Przed głównym wejściem tuż przy murze był zaparkowany czarny osobowy mercedes, przy którym uwijał się drobny zasuszony staruszek w białej koszuli z krótkim rękawem, sarongu<sup>17</sup> i zdeptanych sandałach. Pracowicie polerował szyby wozu niewielką czerwoną szmatką. Obok niego na chodniku stało plastikowe wiaderko z tak brudną wodą, że prawie czarną. Pomywaczowi to jednak nie przeszkadzało. Widocznie troszczy się o zasoby wodne planety, zakpiłem w myśli mocno tym rozbawiony.

– Oto Anton – poinformował mnie Chalil. – Podobnie jak ja pochodzi ze Sri Lanki. Tylko że ja jestem muzułmaninem, a on chrześcijaninem – dodał z dumą w głosie. – Anton! Zabierz się za mycie mojego samochodu! Zaraz jadę rozwozić zaproszenia ambasadora na dinner w rezydencji! – krzyknął rozkazująco do rodaka, zwracając się do niego jak osobnika niższej kategorii. Widać islam go do tego upoważniał, bo zdecydowanie czuł się lepszy.

Śniady mężczyzna o włosach przyprószonych siwizną bez słowa sprzeciwu wykonał polecenie. Podszedł do czarnego vana i z kamienną

twarzą rozpoczął jego szorowanie. W ruch poszła ta sama czerwona szmatka, którą przed chwilą pucował mercedesa. Brudnej wody w wiaderku też nie raczył zmienić.

Szofer wprowadził mnie przez stalową ażurową bramę pokrytą matowym szkłem na podwórko ambasady. Z małego budynku przylegającego do ogrodu wyszedł na nasze spotkanie młody umięśniony mężczyzna w wojskowych spodniach moro i elastycznym podkoszulku khaki, opinającym jego pokaźne bicepsy. Na szyi dyndały mu wojskowe okulary przeciwsłoneczne zawieszane na łańcuszku. W prawej ręce trzymał wykrywacz metalu, a za paskiem miał zatknietą krótkofalówkę.

– Witam pana konsula. – Wyciągnął w moją stronę twardą dłoń. – Jestem Waław, dowódca ekspertów ochrony, a prościej mówiąc: borowców<sup>18</sup>. W sumie jest nas trzech, ale dzisiaj ja mam służbę.

– Tomasz, Tomasz Skalczyk – przedstawiłem się. – Mów mi Tomek.

– Na mnie koledzy wołają Wacek – zaśmiał się rubasznie. – My, żołnierze, lubimy bezpośredniość, bo to znacznie ułatwia życie.

– Muszę lecieć – odezwał się Chalil, o którego obecności zupełnie zapomniałem. – Trzeba zdążyć z dostarczeniem zaproszeń przed południową modlitwą. Potem wszystkie urzędy będą zamknięte.

– Pędź! Jestem w dobrych rękach pod opieką BOR-u – zażartowałem.

– Przy okazji przedstawię ci lokalnego pracownika, który przyjmuje wnioski wizowe. – Wacek przejął nade mną pieczę. – Będzie zapewne twoją prawą ręką. Jego kanciapa sąsiaduje z naszym biurem.

Przeprowadził mnie przez mały pokój, gdzie na dużym monitorze widoczne były obrazy z różnych kamer monitoringu, i otworzył drzwi sąsiedniego pomieszczenia. Za kontuarem siedział śniady jegomość w brązowym garniturze i pracowicie pisał na klawiaturze komputera. Od poczekalni dla petentów oddzielała go gruba kuloodporna szyba. Nie wiem, czy był tak zatopiony w pracy, czy mnie ignorował, ale podniósł wzrok i zerwał się na równe nogi dopiero wtedy, gdy borowiec na niego huknął:

– Hej! Twojego szefa ci przyprowadziłem!

– Zaid Reza – wypowiedział swe imię i nazwisko z charakterystycznym pakistańskim akcentem. – Jestem osobistym sekretarzem pana ambasadora.

– Nie omieszkał zaznaczyć, by dać mi do zrozumienia, jakie wysokie miejsce zajmuje w hierarchii ambasady i kto może wydawać mu polecenia.

– Jako że Zaid obsługuje interesantów wizowych – pośpieszył z wyjaśnieniem funkcjonariusz – więc podlega także konsulowi.

– Konsulowi i zastępcy ambasadora – uściśliłem, twardo patrząc na Azjatę, którego twarz poszarzała, a grdyka na suchej żylastej szyi goniła ze złości.

Gdy tak wzajemnie prężyliśmy muskuły, by pokazać, kto tu będzie rządzić, na jego biurku zadzwonił telefon. Kiedy tylko podniósł słuchawkę, natychmiast na jego twarzy zagościł anielski uśmiech.

– Oczywiście, panie ambasadorze. Już tu jest. Zaraz mu przekażę – szczebiotał słodkim jak miód głosem. Odłożył słuchawkę, popatrzył na mnie już trochę mniej impertynencko i ponownie siadając w swoim wyświechtanym fotelu, z którego płatami schodził czarny skaj, powiedział: – Pan ambasador prosił, żeby pan konsul pilnie zjawił się u niego w gabinecie.

– Nie przejmuj się Zaidem – pocieszył mnie Wacek, podprowadzając pod drzwi wejściowe do budynku. – W gruncie rzeczy to porządny Pakol<sup>19</sup>, tylko czasami ma gorszy dzień. Jest bardzo czuły na punkcie swojej pozycji i musisz znaleźć sposób, jak do niego dotrzeć.

– Mam doświadczenie w pracy z takimi typami. Po prostu mają cholernie rozbudowane ego, które często ich przerasta – skwitowałem i pobiegłem na pierwsze piętro, gdzie mieścił się gabinet ambasadora.

Na mój widok Marek wyszedł zza biurka i serdecznie mnie uściskał.

– Jak widzisz, jest to mała placówka. Wystarczy jedno potknięcie, a wszystko się sypie. – Niby taki przyjacielski, ale gdy tylko usiedliśmy, zaczął bez ogródek: – Każdy musi się na sto procent zaangażować. Nie ma lawirowania.

– Co masz na myśli? – spytałem, przewidując, że zaraz usłyszę całą litanię wytycznych.

– Zapewne już wiesz, że twój poprzednik nie mógł na ciebie zaczekać.

– Mówi się trudno i żyje się dalej. Pamiętaj, że pierwsze szlify konsularne zdobywałem w dość wymagającym kraju. Libia raczej nie była obozem dla dzielnych skautów. Jako twój zastępca mogę mieć trochę problemów ze sprawami politycznymi, lecz liczę, że mnie wprowadzisz.

– Z tym poradzę sobie sam. Ty jesteś mi głównie potrzebny jako konsularnik. Oprócz Arabii Saudyjskiej zajmujemy się także Omanem i Jemenem, ponieważ nie ma tam polskich ambasad. W Omanie mamy

nieliczną Polonię i z Polkami, które tam mieszkają, na razie nie ma żadnych kłopotów. Jednak w zrujnowanym ciągłymi walkami Jemenie mnożą się problemy, szczególnie wśród polsko-jemeńskich małżeństw.

– Ze związkami mieszanymi jestem za pan brat – pochwaliłem się. – Opiekowałem się wieloma libijsko-polskimi parami, a nawet przyjaźniłem z byłym żołnierzem, który ożenił się z Afganką i pracował u nas w placówce – wspomniałem Włodka i Faridę, bo pomimo upływu lat nie mogli mi wyjść z głowy.

– Będziesz zapewne dość często latać do Sany w Jemenie. – Nie obchodziły go moje osiągnięcia, ale rzucił mi coś na osłodę.

– Nigdy jeszcze nie byłem na terytorium słynnego królestwa Saba<sup>20</sup> – ucieszyłem się, gdyż wiele słyszałem o niepowtarzalnej architekturze Starego Miasta w Sanie i możliwość zobaczenia tego cudu na własne oczy poniekąd rekompensowała mi nabicie mnie w butelkę. – Mówiłeś, że będę twoim zastępcą, że to stanowisko zwiększy moje szanse na awans i będzie doskonałą trampoliną do dalszej kariery. – Nie panując nad sobą, ostatecznie wylałem moje rozczarowanie. – A tu widzę, że znów utonę wyłącznie w sprawach konsularnych.

– Jesteś moim zastępcą – uciszał mnie z nieziemskim spokojem, żeby nie powiedzieć chłodem. – Będziesz kierować placówką, gdy wyjadę na urlop lub w delegację do Omanu. Przejdźmy do spraw bieżących. – Uznał sprawę za zamkniętą.

– Słucham. Od czego mam zacząć?

Teraz dopiero się zorientowałem, że nieświadomie wdepnąłem w niezłe gówno. Mój koleś ściągnął mnie tylko po to, żeby mną orać na najbardziej niewdzięcznym dyplomatycznym etacie. Od razu i bez niedopowiedzeń brutalnie sprowadził mnie na ziemię, gasząc resztki euforii, tłącej się we mnie w związku z nobilitującym stanowiskiem, jakie mi zaoferował. Zastępca ambasadora w Rijadzie to nie byle kto. Niejeden dałby się posiekać za taką pracę. Tak to sam ujął, gdy rozmawialiśmy w Warszawie.

– Mamy kadrowy armagedon. Radca ekonomiczny z żoną wyjechał na urlop – naświetlał sytuację. – Nie mogłem mu zabronić, bo naruszyłbym kodeks pracy. Administracyjny z kolei nie wrócił planowo z wakacji. Podobnie poważnie się rozchorował i jest na zwolnieniu lekarskim.

– Czy MSZ nie może nam przysłać kogoś na zastępstwo?

– Chyba żartujesz! – zachnął się. – Zdajesz sobie sprawę, jaki oni mają stosunek do takich małych placówek oddalonych o lata świetlne od Europy? Podejrzewam, że sporo pracowników ministerialnych nie wie nawet, jakie miasto jest stolicą Saudii.

– Faktycznie, nie wygląda to różowo – przyznałem. – W dodatku sekretariat też świeci pustkami – stwierdziłem oczywisty fakt, gdyż przez otwarte drzwi gabinetu Marka widziałem wymarłe biuro jego asystentki.

– Jestem kompletnie sam! – Aż mu się głos trząśł. – Nie licząc personelu lokalnego, borowców i ciebie. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że już przyleciałeś. Mam nadzieję, że razem uda nam się przetrwać ten trudny okres.

– Postaram się, Mareczku – obiecałem, mimo wszystko żałując tego rozdygotanego grubaska. – Zatem jaki jest plan na teraz?

– Weź mojego mercedesa i pojedź do Dzielnicy Dyplomatycznej. Znajduje się tam delegatura Unii Europejskiej, która dzisiaj organizuje spotkanie konsularne. Poznasz kolegów z innych ambasad i przy okazji osobiście potwierdzisz swój przyjazd.

– Chwileczkę! Przecież to mój pierwszy dzień w Arabii – zachnąłem się. – Nie mam ani saudyjskiego prawa jazdy, ani *iqamy*<sup>21</sup>. Jak to sobie wyobrażasz?

– Pojedziesz na dyplomatycznych tablicach rejestracyjnych ambasadora, więc nie musisz się obawiać policji. Nikt nie ośmieli się ruszyć samochodu z numerem jeden na blachach. Poza tym, jeśli się nie mylę, twoje libijskie prawko jest jeszcze ważne. Nie widzę więc problemu.

– Pewnie, że sobie poradzę – rzuciłem poirytowany, bo takiego początku się nie spodziewałem. – Myślałem tylko, że dasz mi przynajmniej tydzień na ogarnięcie spraw w pracy i adaptację. Muszę kupić samochód i zagospodarować się w nowym domu.

– Skok na głęboką wodę świetnie ci zrobi – zwrócił się do mnie tonem dobrego wujaszka i spojrział na zegarek. – Zbieraj się, jeśli nie chcesz się spóźnić.

– Powiesz mi, jak tam dojechać? Jestem na tym terenie całkiem zielony.

– Adres masz ustawiony w nawigacji.

– Gdzie są kluczyki?! – krzyknąłem od drzwi.

– W biurze BOR-u. Wacek ci je wyda. Zaczekaj! – Marek krzyknął, gdy byłem prawie na schodach. – Po spotkaniu pojedź do mojej rezydencji. To

dosłownie dwie uliczki od delegatury.

– Po co? Nie chcesz, żebym jak najszybciej zwrócił ci samochód?

– Mam jeszcze mnóstwo roboty i zapewne posiedzę w biurze do wieczora. Do ciebie mam taką małą prośbę... – Zawiesił głos, a ja czekałem, co też takiego nie może mu przejść przez gardło. – Mógłbyś podrzucić Anię na zakupy?

– Jaką Anię?

– Znasz przecież moją żonę.

– To ona tu z tobą jest?! – Zadrzałem i ledwo mogłem złapać oddech. – Myślałem, że przyjechałeś sam.

– Nieoczekiwanie zmieniła zdanie i miesiąc temu do mnie dołączyła. Zapomniałem ci o tym powiedzieć.

– Gratuluję! – Z trudem nad sobą panowałem, ale nie mogłem sobie podarować sarkazmu, mówiąc: – Czy prócz pomocy twojej żonie w sprawunkach masz dla mnie jakieś inne specjalne zadanie? Może wyprowadzić na spacer twojego pieska?

– Amikiem zajmuje się Marcello, mój służący – odpowiedział, zupełnie nie wyczuwając ironii.



- 
- <sup>13</sup> *Ghutra* – męska kwadratowa chusta w czerwono-białą lub czarno-białą kratę.
- <sup>14</sup> *Kafil* – sponsor w systemie *kafala*; pracodawca.
- <sup>15</sup> *Ghibli* – gorący wiatr w Afryce Północnej wiejący znad Sahary.
- <sup>16</sup> *Jalla* – pierwotnie: zawołanie na wielbłądy; kolokwialnie: ruchy, chodź, wychodź, w drogę.
- <sup>17</sup> *Sarong* – rodzaj spódnicy upiętej z jednego płata tkaniny.
- <sup>18</sup> *Borowiec* – funkcjonariusz ówczesnego BOR (Biura Ochrony Rządu) zatrudniony do ochrony placówki dyplomatycznej.
- <sup>19</sup> *Pakol* (slang) – pejoratywne określenie Pakistańczyka.
- <sup>20</sup> *Królestwo Saba* – jedno z największych królestw przedislamskich, które znajdowało się na terenie obecnego Jemenu. Znane z produkcji mirry i kadzidła.
- <sup>21</sup> *Iqama* – dowód osobisty.

## ROZDZIAŁ 4

### Z DESZCZU POD RYNNĘ

W niewielkim plecaku Zosi znajdowały się jedynie najpotrzebniejsze rzeczy. Po części było to wymuszone przez rodzinę Smithów, która zafundowała jej najtańszy przelot bez rejestrowanej walizki. Ale był środek lata, toteż nie potrzebowała ciężkiego płaszcza czy zimowych butów i udało jej się bez problemów spakować do bagażu podręcznego. Zdawała sobie sprawę, że jej znoszona garderoba wymaga całkowitej wymiany, dlatego zanim przystąpiła do pakowania, dokonała surowej selekcji ubrań i zabrała tylko te, które jeszcze nadawały się do noszenia. Postanowiła, że resztę sukcesywnie będzie dokupować z otrzymywanego wynagrodzenia. Zaletą takiego rozwiązania było to, że nie czekała, aż bagaże przetransportują z samolotu na taśmociąg, i po niespełna kwadransie od wylądowania już siedziała w zamówionej taryfie, która wiozła ją do Newham we wschodniej części Londynu.

Kierowca okazał się niezwykle rozmowny i chociaż na początku trudno jej było go zrozumieć, wkrótce oswoiła się z charakterystycznym pakistańskim akcentem i chłonęła przekazywane informacje. Dowiedziała się, że niespełna rok temu przyleciał do Londynu z Karaczi i od razu podjął pracę w korporacji taksówkarskiej, której właścicielem jest jego wuj Awan Smith.

– Co za zbieg okoliczności! – zdumiała się Zosia. – Wprawdzie w Anglii Smithów jest jak Kowalskich w Polsce, ale ja przyjechałam na zaproszenie pani Doris Smith i będę się zajmować jej dziećmi. Dziwne, że pana wuj nosi takie nazwisko, chociaż pochodzi z Pakistanu.

– Jego rodzice są stamtąd, a on urodził się już w Londynie. Doris jest jego żoną – wyjaśnił i obrócił się do niej, ukazując w pełnym uśmiechu pożółkłe od nikotyny zęby. – Przyjął jej nazwisko, gdyż to ułatwia mu prowadzenie

firmy transportowej, a także sklepu, który niedawno odkupił od chińskich właścicieli. Opiekuje się także naszym meczetem Bilal, który znajduje się w pobliżu jego domu. Awan jest pobożnym i szlachetnym muzułmaninem, to on kazał mi odebrać panią z lotniska.

Wszystko to wydało się Polce bardzo dziwne i mocno niepokojące. Sądziła, że będzie pracować dla Brytyjczyków i szybko podszkoli swój angielski. Nie była przygotowana na zamieszkanie w domu, którego gospodarzem był mężczyzna o azjatyckich korzeniach. Na dokładkę wyznawca islamu.

Trochę się uspokoiła, gdy taksówka zatrzymała się przy typowym piętrowym angielskim budynku, wchodzącym w skład szeregowej zabudowy ciągnącej się wzdłuż całej ulicy. Segment z jasną elewacją i dwoma wykuszami z szerokimi półokrągłymi oknami wyglądał przytulnie i urokliwie. Jakże się różnił od familoka, w którym mieszkała do tej pory.

Pełna animuszu weszła na ganek ozdobiony pnączem róż i wyciągnęła rękę w kierunku dzwonka. Nie zdążyła nawet go dotknąć, gdy drzwi się otworzyły. Szczupła wysoka kobieta w hidżabie<sup>22</sup> o jasnej jak mleko karnacji upstrzonej licznymi piegami i twarzy poznaczonej śladami po trądziku lub ospie wprowadziła ją do środka.

– Ty jesteś zapewne Sofia – domyśliła się gospodyni. – Wreszcie mamy okazję poznać się osobiście. Klasyczna słowiańska piękność. Tak sobie ciebie wyobrażałam.

Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o tobie, pomyślała kąśliwie Zosia. Rozumiem, dlaczego nigdy nie mogłam cię złapać na Skypie. Nie afiszujesz się jako konwertytka. Gdybym wiedziała, co w trawie piszczy, pewnie zrezygnowałabym z programu *au pair* w tym domu. Na głos zaś oficjalnym tonem oznajmiła:

– Cieszę się, że już tu jestem, pani Doris. Mam nadzieję, że sprostam waszym oczekiwaniom. Gdzie są dzieci, którymi mam się opiekować?

– Zaraz Awan je przyprowadzi. Napijmy się najpierw herbaty i porozmawiajmy, żeby się lepiej poznać.

Zosia z trudem przełykała bardzo słodki napar, gotowany z mlekiem i kardamonem, którego smak zupełnie jej nie pasował. Doris zaś zarzucała ją pytaniami. Pragnęła dowiedzieć się o niej jak najwięcej. Kim są jej rodzice, jakie ma plany na przyszłość, czy ma przyjaciół? Nawet interesowało ją, czy ma chłopaka. Przypominało to przesłuchanie na policji,

a brakowało tylko krat i lampy, którą świecono by jej po oczach. Czuła się wyjątkowo niezręcznie, aż pot wystąpił jej na czoło.

Po długim jak wieczność czasie drzwi do salonu się otworzyły i szczupły mężczyzna z kręconymi czarnymi włosami i sumiastym wąsem, ubrany w tradycyjny *szalwar kamiz*<sup>23</sup> w brązowym kolorze, wprowadził dwójkę dzieci.

– Sofia, poznaj mojego męża Awana – przedstawiła go Doris. – Ten przystojny młody mężczyzna – żartując, wskazała na chłopca – nosi imię Fazli i ma pięć lat. Dziewczynka to Zaima. Dopiero skończyła dwa lata, ale jest bardzo ciekawska i towarzyska. Na pewno się zaprzyjaźnicie.

Zosia wstała od stołu i podeszła do maluchów, które chowały się za stojącym w progu ojcem.

– Witaj, Fazli – powiedziała i wyciągnęła rękę w kierunku kilkulatka.

– Nie rób tego! – ostrzegł Awan, jednak ciut za późno.

Chłopiec wrzasnął na cały głos i zaczął bić się pięściami po głowie. Niewidzące spojrzenie skierował na przeciwległą ścianę. Po chwili bezwolnie klapnął na podłogę, kiwając się do przodu i do tyłu bez opamiętania. Z jego ust wydobywał się gardłowy skowyt, jakby ktoś zadawał mu fizyczny ból.

– Zabierz ich stąd! – krzyknęła Doris. – Muszę z tą Polką omówić warunki pobytu w naszym domu i zapoznać ją z czekającymi obowiązkami. W końcu nie mało zainwestowaliśmy w jej przyjazd.

– Dlaczego Fazli wpadł w histerię? – Zosia ciężko siadła na krześle. Głos jej drżał, a ręce schowała pod stołem, starając się ukryć zdenerwowanie. – Przecież nie zrobiłam nic złego. Chciałam go tylko pogłaskać.

– To specyficzny malec – wyjaśniła trochę speszona matka. – Lekarze zdiagnozowali u niego autyzm. Wymaga szczególnej troski i specjalnej terapii. Należy unikać sytuacji mogących wywołać u niego atak agresji, jaki widziałaś przed chwilą.

– Nie uprzedziła pani, że będę się zajmować niepełnosprawnym dzieckiem. Nie mam do tego odpowiedniego przygotowania.

– Kto powiedział, że masz to robić? – pośpieszyła z wyjaśnieniem Doris.

– Twoim obowiązkiem będzie mycie podłóg i odkurzanie, zmywanie naczyń po posiłkach i pomoc Awanowi w sklepie.

– Przecież miałam się opiekować dziećmi, a nie pracować jako sprzątaczką – oburzyła się takim obrotem spraw.

– Wyjścia z Zaimą na plac zabaw do pobliskiego parku zalicza się chyba do opieki nad dzieckiem – błyskawicznie zripostowała Doris. – Zresztą w umowie masz czarno na białym: pomoc w drobnych pracach domowych. Tak czy nie?

– Nie tak to sobie wyobrażałam – zaproponowała bliska płaczu Zosia. – Jak mam uczyć się angielskiego od autystycznego pięcioletka i dwuletniej dziewczynki, która prawie w ogóle jeszcze nie mówi? Rozumiem pomoc w sprzątaniu w domu, ale jeszcze w sklepie? O tym już na pewno nie wspomnieliście.

– Ta praca pozwoli cię ubezpieczyć. Zobaczysz, jakie to ważne, gdy trzeba będzie skorzystać z opieki zdrowotnej.

– To nie będzie potrzebne, długo u was nie zagrzeję miejsca! – oświadczyła zdecydowanym głosem. – Przyjazd tutaj był całkowitą pomyłką. Zostałam haniebnie oszukana, bo ty, moja droga, nie szukałaś operki, tylko taniej siły roboczej. To wyzysk w biały dzień!

– Oczywiście możesz zerwać umowę – ofuknęła ją Brytyjka. – Musisz tylko zwrócić koszty, jakie ponieśliśmy w związku z twoim przyjazdem. Ciekawe, jak to zrobisz, skoro nie masz grosza przy duszy, a z tego, co mi mówiłaś, na rodzinę w Polsce nie możesz liczyć.

– Widzę, że wszystko starannie przemyślałaś. – Zrezygnowana ochotniczka znalazła się w patowej sytuacji. – Zatem trochę potrwa, zanim się od was uwolnię.

– Dobrze, że znalazłyśmy wspólny język. Nareszcie mówisz rozsądnie – zakończyła rozmowę Doris. – Chodź, pokażę ci twój pokój i będziesz się mogła rozpakować.

Zosia pokornie podążyła ciemnym wąskim korytarzem za kobietą, która nieoczekiwanie z filantropki stała się wyzyskiwaczką. Po drodze zatrzymały się przed wąskimi drzwiczkami, nad którymi świeciła się słaba żarówka zwisająca z sufitu na gołym drucie.

– To jest twoja prywatna łazienka – powiedziała gospodyni, otwierając pomieszczenie.

W środku znajdowała się tylko ubikacja bez sedesu i mała umywalka z dwoma osobnymi kranami.

– Jak mam myć się w czymś takim? – Nie na żarty wściekła się Zosia, bo nie spodziewała się, że w tak pięknie wyglądającym domu nie będzie miała możliwości skorzystania z prysznicza.

– To typowe brytyjskie rozwiązanie. W jednym kranie jest zimna, a w drugim gorąca woda. Zatykasz korek, napuszczasz wodę zimną i ciepłą, tak żeby była odpowiednia temperatura, i gotowe – wyjaśniła przewodniczka i dodała: – Uważaj tylko, żeby nie zachlapać podłogi.

– Nie mówię o kurkach, tylko o braku wanny czy kabiny.

– Też mi coś! – ironicznie się zaśmiała. – Jaśnie pani się znalazła.

– Świetnie. Wyjaśnij mi jeszcze, jak mam tutaj umyć tyłek? Dasz mi drabinkę?

– Jakoś sobie poradzisz – skwitowała, uznając sprawę za zamkniętą.

Pokój przeznaczony dla opiekunki znajdował się w końcu korytarza. Rozmiarem nie był wiele większy od oglądanej przed chwilą niby-łazienki i przypominał bardziej piwnicę niż sypialnię. Zwłaszcza że nie było tam okna i zatęchła wilgoć unosiła się w powietrzu. Przy jednej ścianie znajdował się wyleżany tapczan, który zajmował całą długość pomieszczenia, a naprzeciwko niego wąska szafa z urwanymi drzwiami. Dopełnienie skromnego umeblowania stanowił zdezelowany wytarty fotel ustawiony na wypłowiałej wykładzinie podłogowej, która kiedyś musiała mieć zielony kolor.

– Niełatwo było ten składzik przekształcić w pokój – chwaliła się Doris, patrząc na swego gościa z tryumfem. – Rozgość się, moja droga. Zostawiam cię samą, bo już szósta i czas na dinner.

– Umyję tylko ręce i dołączę do was. Przez te emocje zapomniałam o głodzie. Od rana nic nie miałam w ustach. – Operka od razu odzyskała humor.

– Chyba się nie zrozumieliśmy – odburknęła pracodawczyni. – Powiedziałam, że nadeszła pora posiłku naszej rodziny. Gdy my skończymy, ty zjesz w kuchni. Potem posprzątasz i pomyjesz naczynia.

– Miałam być traktowana jak członek rodziny. Czy tak postępuje się z *au pair*?

– Chyba nie wyobrażasz sobie, że siądziemy do stołu z niemuzułmanką? – oburzyła się neofitka. – Po jedzeniu i wypełnieniu swoich obowiązków radzę ci szybko kłaść się do łóżka. Jutro o piątej rano idziesz z Awanem do sklepu, żeby posprzątać, zanim przyjdą pierwsi klienci – wydała ostatnią dyspozycję i wyszła, z trzaskiem zamykając drzwi.

Zosia bezwładnie opadła na tapczan, którego sprężyny boleśnie wbiły się jej w plecy. Poranna euforia zamieniła się w czarną rozpacz. Jak długo

wytrzymam w takim kieracie? – pytała siebie. Leżała bez ruchu, tępo wpatrując się w popękany sufit, z którego zwisał żyrandol z kolorowego jarmarcznego szkła i rzucał dookoła drgający cień. Jeszcze dzisiaj rano żegnała się z matką i była pewna, że wygrała los na loterii, że wreszcie wyrwie się ze swojego zaścianka, a okazało się to tylko ułudą. Naraz niewidzialna tama puściła i wzbierająca gorycz znalazła ujście w gwałtownym spazmie wyrywającym się z jej młodego gardła. Rozgoryczenie zalało jej dobre naiwne serce. Długo nie mogła się uspokoić.

Mimo lata pogoda była iście jesienna. Zachmurzone niebo nie przepuszczało promieni słonecznych i siąpił drobny deszczyk. Nie bacząc na wczesną porę, zgarbione szare sylwetki przechodniów, chroniąc się pod parasolami, pędziły do najbliższej stacji metra. Zegar wskazywał dokładnie godzinę szóstą rano, gdy pan Smith podniósł z głośnym zgrzytem ażurowe kraty zabezpieczające witrynę sklepu i otworzył drzwi.

– Dzień zaczynasz od podłączenia ekspresu – poinstruował Zosię zaraz po wejściu do środka. – Nasi poranni klienci często wpadają przed pracą i biorą na wynos kawę i kanapki.

– To jest profesjonalna aparatura. Nigdy z czymś takim nie miałam do czynienia i nie wiem, czy sobie poradzę.

– Wszystko ci wyjaśnię i sama się zdziwisz, jakie to proste. Na razie szybko zmyj podłogę i zabierz się do porządkowania towarów z żywnością w puszkach i chemią gospodarczą.

Ledwie Zosia uwinęła się z pracami zleconymi przez szefa, gdy usłyszała jego skrzekliwy głos dochodzący z zaplecza:

– Chodź no tu szybko! Na półkach brakuje opakowań z basmati. Pokażę ci, gdzie go przechowuję, i następnym razem sama uzupełnisz.

Pomocnica nieśmiało rozchyliła plastikową kurtynę oddzielającą magazyn od reszty sklepu i weszła do skąpo oświetlonego pomieszczenia. Awan stał w przejściu między ciasno ustawionymi metalowymi regałami sięgającymi do samego sufitu.

– Ryż znajduje się pod koniec alejki na górnej kondygnacji. Przejdź tam i przynieś mi dwie paczki białego i trzy jaśminowego.

Zosia próbowała dostać się do wskazanego miejsca, lecz Awan nie ustąpił na krok, blokując swoim ciałem drogę.

– Pośpiesz się! Przecież muszę cię jeszcze przeszkolić z obsługi kawiarki. Pierwsi goście pojawią się lada moment – poganiał zniecierpliwiony.

Dziewczyna, chcąc nie chcąc, przecisnęła się między regałem a lubieżnym mężczyzną w tradycyjnych pakistańskich łachach. Kiedy usiłowała go ominąć, pochylił się i wsadził swój wielki nochal w jej rozpuszczone blond włosy. Poczła ohydny gorący oddech, przeniknięty intensywnym zapachem świeżego czosnku i curry. Wzdrygnęła się z obrzydzenia i zwinnie wyrwała z pułapki. Jednak nie na tyle szybko, by nie poczuć na biodrze jego nabrzmiałej męskości, wybrzuszącej cienkie bawełniane szarawary.

– Wejź na drabinę, by dosięgnąć do tych paczek – jak gdyby nigdy nic dalej instruował, a gdy zaciskając szczęki, wykonała jego polecenie, dodał oblesnie: – Co za apetyczny tyłeczek, chętnie bym go schrupał.

Nie wiedziała, jak się zachować. Całkiem ją zamurowało. Dygotała na całym ciele. Z nerwów aż dostała mdłości. Zastanawiała się, czy to tylko nic nieznaczące zachowanie napalonego męskiego szowinisty, czy też powinna się go poważnie obawiać. Jak daleko się posunie? Przecież był kochającym ojcem i cieszył się szacunkiem lokalnej społeczności muzułmańskiej. Postanowiła mieć się na baczności i jeśli to możliwe, unikać podobnych sytuacji.

– Czas na lekcję robienia kawy! – krzyknął wesoło Awan. – Wnet otwieramy, już prawie siódma.

W ferworze zajęć zupełnie zapomniała o nieprzyjemnym zdarzeniu, które ją niespodziewanie spotkało, i to w pierwszym dniu pracy. Przestała gryźć się tym, że posadę sklepowej narzucono jej podstępem, bezwzględnie wykorzystując łatwowierność i brak życiowego doświadczenia. Na osłodę jej nieciekawego położenia osoby wpadające do sklepiku po kawę lub drobne sprawunki zazwyczaj były miłe, a niektóre nawet zostawiały drobne napiwki. Kiedy pierwsza fala kupujących się przewinęła, zapanował względny spokój.

– Widzę, że dobrze sobie radzisz – pochwalił ją szef. – Jeszcze będą z ciebie ludzie.

Gdy tylko to powiedział, mały dzwoneczek przy drzwiach wejściowych zaalarmował o przyjściu kolejnych klientów.



Do kontuaru, za którym stała Zosia w firmowym fartuchu z nadrukiem filiżanki kawy espresso, podeszło dwóch mężczyzn. Jej uwagę od razu przykuł wysoki śniady osobnik o orientalnej urodzie z lekko falującymi czarnymi jak heban włosami. Ubrany w nienagannie skrojony garnitur, uważnie się jej przyglądał. Kiedy ich oczy się spotkały, a ekspedientka spiekła raka i bojaźliwie opuściła wzrok, na jego twarzy zagościł uroczy uśmiech. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, co ją w nim tak zauroczyło. W tym facecie było coś magnetycznego, co budziło lęk, a jednocześnie ją przyciągało.

– Samir, jaką chcesz kawę? – sprowadził ich na ziemię głos należący do rudego grubaska, który mu towarzyszył.

– Jak zawsze cappuccino. Przecież znasz moje przyzwyczajenia – odparł przystojniak.

– A więc dwa razy cappuccino na wynos, panienko!

Zosia podskoczyła jak rażona prądem i zabrała się do pracy. Wszystkie czynności wykonała perfekcyjnie, zgodnie z porannym szkoleniem. Ale pośpiech nie popłaca. Za szybko sięgnęła po dzbanek ze spienionym mlekiem i strumień wrzącej pary z sykiem trysnął prosto na jej rękę. Krzyknęła z bólu, wypuszczając naczynie. Mleko rozchlapało się na prawo i lewo, a następnie spłynęło po blacie i kapało na podłogę.

– Co za niezguła! – wrzasnął Awan. – Najmocniej panów przepraszam. Zaraz kawa będzie gotowa – kajał się przed mężczyznami, którzy odskoczyli od lady. – A ty szoruj do łazienki! Zrób sobie opatrunek i wracaj natychmiast, by posprzątać ten bajzel – mówiąc to, trzepnął Zosię w plecy.

Zawstydzona swoją niezdarnością, zniknęła na zapleczu.

– Po co te nerwy? – próbował uspokoić pieniacza Samir. – Przecież nam nic się nie stało, a tej pani trzeba pomóc. Możliwe, że poważnie się poparzyła.

– Nic jej nie będzie, to twarda Polka. – Sklepikarz starał się swój niekontrolowany wybuch obrócić w żart, wręczając dwa kartonowe kubki wypełnione po brzegi puszystym cappuccino. – Na koszt firmy. Życzę panom miłego dnia.

Do południa nic szczególnego się już nie wydarzyło. Poza kilkoma osobami, które przyszły po drobne zakupy spożywcze, sklep świecił pustkami.

– Wychodzę do meczetu na modlitwę *zuhur*<sup>24</sup> – poinformował Awan. – Postaraj się niczego nie zdewastować podczas mojej nieobecności. Wrócę za niecałą godzinę.

Ledwo drzwi się za nim zamknęły, gdy rozległ się dźwięk dzwonka. Ktoś wszedł do sklepu. Sprzedawczyni wstała zza lady i zaniemówiła. Przed nią stał ten sam mężczyzna o ciemnej karnacji, który rano zrobił na niej takie piorunujące wrażenie.

– Jak tam ręka? – spytał ciepło. – Miałem wyrzuty sumienia, że poniekąd przyczyniłem się do tego wypadku, i w ramach przeprosin przyniosłem żel na oparzenia.

– Dziękuję, ale to zbędna troska – odpowiedziała, starając się ukryć zmieszanie i schować się za maską obojętności.

– Zobaczysz, że przyniesie ci natychmiastową ulgę – powiedział i nim się zorientowała, jej dłoń znalazła się w jego delikatnych rękach. Poczowała przyjemny chłód miętowego balsamu i odetchnęła z ulgą. – Tak przy okazji, mam na imię Samir.

– Wiem, słyszałam, jak się do ciebie zwracał ten rudzielec.

– Ach, John! – zaśmiał się. – To mój stary przyjaciel. Zawsze w poniedziałki świadczę *pro bono*<sup>25</sup> konsultacje prawnicze w jego organizacji charytatywnej znajdującej się na tej ulicy. Dlatego wpadamy rano po kawę. Ciebie jednak nigdy wcześniej tutaj nie widziałem. Jak tu trafiłaś i jak masz na imię?

– Jestem Zofia, lecz wszyscy wołają na mnie Zosia. Przyjechałam z Polski w ramach *au pair*.

– Czekaj, to co ty robisz w sklepie? Nie widzę tu dzieci do opieki. – Zamyślił się z marsem na czole. – Podobno niektóre agencje uczestniczące w tym programie są nieuczciwe i działają bardziej jako pośrednictwa ściągające tanią siłę roboczą.

– Zdaje się, że to właśnie mój przypadek – przyznała smutno. – Wpakowałam się w niezłą kabałę. Zupełnie bezmyślnie podpisałam umowę, która nie daje mi żadnych praw.

– To niemożliwe. Zawsze da się wybrnąć nawet z największej opresji – Samir dodawał jej otuchy. – Jestem prawnikiem, w dodatku mój rudy kumpel jest założycielem i prezesem organizacji, która pomaga pokrzywdzonym i walczy o prawa pracownicze cudzoziemców. Razem na pewno coś wymyślimy.

– Nie wiem, czy to możliwe. – Nie była przekonana. – Idź już, bo niedługo wróci Awan i jak cię tu zastanie, to bardziej mi zaszkodzi, niż pomożesz.

– Zanim zniknę, to powiedz mi, gdzie możemy się spotkać, żeby swobodnie porozmawiać?

– Jutro koło południa będę w parku z dwuletnią córką moich gospodarzy. To jedyna forma opieki nad dzieckiem, jaką mi powierzyli.

– Widzimy się zatem jutro, *madame* Sofia!

– Słucham? – zdziwiła się.

– Tak brzmi twoje imię po grecku i oznacza „mądrość”.

– Mądra to raczej nie byłam, przyjeżdżając do tej rodziny – uśmiechnęła się smutno.

– Niedługo się przekonamy – podbudowywał ją na pożegnanie. – *See you*<sup>26</sup>.

– Poczekaj, nie powiedziałam ci, w którym parku.

– Tu jest tylko jedno miejsce z placem zabaw dla dzieci. Z łatwością cię znajdę.

Nazajutrz na niebie nie było ani jednej chmurki. Pogoda była upalna i wyglądało na to, że w końcu lato zawitało na Wyspy Brytyjskie. Zosia siedziała na ławce pod rozłożystym klonem, a gęsta korona drzewa rozpraszała promienie słoneczne. W jej cieniu stał wózek, w którym smacznie spała Zaima, odpoczywając po zabawie w piaskownicy. Opiekunka co chwilę nerwowo spoglądała na zegarek. Wreszcie z ulgą spostrzegła zdążającego w jej kierunku Samira, który szedł energicznym krokiem, wymachując aktówką.

– Przepraszam za spóźnienie, ale dojazd tutaj z mojej kancelarii w City to gehenna – tłumaczył się, siadając obok dziewczyny.

– Myślałam, że już nie przyjdiesz lub poszedłeś do innego parku.

– Najważniejsze, że zdążyłem cię złapać. W końcu możemy spokojnie zamienić dwa słowa.

– O mnie już sporo wiesz. Teraz twoja kolej – zachęcała Zosia. – Opowiedz coś o sobie. Jak tu trafiłeś, bo chyba nie urodziłeś się w Londynie, choć z akcentu i wymowy istny z ciebie Brytol.

– Pochodzę z Jemenu, lecz mieszkam na Wyspach od lat. Tu zdobyłem wykształcenie i niezłą posadę prawnika. Zdziwisz się, lecz jestem obywatelem tego kraju.

– Jak to możliwe? Dostałeś obywatelstwo, bo ożeniłeś się z Angielką? – Była szczerą aż do bólu, co bardzo podobało się mężczyźnie.

– Zupełnie nie tak. Urodziłem się na południu Jemenu, w Adenie, gdy znajdował się pod protektoratem brytyjskim. Kiedy okupanci się wycofali, mój wuj Ali, który wychowywał mnie jak własnego syna, awansował i objął ministerialne stanowisko w komunistycznych władzach Jemenu Południowego. To on, wykorzystując swoje koneksje, wysłał mnie tutaj, na lotnisku wręczając mi brytyjski paszport, który przechowywał dla mnie latami.

– A co z twoim ojcem? Nie żyje?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć! – nieoczekiwanie niegrzecznie odburknął, a następnie zamilkł.

– Nie chciałam cię urazić – wymamrotała speszona. – Pomyślałam tylko, że przeżyłeś podobną jak ja dziecięcą traumę straty najbliższego członka rodziny. Mój tata zginął w wypadku, a potem sprawował nade mną pieczę ojczym, który nie darzył mnie szczególną miłością. To głównie przez niego się tu znalazłam, bo chciałam się wyrwać spod jego pseudoopiekuńczych skrzydeł. Lecz jak widzisz, trafiłam z deszczu pod rynnę.

– Nie przejmuj się – znów łagodnie ją pocieszył. – Wszystko będzie dobrze, obiecuję!

– Muszę już wracać. Zaima się budzi.

– Będziesz tutaj jutro? – spytał Samir.

– Jeśli dopisze taka ładna pogoda jak dziś, to na pewno. Inaczej delegują mnie do marketu. Ten park to jedyne miejsce, gdzie mnie swobodnie puszczają.

– W takim razie umówmy się o tej samej porze.

– Czyżbyś proponował mi randkę?

– Dzisiaj mieliśmy zdecydowanie za mało czasu, by się dobrze poznać. A co do randki, to w sumie dawno już z nikim się nie spotykałem.

– Chcesz powiedzieć, że nie ma żadnej pani Samirowej? – otwarcie zapytała mocno tym zaintrygowana.

– Miałem taki epizod w moim życiu, lecz jestem już po rozwodzie. Mary wybrała mojego współnika z kancelarii. Od tego momentu prowadzę życie

singla, co bardzo mi odpowiadało, przynajmniej do momentu, kiedy natknąłem się na ciebie.

Zosia nie wiedziała, co powiedzieć. Rzuciła więc tylko:

– Do zobaczenia.

Od tego pamiętnego skwarne popołudnia Samir i Zosia spotykali się codziennie. Dla przechodniów obejmująca się para z małym śniadym dzieckiem w wózku wyglądała na mieszaną kulturowo rodzinę. Nikt więc się nie gorszył, że bladolica blondynka namiętnie całuje się ze starszym od siebie orientalnym mężczyzną. Samir nie szczędził czułości swojej nowej dziewczynie i mimo swoich czterdziestu lat zachowywał się jak sztubak i liczył godziny i minuty do każdej potajemnej schadzki z ukochaną.

Nagle i bez zapowiedzi Zosia przestała pojawiać się w parku. Nie było jej też w sklepie. Najpierw Jemeńczyk sądził, że się rozchorowała, lecz kiedy jej nieobecność się przedłużała, zaniepokojony poprosił Johna o pomoc.

– Znasz dziennikarza śledczego, z którego usług nieraz korzystasz. Skontaktuj mnie z nim. Muszę się dowiedzieć, co dzieje się z Sofią.

– Tą dziewczyną od rozlanej kawy? – zaśmiał się kumpel.

– To wcale nie jest zabawne! – ostro zareagował Samir. – Martwię się, czy coś złego jej się nie przytrafiło.

– Skoro tak ci na niej zależy... Ale jest jeden szkopuł: ten szpicel kontaktuje się tylko ze mną. Poza tym jego usługi nie są tanie.

– Chyba nie sądzisz, że narzekam na brak pieniędzy?

– Jak przyjdiesz na swój coponiedziałkowy dyżur w przyszłym tygodniu, powinienem już coś wiedzieć – obiecał John.

– Pasuje – zgodził się Samir. – Jutro i tak wyjeżdżam służbowo do Liverpoolu. Mam nadzieję, że gdy wrócę, będziesz mieć dla mnie jakieś wieści.

Kiedy Jemeńczyk wrócił z delegacji, wsiadł do samochodu, który zostawił na przydworcowym parkingu, i prosto ze stacji pojechał do fundacji Johna. Zastał go w dość posępnym humorze przy kubku parującej kawy. Przed nim leżała szara gruba koperta.

– Wal prosto z mostu – zachęcił Samir, starając się ukryć zaniepokojenie.

– Nie jest dobrze. Wygląda na to, że nie dość, że mamy tu do czynienia ze zmuszaniem do niewolniczej pracy, to, jak zobaczysz na zdjęciach, dochodzi do molestowania seksualnego i przemocy fizycznej. Ostatnio państwo Smith trochę chyba przesadzili i pobili ją tak, że nie mogła się pokazać między ludźmi.

– Dlatego nie pojawiała się w parku przez tyle dni... – niby spokojnie analizował wiadomości Samir, a wszystko się w nim gotowało. Ostatecznie nie wytrzymał i wybuchnął: – Co za psubraty! Co za łajdaki! Ja im jeszcze kota pogonię!

– Sprawy mają się kiepsko, bo trudno to będzie udowodnić. Pamiętaj, że facet jest poważanym imamem w meczecie i żaden sąd nie uwierzy w oskarżenia bieduli imigrantki.

– Jeszcze się okaże – wycedził złowrogo Jemeńczyk, zgarnął kopertę z obciążającymi dowodami i skierował się do wyjścia.

– Nie angażuj się! To śmierdząca sprawa! – krzyknął za nim zmartwiony kolega. – Nie wygrasz z przekłętą pakistańską mafią!

– Zobaczymy – powtórzył, zgrzytając zębami, krewki Arab. – Nie zapominaj, że jestem adwokatem i nie z takimi szumowinami dawałem sobie radę.

W ciągu kilku minut Samir znalazł się przed domem państwa Smith. Do środka wpuściła go niczego nieświadoma Doris.

– Gdzie jest pobożny imam? – Od razu przeszedł do sprawy, gdy tylko gospodyni wprowadziła go do salonu.

– Modli się. Przyjdzie za dziesięć minut.

– Jeśli nie chcesz napytać sobie biedy, natychmiast go zawołaj!

Długo nie musiał czekać, gdyż usłyszawszy niepokojące hałasy, Awan błyskawicznie wyłonił się z sąsiedniego pokoju. Kiedy rozpoznał swojego klienta, zrozumiał, co się szykuje.

– Jesteście potworami wykorzystującymi niewinną, naiwną i ubogą dziewczynę! – zaczął Samir, z trudem tłumiąc gniew. – Najgorszy jest ten zakłamany pobożniś. Na zdjęciach widać, jak molestuje Sofię.

Otworzył kopertę i na stole rozłożył fotografie jak talię kart.

– To jej wina! – krzyknęła roztrzęsiona Doris. – Ta kurwa wciąż go prowokowała swoim nieskromnym strojem i wyuzdanym zachowaniem.

Raz nawet Awan powiedział mi, że weźmie ją za drugą żonę – zaszlochała żałością, ale Jemeńczykowi nie było jej żal.

– Dlatego spraliście ją na kwaśne jabłko, tak że biedaczka nie mogła opuścić domu?! – wycodził przez zęby, a następnie spokojnie dodał: – Z taką dokumentacją w każdym sądzie wygram sprawę.

– Nie wydaje mi się. I pan jako prawnik doskonale o tym wie. – Pakistańczyk niczego się nie bał. – Przede wszystkim te zdjęcia nie mają mocy dowodowej, gdyż zostały zrobione nielegalnie, a poza tym sińce prawie się zagoiły i wkrótce nie będzie po nich śladu. Wymiar sprawiedliwości bardziej da wiarę słowu imama, który wygłasza w każdy piątek *chutbę*<sup>27</sup> w meczecie, niż oskarżeniom nikomu nieznannej jakiejś tam cudzoziemki. – Co do joty potwierdził słowa Johna.

– Zgadzam się z panem, że istnieje pewne prawdopodobieństwo, że ten proceder ujdzie wam na sucho i za chwilę będziecie się znęcać nad kolejną ofiarą. – Samir przystąpił do frontalnego ataku. – Tylko ciekawe, co się stanie, gdy te fotografie ukażą się w tutejszym tabloidzie z informacją, jaki zakłamany i zboczony jest islamski duchowny z meczetu Bilal. Co wtedy powiedzą wierni, którzy darzą cię takim szacunkiem?

– Mówiłam ci, żeby zatrudnić muzułmankę z Filipin. Nie mielibyśmy wtedy takich problemów. Tylko że tobie spodobała się ta Polka o niewinnej twarzy aniołka. Tak jak i temu czarnuchowi.

Bezczelnie pokazała palcem na śniadego Jemeńczyka, który na takie rasistowskie obelgi od dawna już nie reagował.

– Spokojnie, Doris. – Imam zachował zimną krew. – Ten pyskаты pan tylko blefuje.

– Tak sądzicie? – burknął złowieszczo prawnik. – Przekonacie się, co się wydarzy, gdy przekażę do pewnych kręgów młodzieżowych informację o znęcaniu się muzułmanów nad bezbronną chrześcijanką. Zobaczycie, co zrobią faceci w czarnych kominiarkach z kijami bejsbolowymi z waszym meczetem i waszymi domami. Ta dzielnica pamięta takie akcje, kiedy nawet koktajle Mołotowa szły w ruch. Nie chciałbym wtedy być w waszej skórze.

– Jak możesz?! – jęknął z przerażenia Awan. – Czyż nie jesteś wyznawcą Allaha, że grozisz nam w ten sposób? Mówisz jak ci wszyscy niewierni.

– Dla mnie islam to jedynie kwestia tożsamości narodowej. Ufam jednak mądrości proroka Muhammada, który głosi, że dobrym muzułmaninem jest

ten, kto nie krzywdzi innych ani swoimi czynami, ani słowem. Z tego wynika, że to wy jesteście niewierni, a nie ja.

– Dobrze, wygrałeś... – zrezygnował z dalszej utarczki Awan. – Gadaj, czego chcesz.

– Oddasz Sofii paszport i pozwolisz jej ze mną odejść.

– Doris, idź po tę niedorajdę. Niech się spakuje i zniknie mi z oczu i z mojego domu.

Posłuszna żona pośpiesznie spełniła polecenie.

Polka na nosie miała duże okulary przeciwsłoneczne, które zasłaniały fioletowosine wylewy pod oczami. Niewielki plecak z całym dobytkiem dźwigała na prawym ramieniu. Ale zobaczywszy Samira, uśmiechnęła się radośnie, choć nie kryła zaskoczenia. Jej serce drżało ze szczęścia, gdy pojęła, że oto teraz ważą się jej losy. Wymarzony i najlepszy pod słońcem mężczyzna nie zostawił jej, wręcz przeciwnie – wyciągał ją z opresji, tak jak wielokrotnie obiecywał. Od samego początku coś niezwykłego ich połączyło. Nie umiała tego określić, wiedziała tylko, że nie wyobraża sobie bez niego dalszego życia.

– Ten pan chce ciebie od nas zabrać. Czy wyrażasz na to zgodę? – zapytał oficjalnym tonem Awan, jak gdyby był ojcem, któremu odbiera się ukochaną córkę.

– O niczym innym bardziej nie marzę. Oddaj mi tylko paszport! – krzyknęła rozwścieczona.

– Bierz i wynoś się, ty łachudro! – Doris wkroczyła do akcji i rzuciła na stół dokument w bordowym kolorze.

– Pamiętaj, że bezzwłocznie powiadomię o twojej ucieczce urząd emigracyjny i zapewne zostaniesz deportowana – odgryzł się z dużą satysfakcją Pakistańczyk.

– Chyba że szanowany brytyjski obywatel poprosi ją o rękę. – Samir zamknął usta zaskoczonemu imamowi i czule obejmując dziewczynę, opuścił z nią niegościnnie dom.

– Chwileczkę, czy to były oświadczenia? – spytała Zosia, zatrzymując się jak wryta na środku ulicy. – Czy to były oświadczenia?! – powtórzyła podekscytowana.

– A jeśli tak, to jaka będzie twoja odpowiedź?

– To była najbardziej pokrecona propozycja małżeństwa w historii świata!

– Entuzjastycznie klasnęła w dłonie. – Wykorzystałeś podbramkową



sytuację, w jakiej się znalazłam, ty szczywany jemeński lisie! – żartowała.

– Co mam zrobić, żeby udowodnić ci szczerą moich uczuć? Uklęknąć przed tobą na chodniku? – Z rozbawieniem i miłością patrzyli sobie głęboko w oczy. – Sofia, zostań moją żoną. – Niczym się nie przejmując, padł przed nią na kolana.

– Daj spokój! – spieszyła się. – Wystarczy, jak mnie zaniesiesz na rękach do samochodu – droczyła się, robiąc kokieteryjną minkę, co przy sińcach i krwawych wylewach na twarzy wyglądało tragicomicznie.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Podjął grę i podniósł ją w górę jak piórko. Dziarsko ruszył w stronę auta zaparkowanego kilka kroków dalej. Przypadek sprawił, że zatrzymał się w pobliżu wielobranżowego sklepu Awana.

– Postaw mnie już – zdecydowanie poprosiła, gdy mijali znienawidzony przez nią market, w którym doznała tylu upokorzeń. – Weź moje rzeczy do auta i poczekaj chwilę. Mam tu jeszcze coś do załatwienia.

– Tylko się pośpiesz, wolałbym już opuścić tę podłą dzielnicę.

– To długo nie potrwa.

Minęła stojące naprzeciwko sklepu kubły na śmieci wypełnione rozkładającymi się resztkami zieleniny i odpadami spożywczymi. Nieopróżniane od kilku dni, wydawały odrażającą woń. Zosi to zupełnie nie przeszkadzało. Uwagę skupiła na dużej czerwonej cegle, leżącej tuż obok koszy. Schyliła się po nią. Wzięła solidny zamach i rzuciła w sam środek witryny. Poczowała niezmierną satysfakcję, gdy grube szkło rozbryznięło się na drobne kawałki i z hukiem rozsypało po chodniku. Na ten dźwięk grupka przesiadujących w zaułku mieszkańców azjatyckiej dzielnicy Londynu wybiegła na główną ulicę i rzuciła się w jej kierunku.

Nie oglądając się za siebie, Zosia pobiegła do auta, w którym czekał na nią Samir. Czuła taką ulgę, jak gdyby zrzuciła z siebie kamień młyński.

– Spadajmy, panie mecenasie – zakomenderowała wesoło. – Jeśli nie chcesz, żeby Pakole rozwalili ci ten śliczny samochodzik.

– *Madame* Sofia! Jest pani bardzo niegrzeczną dziewczynką – zakpił, ruszając z piskiem opon.

Zrobił to w ostatniej chwili, by uciec przed gradem kamieni, które posypały się w ich kierunku.

Wyjechali na obwodnicę w stronę centrum. Zmęczeni spiętrzeniem ekstremalnych zdarzeń, które niespodziewanie przybrały korzystny obrót,

milczeli, starając się zrelaksować. Nieoczekiwanie Zosia obróciła się w stronę Samira i powiedziała:

– Tak!

– Co tak? – spytał, zupełnie nie rozumiejąc kontekstu.

– Tak! To odpowiedź na twoje pytanie – wyjaśniła i ufnie przytuliła się do jego mocnego ramienia. – Zostanę twoją żoną, Samirze.

---

<sup>22</sup> Hidżab – dosł.: okrycie, zasłona; chusta noszona przez muzułmanki, która zakrywa włosy, uszy i szyję.

<sup>23</sup> *Szalwar kamiz* – tradycyjny pakistański strój składający się z workowatych, zwężonych na dole spodni i luźnej koszuli, tuniki.

<sup>24</sup> *Zuhur* – muzułmańska modlitwa południowa.

<sup>25</sup> *Pro bono* – określenie oznaczające dobrowolne i bezpłatne wykonywanie profesjonalnych usług w interesie publicznym. Usługi takie głównie świadczą prawnicy.

<sup>26</sup> *See you* – do zobaczenia.

<sup>27</sup> *Chutba* – muzułmańskie kazanie wygłaszane podczas piątkowej wspólnej modlitwy.

## ROZDZIAŁ 5

### PRZYWITANIA I POŻEGNANIA

Wjazd do Dzielnicy Dyplomatycznej nie nastreczył mi żadnego problemu. Pamiętając moją bezsensowną awanturę ze strażnikiem na moim kompaundzie, grzecznie ustawiłem się w kolejce samochodów do kontroli bezpieczeństwa i zawnazsu otworzyłem bagażnik. Żołnierze sprawnie zlustrowali auto, zatrzasnęli pokrywę i dali znak ręką, że droga wolna. Nawigacja w mercedesie działała sprawnie i bez trudu znalazłem budynek delegatury unijnej, gdzie odbywały się konsultacje konsularne. Zaletą jazdy ambasadzką jedyneką<sup>28</sup> było to, że kurtuazyjnie pozwolono mi wjechać na podwórko ogrodzonego wysokim murem budynku i zaparkować niemalże przed wejściem. Inni koledzy, którzy zostawili pojazdy na odległym parkingu, musieli drałować w palącym słońcu spory kawałek na piechotę, a potem potulnie poddawali się kontroli bezpieczeństwa, co nie było zbyt przyjemne.

W oczekiwaniu, aż zbiorą się wszyscy przedstawiciele ambasad, podano gorącą kawę, herbatę i croissanty. Zgromadzeni w kilku grupkach dyplomaci rozmawiali na luźne tematy. Wokół było słycać śmiech, a ubrani w brązowe uniformy kelnerzy uzupełniali dzbanki z gorącymi napojami oraz donosili ciepłe i pachnące ciastka.

Zrobiłem kurtuazyjną rundkę, witając się ze wszystkimi. Gdy już przedstawiłem się i wymieniłem wizytówkami, poczułem, że ktoś lekko szturcha mnie z tyłu w ramię.

– Frank?! – niemal krzyknąłem zaskoczony, widząc mojego starego kumpla z austriackiej ambasady, z którym blisko się trzymałem na poprzedniej misji w Trypolisie. – Co ty tu robisz? A to niespodzianka!

– Tak się splatają nasze losy – podsumował wesoło. – Dziś ta placówka, jutro inna i nigdy nie wiesz, kiedy znów kogoś spotkasz. W Rijadzie jestem

już cały rok. Chętnie wprowadzę cię w życie tutejszego korpusu.

– Miło z twojej strony. Z radością skorzystam. Najpierw jednak muszę jakoś się zagospodarować.

– Co masz na myśli?

– No wiesz, odnowić mieszkanie, kupić brakujące wyposażenie, żeby można było normalnie żyć.

– To wasz pracownik administracyjny nie przygotował lokalu na twój przyjazd?

– Co kraj, to obyczaj – zażartowałem, bo głupio mi się zrobiło przed kumplem z państwa, które dyplomatów traktowało zgodnie z należnym im statusem społecznym. – Taka u nas jest sytuacja. Zapewne są to pozostałości z czasów komuny. W rozumieniu MSZ sam fakt przyjazdu na placówkę jest taką nobilitacją, że dyplomata może mieszkać nawet na kupie liści, a i tak powinien klepać się ze szczęścia po tyłku.

– Nie skomentuję tego. – Frank starał się być taktowny i nie kontynuował dość krępującego tematu.

– Z chałupą się nie pali. Najważniejszy jest dla mnie zakup samochodu. Bez własnego pojazdu nie wyobrażam sobie sprawnego funkcjonowania. Może znasz kogoś, kto kończy misję i chce się pozbyć auta.

– Hiroshi! – zawołał Frank tak głośno, że niemal wszyscy odwrócili się w naszą stronę. – Za miesiąc wraca do Tokio i sprzedaje swoją toyotę prado.

– Nie przesłyszałem się? – Nie chciałem dać wiary tej rewelacji. – Masz na myśli naszego Hiroshiego z Trypolisu? Czy to zbieżność imion?

– Tego samego – potwierdził Frank.

– Ależ ten świat jest mały! Niesamowite! – Próbowałem ochłonąć z wrażenia. – Jakie to jego auto? W porządku?

– Mówię ci, stary, to supercacko. Jest w doskonałym stanie, a kiedy je kupisz, to mógłbyś wstąpić do naszego klubu Pustynnych Czterokołowców. Organizujemy ekstrawypady z grillem, wygłupami, a nawet disco i tańcami na wydmach pod chmurką. Nie wspominając o dużej ilości zakazanych procentów – zaśmiał się, udając zawstydzenie ewidentnym łamaniem obowiązującej w Saudii prohibicji. – To nasza jedyna rozrywka w tym porąbanym kraju wahabitów.

Nie zdążyłem zareagować, ponieważ naszą rozmowę przerwał beznamiętny głos francuskiego konsula, który przewodniczył obradom.

– Panowie, zapraszam do stołu konferencyjnego. Zaczynamy spotkanie.

Po prawie dwóch godzinach usypiających i rozwlekłych relacji i sprawozdań rozdano wszystkim uczestnikom listę najniebezpieczniejszych saudyjskich terrorystów i konsultacje dobiegły końca. Wszyscy jak na komendę zerwali się do wyjścia.

Wyszliśmy z Frankiem z budynku pierwsi. Stanęliśmy na podwórku przy popielniczce ogrodowej w kąciku palacza. Z rozkoszą zaciągaliśmy się dymem, żeby odreagować drętwy mityng.

– Muszę rzucić to cholerne palenie – zwierzyłem się koledze. – Usiłowałem już kilka razy, ale najdłużej bez papierosa wytrzymałem rok. Potem życie wywijało mi jakiś paskudny numer, łapałem nerwa i wracałem do przekłętego nałogu. Wtedy paliłem dwa razy więcej niż normalnie i wydawało mi się, że nawet będę wylizywać popielniczkę.

– Spokojna praca to podstawa, żeby odstawić papierosy i inne używki – przyznał Austriak. – Ale to nam raczej nie grozi – zakpił. – Przynajmniej nie w najbliższej przyszłości.

– Dobra, muszę spadać – zerknąłem na zegarek i szybko zgasilem peta.

– Gdzie się tak śpieszysz? – zdziwił się. – Przecież jest pora lunchu. Niedaleko jest dobra libańska knajpa. Umówiłem się tam z Hiroszim. Dołącz do nas, to od razu obgadasz z nim zakup toyoty. Taka okazja może ci się nie trafić.

– Z chęcią bym się z wami spotkał, tak długo się nie widzieliśmy... Ale ambasador kazał mi natychmiast po naradzie pojechać do rezydencji i wziąć na zakupy jego żonę – wyjaśniłem speszony niezbyt ambitnym dyplomatycznym zadaniem. – Dał mi nawet swojego merca, żeby jaśnie pani było wygodnie.

– To dlatego na parkingu stoi jedynka – szyderczo zaśmiał się kolega. – Zastanawiałem się, kto nią przyjechał. Kto ma takie chody u szefa?

– To wcale nie jest zabawne, mój drogi. Zdaje się, że znów wpadłem jak śliwka w kompot.

– Jestem pewien, że sobie poradzisz. – Mrugnął znacząco w moją stronę.

– Musisz ją tylko oczarować i będzie dobrze. Przecież masz wprawę w obcowaniu z ambasadorowymi.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. – Zadrżał mi głos i spiekłem raka, bo doskonale wyczułem aluzję do mojego romansu z Karen, ambasador Austrii w Trypolisie. – Przekaż, proszę, Hiroszemu, że jestem poważnie

zainteresowany jego toyotą i zamierzam jak najszybciej sfinalizować transakcję. Mam nadzieję, że po starej znajomości nie wyśrubuje zbyt wysokie ceny. Niewiele mi zostało zaskórniaków z poprzedniej placówki.

– Zamiast malować ściany czy kłaść kafle w łazience, wpadnij do mnie dziś wieczorem. – Frank zawsze miał cięty język, ale też za to bardzo go lubiłem. – Będzie paru fajnych kumpli z korpusu i oczywiście nasz Japończyk. Zabalujemy jak za dawnych dobrych lat w Libii, a przy okazji dobijesz targu. Wszyscy mieszkamy po sąsiedzku w Dzielnicy Dyplomatycznej i widzimy się codziennie. Z twojego Las Palmas to kawałek drogi, lecz bez problemu do mnie trafisz. Adres masz na wizytówce.

– Dziękuję za zaproszenie. Zatem do niedługo.

Pożegnałem się z Frankiem i ruszyłem czarną limuzyną w stronę rezydencji ambasadora, która – jak większość tego typu siedzib – znajdowała się na terenie dobrze strzeżonej dzielnicy. Po kilku minutach byłem na miejscu. Marcello stał już przy otwartej bramie, żebym mógł podejść pod główne wejście. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i na tarasie ukazała się wysoka kobieta ubrana w elegancką czarną abaję z małą białą puchatą kulką na rękach, która piskliwie szczełała. Służący otworzył jej tylne drzwi i pomógł wsiąść do samochodu.

– Za godzinę nakarm Amika – pańskim głosem poinstruowała Filipińczyka, przekazując mu pieśń. – Nie dawaj mu za dużo, tylko odmierzoną porcję. Mój mały chłopczyk za bardzo utył ostatnio – dodała, infantylnie modulując głos. Trzasnęła drzwiami i zwróciła się w moją stronę: – Jedźże już! Za chwilę będą wzywać na modlitwę i zamkną wszystkie sklepy.

– Dzień dobry, pani ambasadorowo! – przywitałem ją z przekąsem. – Nie sądziłem, że spotkamy się w takich okolicznościach i w dodatku w Rijadzie.

– Lepiej daj mi spokój i zajmij się prowadzeniem – burknęła. – Jeśli nie zdążę zrobić zakupów, to dinner będzie wielką klapą i Marek się wścieknie. Dla niego to bardzo ważne spotkanie. Liczy na obecność kogoś ważnego z saudyjskiego dworu.

– Nie przejmuj się, na pewno jakiś market będzie otwarty – zapewniłem, ocieplając atmosferę. – A swoją drogą, nie zlecacie cateringu?

– Już dawno jest zamówiony. Problem polega na tym, że Rijad Palace wszędzie serwuje to samo, a my chcemy podać naszym gościom coś oryginalnego. Wizytówkę polskiej kuchni.

Mimo że w sumie w ogóle mnie to nie obchodziło, lepiej było gadać o jedzeniu, niż na siebie naskakiwać.

– Radziłbym odpuścić sobie kapustę kiszoną. Z doświadczenia wiem, że to niewypał – doradzałem. – Jedyne Niemcy ją uwielbiają, a dla pozostałych cudzoziemców jest niejadalna i smakuje im jak zgnilizna.

– Wiem o tym. – Zaśmiała się nerwowo. – Kiedyś zaserwowaliśmy ją na bazarze międzynarodowym i nikt nie odważył się jej nawet spróbować. Jeden odważny Afrykanin z Kenii pluł na prawo i lewo, kiedy wziął ją do ust.

– Niezły wstyd.

– Dlatego myślałam bardziej o zrazach wołowych z kluskami śląskimi i modrą kapustą – poinformowała uprzejmie i zamilkła, nie mając mi już nic więcej do powiedzenia.

Ruch uliczny trochę się przerzedził, bo muzułmanie pędzili do meczetów na popołudniową modlitwę. Prowadziłem pewną ręką, skrycie patrząc na piękną twarz kobiety, którą widziałem we wstecznym lusterku. Jej płomiennorude włosy były takie same, jak je zapamiętałem, tylko fryzura się zmieniła. Zamiast bujnie opadających po bokach pukli krótko przystrzyżone kędziory podkreślały kształtną głowę. Natomiast jej świdrujące zielone oczy i nieliczne piegi na twarzy nic a nic się nie zmieniły. Kiedy to ja ją widziałem ostatni raz?

– Zostań w samochodzie i nie wyłączaj silnika. Niech cały czas pracuje klimatyzacja – zażądała, gdy podjechaliśmy na parking przy najbardziej obleganym przez cudzoziemców markecie Tamimi, a następnie szybko wysiadła i żwawym krokiem skierowała się do automatycznie otwieranych drzwi.

Po niecałej godzinie ujrzałem, jak wychodzi ze sklepu, a miejscowy pracownik w drelichowym kombinezonie z trudem pcha za nią wózek po brzegi wyładowany artykułami spożywczymi. Nie ruszając się z auta, nacisnąłem guzik i kłapa bagażnika odskoczyła w górę. Azjata sprawnie ułożył reklamówki z zakupami oraz kartony z napojami w środku i zatrzasnął przykrywą. Ania wręczyła mężczyźnie napiwek i ruszyliśmy dalej.



– Teraz podwieź mnie pod warzywniak Nasza Farma – zarządziła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Kupię trochę świeżych jarzyn i owoców i możemy wracać.

Pod kolejnym sklepem sytuacja się powtórzyła. Jak typowy kierowca siedziałem w aucie, nie mogąc się doczekać, kiedy moja szefowa wyjdzie z zakupami. Pragnąłem jak najszybciej odwieźć ją do rezydencji i uwolnić się od jej towarzystwa. Dla zabicia czasu sprawdzałem służbową pocztę w komórce. Niespodziewanie poczułem, jak aparat wibruje, a ekran rozjaśnił się, wyświetlając nieznany mi numer.

– Tomek, jeśli natychmiast tu nie przyjdiesz, będziesz wyciągać mnie z babskiego więzienia! – krzyczała rozhisteryzowana Anka. Już nie był to głos pewnej siebie paniusi, jaką zgrywała przez cały czas. – Ratuj! Oni chcą mnie aresztować!

W kilku susach znalazłem się w warzywniaku. Ania stała wciśnięta w najdalszy kąt między kopcem ziemniaków a wiadrami z dużymi czerwonymi pomidorami i trzęsała się jak osika. Obok niej tkwił policjant i stary Arab w brudnej *galabiji*<sup>29</sup> i rozczłapanych sandałach odsłaniających palce stóp z krogulczymi paznokciami. Jedną ręką szarpał zwichrzoną siwą brodę, a w drugiej trzymał różgę, którą wymachiwał przed bladą twarzą ambasadorowej.

– Zakryj włosy, niewierna! – ryczał. – Zakryj włosy! Aresztuj tę grzesznicę! Natychmiast! Zabierz ją do karceru, tam, gdzie jej miejsce! – grzmiał na funkcjonariusza w granatowym mundurze.

– Oto mój *mahram*<sup>30</sup>! – szykanowana Anka zawołała przez łyzy, wskazując na mnie. – Mówiłam, że mam opiekuna!

Podąłem kobiecie bawełnianą chustę, którą nieroztropnie zostawiła w samochodzie, żeby osłoniła nią głowę. Wrzawa umilkła, a do rozsierzonego staruszka, który wciąż drżał z gniewu, podszedł młodzieniec ubrany w tradycyjny saudyjski strój z białą-czerwoną chustą na głowie i delikatnie wziął go pod ramię.

– Chodź do domu, dziadku – poprosił łagodnie. – Spełniłeś swój obowiązek. Resztą zajmie się posterunkowy.

Agresywny przed chwilą wahabita potulnie skierował się do wyjścia, wspierając się trzęsącą ręką na lasce, ale oglądał się jeszcze na nas, rzucając gniewne spojrzenia.

– Dlaczego zostawiłeś swoją żonę bez opieki? – zwrócił się do mnie mundurowy, omijając Anię wzrokiem i traktując ją jak powietrze. Ona dla niego w ogóle nie istniała, a sprawa dotyczyła wyłącznie mężczyzn. – Jeszcze moment, a musiałbym ją zawieźć do aresztu, bo nawet nie miała przy sobie dokumentów.

– Posłuchaj, bracie! – użyłem typowo arabskiego zwrotu, starając się przybrać serdeczny ton. – Musiałem zaparkować, a ta nieposłuszna baba wyskoczyła z samochodu i zaraz pobiegła po zakupy. – Użyłem wytłumaczenia, które ortodoksowi bardzo pasowało.

– Tak bywa – uśmiechnął się wyrozumiale. – Moja też jest taka niecierpliwa i dlatego nieraz muszę dać jej lekcję posłuszeństwa. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Naturalnie! W domu jej wszystko odpowiednio wytłumaczę – obiecałem i udając zaciętrzewienie, srogo popatrzyłem na winowajczynię.

– Bierzcie torby i idźcie już stąd – zdecydował ku naszej, a głównie Ani, uciezce. – Następnym razem nie prowokujcie *mutawy*<sup>31</sup>.

Uścisnąłem mu rękę, poklepaliliśmy się po plecach i rozstaliśmy w niemal przyjacielskiej komitywie. Włożyliśmy kupione warzywa do bagażnika i ruszyliśmy z powrotem do rezydencji. Większa część drogi minęła nam w milczeniu.

– Skąd wiedziałeś? – doszło do mnie z tylnego siedzenia ciche pytanie.

– Masz na myśli chustę?

– A cóż by innego? – dodała rozdrażnionym głosem. – Ledwo przyjechałeś i od razu jesteś taki oblatany?

– Chcę ci przypomnieć, że jestem arabistą, a ponadto przygotowałem się do życia tutaj i co nieco poczytałem. Poza tym z niejednym islamskim oszołomem miałem już do czynienia.

– Tu są sami tacy. – Chlipnęła żałośnie, w końcu ukazując ludzką twarz.

– Następnym razem pamiętaj, że na luzie i sama możesz się włóczyć po centrach handlowych w śródmieściu, i to najlepiej w godzinach dla pań. Twój ulubiony warzywniak znajduje się w tradycyjnej dzielnicy Rijadu i najpewniej cudzoziemki rzadko tu zagląдают. Dlatego gdy zadzwoniłaś z prośbą o pomoc, błyskawicznie skojarzyłem, na czym polega problem.

– Szkoda, że od razu nie zwróciłeś mi uwagi, gdy wysiadłam bez zastłony na włosy.

– Zdaje się, że jestem ostatnią osobą, z której zdaniem byś się liczyła – zauważyłem ze smutkiem, ogarnięty falą odległych wspomnień.

– Nie kłóćmy się – postanowiła załagodzić wzajemną niechęć. – Myślę, że lepiej będzie, jeśli mój mąż nie usłyszy o tej nieprzyjemnej wpadce. Ostatecznie nic się przecież nie stało i raptem skończyło się na strachu.

– Mnie możesz być pewna – zaręczyłem. – To twoja sprawa, czy mu powiesz, czy nie. W końcu to nie będzie jedyna tajemnica, o której się nie dowie. Nieprawdaż?

Zapanowała grobowa cisza, która trwała aż do samej rezydencji. Na podjeździe Marcello natychmiast podbiegł do samochodu i zabrał się za opróżnianie bagażnika. Chociaż lekko utykał na lewą nogę, świetnie dawał sobie radę i wszystkie sprawunki wkrótce znalazły się w kuchni. Zostaliśmy sami.

– Tomek, dlaczego taki jesteś? – spytała żałośnie. – Czy nie możemy być przyjaciółmi jak dawniej?

– Marzy ci się! – burknąłem opryskliwie. – Pewnych spraw się nie zapomina!

Na te słowa nie doczekałem się z jej strony żadnej reakcji, więc kiedy w końcu wysiadła, pojechałem do ambasady. Pragnąłem jak najszybciej oddać samochód i znaleźć się w domu, by chwilę odpocząć i nabrać sił przed czekającym mnie wieczornym spotkaniem z przyjaciółmi z korpusu.

Dom Franka znajdował się w najbardziej oddalonym od głównego wjazdu sektorze Dzielnicy Dyplomatycznej. Piętrowe wille z jasnobrązowego piaskowca miały identyczny kształt i ciągnęły się po obu stronach wąskiej uliczki. Otaczał je szpaler wysokich palm. W ciemności trudno było odczytać numer, dlatego zanim dotarłem na miejsce, dwukrotnie dobijałem się do niewłaściwych drzwi. Wreszcie furtkę otworzył mój przyjaciel i wprowadził do ogrodu znajdującego się na tyłach. Goście siedzieli w oświetlonej altance, otoczonej żywopłotem i donicami z kolorowymi kwiatami. Po upalnym dniu delectowali się chłodem, jaki dawała woda rozpryskiwana na przystrzyżony trawnik przez ogrodowe zraszacze pracujące z cichym szmerem.

– Witaj, Tomku! Kopę lat! – wykrzyknął radośnie mężczyzna, który doskoczył w moją stronę. Ubrany był w obszerne kimono, które skrywało

nazbyt szczupłą sylwetkę, a czarne włosy spiął z tyłu w szogunski kucyk. – Nie mogę uwierzyć, że to ty!

– Jak się masz, Hiroszi! – Objąłem przyjaciela i serdecznie poklepałem po plecach. – Co tu porabiasz? Nadal jesteś konsulem i zastępcą ambasadora czy już szefem placówki?

– To samo, co w Trypolisie. Z tymi dyplomatycznymi promocjami nie idzie tak szybko, jak by się chciało. – Zaśmiał się jeszcze bardziej, mrużąc skośne oczy.

– Pochwal się wreszcie! Nie bądź taki skromny – wtrącił się Frank. – Powiedz Tomkowi, jakie stanowisko czeka na ciebie w Tokio.

– Zaproponowano mi funkcję doradcy ministra – ogłosił z dumą Japończyk – którą, ma się rozumieć, przyjąłem.

– Każdy by przyjął. Sam chciałbym być na twoim miejscu. – Szczerze się cieszyłem, choć trochę zakłuło mnie z zazdrości. – Zasłużyłeś na to, bo ciężko pracowałeś w ekstremalnie trudnych krajach. Musimy to uczcić, chłopaki!

Postawiłem na stole litrową butelkę Wyborowej, którą ze swego magazynku reprezentacyjnego dał mi Marek.

– Najpierw przejedźmy się moją toyotą, którą podobno chcesz kupić – zaproponował rozsądny Japończyk. – Świętować będziemy po dogadaniu na trzeźwo szczegółów.

Po krótkiej jeździe uliczkami dyplomatycznego miasteczka wiedziałem, że innego samochodu, który byłby w lepszym stanie i za taką cenę, nie dostanę. Czterolitrowy benzyniak o mocy blisko trzystu koni mruczał rozkosznie, przyprawiając mnie, jak każdego innego faceta na moim miejscu, o ciarki rozkoszy.

– Cieszę się, że oddaję moje autko w dobre ręce – powiedział Hiroszi, kiedy wróciliśmy pod dom Franka. – Będziesz zadowolony z zakupu, zwłaszcza podczas eskapad na pustynię. Ta maszyna bezbłędnie sprawuje się na wydmach.

– Kiedy twój kierowca podstawi toyotę na mój kompaund, przeleję ci należność na konto. – Chciałem, żeby nastąpiło to jak najszybciej. – Teraz możemy opijać i mój zakup, i twój awans.

Dni mijały jak z bicza strzelił. Placówka pracowała już w pełnym składzie i wszystko wróciło do normy. Sprawy konsularne toczyły się swoim trybem. Wszystkie paszporty wystawiałem bez poślizgu i udało mi się

nawet zaprzyjaźnić z kilkoma osobami z tutejszej Polonii. Jedyny problem stanowiły wizy, zwłaszcza w przypadku wyjazdów członków rodziny królewskiej. Oczywiście nie chodziło o zgody na wjazd i pobyt w kraju unijnym dla arabskich arystokratów, lecz dla ich służących. Niektóre z tych osób nie kwalifikowały się i zmuszony byłem odrzucać ich wnioski wizowe, a wtedy dochodziło do piekielnych awantur. Moje biuro zasypywały pisemne skargi wystawiane przez biura księcia czy księżniczki, a czasami interweniował nawet dyrektor saudyjskiego protokołu dyplomatycznego. W takich sytuacjach nieocenioną pomoc okazywał mi mój pakistański sekretarz Zaid, ponieważ doskonale władał arabskim zarówno w mowie, jak i piśmie, ale też był głęboko wierzącym muzułmaninem. Zazwyczaj udawało mu się załagodzić konflikt dzięki powołaniu się na jakiś werset z Koranu, co niezmiernie mnie bawiło. Jakkolwiek to działało, bardzo mnie odciążało. Chociaż Zaid pracował w ambasadzie od lat i żadna procedura administracyjna nie była dla niego tajemnicą, przepisanie własności toyoty na moją osobę i wystawienie tablic rejestracyjnych na polską ambasadę zajęło mu blisko pół roku. To właśnie jest koloryt kraju arabskiego. Dopiero na początku dwa tysiące ósmego roku byłem w pełni zadomowionym i mobilnym dyplomatą.

Niebawem nadarzyła się okazja, żebym wypróbował swoich sił w samodzielnym kierowaniu ambasadą, bo zastępcą szefa placówki byłem jedynie na papierze i nie wiązały się z tym najmniejsze, nawet niematerialne, profity. Na początku lutego ambasador wezwał mnie na rozmowę do swojego gabinetu.

– Jutro wyjeżdżam z radcą Koziółem do Omanu na targi przemysłu meblarskiego – oświadczył na wstępie. – Nie będzie mnie dziesięć dni. Mam nadzieję, że podołasz temu zadaniu. – Wyraz jego twarzy nie wskazywał, żeby za bardzo wierzył w me siły i zdolności.

– Na pewno sobie poradzę – radośnie potwierdziłem swoją gotowość. – Przecież po to mnie tu ściągnąłeś.

– Rzecz jasna nie będziesz mógł podejmować żadnych decyzji personalnych – zaznaczył, jakbym miał zamiar od razu kogoś wyrzucić z pracy. – Będę też wdzięczny, jeśli nie będziesz korzystać z mojego mercedesa. Z tego, co słyszałem, twój samochód został już zarejestrowany i masz wszystkie potrzebne dokumenty, z prawem jazdy włącznie.

– O to możesz być spokojny. – Starłem się ukryć irytację. – Mój czterokołowiec jest tak wygodny, że w życiu nie zamieniłbym go na żaden inny samochód. Na tutejszych drogach wśród tłumu jeepów, SUV-ów, vanów i hummerów, prowadzonych przez napalonych Saudyjczyków, czuję się znacznie bezpieczniej w dużym Prado, niż jadąc zwykłą osobówką.

– Cieszę się, że się rozumiemy! – Odetchnął z ulgą. – Chciałbym też, abyś pomógł panu Michałowi w opisywaniu i segregowaniu folderów na targi.

– Postaram się. – Znowu zrzucił na mnie robotę głupiego, ale nie pozostawało mi nic innego, jak przełknąć i tę gorzką pigułkę. – Najpierw uwinę się z moimi sprawami konsularnymi, a potem zajrzę do niego.

Pod koniec dnia znalazłem trochę wolnego czasu i postanowiłem wpaść do ekonomicznego, żeby zgodnie z poleceniem mojego milusiego szefa odwalić pańszczyznę. Radca zajmował pomieszczenie na parterze, które posiadało bezpośrednio wyjście na tylny ogródek, dzięki czemu mógł swobodnie wietrzyć pokój, żeby usunąć nagromadzony w nim dym papierosowy. Nie przejmował się zakazem palenia w pomieszczeniach biurowych i wypalał średnio jednego papierosa na kwadrans. Zastałem go pochylonego nad stołem zavalonym stosem porzucanych dokumentów. Z tradycyjnie przyklejonym kiepem do kącika warg, wpinał kartki papieru w segregator. W pokoju było sino od dymu, a w powietrzu unosiła się stęchła woń nieopróżnianej popielniczki.

– Cześć, Michał – przywitałem się z kolegą, mrugając, żeby lepiej widzieć. – Ambasador prosił, żeby ci pomóc w przygotowywaniu materiałów na targi.

– Dzięki, że wpadłeś – ucieszył się serdecznie, bo ogólnie sympatyczny był z niego gość. – Razem szybko się z tym uwinie. Układaj wydruki zgodnie z tym wzorem. – Wskazał na przygotowaną teczkę. – Potem wrzucaj materiały do walizek, które stoją koło drzwi.

– Szef mówił, że jedziecie na targi do Omanu aż na dziesięć dni – podtrzymywałem rozmowę, żeby uprzyjemnić nudną mechaniczną czynność. – Długo trwa ta impreza.

– No coś ty! – zarechotał, a flegma palacza goniła mu po gardle. – Targi trwają dwa dni. W planie mamy jeszcze spotkanie z władzami, wizytę w strefie przemysłowej i pobyt w Salali.

– Salala to chyba najśłynniejszy kurort turystyczny na Półwyspie Arabskim. Nazywają ją Karaibami Arabii... – zdziwiłem się. – Co tam

będziecie promować? Uważasz, że te twoje czarno-białe kopie katalogów mebli, które z takim zapałem kserujesz, zużywając na to tony papieru, kogokolwiek zainteresują?

– Do twojej informacji, mój dociekliwy kolego – wyjaśniał zdenerwowanym głosem – ministerstwo nie rozlicza mnie z wymiernych efektów działań, ale z działań promocyjnych. Jestem najaktywniejszym radcą ekonomicznym w tym regionie.

– Masz stuprocentową rację, nikt nie może ci zarzucić beczynności – potwierdziłem, udając podziw, czym ponownie wprowadziłem go w doskonały nastrój.

Aby go jeszcze bardziej nie drażnić, nie wspomniałem o niemal drugiej pensji, jaką dostaje z diet wyjazdowych, i ile wydaje z państwowej kasy na przeloty i hotele pięciogwiazdkowe. Przecież nigdy nic nie wiadomo, a nuż jakiś Omańczyk zachwyci się czarno-białym ksero i podpisze intratny kontrakt z producentem mebli ze Swarzędza?

Następnego dnia przed wyjazdem delegacji na lotnisko podpisałem z Markiem protokoły przekazania placówki i wysłuchałem ostatnich instrukcji.

– Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę – powiedział, wręczając mi kopertę inkrustowaną złotą farbą. – To jest zaproszenie na Święto Narodowe Republiki Serbii. Chciałbym, żebyś mnie tam reprezentował. Ambasador Serbii jest moim bliskim przyjacielem i nie mogę zrobić mu takiego afrontu, żeby nikt od nas nie pojawił się na jego recepcji.

– Nie ma najmniejszego problemu. – Ucieszyłem się z przywileju, który w końcu na mnie skapnął.

– Jest to karta wstępu wyłącznie dla ambasadorów do specjalnej strefy vipowskiej<sup>32</sup> – chętnie wyjaśnił. – Dlatego pojedziesz tam z Anią i wyjątkowo pozwalam ci wziąć mój służbowy samochód.

– To ona nie wybiera się z tobą w delegację? – Nie potrafiłem wyzbyć się ironii. – Do takiego kurortu jak Salala?

– No skądże! – żywo zaprzeczył, a zaraz szczerze dodał ze zbolałą miną: – Nie ma ochoty. Nie znosi radcy ekonomicznego – twierdzi, że czadzi cygaretami – i jego według niej infantylnej żony – przyznał się, że robią sobie wycieczkę za państwowe pieniądze.

– To rzeczywiście smutne...

– Polubiła komfortowe życie w naszym dyplomatycznym getcie. Ma tam dwudziestopięciokilometrową ścieżkę do joggingu, coraz więcej koleżanek, a ostatnio wykupiła karnet na fitness dla pań za – bagatelka – tysiąc pięćset riali.

– To równowartość tysiąca pięciuset złotych. – Postawiłem oczy w słupek. – No ale o sylwetkę trzeba dbać.

– W każdym razie, żeby potem nie narzekała, że ją zostawiłem bez rozrywek, weź ją między ludzi na tę recepcję.

Punktualnie o wyznaczonej godzinie podjechałem po niechcianą pasażerkę. Ania czekała w rozpiętej abai, spod której wзираła elegancka czerwona suknia wieczorowa. Nauczona przykrym doświadczeniem z warzywniaka, włosy dokładnie zasłoniła czarnym jedwabnym szalem przeszywanym srebrną nicią. Serbska placówka znajdowała się poza Dzielnicą Dyplomatyczną i dlatego taki strój był konieczny.

– Marek powiedział, że możemy wziąć na tę recepcję jego mercedesa – nieśmiało przypomniała mi słowa swojego męża. – To nam ułatwi wjazd na teren ambasady.

– Wolę moją terenową toyotę. Jest wielka i niezawodna – wyjaśniłem. – Zresztą w przypadku stłuczki nie będę musiał użerać się z naszym administracyjnym i wysłuchiwać narzekań twojego męża, że uszkodziłem jego flagowy samochód.

– Jesteś uparty jak muł i unosisz się honorem wtedy, gdy jest to zupełnie niepotrzebne – narzekała. – Przemyśl to jeszcze. Dzięki mercowi nie będziemy musieli stać w długiej kolejce, a przepuszczą nas osobnym pasem przeznaczonym dla szefów placówek.

– Nie mam zamiaru dotykać wychuchanego autka Marka. Zresztą wyraźnie mi zabronił z niego korzystać. – Uważałem, że od nakazów i zakazów nie ma wyjątków. – Jak chcesz, wsiadaj, a jeśli nie, pojedę sam.

Otworzyła tylne drzwi i z trudem wspięła się na boczny stopień, gdyż długa abaja krępowała jej ruchy. Kiedy usadowiła się wygodnie, ostro ruszyłem. Droga zajęła nam trochę więcej czasu, niż się spodziewałem, gdyż był to czwartek, a więc początek saudyjskiego weekendu i ruch w centrum był sparaliżowany. Szczęśliwym trafem główny gość przyjęcia też był spóźniony i zdążyliśmy na oficjalną część. Po odsłuchaniu hymnów



i przemówienia ambasadora zostaliśmy usadowieni w części dla gości honorowych. Przy naszym stoliku ambasador Serbii starał się zabawiać gości staroświeckimi anegdotami. Dziarski staruszek z siwymi włosami, który z niejednego dyplomatycznego pieca chleb jadł, sypał dykteryjkami jak z rękawa. Wzbudzało to ogólną wesołość, zwłaszcza wśród mało wymagających pań. Nie wytrzymałem zbyt długo we wspaniałej strefie dla VIP-ów. Po pewnym czasie, tłumacząc się obowiązkami służbowymi, wstałem i wmieszałem się w tłum gości. Odetchnąłem z ulgą, gdyż najważniejsi biesiadnicy byli nudni jak flaki z olejem i nie z mojej grupy wiekowej. Miałem zamiar na luzie zamienić choć kilka słów z moimi normalnymi i sympatycznymi kolegami konsulami. Skończyłem obchód wielkiej sali recepcyjnej i w towarzystwie Franka zmierzałem do baru po coś mocniejszego. Wtedy ujrzałem Anię, samotnie stojącą przy ladzie z czekoladową fontanną i świeżymi owocami, które się w niej zanurza. W ręce trzymała do połowy opróżniony kieliszek wina i zagubionym wzrokiem rozglądała się po sali. Zrobiło mi się jej żal i podszedłem do niej.

– Czy coś stało? – spytałem, nieudolnie starając się ukryć niepokój.

– Źle się czuję. Czy mógłbyś mnie stąd zabrać? – poprosiła, patrząc na mnie błagalnie. – Przepraszam, że sprawiam ci kłopot, ale od początku ten pomysł Marka mi się nie podobał. Nie powinnam była tutaj z tobą przychodzić.

Wnet pędziliśmy autostradą w stronę Dzielnicy Dyplomatycznej. Godzina była już późna i po drodze poruszało się niewiele pojazdów.

– Tomek, czy możesz mi powiedzieć, skąd u ciebie tyle złości? – spytała nagle dziwnie namiętym głosem, który całkowicie mnie zaskoczył. – Zupełnie jakbyś mnie nienawidził. Kiedyś miałeś do mnie zupełnie inny stosunek.

– Czy ty się ze mnie nabijasz, czy uważasz za skończonego idiotę?! – wybuchnąłem z furją, niemal wjeżdżając w barierkę na poboczu autostrady. – Jak twoim zdaniem mam się czuć po tym wszystkim, co mi zrobiłaś? Pamiętasz ten wieczorek orientalistyczny, który definitywnie zakończył nasz związek? W wielkiej tajemnicy, ale z ogromną satysfakcją Marek poinformował mnie, że zgodziłaś się z nim wyjechać do sekcji interesów amerykańskich w Iraku. To całkiem niezły początek dla świeżo upieczonych arabistów.

– Wtedy absolutnie nie było o tym mowy! To jakaś ściema! Natomiast ty, mój panie – przybliżyła się do zagłówek za fotelem kierowcy i syknęła mi wściekle do ucha – non stop obtańcowywałeś Wiołkę.

– To dlatego, że robiłaś maślane oczy do genialnego, ale i dzianego Marusia.

– Zawsze byłeś chorobliwie zazdrosny, a ja jedynie chciałam ci trochę dopiec. Chodziło mi o to, żebyś się wreszcie zadeklarował. A ty, jak to ty, zrejterowałeś i tyle.

– Ja się wycofałem?! Jesteś śmieszna! Następnego dnia mieliśmy jechać do twoich rodziców. Pomimo wszystko przyszedłem na umówione spotkanie, lecz się nie pojawiłaś. Czekałem na ciebie jak głupek przez ponad dwie godziny.

– Och, mój ty biedaczku – ironicznie modulowała głos. – A czego się spodziewałeś, do jasnej cholery?! Pobiegłam do ciebie zaraz, gdy zobaczyłam, że zniknąłeś z imprezy. Tylko że drzwi otworzyła mi ta kurwa Wiołka, i to w moim szlafroku.

– Była w twoim szlafroku, bo niechcący oblała się winem...

– No i właśnie! – wykrzyknęła jak szalona Anka.

– Poza nią byli tam też moi kumple, więc do niczego między nami nie doszło. Nie wiedziałem, że przysłaś... Nie powiedziała mi...

Teraz dopiero zorientowałem się, że dokumentnie zmanipulowała mnie moja była żona, która później oskubała mnie co do centa.

– Tomek, gdzie my jesteśmy? – spytała nagle Anka. – To nie jest Dzielnica Dyplomatyczna.

– Przepraszam! Jadę jak koń karawaniarski i skręciłem z autostrady w stronę mojego kompaundu. Już zawracam.

– Skoro jesteśmy blisko ciebie, może mnie zaprosisz? Zdaje się, że mamy sporo do omówienia. Do pustej rezydencji nie jest mi śpieszno, zwłaszcza po tym, co usłyszałam.

Podjechałem pod furtkę prowadzącą do mojego domu. Księżyc w identycznym kształcie jak te na kopułach meczetów oświetlał drogę wiodącą wzdłuż żywopłotu. Otworzyłem drzwi. W korytarzu Ania ściągnęła abaję i weszliśmy do salonu. Posadziłem moją byłą dziewczynę na tapczanie, nie mogąc uwierzyć, że jest tutaj ze mną.

– Chyba obydwójce potrzebujemy czegoś mocniejszego... Nie uważasz? – zaproponowałem skrepowany, a ona skinęła bez słowa głową.

Gdy postawiłem na małym stoliku ciężkie szklanki wypełnione whisky z kawałkami lodu i usiadłem obok niej, sięgnęła po swoją i wypła spory łyk. Przymknęła oczy. Też była zaskoczona prawdziwą wersją wydarzeń sprzed lat.

– Z powodu intrygi szytej grubymi nićmi nasze życie potoczyło się niespodziewanymi torami – stwierdziła filozoficznie. – Za nas ukształtowali je przebiegły Marek i sprytna Wiolka. My w tej sprawie mieliśmy najmniej do powiedzenia.

– Byliśmy młodzi, bez doświadczenia i zbyt impulsywni.

– W efekcie, chcąc się na tobie zemścić, związałam się z człowiekiem, do którego nic nie czułam.

– A ja ożeniłem się z intrygantką, z którą na szczęście już się rozwiodłem i zdążyłem o niej zapomnieć – podsumowałem z ulgą. – A jak ci się teraz układa z Markiem?

– Jak to w związku z rozsądku: po jakimś czasie przyszło przyzwyczajenie. Jest bardzo opiekuńczy i chyba kocha mnie na swój sposób. Niestety, nade wszystko przedkłada karierę. Żyjemy jak para dobrych przyjaciół.

– Odbierzmy naszą obecną sytuację jako dobry znak: ten sam człowiek, który nas rozdzielił, sprawił, że znów jesteśmy blisko siebie.

– To się nie może dobrze skończyć. Lepiej odwieź mnie do domu... – Ania próbowała wykazać się rozsądkiem, ale robiła to tylko dla zachowania pozorów. – Póki nie jest za późno – wyszeptała, patrząc na mnie tymi magnetycznymi zielonymi oczami.

– Pewnie będziemy tego żałować... – Przysunąłem się do niej. – Ale nie opierajmy się dłużej...

Tłumione od wielu lat pragnienie wzięło górę nad rozważą i odpowiedzialnością, gdy nasze wargi się połączyły. Po chwili Ania leżała na plecach i pozwalała, bym obsypywał ją pocałunkami. Jej udawany opór i pozorna skromność przemieniły się w nieposkromiony wulkan żądz. Zerwała ze mnie koszulę, aż guziki strzelały na boki. Jak rażony prądem poczułem na plecach wrzynające się ostre paznokcie mojej kocicy. Łapczywie wdychałem zapach jej perfum zmieszany z odurzającym aromatem podniecenia. Reagowała na moje pieszczoty głębokimi westchnieniami, a przez jej ciało przebiegał dreszcz rozkoszy. Moja dłoń

balansowała między jej krągłymi piersiami a jędrnymi udami. Ostatecznie utonęliśmy w ekstazie i spełnieniu.

Kiedy po wielogodzinnym seksie leżeliśmy wyczerpani w skotłowanej wilgotnej pościeli, nasze wątpliwości i niepewność rozplynęły się w porannej saudyjskiej mgle, przynosząc zbawczy sen.

---

<sup>28</sup> Dotyczy numeru rejestracyjnego 1CD, który świadczy, że samochód należy do szefa placówki.

<sup>29</sup> *Galabija* – męski lub damski strój w formie długiej sukni/płaszczka z rozcięciem pod szyją, zapinany na guziki lub nie.

<sup>30</sup> *Mahram* – muzułmański prawny opiekun kobiety w czasie podróży. Może to być mąż lub inny spokrewniony z nią mężczyzna.

<sup>31</sup> *Mutawa* – członek policji religijnej w Arabii Saudyjskiej.

<sup>32</sup> VIP (Very Important Person) – bardzo ważna osobistość; vipowski to coś dla ważnych osób.

## ROZDZIAŁ 6

### ZEW KRWI

Przestronna sypialnia w luksusowym apartamencie w zamożnej londyńskiej dzielnicy Marylebone tonęła w przyjemnym półmroku, a wiosenne słońce i świergot ptaków przedostawały się do środka jedynie przez uchylone okno. Zosia przeciągnęła się pod lekką puchową kołdrą i wciąż leżąc z zamkniętymi oczami, przesunęła rękę w stronę, gdzie sypiał Samir. Męża nie było, a prześcieradło zdążyło wystygnąć. Czemu wstał tak wcześnie? Przecież dzisiaj niedziela i nie musi jechać do kancelarii... – zastanawiała się, leniwie ziewając i przewracając się z boku na bok.

Wtedy usłyszała brzęk talerzy i dziecięcy chichot docierające zza ściany. Doszedł ją też aromatyczny zapach. Ktoś przygotowuje naleśniki z dżemem na tradycyjne niedzielne śniadanie... Uśmiechnęła się zadowolona. Nie tracąc czasu, wskoczyła w miękkie pantofle i narzuciła jedwabny peniuar. Jeszcze na moment wyszła na balkon, z którego rozpościerał się piękny widok na Regent's Park, a nacieszywszy się obrazem kwitnących drzew w królewskim ogrodzie, pobiegła do kuchni.

Jak się spodziewała, Samir urzędował przy gazowym palniku w swoim ulubionym fartuchu z napisem „Najlepszy tata na świecie”. Ze skupieniem na twarzy lał gęste ciasto na żeliwną patelnię. Starsza córka Marysia, która mu asystowała, przewracała placki, a gdy się usmażyły z obu stron, układała je na dużej tacy wyłożonej papierowym ręcznikiem. Młodsza Ahlam też próbowała im pomagać, lecz troskliwa siostrzyczka nie pozwalała jej się zbliżyć do ognia.

– Jesteś jeszcze za mała – strofowała mądrała. – Kiedy będziesz taka duża jak ja i skończysz sześć lat, wtedy będziesz stać przy tacie.

Ahlam nie dała się tak łatwo zbyć i przepychała się łokciami, lecz jej wysiłki były daremne. Nie mogąc pogodzić się z taką niesprawiedliwością,

była bliska łez, gdy w kuchni pojawiła się Zosia i obie siostry pędem rzuciły się w jej stronę.

– *Mammy, we have pancakes for our breakfast!*<sup>33</sup> – radośnie krzyknęła Marysia, tuląc się do mamy razem z Ahlam, która nie mogła się zdecydować, czy ma płakać, czy śmiać się.

– Ile razy mam ci powtarzać, że po angielsku zwracasz się tylko do tatusia – upomniała ją polonistka. – Ze mną rozmawiasz po polsku! Jak się porozumiesz z ciocią Rózią, kiedy znów nas odwiedzi? Ona jeszcze nie mówi w żadnym obcym języku.

– Przepraszam, zupełnie zapomniałam. Tak się śpieszyliśmy, żeby wszystko było gotowe na czas. To miała być nasza superniespodzianka.

– A ja zawsze będę mówić po polsku i do ciebie, i do Rózi – przechwalała się młodsza. – Nie tak jak ona, choć jest starsza ode mnie – nie omieszkała wbić siostrze szpili.

– Kocham ciocię Rózię – wyznała Marysia poważnie.

– A ja jeszcze bardziej – odpowiedziała zaraz Ahlam. – Kocham ciocię Rózię! Kocham ciocię Rózię!

– No towarzystwo, dość już tych sprzeczek. Zapraszam wszystkie moje piękne panie do stołu – rozładował sytuację Samir. – Śniadanie podano!

Pachnące placki z dżemem, syropem klonowym i salaterką pełną musu czekoladowego dopełniły szczęścia. Dziewczynki zajadały się smakołykami i zapomniały, że chwilę temu kłóciły się zażarcie.

Po śniadaniu Zosia posprzątała w kuchni, dokończyła poranną toaletę i pomogła zebrać się córkom na spacer. To także należało do ich niedzielnego rytuału. Jeśli tylko pogoda na to pozwalała, zawsze do południa przechadzali się po królewskim parku, z którym sąsiedowali. Wędrowali, trzymając się za ręce, aleją otoczoną wysokimi klonami, a dziewczynki biegły przodem. Gdy w końcu docierali na plac zabaw, Marysia i Ahlam, wydając radosne okrzyki i nie oglądając się za siebie, od razu biegły na huśtawki.

– Mamy trochę spokoju... – ucieszyła się Zosia, gdy dwie małe rozrabiary dołączyły do zabawy z rówieśnikami. – Siądźmy na ławce, bo minie co najmniej godzina, zanim się zmęczą i zgodzą wracać do domu.

– Pamiętasz nasze pierwsze randki? – spytał Samir, robiąc uwodzicielską minę. – Spotykaliśmy się w podobnym miejscu, gdy wychodziłaś na spacer z córeczką Awana.

– Nie przypominaj mi tego! – wybuchła, bo wspomnienie tego wyjątkowego drania zawsze ją drażniło. – Przez siedem lat naszego wspólnego życia byłam taka szczęśliwa, że prawie zapomniałam o piekle, jakie przeszłam w tej pakistańskiej rodzinie, pozującej na Brytyjczyków.

– Aż nie mogę uwierzyć w ten nasz fart – przyznał, czule muskając wargami jej dłoń, co przyprawiło ją o dreszcz rozkoszy. – Zwątpiłem, że jeszcze kiedykolwiek wejść w udany związek po tym, jak zostałem zraniony przez moją byłą. Ty i ja przeżyliśmy traumę, ale jakoś nas to nie zniechęciło i nie skrzywiło – podsumował przez ściśnięte wzruszeniem gardło.

– Odnoszę wrażenie, że od razu wpadłam ci w oko – zaśmiała się. – Nie wyczułam w tobie żadnego wahania. Zdobyłeś mnie dosłownie szturmem, a oświadczyłeś się w ekspresie.

– Tak mnie zauroczyłaś i trzymasz w szachu do dziś.

Pochylił się nad nią i tak jak kiedyś bez skrępowania namiętnie pocałował.

Kiedy Zosia złapała oddech, przytuliła się do męża.

– Mamy dwie wspaniałe, rezolutne i śliczne córeczki. – Rzuciła troskliwym okiem na dziewczynki, które goniły jak nakręcone od huśtawki do karuzeli i na zjeżdżalnię. – Ty awansowałeś w kancelarii na wspólnika, a mnie udało się dostać niezłą posadę opiekunki w przedszkolu. Nie jest to, co prawda, szczyt moich ambicji, lecz od czegoś trzeba zacząć. – Była pełna optymizmu. – Najważniejsze, że się kochamy. Bylebyśmy jeszcze wszyscy byli zdrowi.

– *Maszallah*<sup>34</sup> – podsumował Samir. – Jest jedna ważna sprawa, o której chciałbym ci powiedzieć.

– Ważna czy poważna? O co chodzi? – zaniepokoiła się.

– Muszę na kilka dni polecieć do Jemenu.

– Chyba się przesłyszałam! – krzyknęła mocno zaniepokojona. – Mieszkasz tu ponad dwadzieścia lat i nigdy nie odwiedziłeś swojej ojczyzny. Nie pomyślałeś, żeby tam pojechać, kiedy zmarł twój wuj Ali, który, jak mówiłeś, traktował cię jak syna. Zażegnywałeś się, że twoja noga tam nie postanie i nie masz zamiaru odwiedzić nawet ojca. Zresztą to był zawsze temat tabu i o nim nigdy nie mówiłeś. Więc co takiego się stało, że zmieniłeś zdanie?



– Chodzi właśnie o niego – wyjaśnił ponuro. – Dowiedziałem się, że jest w ciężkim stanie, prawie jedną nogą na tamtym świecie, i chciałby się ze mną pożegnać.

– Skąd ta wiadomość?! Przecież zerwałeś więzi rodzinne, a także ze swoim krajem. Nie przypominam sobie, żebyś widywał się ze swymi rodakami żyjącymi w Londynie. Nie chodzisz do meczetu, więc nie masz kontaktu z muzułmanami. Zatem kto ci o tym powiedział?

– Wyobraź sobie, że wczoraj przyszedł do mojej kancelarii nieznany mi Jemeńczyk, który specjalnie przyjechał z Sany, żeby mnie odnaleźć. Doręczył mi list od ojca.

– Co było w tym liście? – dopytywała. – Może byś mi w końcu powiedział, co zaszło między wami...

– Uspokój się, kochanie. – Czule wziął ją za rękę, spoglądając przy tym głęboko w oczy. Widać było, jak targają nim sprzeczne emocje. – Do tej chwili uważałem, że mój życiowy sukces zawdzięczam wyłącznie wujowi. Natomiast z długiej epistoły dowiedziałem się, że tata ciągle był z Alim w kontakcie, łożył na moją edukację, dopytywał się o mnie i martwił, a na dokładkę umożliwił mi przyjazd tutaj. Wszystko, co uczynił, zrobił wyłącznie w trosce o moje dobro. Wiedział, że po śmierci mojej matki macocha i jej synalkowie nie dadzą mi spokoju. Będą tak długo mnie dręczyć, dopóki psychicznie nie złamią. O przemocy fizycznej nie ma co mówić, bo ciągle się laliśmy. Chciał mi oszczędzić cierpienia i umożliwić zdobycie wiedzy za granicą, a ja, niewdzięczny, odsądzałem go od czci i wiary. Nawet życzyłem mu śmierci. A teraz on umiera... – Chrapliwie nabrał powietrza. – Czy wiesz, jak się z tym czuję?

– List twojego papy to spowiedź umierającego, który pragnie pojednania z synem.

– Lepiej tego nie mogłaś ująć.

– Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz i to w parku, gdzie raczej nie ma warunków na poważne rozmowy?

– Czekałem na stosowną okazję. To miejsce i wspomnienia, które wywołaliśmy, do tego się przyczyniły. Przykro mi, że tak niezręcznie wyszło, choć teraz jest mi znacznie lżej na duszy.

Zosia czule pogłaskała męża po policzku.

– Mów mi wszystko. Zawsze i wszędzie, w każdej sytuacji chcę być z tobą. Na dobre i na złe.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a Samir pogрузzył się w głębokiej zadumie.

– Pójdę do dziewczynek. – Nieoczekiwanie wstał, widać chcąc w córkach i ich miłości szukać wsparcia. – Kupię im lody.

Zosia też potrzebowała chwili samotności. Dotąd ich życie rodzinne przypominało idyllę, w którą teraz wkładały się smutek i rozliczenia z przeszłością. Może to nic takiego, przekonywała samą siebie, choć czuła jakiś bliżej nieokreślony wewnętrzny niepokój.

– Pani da pieniędzy Cygance... – nagle usłyszała skrzekliwy głos nad sobą i zerwała się na równe nogi.

Przed nią stała stara kobieta z twarzą pooraną bruzdami, ubrana w czarną rozkloszowaną spódnicę i tego samego koloru potargany sweterek. Przerażona Zosia bezwiednie sięgnęła do portfela i dała staruszce banknot, licząc, że zaraz sobie pójdzie.

– Pani dobra, pani zlitowała się nad biedną – dziękowała Romka, która nie wiadomo jak się tu znalazła, bo parkowe strażę ściśle przestrzegają porządku. – Nie jestem żadną żebraczką, tylko prawdziwą rumuńską wróżbitką. Z wdzięczności ci powrózę.

– Nie, dziękuję – wyszeptała przerażona Polka, ale starucha już złapała ją za dłoń i zaczęła swoją kabałę, świecąc złotym zębem przy każdym słowie.

– Prowadzisz szczęśliwe spokojne życie. Masz kochającego męża i dwie córeczki, ale... – Zamyśliła się głęboko. – Niedługo zwabią cię do siebie dalekie kraje.

Zosia trochę ochłonęła i przestała się bać. Baba zapewne widziała, jak szli alejką całą rodziną, i teraz zgrywa jasnowidzącą. Właściwie jej to nie przeszkadzało, a żal jej było samotnej kobiety, która prawdopodobnie była głodna. Pewnie coś pogada i pójdzie, dodawała sobie otuchy. Wtem Cyganka z krzykiem puściła jej dłoń.

– Strzeż się mężczyzny w spódnicy! To szatan! – darła się, trzęsąc się jak w amoku. – Pamiętaj, unikaj mężczyzny w spódnicy! Nie lekceważ moich słów, dziewczyno! Potrafię przewidzieć przyszłość.

Po tym wybuchu zawinęła się i uciekła, jakby ją gonili. Zosia stała jak zamurowana.

– Idziemy już? – spytał Samir, który nadszedł z dziewczynkami i zobaczył Zosię stojącą przy ławce.

Marysia i Ahlam trzymały w ręku różki z czekoladowymi lodami, które z lubością zajadały.

– Przyczepiła się do mnie jakaś Cyganka – wyjaśniała podenerwowana. – Zrobiło mi się jej żal i dałam jej pięć funtów, a ona na siłę zaczęła mi wróżyć.

– Jaka Cyganka? Co ty pleciesz? Tutaj, w Regent's Park? – dziwił się Samir. – To niemożliwe.

– Była tu przed chwilą! Naprawdę!

Rozglądali się dookoła, lecz żadnej Romki w zasięgu wzroku nie zobaczyli.

– Nie przywidziało ci się? – podśmiewał się rozbawiony Samir.

– Nic mi się nie przywidziało!

– A co takiego ciekawego ci wywróżyła?

– Ostrzegła przed jakimś mężczyzną w spódnicy.

– Facet w spódnicy? – zamyślił się Samir i dziwnie spoważniał. – A to ciekawe, może się przesłyszałaś?

– Nie traktuj mnie jak wariatkę! – zaperzyła się. – Toż to była zwykła naciągaczka. Może spotkała gdzieś w Londynie tradycyjnie wystrojonego Szkota i we łbie jej się pomieszało. Przecież z nikim takim nie będę mieć do czynienia. Też mi przepowiednia! Widział to świat, chłop w spódnicy!

Zaraz tego samego dnia wieczorem małżonkowie odbyli poważną rozmowę.

– Czy nie jest zbyt niebezpiecznie podróżować teraz do Jemenu? – przystąpiła od razu do rzeczy Zosia.

– W tym miesiącu rząd podpisał rozejm z wojskami Huti<sup>35</sup> i wojna się skończyła, zatem loty odbywają się bez żadnych zakłóceń.

– A więc równie dobrze możemy się tam wybrać wszyscy razem – odważnie zaproponowała, nie chcąc rozstawać się z mężem na dłużej, a zwłaszcza zostawiać go samego w takiej trudnej dla niego sytuacji.

– Nie rozumiem.

– Odwiedzimy twojego ojca całą rodziną – wyjaśniła stanowczym tonem.

– Pozwól, że ci coś wytłumaczę, skarbie. – Zaskoczony Samir próbował odwieść żonę od szalonego pomysłu: – To, że trwa zawieszenie broni, nie

znaczy, że jest tam całkiem bezpiecznie. W każdej chwili walki mogą wybuchnąć na nowo.

– Nie dramatyzuj! – zlekceważyła niebezpieczeństwo, bo nigdy z nim nie miała do czynienia. – Chciałabym poznać ten odległy i tajemniczy kraj, a zwłaszcza twoją rodzinę. Nie sądzisz, że twój tata powinien zobaczyć swoje wnuczki, które są uderzająco do ciebie podobne?

– Obawiam się mojej macochy, która jest złym człowiekiem i ma ogromny negatywny wpływ na całe swoje otoczenie. Tak długo dręczyła mojego ojca, aż ten nie miał innego wyjścia i musiał odesłać mnie z wujem Alim do Adenu.

– Było to dawno temu. Cóż ta leciwa kobieta teraz może nam zrobić? Polecimy tam dosłownie na kilka dni, żebyś mógł pożegnać się ze staruszką, zaleczyć stare rany i odzyskać spokój ducha.

– Może przynajmniej zostawmy dziewczynki u twojej siostry Rózi w Polsce i pojedźmy sami? – zasugerował Samir delikatnie.

– Różia ma swoje obowiązki. Nie możemy na nią zrzucić dodatkowego ciężaru.

– Cóż, widzę, że nic nie wskóram. Jak zawsze muszę zrobić tak, jak sobie życzy moja *madame* Sofia. – Machnął ręką zrezygnowany, ale też zadowolony ze wsparcia żony. – Wobec tego jutro kupię bilety na samolot, a ty zacznij nas pakować!

– Przecież chcesz tego. – Zosia czule poczochnęła go po falujących włosach. – Rodzina musi trzymać się razem i wzajemnie się wspierać. Gdy zmarła moja matka, razem pojechaliśmy do Polski, by pocieszać Rózię. Pamiętasz?

---

<sup>33</sup> Mamusiu, na śniadanie jemy naleśniki.

<sup>34</sup> *Maszallah* – zwrot wyrażający podziw.

<sup>35</sup> Huti – jemeński ruch o charakterze polityczno-militarnym, skupiający plemiona zajdyckie (jeden z odłamów szyizmu) zamieszkujące w większości północno-zachodni Jemen.

## ROZDZIAŁ 7

### ŻYCIE W KORPUSIE

Wiosną dwa tysiące dziewiątego roku sytuacja w Jemenie znacznie się poprawiła. Od mojego przyjazdu do Rijadu nagromadziło się tyle jemeńskich spraw konsularnych, w tym głównie paszportowych, że nadszedł najwyższy czas, żeby polecieć do Sany. Niestety, MSZ zwlekał z dostarczeniem przenośnego stanowiska paszportowego i dlatego zmuszony byłem wciąż przekładać moją delegację.

Zbliżał się pierwszy kwartalny okres sprawozdawczy i siedziałem, wklepując setki danych do tabelki. Okrzepełem już w tej rutynie i nabrałem doświadczenia. Wiedziałem, co należy wykonać w pierwszej kolejności, a z czym można poczekać. Zresztą i tak prędzej czy później zestawienia te lądowały na dnie czyjejś szuflady i nikt nie miał z tego najmniejszego pożytku. Świadomość tego była dość frustrująca.

W ferworze pracy nie zauważyłem, kiedy wszedł do mojego biura kierownik administracyjny, młody adept dyplomacji z wielkimi aspiracjami i krótkim stażem. Jego wypłowiały garnitur był jeszcze do zaakceptowania, w końcu wszyscy pracowaliśmy w trudnych warunkach klimatycznych i ostre słońce znacznie skracało żywotność ubrań, ale ostry cebulowy zapach, którego epicentrum znajdowało się pod spoconymi pachami, był trudny do wytrzymania. Nie wiem, czy była to kwestia buzujących hormonów, czy brudnej odzieży, w każdym bądź razie smród ten uderzył mnie w nozdrza z taką siłą, że natychmiast oderwałem się od komputera i spojrzałem w jego stronę. Uśmiechnięta pucułowata buzia Janka nie wróżyła niczego dobrego. Spojrzałem na jego zmrużone szare oczka i już byłem pewny, że za chwilę podniesie mi ciśnienie. Nie myliłem się.

– Tego rachunku nie mogę zaakceptować – poinformował mnie z satysfakcją, rzucając moje rozliczenie z restauracji, do której w ramach

rewanżu zaprosiłem kilku konsulów. – Polski podatnik nie będzie płacić za twoje obiady z kolesiami.

– Ci, jak to nazwałeś, kolesie są niezbędni w mojej pracy dyplomatycznej, a od ich pomocy może zależeć los naszych obywateli, którzy znajdują się w opałach – wyjaśniłem, starając się nie podnosić głosu. – Wybacz, lecz ty nie możesz decydować, czy zaproszenie dyplomatów z innych ambasad było konieczne, czy nie. Twoim zadaniem jest wyłącznie sprawdzenie poprawności wystawionej faktury i zweryfikowanie jej pod kątem rachunkowym.

– Nie rozumiem, o co masz do mnie pretensje – tłumaczył swoją decyzję.  
– Staram się jedynie sumiennie wykonywać swoje obowiązki. Przecież to mnie będą rozliczać z wydatków.

– Z realizacji budżetu, a nie z uzasadniania rozchodów – wygarnąłem mu.  
– Czy ambasadorowi też kwestionujesz organizowane przez niego dinnery i wyjścia do restauracji?

– Do niego mam pełne zaufanie – wygłosił z zadartym nosem, patrząc na mnie z pogardą.

– Bardzo mi miło, że do mnie takowego zaufania nie masz... – Tak zaciskałem szczęki, że aż mnie zęby rozbolały. – Posłuchaj, panie ufny kretynie – ściszyłem głos, żeby nie eksplodować. – Nie będę kwestionować faktur z fast foodów, które naszemu szefowi rozliczasz bez mrugnięcia okiem, bo każdy ma prawo do wyboru lokalu, choć trudno mi uwierzyć, że w takie miejsca zaprasza swoich kolegów ambasadorów. Lecz karmę dla Amika jak wytłumaczysz?!

– To pies służbowy – siedł w zaparte. – Mieliśmy już kontrolę i jakoś się do tego nie przyczepili.

– Nie wiem, jak wam się udało zrobić z maltańczyka psa obronnego w rezydencji, i nie zamierzam w to wnikać. Jednakże szef dopiero jutro wraca z urlopu i dzisiaj jeszcze ja kieruję placówką, dlatego będziesz tak łaskaw i rozliczysz mój rachunek.

– Ani mi się śni!

– To jest polecenie służbowe! – przywołałem go do porządku.

– Poproszę o nie na piśmie!

– Oczywiście, nie ma sprawy – zakończyłem tę żalospną wymianę zdań z największym upierdliwcem, a zarazem idiotą, jakiego spotkałem w całej mojej dotychczasowej karierze dyplomatycznej. – Swoją drogą mogłeś

zaczekać jeden dzień, skoro tak bardzo zależało ci, żeby mi dokuczyć. A nuż ambasadora udałoby ci się przekonać, że to było moje prywatne, a nie służbowe, wyjście. Jeszcze musisz wiele się nauczyć, żeby umiejętnie uprzykrzać życie innym.

Janek aż zaniemówił i pozieleniał z wściekłości, plując zapewne sobie w brodę, że tak się pospieszył.

– Jeszcze jedna sprawa! – krzyknąłem, gdy był już w drzwiach. – Zamiast wściubiać nos w nie swoje sprawy, może w końcu zabrałbyś się za pożyteczną robotę i pogonił MSZ z przysłaniem laptopa do pobierania danych paszportowych.

– Przecież to działka konsularna – znów udawał Greka, bo dręczenie ludzi należało do jego ulubionych rozrywek.

– Jest to sprzęt elektroniczny i wydział administracji ma go dostarczyć, podobnie jak telefony komórkowe i urządzenia biurowe – powolutku wyłuszczałem, choć już mi w uszach pikało. – Przez twoją indolencję wciąż muszę odkładać wyjazd do Sany, a tam na paszporty czekają Polki i ich dzieci. Zaczynj wreszcie wywiązywać się ze swoich obowiązków, a nie tylko uprzykrzać życie kolegom i markować pracę. Mam tego serdecznie dość!

Młody śmierzdel nie odezwał się już ani słowem i oddalił do swojego pokoju. Zamierzałem wrócić do mojej sprawozdawczości, lecz najpierw, żeby ugasić pragnienie i ukoić nerwy, sięgnąłem do minilodówki po zimną wodę. Nie zdążyłem wziąć nawet małego łyeczka, gdy jak burza wpadli do mnie ekonomiczny z borowcem.

– To jest skandal! – krzyczał radca Michał. – Ochrona znów otworzyła moją prywatną korespondencję. Proszę, zobacz! Rozdarli list od mojej matki! – Jak w amoku machał potarganymi kartkami.

– Mamy polecenie, by kontrolować każdą przychodzącą na placówkę przesyłkę – wyjaśnił stalowym głosem Wacek. – Nie wiem, na czym polega problem. Przecież to my ryzykujemy, jeśli ktoś wyśle w liście węglika.

– Na pewno moja matka ma dostęp do broni masowego rażenia i przesłała ją do swojego syna, żeby go zgładzić! – zachnął się Michał. – Starowina hoduje węglika w kapuście!

Z fioletowymi wypiekami na twarzy kipiał, a ja mu się wcale nie dziwiłem, bo paradoksy ciągle spadały na nasze głowy i trudno to było znieść.



– Nie zwracamy uwagi na nadawcę, bo to są niewiarygodne dane – bronił swojej racji Wacek. – Chodzi o bezpieczeństwo ogólne. Kilka dni temu koperta z węglikiem została zneutralizowana w amerykańskiej ambasadzie w Wilnie, więc nigdy nie wiadomo, kogo następnego wezmą na cel.

– Dajmy już sobie siana z tym cholernym węglikiem. – Radca miał jeszcze coś w zanadrzu. – Lepiej wytłumacz się, Wacku, zastępcy ambasadora, dlaczego mnie wczoraj wieczorem nie wpuściłeś do ambasady. Chciałem wysłać pilną depezę do Warszawy i nic z tego nie wyszło.

– Nikt mnie nie poinformował telefonicznie, że ktoś ma zamiar wejść do budynku. Takie są procedury – wyjaśnił ochroniarz bez cienia emocji.

– To po cholere macie te pieprzone kamery, które kosztują majątek? – nie dawał za wygraną Michał. – Przecież chyba zauważyłeś, że to ja stoję przed drzwiami.

– Po zmierzchu widać tylko zarys postaci i nie da się określić, kto zaczął tłumaczyć swoje postępowanie dowódca ochrony. – Gdybym wpuścił do ambasady terrorystę, ten w ciągu kilku sekund wdarłby się na górę. Zanim zdążyłbym zareagować, konsul leżałby z poderżniętym gardłem w kałuży krwi, o tu, na tej podłodze. – Wskazał ręką, żeby unaocznić sytuację.

– Co ty pierdolisz? – nie wytrzymał logiczny radca. – Jaki konsul z poderżniętym gardłem? Przecież wieczorem w ambasadzie jesteście tylko wy, borowcy!

Nerwowo przełknąłem ślinę, niemal czując, jak zimna stalowa klinga przecina mi tętnicę szyjną. Nie byłem tylko pewien, czy maczetę będzie trzymał terrorysta, czy Wacek, który ewidentnie miał nie wszystko po kolei w głowie. Podobno w Afganistanie przydarzył mu się traumatyczny epizod i do Polski wrócił z objawami głębokiego stresu pourazowego. Potem ktoś bardzo mądry skierował go do ochrony naszej placówki, żeby tu pozbierał się psychicznie. Patrzyłem w jego oczy bez wyrazu i zastanawiałem się, co się dzieje u niego pod kopułą. Możliwe, że kogoś uśmiercił w Afganistanie, lecz tu przyjechał nas chronić. Wariat piastujący stanowisko ochroniarza? Nie! Już też zaczynam dostawać małego rozumu, skarciłem siebie. Za dużo stresu jak na jeden dzień. Dobrze, że już za chwilę kończymy pracę.

– Panowie! Przecież nic takiego się nie stało – próbowałem załagodzić spór, bo taka była moja rola. – Chorąży postąpił zgodnie z regulaminem, choć czasami mógłby go tak ściśle nie przestrzegać. Zatem podajcie sobie rękę na zgodę i chodźmy do domu. Za chwilę fajrant!

– Ja tak tego nie zostawię! – nie dał się ugłaskać ekonomiczny. – Oczekuję, że przynajmniej udzielisz mi nagany – zwrócił się bezpośrednio do mnie, patrząc wyczekująco.

– Niestety, ambasador zabronił mi podejmować jakichkolwiek decyzji personalnych. Jutro szef będzie w biurze i wtedy proponuję przedstawić mu swoją sprawę.

Wreszcie zostałem sam. Niczym niewzruszony Wacek wrócił do swojej dyżurki, a bardziej oburzony teraz na mnie niż na borowca Michał poszedł po swoją połowicę, zatrudnioną na stanowisku ambasadzkiej księgowej, żeby, jak to mieli w zwyczaju każdego dnia, razem pojechać do jednego z licznych ogromnych centrów handlowych raczej na spacer niż na zakupy. Postanowiłem pójść w ich ślady i też się odmeldować. Miałem już powyżej uszu kierowania placówką, bo okazało się to ogromnie stresujące i wyczerpujące. Jak ten Marek to wytrzymuje? – zastanawiałem się, czując poniekąd respekt do kolegi. Dobrze, że jutro przekażę mu obowiązki, cieszyłem się, zbierając do wyjścia.

Została mi do załatwienia jeszcze ostatnia rzecz w sekretariacie. Kiedy tam wszedłem, zastałem administracyjnego szepczącego coś na ucho swojej żonie, Ali, która pracowała jako asystentka ambasadora. Zwyczajem polskich placówek było zatrudnianie żon dyplomatów, co częściowo rekompensowało niskie pensje ich małżonków. Ja niestety byłem na jednej pensji, co znacznie utrudniało odłożenie paru groszy.

Na mój widok para odskoczyła od siebie jak oparzona, a Janek spiekl raka, jakbym go przyłapał na gorącym uczynku.

– Alu, daj mi moje zaproszenie na dzisiejsze przyjęcie z okazji święta narodowego Ghany – poprosiłem.

– Proszę bardzo.

– A gdzie jest blankiet dla pana ambasadora? Powinien być w teczce z bieżącą korespondencją, a jakoś go nie widzę – spytałem, gdyż segregator był pusty.

– Przecież będzie dopiero jutro w biurze – zdziwiła się kobieta.

– Owszem, jutro będzie w biurze – potwierdziłem z wymuszonym spokojem, bo coś mi tu jeszcze śmierdziało poza unoszącym się w powietrzu skoncentrowanym potem. – Jednak przylatuje dzisiaj i uprzedził mnie, że z chęcią weźmie udział w tym święcie, bo Afrykanie

zawsze mają rewelacyjny program artystyczny. Prosił mnie, żebym mu przywiózł zaproszenie do rezydencji.

Janek i Ala zaniemówili. Zapanowała chwila niezręcznej ciszy, po czym kierownik administracyjny wyciągnął z kieszeni pomietą kopertę z nadrukowaną flagą Ghany i z wielką niechęcią mi ją oddał.

– Przykro mi, że ambasador zabrał wam dzisiejsze wyjście – stwierdziłem z przekąsem. – Widzisz, Janku, jednym z moich gości na kwestionowanym przez ciebie obiedzie był konsul Ghany, Anum. Gdybyś żył ze mną w komitywie i tak się nie czepiał, zapewne wprowadziłbym was na tę recepcję, a tak obejdziecie się smakiem.

Przyjęcie wydawane przez ambasadę Ghany odbywało się w pałacu Tuwaiq, położonym w ekskluzywnej części Rijadu w Dzielnicy Dyplomatycznej. Budowlę przypominającą kształtem tradycyjną arabską twierdzę otaczał wysoki mur. W środku znajdowały się ogród palmowy oraz basen. Wejście ocieniały olbrzymie czasze, stylizowane na namioty beduińskie. Całość doskonale się komponowała, a efektem było połączenie ducha pustynnych koczowników ze spokojem zielonej oazy. Z tarasu rozciągał się zachwycający widok na *wadi*<sup>36</sup> Hanifa, którego skaliste brzegi przecinały wzgórze z dzielnicą stanowiącą enklawę wolności w ortodoksyjnej wahabickiej stolicy. Pałac ten idealnie nadawał się na organizację wszelkich oficjalnych uroczystości.

Do Tuwaiq przybyłem ze sporym opóźnieniem, ponieważ spotkanie z Markiem zabrało mi blisko dwie godziny. Musiałem mu na gorąco zdać relację z tego, co działo się pod jego nieobecność. Bardzo był ciekaw, jak sobie dawałem radę. Jego żony nigdzie nie widziałem. Różdżek podpowiadał mi, że to dobrze i może nie wróciła z Polski, ale serce się do niej rwało. Pierwsza miłość nie rdzewieje, czasami nigdy się o niej nie zapomina.

Kiedy kroczyłem po miękkim zielonym dywanie, prowadzącym do głównego wejścia do pałacu, mijalem dyplomatów w garniturach lub strojach narodowych czekających na swoje limuzyny. Kierujący ruchem na parkingu co chwilę wywoływał jakiegoś kierowcę, by ten zakończył drzemkę i podjechał pod lobby, żeby odebrać swojego szefa. Pomimo późnej pory na oświetlonym potężnymi reflektorami podjeździe panował

spory ruch. Spóźnialscy dopiero przyjeżdżali, a niektórzy ambasadorowie już wracali do domu albo udawali się na prywatne przyjęcie czy oficjalny dinner po zaliczeniu przepisowego półgodzinnego limitu. Nie było wątpliwości: prowadzenie dyplomatycznej działalności reprezentacyjnej wymagało końskiego zdrowia i stalowej wątroby. Niektórzy twierdzili, że najważniejsze są mocne nogi, bo podczas bankietów stało się nieraz po dwie lub trzy godziny.

Wszedłem do środka. Tak jak przypuszczałem, część oficjalna dawno się skończyła i panowała już luźna atmosfera. Skupieni w grupkach goście pogrążeni byli w przyjacielskich rozmowach i nie zwracali uwagi na przeciskających się kelnerów roznoszących przekąski i napoje bezalkoholowe. Panował straszny zaduch i panie w wieczorowych kreacjach wachlowały się czym popadło, panowie natomiast dyskretnie ocierali pot z czoła. Oczywiście nikt nie odważył się zdjąć marynarki czy poluzować krawata. Nie zauważyłem żadnego znajomego w środku, dlatego postanowiłem przedostać się na taras. Z miejsca wpadła mi w oko grupa konsulów stojących w pobliżu stanowiska grillowego, serwującego pieczone kotleciki baranie. Zaskoczył mnie Anum, którego ledwie poznałem w tradycyjnym stroju afrykańskim. Rozmawiał z nim Frank i kilku nieznajomych.

– Poznajcie Tomka! – Austriak mnie przedstawił. – Konsul i zastępca polskiego ambasadora.

– Mikko – powiedział wysoki blondas w lekko przykusym garniturku i wyciągnął rękę na przywitanie. – Jestem konsulem w ambasadzie Finlandii, a to moja żona Kirsti. – Wskazał na przysadzistą dziewczynę o bardzo miłej aparycji i roześmianej buzi, która z miejsca cmoknęła powietrze tuż przy moich policzkach. Wyglądało to może sztucznie, jednak jednoznacznie oznaczało akceptację mojej osoby i przyjęcie do ich grona.

– Ta miła parka to Brian i Joyce. Moi kumple z ambasady amerykańskiej – wtrącił się Anum, po czym dodał: – Skosztujcie grillowanej baraniny. Palce lizać. My, Afrykanie, uwielbiamy mięso pieczone na węglach i whisky. Niestety, tego drugiego w tym lokalu nie uświadczycie. Jak zapewne wiecie, w miejscach publicznych alkoholi w Arabii Saudyjskiej się nie podaje. A szkoda – wybuchnął chropawym ciepłym śmiechem.

Z talerzami pysznie pachnącego ziołami i przyprawami pieczystego, które jeszcze dosłownie skwierczało, usiedliśmy przy stoliku stojącym

w najdalszej części tarasu. Nikt nas tu nie niepokoił i spokojnie mogliśmy się zająć, oddając towarzyskiej pogawędce.

– Czy to nie jest czasem twój szef, Tomku? – spytał spostrzegawczy Frank.

Wszyscy jak na komendę spojrzeli w stronę wskazaną przez austriackiego kolegę. Od stanowiska z pionowym obrotowym różnym dziarsko maszerował do głównego pomieszczenia doskonale wszystkim znany łysy grubasek, Marek. W obu dłoniach trzymał zawinięte w folię aluminiową cztery szawormy. Dwie następne sterczały mu z kieszeni marynarki.

– Chyba jest bardzo głodny – złośliwie zauważył Mikko.

– Tylko dlaczego wszystkie ma zapakowane na wynos? – zastanawiała się głośno praktyczna Kirsti. – Czyżby tak dbał o swojego kierowcę, który na niego czeka w samochodzie, że chce mu coś przynieść z przyjęcia?

– Dajcie spokój! – Było mi strasznie wstyd za łasucha, bo wiedziałem, że Marek od czasów studenckich przepadał za tym najbardziej znanym arabskim daniem. – Po prostu jest dżentelmenem i zebrał zamówienia od swoich znajomych, którzy siedzą z nim przy jednym stole.

– Jednakże recepcja się kończy i praktycznie wszyscy ambasadorzy już dawno sobie poszli. – Anum nie miał nade mną litości, a chochliki rozbawienia błyszcząły w jego czarnych oczach.

Nie zdążyłem zareagować i wymyślić lepszego usprawiedliwienia, kiedy ją zauważyłem. Zanim Marek dotarł do drzwi, na jego drodze stanęła Ania. Nawet na odległość widać było, że się kłóca, bo twarz ambasadora robiła się coraz bardziej czerwona. Wyciągnięte przed siebie ręce miał unieruchomione pakunkami. Wyglądał komicznie. Dyskusja małżonków szybko się zakończyła. Marek wszedł do budynku, a Ania rozglądała się dookoła i ujrawszy mnie, ruszyła w naszą stronę.

– Tomku! Czy mogłabym się z tobą zabrać do domu po recepcji? – spytała zupełnie bez troski, jak gdyby nic się przed chwilą nie stało. – Marek musi wracać, żeby przygotować kolejne sprawozdanie, a ja chciałabym jeszcze trochę poplotkować z koleżankami.

– Poznajcie Anię – ledwo mówiłem, bo moje oczarowanie tą kobietą nie słabło i teraz trzymało mnie mocno za gardło. – Jest żoną mojego szefa.

– Tomek z pewnością chętnie cię odwiezie – wtrącił się Frank, robiąc niedwuznaczną minę. – Jak go znam, on nigdy nie odmówi pomocy samotnej niewieście z korpusu dyplomatycznego.

– Jest tylko jeden mały szkopuł – wyrwał się nieoczekiwanie Mikko. – Jak Anum zauważył, gospodarze nie podali nam whisky, co jest sporym nietaktem – oczywiście żartował. – Mięso zalega nam w żołądkach jak kamień i dlatego zapraszam wszystkich do nas na coś mocniejszego.

– Wspaniale! Afterparty<sup>37</sup>! – poparła go rozochociona żona.

– Więc jak będzie, pojedziesz ze mną na chwilę do zwariowanych Finów?  
– spytałem rudowłosą.

– A mam inne wyjście? – udawała zażenowaną, choć jej zielone kocie oczy błyskały radością.

Dom Mikka i Kirsti znajdował się kilka minut drogi od pałacu Tuwaiq. Kompleks podobnie zaprojektowanych budynków ogrodzony na modłę arabską murem z piaskowca stanowił swoistą fińską enklawę wśród zabudowy Dzielnicy Dyplomatycznej. Kiedy weszliśmy do środka, niespodziewanie znaleźliśmy się w innym świecie. Główna ściana salonu przez całą wysokość była sztucznym wodospadem. Po wmurowanych omszałych głazach spływała z cichym szumem woda, która następnie była rozprowadzana systemem wąskich kanałów do kaskadowo ułożonych małych jezior i akwariów. W wielkim pokoju dziennym było zielono jak w buszu, gdyż stały tam różnego rodzaju paprotki i wodolubne rośliny oraz całe mnóstwo papirusów. Dla jeszcze większego wrażenia sufit wieńczyła szklana kopuła w kształcie piramidy.

– Czy nie jest tutaj zbyt wilgotno? – spytała zaskoczona takim widokiem Anka. – Można się nabawić reumatyzmu.

– Żartujesz chyba – zanegowała Kirsti. – Mieszkamy tu na środku pustyni, latem temperatury nigdy nie schodzą poniżej pięćdziesięciu stopni, nie mówiąc już o suchym klimacie. Wolę nawilżyć moją skórę, niż ją wysuszać na pieprz. Co potem zrobisz ze zmarszczkami? Żaden krem ci nie pomoże.

– Fińskie mieszkania projektuje się w ekologicznym stylu – wyjaśnił Mikko.

– Mnie się podoba ten dyskretny plusk – stwierdziłem oszołomiony awangardą.

– Chodziłabym co chwilę do ubikacji. – Ruda nie była romantyczką, ale rozbawiła wszystkich.

– W takiej rezydencji zapewne żyje się bezstresowo. – Zachwycąłem się, rozglądając na boki i dotykając to kamieni, to roślin.

– Masz rację – ucieszył się z pochwał gospodarz. – Odgłos delikatnie spływającej wody koi zmysły, a znajdujący się nad nami szklany model piramidy gwarantuje spokój i równowagę psychiczną.

– Sorry, gdzie jest toaleta? – Anka była niepoprawna i z piskiem pobiegła w kierunku wskazanym przez Finkę.

Kirsti błyskawicznie zastawiła stół mnóstwem przekąsek i sałatek, a Mikko każdemu wręczył szklanekę z whisky.

– *Kippis* – wzniósł toast.

– *Cheers* – zawtórowali Amerykanie.

– *Bi sahhatik*<sup>38</sup> – popisałem się swoją arabszczyzną.

Całkowicie się wyluzowaliśmy. Panowała kameralna i przyjazna atmosfera. Żartowaliśmy i dzieliliśmy się wrażeniami z życia w Królestwie. Jak przystało na dobrze rozumiejące się i zaprzyjaźnione towarzystwo, nikt nie zanudzał innych swoimi prywatnymi problemami ani nie opowiadał o trudach pracy. Każdy miał tego po dziurki w nosie. Mikko zniknął na moment, a po chwili usłyszeliśmy piękną melodię tanga, dochodzącą z dyskretnie ukrytych głośników.

– Nie wiedziałem, że lubicie argentyńskie rytmy. – Byłem zaskoczony wyborem takiej właśnie muzyki.

– To nie jest utwór argentyński, tylko fiński – wyjaśnił gospodarz. – Moi rodacy tak się zakochali w tym rytmie, że stworzyli go na własny styl. Nasze tango nie ma tyle ognia, co latynoskie. U nas to smutna melodia wprowadzająca w melancholijny nastrój.

– Zimni Skandynawowie kochają łzawe piosneczki? – Anka się nie zmieniła, zawsze mówiła to, co myśli, nie przejmując się innymi.

– Właściwie Finlandia nie jest krajem skandynawskim, jak często mylnie się uważa, tylko nordyckim – sprostowała niezbyt zadowolona z kąśliwości ambasadorowej Kirsti.

– Fińskie czy argentyńskie, nogi same rwą się do tańca! – wykrzyknąłem, nie mogąc dłużej spokojnie usiedzieć.

Wszystkie pary ochoczo podchwyciły propozycję i zapląsaliśmy w takt słynnego przeboju *Dlatego jestem smutny*. Nie wiadomo, co jest takiego w taktach tej melodii, lecz gdy mój policzek przywarł do policzka Ani, wydało mi się, że stanowimy rodzaj obwodu zamkniętego, przez który przechodzi prąd.

– Zdradzę wam jeszcze jedną tajemnicę – zagadał Mikko, gdy zmęczeni odpoczywaliśmy przy kolejnym drinku. – Finowie mają bzika na punkcie sauny, która jest istotną częścią naszej kultury. Nie dość, że znajduje się prawie w każdym domu, to żaden fiński marynarz nie wypłynie w morze na statku, na którym nie ma specjalnego pomieszczenia, gdzie panuje wysoka temperatura. – Gospodarz zrobił dramatyczną przerwę, wielce głupią minę i wykrzyknął: – Zapraszam wszystkich do naszej sauny! Temperatura jest już odpowiednia, prawie dziewięćdziesiąt stopni.

– Przekonacie się, że to doskonały relaks, a jutro obudzicie się jak nowo narodzeni – zachęcała Kirsti.

– My musimy się zbierać – przeprosił Brian, chwiejnym krokiem zmierzając do drzwi. – Jest dość późno, a jutro rano lecę do Prowincji Wschodniej. Może innym razem.

– Raczej nie jestem zwolennikiem katowania się taką piekielną ciepłotą – odrzucił propozycję Anum. – Zresztą Brian ma rację, już po północy, czas wracać do domu.

– Nigdy jeszcze nie byłam w saunie i chętnie bym spróbowała, tylko nie mam kostiumu kąpielowego. – Tym razem Ania była na tak.

– Kochana, to jest fińska sauna! Tam się nie wchodzi nawet w bikini. Ewentualnie owiń się ręcznikiem.

Kirsti chwyciła speszoną Ankę za rękę i pociągnęła za sobą.

Anum i Amerykanie opuścili nasze towarzystwo, a ja, owinięty w biodrach bawełną, wraz z dziewczynami wylądowałam w zacisznym pomieszczeniu w całości wyłożonym drewnem. Od reszty świata oddzielały nas drzwi z grubego brązowego szkła. Piec przykryty warstwą kamieni tak nagrzał powietrze, że parzyło nozdrza i z miejsca grube krople potu pokryły niemal całe moje ciało. Wkrótce do sauny wszedł Mikko z małą szklaną buteleczką w ręku. Rzucił ręcznik na ławkę i zupełnie bez skrępowania ze zwisającym między nogami przyrodzeniem podszedł do drewnianego kubła z wodą, do której dolał trochę płynu z flakonika. Zamaszyście ją wymieszał wielgachną chochlą, a następnie polał wrzące otoczaki. Usłyszeliśmy ekscytujące syczenie. W kilka sekund para wypełniła pomieszczenie, uderzając w nas z taką mocą, że aż trudno było złapać oddech. Kiedy się rozrzedziła, poculiśmy subtelny aromat jodeł. Fin w milczeniu, nie zwracając na nikogo uwagi, rozłożył się na ręczniku na drewnianej ławie z rozchyłonymi udami i oddał się rozkosznemu relaksowi.



Ania spojrzała na niego i speszona szybko opuściła wzrok, starając się nie wgapiać w jego męskość.

– Teraz najważniejszy rytuał sauny – ogłosił gospodarz, gdy sesja nasiadówki zbliżała się do końca. – Pod prysznic z zimną wodą! Już! – wykrzyknął, wybiegając.

Nie chcąc być cieniem, poszedłem w jego ślady. Po nas do łazienki wkroczyły dziewczyny. Piskom i krzykom nie było końca. Ostatecznie wylądowaliśmy w niewielkim podłużnym basenie, w którym woda specjalnie była schładzana. Gdy z niego wyszliśmy, wszyscy już chodziliśmy jak Pan Bóg nas stworzył. Nasze ciała stały się lekkie i niematerialne, jakbyśmy unosili się w powietrzu. Finowie przynajmniej w ułamku pokazali nam, na czym polega życie w zgodzie z naturą.

– Zakochałam się w saunie – ogłosiła Ania, gdy skończyliśmy nasiadówkę i ubrani wróciliśmy do salonu. – Nigdy przedtem nie miałam okazji z niej korzystać, ale z chęcią bym to powtórzyła.

– Wpadaj do mnie tak często, jak będziesz mieć ochotę – zachęcała Kirsti. – Mieszkamy po sąsiedzku.

– Nie chcę być niegrzeczny... – nagle oprzytomniałem, gdzie i z kim jestem, i wtrąciłem się w beztroską rozmowę koleżanek – ale jest już tak późno, że dalsze zawracanie głowy naszym wspaniałym gospodarzom byłoby po prostu bezcelne. Zbieraj się, Aniu! Wychodzimy!

Wściekłem się, bo przez chwilę wydawało mi się, jakby Anka była ze mną, ale nie tylko tymczasowo. Jakbyśmy byli parą.

– Twój mąż mnie prześwięci, że tak późno odwozę cię z oficjalnej recepcji, która zazwyczaj trwa do dwudziestej pierwszej.

– Racja, strasznie się zasiedzieliśmy. Cóż, szczęśliwi czasu nie liczą.

Pożegnaliśmy się i ruszyliśmy do samochodu, który stał samotnie na parkingu. Na ulicy nie było żywej duszy. Nadal byliśmy spoceni po saunie i przednia szyba auta pokryła się parą. Włączyłem klimatyzację na pełne obroty.

– Co za niesamowita noc! – zachwycała się rozpromieniona Anka. – Mikko to naprawdę wyluzowany gościu. Widziałeś? Łaził cały goluteńki i w ogóle się nami nie przejmował.

– W fińskiej saunie nagość jest czymś naturalnym. Oni są do tego przyzwyczajani od dziecka i dla nich nie wiąże się to z seksualnością.

– Może i nie – przytaknęła z zadumą. – Choć z drugiej strony facet nie ma się czego wstydzić.

Puściłem tę uwagę mimo uszu i skręciłem w uliczkę prowadzącą do rezydencji ambasadora. Podjechałem pod bramę i zatrzymałem samochód. Czekałem. Byłem ciekaw, co ona teraz wykombinuje. Jaki wykona ruch?

– Czy mógłbyś zrobić jeszcze jedno kółko i zahaczyć o Las Palmas? – namiętnie szepnęła, zaciskając dłoń na moim udzie.

– Aniu! Bądźmy rozsądni. Marek wszystkiego się domyśli i obydwójce będziemy skończeni.

– Niczego się nie domyśli, głuptasie. – Nie przestawała mnie dotykać, aż poczułem mrowienie w łydźwiach. – Na pewno dawno chrapie w swojej sypialni i nawet nie będzie wiedzieć, o której wróciłam.

– Śpicie osobno?

– Nieważne! Szkoda czasu. Ruszaj, póki się nie rozmyśliłam.

Bez słowa skierowałem się do wjazdu na autostradę. Droga była prawie pusta i gnałem na łeb na szyję. O efekcie sauny pobudzającym libido nie słyszałem, a może nasze podniecenie zawdzięczaliśmy wyuzdaniu Mikka? Nie miało to najmniejszego znaczenia. Gorący oddech mojej ukochanej, rujnującej mi właśnie życie, rozkosznie drażnił moje rozgrzane ciało. Wiedziałem, że ta noc tak szybko się nie skończy.

---

<sup>36</sup> *Wadi* – sucha dolina na obszarze pustynnym, wypełniająca się wodą w porze deszczowej, tworząc nieraz wartką rzekę.

<sup>37</sup> Afterparty – impreza odbywająca się bezpośrednio po innym, większym wydarzeniu celem przedłużenia zabawy dla uczestników odczuwających niedosyt.

<sup>38</sup> *Bi sahhatik* – na zdrowie.

## ROZDZIAŁ 8

### ZJAZD RODZINNY

Z Londynu do Jemenu polsko-arabska rodzina mogła dostać się wyłącznie Tureckimi Liniami Lotniczymi z przesiadką w Stambule i w dodatku z kilkugodzinnym postojem na tranzytowym lotnisku. Na szczęście nocny lot do Turcji trwał prawie cztery godziny i dziewczynki zregenerowały trochę siły, śpiąc przez całą drogę. Podobnie było w samolocie zmierzającym do Sany. Marysia i Ahlam obudziły się, dopiero gdy stewardesy zaczęły roznosić zestawy śniadaniowe, a przez odsłonięte iluminatory do kabiny wpadły pierwsze promienie wschodzącego słońca. Zajmowali cztery sąsiednie fotele w środkowym rzędzie i ze smakiem zajadali się gorącymi omletami, a w powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy.

– Tatusiu, kim jest nasz dziadziuś? – spytała Marysia, odkładając nadgryzioną chrupiącą bułeczkę z dżemem. – Czy jest kimś ważnym, jak mówiła mamusia?

– I w dodatku wołają na niego szejk! – dodała Ahlam z pełną buzią.

– Cóż... – zamyślił się Samir, starając się znaleźć odpowiednie dla maluchów wyjaśnienie. – Jest takim jakby opiekunem mieszkańców wioski, w której mieszka, oraz okolicznych osad. Dba o nich, stara się, żeby żyło im się dobrze, a jak się pokłóca, godzi ich i doradza. Wszyscy muszą postępować zgodnie z jego decyzją i być mu posłuszni. Tak jak wy powinniście słuchać rodziców, a głównie mamy. – Z uśmiechem pieszczotliwie musnął zmierzwiłone od snu włosy siedzącej obok niego żony.

– A o co oni się kłóca? – zadała kolejne pytanie ciekawska sześciolatka.

– Mają wiele problemów – tłumaczył ojciec. – Sprzecząją się o ziemię, o bydło, o to, kto z kim się ożeni. Pamiętam pewną aferę, która się

wydarzyła, gdy byłem jeszcze dzieckiem: dwóch braci omalże się nie pozabijało z powodu kozy!

– Kozy?! – włączyła się do rozmowy rozbawiona Zosia. – Rozumiem, że starasz się wyjaśnić, czym zajmuje się szejk Nadzib, w możliwie przystępny sposób, ale z tą kozą to już chyba przesadziłeś.

– Nic a nic. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak zapalczywi potrafią być Arabowie i jak ważną rolę w ich życiu odgrywają zwierzęta – kontynuował. – Czy wiesz, że kiedyś z powodu wielbłądzicy prowadzili wojnę przez czterdzieści lat?

– W jaki sposób dromaderka może spowodować konflikt zbrojny? – zdumiała się Polka.

– Właściwie to był tylko pretekst, bo bezpośrednią sprawczynią walk plemiennych była właścicielka samicy – z przyjemnością snuł opowieść Jemeńczyk. – Arabka Basus pochodziła z plemienia Bakr, a jej wielbłądzicę przez przypadek zabił przywódca plemienia Taghlib. Kobieta, pałając żądzą zemsty, uknuła intrygę i wznieciła taki gniew w swoim bratanku, że ten w odwecie zamordował oprawcę zwierzęcia. Czyn ten wywołał serię krwawych wydarzeń i członkowie tych dwóch spokrewnionych klanów zabijali się wzajemnie przez blisko pół wieku.

– To najdziwniejszy motyw sporu, o jakim słyszałam. Brzmi jak rodem z baśni *Tysiąc i jedna noc* i wydaje się mało prawdopodobny – podsumowała Zosia, czule spoglądając na zasłuchane w opowiadanie ojca córeczki.

– Chociaż wojna ta, zwana wojną Basus, toczyła się w okresie przedmuzułmańskim, zachowała się o niej pamięć w przekazach ustnych, a potem uwieczniono to wydarzenie w kasydach, klasycznych poematach. Do dziś jest symbolem arabskiej wendety.

– Dla mnie najciekawsza jest rola kobiety w rozpętaniu tej batalii – żona wciągnęła się w dyskusję. – Czy Arabki potrafią tak manipulować mężczyznami jak Basus? U nas przyjął się obraz zniewolonej muzulmańskiej kobiety zepchniętej na margines życia społecznego.

– Przeważnie jest tak, jak mówisz, lecz niektóre baby bywają niebezpieczne i umieją postawić na swoim.

– Zapewne masz jakiś dobry przykład.

– Najbardziej znana była królowa Zubeida, żona słynnego kalifa Haruna ar-Raszida.

– Czym takim okropnym zapisała się w historii?

– Chociaż jej imię po arabsku oznacza smaczne masło, niestety, charakter tej kobiety nie był przyjemny. Kierując się zazdrością, wyprowadziła na tamten świat niejedną nałożnicę kalifa. W dodatku robiła to tak sprytnie, że każda zbrodnia uchodziła jej na sucho i mąż nigdy się nie domyślił, że stała za śmiercią jego kochanek.

– Coś sobie przypominałam – przerwała ten historyczny wywód Zosia. – Czy twoja macocha nie ma na imię Zubeida?

– Tak się składa – potwierdził – i uwierz mi na słowo, że niewiele różni się od swej niechlubnej imienniczki. To głównie z jej powodu musiałem w tak młodym wieku opuścić dom. – Samir posmutniał i zagłębił się we wspomnieniach.

Rodzina zamilkła. Po niedługim czasie kapitan ogłosił, że samolot zbliża się do celu podróży, na co stewardesy rozpoczęły przygotowania do lądowania. Troskliwa Zosia ustawiła w odpowiedniej pozycji oparcia foteli córeczek i dała im po miętówce, żeby przy zmianie ciśnienia nie bolały ich uszy. Przymknęła oczy, starając się wyciszyć i przygotować na wielką niewiadomą, którą szykował jej los. Wtedy nie wiedziała jeszcze, jak wielką.

Całą czwórką podeszli do stanowiska kontroli dokumentów i Samir podał plik paszportów swojej rodziny funkcjonariuszowi straży granicznej. Oficer otworzył pierwszy z wierzchu na stronie ze zdjęciem i przyjrzał się badawczo jego właścicielowi.

– Pan jest Jemeńczykiem, prawda? – spytał po arabsku. – Miejsce urodzenia Aden, dobrze mówię?

– Tak, ale wtedy Aden należał do protektoratu brytyjskiego, a ja od ponad dwudziestu lat mieszkam w Londynie. Dlatego mam dokument tożsamości Królestwa Wielkiej Brytanii.

– Mówi pan jak Jemeńczyk, wygląda jak Jemeńczyk, dlaczego nie podróżuje pan z paszportem jemeńskim?

– Czy stanowi to jakiś problem? – spytał coraz bardziej rozdrażniony Samir.

– Skądże! Jednak moim obowiązkiem jest sprawdzić, czy nie stwarza pan zagrożenia dla naszego zjednoczonego obecnie państwa. Brytyjczyków

pogoniliśmy już wiele lat temu – wygłosił wzniosłą tyradę. – Jaki jest cel pana przyjazdu do ojczyzny po tak wielu latach?

– Sprawy rodzinne – mruknął inwigilowany.

– Jego ojciec jest umierający – dopowiedziała po angielsku Zosia, domyślając się, na czym polega problem.

– Proszę upomnieć żonę, żeby nie wtrącała się do rozmowy mężczyzn – zwrócił uwagę surowy pogranicznik, omijając ją wzrokiem.

– Przepuście wreszcie tę rodzinę! – skarcił służbistę kierownik, który podszedł do stanowiska. – Nie widzisz, jaka zrobiła się kolejka? Za chwilę przylatuje kolejny samolot z Europy. Nie chcę bałaganu na mojej zmianie.

Po tak obcesowym powitaniu przez jemeńskiego urzędnika i odebraniu bagaży markotny Samir z Zosią i dziewczynkami poszli na postój taksówek. Wózek z walizkami pchało dwóch wyrostków w brudnych, sięgających zaledwie do połowy łydki portkach. Ich bose stopy były czarne od wżartego brudu, a spod potarganych koszul wyzierały żebra. Gdy podjechał samochód, wkładali torby do bagażnika z ogromnym wysiłkiem, postępując i uginając się pod ich ciężarem, chociaż wcale tak wiele nie ważyły. Samir wręczył im hojny napiwek i ruszyli w kierunku hotelu Saba, który znajdował się w handlowym centrum Sany. Zdążyli jeszcze zobaczyć, jak do chłopców podszedł gruby mężczyzna i odebrał im pieniądze, a gdy ci protestowali, wyciągnął zza pazuchy kij i zaczął okładać ich po plecach.

– Nic się nie zmieniło. Nadal panuje tu straszne ubóstwo – podsumował Samir. – Dlatego żebractwo i wykorzystywanie słabszych jest na porządku dziennym.

– Kim mógł być ten podły oprych? – zaniepokoiła się Zosia, ciesząc się, że dziewczynki nie zwróciły na to zająście uwagi.

– Pewnie przywódcą gangu, do którego należy ten teren. Tragarze, by tu pracować, muszą płacić mu haracz.

– Nie mogę w to uwierzyć, żeby jedni biedacy wykorzystywali innych tylko dlatego, że są od nich silniejsi. – Polce z żalu krajało się serce na widok takiej niesprawiedliwości. – Przecież to byli wygłodniali chłopcy, a on pozbawił ich być może jedyne dzisiaj zarobku.

– Wziął zapewne swoją dolę – uspokajał mąż. – Coś im musiał zostawić, bo inaczej rzuciliby tę robotę i poszli gdzie indziej szukać szczęścia.

– Dobra, już mnie nie pocieszaj. – Czule dotknęła dłoni męża, ciesząc się, że ma przy sobie takiego dobrego człowieka.

– Nie zrażaj się na samym początku. – Uśmiechnął się do niej i to już wystarczyło, by poczuła się lepiej.

– Dlaczego nie jedziemy od razu spotkać się z twoim ojcem? Przecież zależy ci na czasie. – Zmieniła temat. – Czy nikt z rodziny nie mógł nas odebrać z lotniska?

– Nie widzieliśmy się bardzo długo i bałem się, że mogę ich nie rozpoznać. Głupio by było. Dlatego umówiłem się z moim przyrodnim bratem Ismailem, że przyjedzie po nas jutro rano do hotelu – wyjaśnił. – Poza tym lepiej będzie wyruszyć skoro świt niż teraz późnym popołudniem. Zaraz zacznie się zmierzchać, a w nocy droga przez góry jest zdradliwa i o wypadek nietrudno.

Taksówka pędziła ulicami jemeńskiej stolicy wśród setek innych aut, których kierowcy nie żałowali klaksonów. Przerażała nie tyle liczba mijających się na styk pojazdów, ile totalny brak jakichkolwiek reguł ruchu. Panowały zgiełk i chaos, a krzyki szoferów mieszały się z rykiem zwierząt, zaprzęgniętych w obładowane do granic możliwości dwukółki, które co chwila blokowały drogę. Po około dwudziestu minutach szaleńczej jazdy dotarli na miejsce. Zdrożeni długą i uciążliwą podróżą z ulgą udali się do swojego pokoju na upragniony odpoczynek.

Następnego dnia zaraz po wczesnym śniadaniu windą zjechali ze wszystkimi swoimi bagażami do lobby. Na ich widok trzech mężczyzn i kobieta, siedzący na dużej skórzanej sofie, zerwali się z miejsca i podeszli do nich. Odziana w czarną abaję gruba Arabka miała nieosłoniętą twarz, którą gęsto pokrywały głębokie zmarszczki, a jej ziemista cera obfitowała w liczne plamy wątrobowe. Spod gęstych brwi patrzyły bystre oczy, a jej świdrujące spojrzenie przeszywało przyjezdnych.

– Witaj, mój synu! – przywitała Samira, obejmując i przytulając do swojego puszystego ciała, po czym delikatnie pocałowała go w czoło. – Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę. Zniknąłeś na tyle lat... Modliłam się, żebym przynajmniej przed śmiercią mogła cię jeszcze ujrzeć.

– Bądź zdrowa, *umm*<sup>39</sup> Zubeida – uprzejmie odpowiedział pasierb, choć targały nim sprzeczne uczucia. – Czy mój ojciec jeszcze żyje? Tak pragnę się z nim pożegnać!



– *Baba* wyszedł ze szpitala, mimo iż sądziliśmy, że to już jego ostatnie chwile. Wygląda na to, że odzyskuje siły – wyjaśnił stojący obok kobiety mężczyzna w tradycyjnym jemeńskim stroju z dżambiją za szerokim haftowanym pasem. – Czasami nawet podejmuje się roli rozjemcy i sędziego w trudniejszych sprawach. Staram się zastępować go we wszystkim, jednak on nie chce całkowicie zrezygnować ze swoich funkcji, chociaż lekarze ostrzegają, że może to przypłacić życiem. – Mówiąc to, podszedł do przyrodniego brata, by go uściskać.

– Gdyby nie obecność matki, chyba bym cię nie poznał – przyznał się Samir, zwyczajowo trzykrotnie całując Ismaila w policzki. – Zmężniałeś, a na twoje bujne włosy sypnęła się siwizna.

– Ty też nie przypominasz młodzieniaszka, jaki stąd wyjechał – odparł sympatycznie. – Cieszę się, że Allah obdarzył cię wspaniałą rodziną.

Na ułamek sekundy skierował wzrok na Zosię. Choć nikt tego nie zauważył, to Polka wychwyciła niezdrowy błysk pożądania w jego oku.

– A ci dwaj młodzieńcy za tobą z brodami zabarwionymi henną to zdaje się Arif i Adel? – zgadywał przyjezdny, patrząc na identycznie wyglądających mężczyzn ubranych na modłę zachodnią, lecz z nieodłącznymi dżambijami i bawełnianymi chustami uformowanymi w turban.

– No ruszcie się, bliźniacy! – komenderował starszy. – Przywitajcie się z bratem.

– Tatusiu, dlaczego ten pan nosi spódnicę jak dziewczyna? – wyszeptała milcząca dotąd Marysia, wskazując palcem na Ismaila.

– To nie żadna spódnica, tylko *futha*<sup>40</sup>, klasyczny męski strój noszony w mojej rodzinnej wiosce Tanaam – wyjaśnił córeczce.

Ze zdziwieniem zauważył, że Zosia gwałtownie pobladła, a w jej oczach pojawił się strach.

– Zbierajmy się, jeśli chcemy dojechać do domu jeszcze za dnia – przywołała wszystkich do porządku Zubeida. – Arif! Adel! Zabierzcie walizki i zanieście je do naszego busika. Samirowi zapewne jest śpieszno, by po tylu latach zobaczyć ojca i odwiedzić stare kąty. – Po chwili dodała: – Wracając, przynieście z auta abaję dla połowicy naszego prawnika, która w tym, co ma na sobie, nie może stanąć przed szejkiem.

– Moja żona nie włoży żadnego czarnego płaszcza! Jest cudzoziemką i będzie nosić się tak jak ja, po europejsku.

– Ty to co innego, a kobieta w Jemenie musi znać swoje miejsce, stosownie się ubierać i odpowiednio zachowywać, by nie przynieść swojemu mężowi wstydu – ogłosiła nieprzejednana. – Wyjaśnij jej to natychmiast!

Podenerwowany Samir przetłumaczył Zosi, czemu Zubeida tak gardłuje.

– Daj spokój, mnie to nie przeszkadza. Nałożę tę cholerną czarną szmatę, skoro ta stara tak się upiera. Niech mi tylko pomoże zawiązać hidżab.

Gdy panie wróciły z toalety, Samir aż zaniemówił z wrażenia. Nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, by nagle za sprawą workowatego przyodziewku zniknęły wszystkie atrakcyjne kobiece cechy jego żony i zatraciła się osobowość. W jednej chwili energiczna i przebojowa osoba przemieniła się w bezkształtne i bezwolne indywiduum, przypominające bardziej ducha niż ambitną i nowoczesną babeczkę pełną uczuć i marzeń. Stała przed nim zagubiona i speszona, nie patrząc mu w oczy. Ten strój przypadł do gustu jedynie małej Ahlam, która nagle się ożywiła i tupiąc nóżką, krzyczała:

– Też chcę włożyć abaję i wyglądać jak mama i babcia Zubeida!

– Jesteś jeszcze małą dziewczynką i musisz poczekać, by zasłużyć na ten piękny strój – wyjaśniła łamaną angielszczyzną zadowolona stara Jemenka i czule pogłaskała przyszywaną wnuczkę po główce. – Dość zmitrężyliśmy czasu na głupoty! Prędko do samochodu! Przed nami długa i trudna jazda.

Pogoniła wszystkich, otrzepując się z roztkliwienia.

Późnym popołudniem biały bus pokonał ostatnie wzniesienie i z za zakrętu ukazał się widok, którego Samir nigdy nie zapomniał. Otoczone bujną roślinnością domy stały ciasno skupione na niedostępnej skale. Zbudowano je z lokalnie wypalanej cegły i ozdobiono ażurowymi arabeskami, białymi wapiennymi ornamentami geometrycznymi i kwiatowymi. Wioska sprawiała wrażenie jak z bajki.

Samochód zatrzymał się przed najokazalszym budynkiem, składającym się z dwóch samodzielnych członów połączonych jedną ścianą, należącym do ojca Samira, szejka Nadżiba. Lewą część gmachu otrzymała kiedyś w wianie jego przed laty zmarła żona Dżamila, a w drugiej nadal rządziła strażniczka domowego ogniska, dziarska Zubeida. Nieopodal na zielonej łące pod rozłożystym cydrem siedział ozdrowieniec w otoczeniu pobratymców ubranych w białe odświętne szaty, którzy z powagą

wsluchiwali się w słowa ich przywódcy. Tworzyli oni krąg, a w jego centralnym miejscu stał na palenisku parujący duży czajnik, z którego wydobywał się niezwykle aromat świeżej zielonej herbaty. Każdy dzierżył w dłoni małą szklaneczkę z żółtawym płynem.

Przybysze udali się w stronę zgromadzenia, które najwyraźniej zbliżało się ku końcowi, gdyż mężczyźni podnieśli się i zaczęli żegnać. By okazać szacunek Nadżibowi, całowali go w dłoń.

– Dziękujemy ci, panie, za twe rozważne słowa – z wielką powagą w głosie przemówił jeden z nich.

– Niech Allah błogosławi twój wszechwiedzący umysł i dalekowzroczną mądrość – chwalił go inny. – Zrobimy tak, jak nam kazałeś, i wreszcie wśród nas zapanuje pokój.

Oddalili się, a starzec zwrócił się w stronę nadchodzącej grupy, lecz patrząc pod słońce, nie rozpoznawał wszystkich. Utkwił wzrok w jednej osobie, która była nietutejsza, ale serce mu podpowiadało, że jest to ktoś bardzo bliski.

– Witaj, ojcze – załkał Samir i klęknął przed szejkiem, który ze wzruszenia nie mógł wydobyć z siebie głosu i jedynie przytulił syna do piersi. – Wybacz, że czekałem tak długo, żeby się z tobą spotkać, i przybyłem dopiero wtedy, gdy otrzymałem od ciebie pożegnalny list, byś mógł w spokoju ducha pojednać się z Allahem.

– Samir! Mój pierworodny! – wykrztusił wreszcie Nadżib, próbując się opanować. – A więc tak wygląda mój dorosły syn! Słynny prawnik z Londynu, którego sądziłem, że nigdy już nie zobaczę. – Z podziwem lustrował eleganckiego mężczyznę. – To wielka radość ujrzeć cię po tylu latach wraz z twoją rodziną. Tylko kto ci powiedział, że umieram? Jak na razie, chwalić Pana, mam się całkiem dobrze, a nawet zaczynam z wolna wracać do moich codziennych obowiązków.

– To przecież ty napisałeś.

Syn podał mu otrzymaną korespondencję. Ojciec powoli założył okulary i gładząc śnieżnobiałą brodę, pobieżnie przerzucił wzrokiem pomiętą kartkę, na której znajdowały się słowa skreślone jego ręką.

– Ach... – szepnął z nietypowym dla niego zawstydzeniem. – Przełałem moje myśli na papier w chwili słabości, kiedy sądziłem, że nie dożyję jutra, bo nawet lekarze nie dawali mi żadnych szans. Zawał był bardzo rozległy, na szczęście zabieg wszczęcia bajpasów się udał, co jest chyba głównie

zasługą wszechmocnego Allaha. – Nieoczekiwanie skierował gniewne spojrzenie w stronę swojej małżonki i burknął: – Sądziłem, że dawno zniszczyłaś ten list. Przecież cię o to prosiłem!

– Nie zrobiłam tego, gdyż twoja rekonwalescencja nie przebiegała tak gładko, jak to przedstawiasz. Kilka razy wieźliśmy cię nieprzytomnego do szpitala, a raz nawet wzywaliśmy medyczny helikopter – tłumaczyła się Zubeida. – Zresztą to chyba dobrze, że twoja chluba i duma, londyński prawnik, przyjechała i to w dodatku z całą swoją rodziną – dodała z lekką nutką ironii.

Słyszając te słowa, Samir jakby obudził się z letargu. Podskoczył do Zosi i córeczek. Podprowadził swoje kochane dziewczyny do ojca i przedstawił. Nadzib nie mógł uwierzyć we własne szczęście, a gdy obie wnuczki bez strachu czy skrępowania wskoczyły mu na kolana i się do niego przytuliły, był w siódmym niebie. Wydawało mu się, jakby ożył duch jego jedynej wielkiej miłości, nieodżałowanej Dżamili, matki Samira, która nad nimi wszystkimi czuwa. Poczuł jej metafizyczną obecność.

– Zubeida! Na wieczór masz przyszykować najlepszą ucztę pod słońcem! Sproś sąsiadów i znajomych! – oschłym tonem wydał żonie dyspozycje. – Niech wszyscy wiedzą, jaka radość zagościła w naszych progach. Mój ukochany syn, najlepszy i jedyne mecenas z Tanaamu, przybył z rodziną odwiedzić starego ojca.

– Oczywiście, mój mężu. – Udawała posłuszną, ale musiała spuścić wzrok, by nie zdradzić wściekłości.

Skierowała się do kuchni, a jej synkowie powlekli się za matką z markotnymi minami. Inaczej to sobie wyobrażali. Nie spodziewali się takiej serdecznej reakcji ojca na widok niemal obcego człowieka. Nie mówiąc już o sympatii, jaką okazał jego cudzoziemskiej żonie i rozpuszczonym córkom, które nie dość, że nie były muzułmankami, to jeszcze nie miały nic wspólnego z ich jemeńską kulturą. Zadra zawiści wbita prosto w ich twarde serca od razu zaczęła jątrzyć ranę.

---

<sup>39</sup> *Umm* – matka.

<sup>40</sup> *Futha* – pas materiału zakładany przez mężczyzn w formie spódnicy w wiejskich rejonach Jemenu i w południowej Arabii Saudyjskiej.

## ROZDZIAŁ 9

### MIASTO Z PIERNIKA

Po kolejnej batalii z ambasadzkiem administracyjnym, który wypłakiwał się, że w budżecie nie ma pieniędzy na podróże, udało mi się zdobyć zgodę z MSZ na wyjazd do Jemenu. Ostatecznie mając już dość użerania się z upierdliwym rewidentem służbowych wydatków, który zajmował się wszystkim, tylko nie tym, co do niego należało, sam zrobiłem rezerwację hotelową i kupiłem bilet lotniczy. Wreszcie byłem gotowy do wyprawy. Cieszyło mnie, że przynajmniej na kilka dni opuszczę Rijad i zapomnę o niesnaskach i nerwach w pracy. Czekala mnie podróż do zupełnie obcego mi kraju i nie mogłem się doczekać, żeby poznać mieszkające tam osoby, które do tej pory kontaktowały się ze mną mailowo lub telefonicznie. Świadomość, że nie tak dawno temu toczyły się tam walki oraz że czekające mnie wyzwania nie będą należeć do najłatwiejszych i najbezpieczniejszych, pobudzała wydzielanie adrenaliny. Uwielbiałem ten stan.

Sytuacja, przynajmniej w stolicy, wydawała się w miarę stabilna, jednak widok, który po wylądowaniu ujrzałem przez iluminator, niezbyt napawał optymizmem. Pierwszy raz znalazłem się na lotnisku, które jednocześnie służyło do celów cywilnych i wojskowych. Świadczyły o tym wraki helikopterów, których rdzewiejące szczątki zakopane do połowy w piasku widoczne były wzdłuż pasa startowego. Z tyłu majaczyły kontury starych hangarów oraz złomowisko wszelakiego rodzaju sprzętu militarnego, głównie rosyjskiej produkcji. O tym, że nadal jest to czynne lotnisko wojskowe, pasażerowie przekonali się, zatrzymani w połowie drogi, by przepuścić grupę startujących migów.

Przejście przez odprawę również nie było pozbawione emocji. O ile kontrola paszportowa przebiegła nadspodziewanie sprawnie, o tyle

utknąłem przy odprawie celnej, która polegała na prześwietleniu wszystkich bagaży. Szczególne zainteresowanie wzbudził mój laptop konsularny, służący do pobierania linii papilarnych potrzebnych do wystawienia nowych paszportów. Długo musiałem tłumaczyć grubemu, brodatemu tajniakowi w cywilu, po co wiozę to urządzenie i jaki jest cel mojej wizyty. Niestety, ani mój paszport dyplomatyczny, ani oficjalne pisma poświadczające zasadność mojego przyjazdu nie robiły na nim wrażenia. W końcu sięgnął po krótkofalówkę, leżącą w kącie obok opartego o ścianę kałasznikowa, i wezwał przełożonego. Młody oficer w mundurze straży granicznej okazał się znacznie bardziej wyrozumiały i rozgarnięty. W lot pojął, o co chodzi. Promiennie uśmiechnął się, zwracając mi paszport oraz walizkę ze sprzętem. W końcu wyszedłem na zewnątrz.

Czekał już na mnie Mahmud Szeibani, który pełnił funkcję konsula honorowego Rzeczypospolitej Polskiej w Jemenie, ale jego rola sprowadzała się głównie do zapewnienia transportu i ochrony polskim dyplomatom po przylocie do jego ojczyzny. Niezaprzeczalnym atutem Szeibaniego były rodzinne powiązania z ekipą rządzącą prezydenta Ali Saleha, więc w razie potrzeby można było wykorzystać jego koneksje do pomocy w trudnych interwencjach konsularnych. Mahmudowi towarzyszyło dwóch ochroniarzy. Byli to masywni faceci, wyróżniający się wyglądem z tłumu Jemeńczyków nie tylko posturą, ale i strojem – ubrani byli w stylu europejskim, co należało tutaj do rzadkości. Wrzucili oni moje bagaże do stojącej na parkingu terenówki i ruszyliśmy do hotelu znajdującego się w pobliżu Starego Miasta.

– Tomku, jakie masz plany na dzisiejszy wieczór? – spytał Szeibani, gdy dojeżdżaliśmy. – Chciałbym cię zaprosić na kolację.

– Czy nie jest trochę za późno? – Nie chciałem ryzykować wyjścia po zmroku poza dobrze strzeżone rewiry.

– Rozumiem cię doskonale. Musisz przywyknąć do naszych warunków. – Miło się uśmiechnął i pokrzepiająco poklepał po plecach. – Jutro jest piątek, wolne, więc i tak z nikim się nie spotkasz i nie załatwisz żadnej sprawy. Może więc skoczmy na Stare Miasto za dnia? – niezrażony zaproponował.

– To zupełnie inna rozmowa – ucieszyłem się. – Nie mam zamiaru spędzać całego czasu w zapyziałych czterech ścianach.

Na tym urwała się nasza rozmowa, gdyż auto zatrzymano przed wjazdem do hotelu, by poddać je skrupulatnej kontroli bezpieczeństwa. Okazało się, że w bagażniku znajdują się karabiny automatyczne, należące do obstawy Mahmuda, więc strażnicy odmówili nam wjazdu. Sytuacja była dla mnie dość stresująca, mimo że byłem tylko świadkiem awantury.

– Broń jest konieczna do ochrony polskiego konsula! – podniesionym głosem wyjaśniali konwojenci.

– Z kałachami nie wolno! – na całe gardło ryczeli uparci wartownicy. – Nie ma mowy!

– Czyżbyś, matole, nie wiedział o uprowadzeniach dyplomatów dla okupu? – Konsul honorowy aż spurpurowiał na twarzy.

– Kiedy jest zakaz... – Porządkowi kruszeli, ale bardzo powoli.

– Jakiś czas temu porwano polskiego ambasadora!

– Ale...

Zapewne wieśniacy z prowincji czy miejscy biedacy nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. W ostateczności Szeibani sięgnął po telefon.

– Witamy jaśnie pana! – Przed główne wejście wybiegł okrągłutki kierownik hotelu i z rozpostartymi ramionami śmiesznie truchtał w naszą stronę. – Jakże się cieszymy!

Po raz pierwszy na własne oczy przekonałem się, jak rozległe układy ma mój opiekun i jakim cieszy się autorytetem. Szlaban został błyskawicznie podniesiony i bezproblemowo wjechaliśmy do środka.

W piątek rano siedziałem w kawiarni obok recepcji, delektując się wspaniałą jemeńską kawą z mlekiem, i czekałem na Mahmuda, przeglądając prasę.

– Skoro jesteś po śniadaniu, od razu jedziemy na zwiedzanie – tuż za plecami usłyszałem radosny głos Szeibaniego, który przybył w eskorcie tych samych ochroniarzy.

W niespełna pięć minut dojechaliśmy pod główną bramę Bab al-Jemen<sup>41</sup> i weszliśmy do ogrodzonej wysokim murem medyny<sup>42</sup>. Przyznam, że rzeczywistość przerosła moje wyobrażenia, choć wiele czytałem o historii i architekturze tego miejsca. Strzeliste budynki zbudowane z suszonej na słońcu cegły wyglądały jak starożytne drapacze chmur, gdyż niektóre miały nawet dziewięć pięter. Wszystkie ciemnobrunatne fasady pokryte były



misternymi zdobieniami z białego gipsu i wyglądały jak bożonarodzeniowe domki z piernika pokryte lukrem. Zwiedzanie rozpoczęliśmy od rynku zastawionego typowymi kramikami pełnymi rękodzieła, arabskich ciastek i chałwy, pachnących orientalnych przypraw oraz słynnych kadzideł. Przepychaliśmy się przez rozwrzeszczaną ciżbę handlarzy oraz kupujących. Idąc od straganu do straganu, jak w amoku co chwilę kupowałem jakiś rarytas. Niepostrzeżenie oddaliliśmy się od centrum i zagłębiliśmy w wąskie opustoszałe uliczki, gdzie domy-wieże przestały przypominać te prezentowane na zdjęciach w internecie czy w reklamowych broszurach. Tu toczyło się nie cukierkowe, ale normalne biedne życie. Zadowolony pstrykałem jedną fotkę za drugą i nie zważając na nic, podążałem przed siebie. Brnąc przez puste podwórka, na których piętrzyły się stosy gnijących, śmierdzących odpadów, i posuwając się wzdłuż popękanych, wałających się ze starości ścian, czułem się zupełnie inaczej. Prawdziwiej. Miejsce to nie dawało poczucia bezpieczeństwa i nawet najbardziej niefrasobliwy turysta nie powinien się w nie zapuszczać. Podążający za mną i konsulem honorowym ochroniarze mieli niewesołe miny i dawali nerwowe znaki, żeby zawrócić. W naszym kierunku zmierzała starsza kobieta spowita w czarną abaję. Na głowie niosła olbrzymi toból, który musiał być straszliwie ciężki, gdyż co chwilę przystawała i brała głębszy oddech, opierając się plecami o ścianę. Niespodziewanie stanęła tak niefortunnie, że nadepnęła na brzeg ciągnącego się po ziemi płaszcza i straciła równowagę. Pakunek spadł i z hukiem potoczył się po ziemi, a ona runęła jak długa na kamienny bruk. Niewiele się zastanawiając, podbiegłem, żeby jej pomóc. Nie zdążyłem nawet wyciągnąć ręki w jej stronę, gdy z górnego piętra ktoś wylał na mnie wiadro wody, po czym usłyszałem głuchy trzask zamykanych okiennic. Podniosłem głowę, jednak nikogo nie zauważyłem. Wszystkie, nawet najmniejsze lufty szczelnie osłaniały ażurowe drewniane żaluzje. Kamienica sprawiała wrażenie wymarłej. Nieoczekiwanie na wysokości pierwszego piętra w niewielkim otworze zabezpieczonym metalowymi prętami zamajaczyły dwie kędzierzawe dziewczęce główki. Dzieci zacisnęły pięstki na oddzielających je od świata sztabach i z zaciekawieniem na mnie spoglądały. Wyglądały jak więźniarki z utęsknieniem wypatrujące wolności. Zamierzałem do nich pomachać, ale zniknęły. Jakby nigdy ich tam nie było. Odeszła też kobiecina, która jakimś cudem się pozbierała i zarzuciwszy na głowę

tłumok, podążyła swoją drogą. Niezdecydowany i ogłupiały stałem w miejscu, gdy tuż przy moim uchu ze świstem przeleciał kamień.

– Wycofujemy się! – krzyknął poniewczasie Mahmud, który widać myślał, że wszędzie respektują jego mocne plecy. – Jesteśmy tu niechcianymi gośćmi.

Wskazał na bandę obszarpanych podrostków ciskających w nas kawałki pokruszonych cegieł. Chociaż nasi goryle robili, co mogli, a nawet osłaniali nas ciałami, poczułem piekący ból w okolicy skroni i ciepła strużka krwi spłynęła mi po szyi, wsiąkając w koszulę.

– Koniec zwiedzania! – warknął niezadowolony Szeibani, gdy dotarliśmy do głównego placu. – Nie trzeba było zapuszczać się w oddalone od szlaku turystycznego rejony.

– Gdybyśmy tam nie poszli, w życiu nie zrobiłbym takich unikalnych zdjęć i nie poznałbym prawdziwego charakteru miasta – tłumaczyłem podekscytowany, choć trochę nadrabiałem miną, gdyż skroń bolała mnie jak diabli, a nową koszulę z zakrzepłą krwią spisałem na straty.

– Wracamy do hotelu – zawyrokował Jemeńczyk. – Musisz się umyć i przebrać, żeby nie wzbudzać podejrzeń policji. Na dziś starczy już tych emocji. Jeszcze mi brakuje, żeby cię aresztowano.

Nasza terenowa toyota stała na parkingu w pełnym słońcu, a w środku panował nieznośny zaduch. Usiadłem z konsulem z tyłu, a jego ludzie zajęli przednie siedzenia. Jechaliśmy w milczeniu z twarzami umorusanymi potem i pyłem, a na naszych ubraniach widniały brunatne smugi od kawałków cegieł, które nas dosięgły. Zanim kierowca zdążył opuścić drogę dojazdową prowadzącą na Stare Miasto, monotony gwar uliczny przeszył donośny odgłos eksplozji. Szyby w naszym aucie zdrząły, a ciśnienie zatkało nam uszy. Przez moment nie słyszeliśmy niczego poza szumem. Nad dużym parkingiem, gdzie jeszcze nie tak dawno stał nasz wóz, unosiła się czarna chmura gęstego dymu. Po chwili doszły do nas krzyki i wycie syren. Zamarliśmy w przerażeniu.

– Nic tu po nas! – zawyrokował Mahmud. – Odstawimy cię bezpiecznie, a potem zorientujemy się, co się stało.

Jakimś cudem dowlekliśmy się do bezpiecznego hotelu, gdyż krążące karetki pogotowia, straż pożarna i samochody policyjne blokowały ruch, mając bezwzględne pierwszeństwo. Recepcję oblegali turyści wpatrzeni w duży ekran telewizora. Pomimo zgromadzonego tłumu panowała

śmiertelna cisza. Wszyscy wsłuchiwali się w głos dziennikarza CNN, który grobowym głosem zdawał relację z miejsca zamachu. Podał, że do ataku przyznała się miejscowa komórka Al-Kaidy. Terrorysta samobójca wysadził się w samochodzie tuż przed główną bramą Starego Miasta. Zginęło osiem osób, a piętnaście w ciężkim stanie odwieziono do szpitala. Nikt z cudzoziemców nie ucierpiał.

– To zakrawa na bratobójczą walkę – stwierdził smutno Szeibani. – Zwolennicy Osamy bin Ladena z nikim i z niczym się nie liczą. Zaślepieni swoją wypaczoną wiarą, zabijają z taką samą gorliwością Arabów, jak cudzoziemców.

– Gdyby nie to, że nierozważnie zagłębił się w ciemne zaułki i spotkali się na swej drodze agresywną bandę, być może znaleźliby się w epicentrum wybuchu – wyciągnąłem jedyny nasuwający się w tych okolicznościach wniosek.

– Wszystko w rękach Allaha! – z namaszczaniem wygłosił mój rozmówca, wznosząc oczy ku niebu. – Dzięki niech będą, że tak pokierował naszymi krokami!

– Jasny gwint! – Jeszcze bardziej się zdenerwowałem. – Jutro mam spotkanie z Polkami w dzielnicy Haddah. Co ja teraz zrobię?! A jak będą blokady na drogach? Jak tam się dostanę?

– Moim obowiązkiem jest zapewnić ci bezpieczny pobyt i transport w Sanie – uspokajał mnie Mahmud. – Nic się nie martw.

Szeibani wraz ze swoją obstawą opuścił lobby, a ja skryłem się w swoim pokoju. Wziąłem gorący, niemal wrzący prysznic, by zmyć z siebie brud, ale też nadmiar wrażeń. Pomimo to ciągle chodził mi po głowie widok staruszki leżącej na chodniku, fruujących kamieni i wreszcie terrorystyczny atak. Telewizyjny komunikat o zabitych i rannych był bezduszny i oziębły. Sucha relacja. Czy ktoś w dalekiej spokojnej Europie czy Ameryce zdaje sobie sprawę, ile bólu i cierpienia niesie ze sobą taki akt? Ile kosztuje walka o przeżycie i jak wielkie są męczarnie ciężko poparzonych czy pozbawionych kończyn? Dla dalekich widzów będą to bezosobowe dane i nawet nie przejdzie im przez myśl, jak będzie wyglądać przyszłe życie ofiar, jeśli uda im się uniknąć śmierci.

Willa Małgosi, nieoficjalnej liderki jemeńskiej Polonii, znajdowała się na osiedlu zamieszkanym przez zamożną klasę średnią, biznesmenów i pracowników rządowych. Jej mąż Ribat był zatrudniony w ministerstwie wody i środowiska na wysokim kierowniczym stanowisku. Dzięki temu stać ją było na prowadzenie otwartego domu i goszczenie pań, które nierzadko żyły w wielopokoleniowym skromnym lokum, zdane na łaskę lub niełaskę arabskiego teścia lub, co gorsza, uprzykrzającej życie teściowej. Były one głównymi beneficjentkami pomocy finansowej płynącej z MSZ przez naszą ambasadę. Ich liczne potomstwo zazwyczaj nie posiadało żadnych polskich dokumentów, co stwarzało poważny problem w przypadku nagłej konieczności wyjazdu do Europy, gdyż dla mieszkańców tej części globu dostanie wizy Schengen granoczyło z cudem.

Dotarłem na spotkanie punktualnie i w progu przywitała mnie gospodyni, która serdecznie zaprosiła do środka za wysoki na trzy metry mur. Przeszliśmy przez małe podwórko i znaleźliśmy się w olbrzymim salonie, z którego kręcone marmurowe schody prowadziły na piętro. Panie siedziały wokół podłużnej ławy zastawionej półmiskami z ciastkami, tortami i filiżankami z herbatą. Panował niewyobrażalny harmider, gdyż rozbrykane dzieci Polek świetnie się bawiły. Maluchy, z buziami usmarowanymi kremem waniliowym, siedziały na dywanie i na rozrzuconych kartkach rysowały jakieś bohomazy. Starsze ślizgały się po wypolerowanej podłodze, konkurując, kto dalej pojedzie. Śmiechy i ryki mieszały się z płaczem i okrzykami bólu. Jednemu łobuziakowi pocięła krew z nosa, inny toczył walkę o samochódzik, a niesforne dziewczynki wyrywały sobie lalki, przenikliwie przy tym piszcząc. Taką cenę płaciły Polki za chwilę wolności i spotkanie z rodaczkami na neutralnym gruncie, bo gdyby nie zabrały ze sobą swojego przychówku w roli przyzwoitek, ich jemeńscy mężowie nigdzie by ich nie puścili.

Po blisko czterech godzinach zmagania ze znikającym internetem, co było spowodowane przerwami w dostawie prądu i przechodzeniem na pracę awaryjnego generatora, udało mi się pobrać linie papilarne wszystkim, którzy aplikowali o nowe dokumenty podróży. Wydałem zasiłki kobietom pilnie potrzebującym wsparcia materialnego i wręczyłem paszporty tymczasowe dla maluchów wydrukowane jeszcze w Rijadzie. Oprócz tych wszystkich formalności miło z nimi pogadałem i przy okazji udzieliłem paru porad, choć i tak one lepiej wiedziały, jak się poruszać

w muzułmańskim świecie. Gdy spotkanie dobiegło końca, mężowie przyjechali po swe połowice i umordowane dzieci. Niezbyt byli zadowoleni z ich samowolki i żaden nie wszedł do środka, żeby się przywitać. Niebawem zostałem sam z Małgosią, a po chwili dołączył do nas jej mąż. Siedzieliśmy, pijąc kawę w salonie, który teraz bardziej przypominał pobojuwisko niż część reprezentacyjną tego eleganckiego domu.

– Podobnie wygląda za każdym razem – westchnęła gospodyni. – Chociaż nie narzekam, przynajmniej w ten sposób mogę pomóc rodaczkom. Nie każda miała tyle szczęścia, co ja, żeby się związać z dobrym i nowoczesnym, ale też majątnym człowiekiem. – Popatrzyła czule na Ribata i dyskretnie dotknęła jego dłoni.

– Nie zawsze tak dobrze nam się wiodło – przypomniał jej towarzysz. – Jednak ostatecznie los się do nas uśmiechnął i stanęliśmy na nogi.

– Większość Jemeńczyków, którzy ożenili się z Polkami, to wprawdzie inżynierowie, ale niezbyt ogarnięci faceci – naświetlała mi sytuację Małgosia. – Wszyscy są po stypendiach nad Wisłą, gdzie poznali swoje żony, ale albo odeszli z zawodu i próbowali ze zmiennym szczęściem się w biznesie, albo łapali się dorywczych prac, żyjąc z dnia na dzień.

– Znam też takich, którzy zupełnie nie przejmują się swoją rodziną. – Gospodarz był obiektywny w stosunku do swoich rodaków. – Patentowane lenie spędzają czas ze swoimi koleśkami na bezproduktywnym siedzeniu na plastikowych krzesłach przed domem. Plotkują lub grają w karty, a do tego bez przerwy żują *khat*<sup>43</sup>. Takich nie mam zamiaru wspierać, gdyż każdego riala<sup>44</sup> wydadzą na używki.

– Dlaczego nie pojawiła się Zuzanna Anejzi? – spytałem zaniepokojony. – Informowała mnie mailowo o podobnych kłopotach z mężem i prosiła o pomoc w powrocie do Polski.

– Dzwoniła dzisiaj rano i prosiła, żeby ją usprawiedliwić. – Małgosia zrobiła krzywą minę. – Biedaczka sądziła, że jak jej chłopca wsadzili do więzienia za przemyt haszyszu, to uda jej się stąd uciec. Nic bardziej mylnego. Szwagier oznajmił jej, że odtąd w zastępstwie jej ślubnego on będzie się nią opiekować i prędzej ją zabije, niż pozwoli opuścić Jemen. A już na pewno nie z maluchami. Wczoraj, gdy mu powiedziała o spotkaniu z konsulem, tak ją pobił, że nie mogła ruszyć się z bólu, dlatego nie dotarła.

– Niezły kanał! – Ciężko mi się zrobiło na sercu. – Sądowe sprawy rodzinne nawet w Polsce trwają latami, chociaż u nas można przynajmniej

dochodzić sprawiedliwości. Tutaj zaś nikt się nie liczy ze zdaniem kobiety, bo traktuje się ją jak przedmiot, a nie osobę. W przypadku Zuzanny jak przedmiot przekazywany z rąk do rąk.

– W tej kwestii przydałby się mediator. Bez niego nic nie wskórasz, bo nikt z kimś z zewnątrz nie będzie chciał rozmawiać – uświadomił mnie Ribat.

– Czyli ja nie mogę interweniować? – trochę się obruszyłem.

– Umiesz dobijać arabskiego targu? Sprzedawałeś kiedyś wielbłądy? A może owce?

– No nie... Ale co to ma do rzeczy?

– Żeby Zuzkę wyrwać z łapsk tej rodziny, trzeba będzie złożyć im stosowną ofertę.

Wybałuszyłem oczy i zaniemówiłem. W głowie mi się to nie chciało pomieścić.

– Toż to handel żywym towarem!

– Dlatego nie każdy czegoś takiego się podejmie, nie wspominając, że wymaga to czasu i znajomości.

– Mógłbyś mi pomóc? – spytałem bez ogródek, skoro już tak szczerze rozmawialiśmy. – Znasz jej męża jeszcze z czasów studenckich. Zapewne braci, ojca, męskich pociotków również.

– Jeśli się w to zaangażuję, czy mogę liczyć na rewanż?

Zaskoczył mnie tym pytaniem. Nie spodziewałem się, że jest takim wyrachowanym człowiekiem.

– Jeśli tylko będzie to możliwe i zgodne z prawem – odparłem, gorączkowo zastanawiając się, co takiego może ode mnie chcieć.

– Właściwie to bardziej prośba mojego przyjaciela niż moja. Ja jestem tylko pośrednikiem.

– Jakież to arabskie! – Nie zdziwiło mnie to, bo już dawno przyzwyczałem się do tego typu zachowań. – A więc o co chodzi?

– Najlepiej, jakby on sam ci to wyjaśnił – zasugerował, a wtajemniczona Małgosia tylko ścisnęła usta. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, możemy do niego podskoczyć w każdej chwili.

– Dzisiaj już jest późno i zaraz przyjedzie po mnie konsul honorowy. – Postawiony pod ścianą, starałem się zebrać myśli. – Jutro zaś wracam do Rijadu. Jedyna rada to spotkać się z nim w drodze na lotnisko.

– Zgoda! – wykrzyknął ucieszony Ribat i uściskał mnie serdecznie. – Odbiorę cię z hotelu.

Następnego dnia, gdy tylko się wymeldowałem, zauważyłem czekających na mnie Małgosię i Ribata. On był ubrany na modłę europejską w przewiewny garnitur, a ona w przepisową czarną abaję, jak przystało na posłuszną i skromną żonę Jemeńczyka. Ubiór ten, choć pozbawiał kobietę osobowości i skrywał jej charakter, sprawiał też, że stała się nietykalna i nie wzbudzała zbytniego zainteresowania osób postronnych. Oczywiście pod warunkiem, że znajdowała się pod opieką *mahrama*, bo samotna, nawet gdyby była ubrana w zgrzebny worek, zawsze narażała się na seksistowskie zaczepki, gwizdy czy obleśne cmokania napalonych arabskich samców.

Szybko się przywitaliśmy i nie tracąc czasu, udaliśmy się do samochodu.

– Mój znajomy mieszka w pobliżu Starego Miasta – poinformował Ribat.  
– Zobaczysz, jaki piękny widok roztacza się z jego domu.

– Przecież wczoraj doszło tam do eksplozji.

– Spokojnie, nic złego nam się nie przydarzy. Bomby nie wybuchają dwa razy w tym samym miejscu – uspokoił mnie z uśmiechem.

– Najważniejsze, żebym zdążył na samolot – zaznaczyłem spięty, gdyż denerwowałem się na samą myśl, co by było, gdybym spóźnił się i przedłużył pobyt w Sanie o kolejny dzień. – Jutro koniecznie muszę być w Rijadzie, gdyż szef wyznaczył mnie do opieki nad delegatami z MSZ, którzy przylatują do nas z Warszawy.

– Wizyta nie potrwa długo – uspokajał mnie. – Gwarantuję ci, że będziemy przed czasem i zdążysz jeszcze wskoczyć do palarni na dymka.

Wspomnienie wczorajszego zamachu oraz świadomość, że jedziemy w pobliże tego miejsca, sprawiły, że czułem niepokój, lecz widok krążących wokół patroli wojskowych wkrótce mnie uspokoił. Placu przed głównym wejściem Bab al-Jemen strzegły dwa pick-upy zwieńczone wieżyczkami karabinów maszynowych. Ruch był znacznie mniejszy niż zazwyczaj, chociaż życie powoli wracało do normy i zewsząd słychać było nawoływania sprzedawców, którzy jak co dzień otworzyli swoje kramy.

Kiedy tylko weszliśmy do domu-wieży, w korytarzu czekał już na nas przyjaciel Ribata.

– Poznaj Wadięgo Dachidza.

Uścisnąłem dłoń szczupłego nerwowego mężczyzny o spiętej twarzy.

– Zanim przejdę do rzeczy – powiedział słabym głosem Jemeńczyk – chciałbym, żebyś kogoś zobaczył.

Ruszył przodem, prowadząc mnie do dużego pokoju z zasuniętymi zasłonami, który oświetlała słaba lampka. W rogu znajdowało się szpitalne łóżko, w którym tkwił wymizerowany chłopczyk z poszarzałą, wykrzywioną grymasem bólu buzią. Obok stał rejestrujący funkcje życiowe monitor i stojak z kroplówką podłączoną do wenflonu wbitego w chudą dłoń dziecka.

– To mój syn Junis – wyszeptał z goryczą zrozpaczony ojciec i delikatnie poprawił poduszkę pod głową chorego. – Cierpi na przewlekłą białaczkę i tylko przeszczep szpiku kostnego może go uratować.

– Jakże mam panu pomóc? Przecież nie jestem lekarzem.

– Nawet nie zdaje pan sobie sprawy, jak bardzo może się przyczynić do jego wyzdrowienia. – Mężczyzna tłumił łzy. – Chodźmy na górę, to wszystko dokładnie wytłumaczę.

Siedliśmy na balkonie i w milczeniu przez chwilę paliliśmy papierosy. Tak jak Ribat zapowiedział, przed nami roztaczała się przepiękna panorama Starego Miasta. Jednak nie to zaprzętało nasze myśli.

– Jesteśmy majątną rodziną i nie szczędziliśmy pieniędzy na terapię naszego chłopca – rozpoczął Wadi. – Zrobiliśmy, co w naszej mocy, by wyleczyć Junisa, jednak wszystko zawiodło. Jego ostatnią szansą jest transplantacja.

– Nadal nie widzę mojej w tym roli.

– Znaleźliśmy dawcę i opłaciliśmy operację we Frankfurcie.

– Na czym więc polega problem? – dopytywałem niecierpliwie, bo niestety nie miałem zbyt wiele czasu.

– Żaden konsul z Unii Europejskiej nie chce nam dać wizy – doszedł wreszcie do sedna sprawy.

– Byliście u Niemców? – sondowałem, bo sytuacja wydawała się kuriozalna, lecz ojciec umierającego niemo potwierdził. – Macie dokumentację medyczną i zgodę szpitala na zabieg?

– Oczywiście! Jakżeby inaczej? Włosi, Francuzi i Brytyjczycy też się na nas wypięli.

– Czegoś tu nie rozumiem... – zastanawiałem się na głos. – Twierdzisz, że wykupiłeś horrendalnie drogie leczenie ratujące życie i odmówiono wam



wizy? Jakże to jest możliwe?!

– Nie widzisz, co się dzieje w Jemenie?! – wybuchnął, tracąc panowanie nad sobą. – Jesteśmy oskarżani o wspieranie terroryzmu. Każdy jeden obywatel mojej ojczyzny według Zachodu jest potencjalnym terrorystą, bo Al-Kaida zaczęła się tu panoszyć jak u siebie, czego przykładem jest wczorajszy zamach. Teraz nikt nie odważy się dać wizy Jemeńczykowi, przynajmniej nie w tej chwili, a tu liczy się czas. Każdy dzień zwłoki to kolejny gwóźdź do trumny.

– Miałbym wystawić wam polską wizę Schengen, chociaż nie zamierzacie tam w ogóle pojechać, a waszym jedynym celem są Niemcy?

– Proszę! Błagam! – Złożył ręce jak do modlitwy, a ja bałem się, że zaraz przede mną padnie na kolana. – Jesteś naszą ostatnią deską ratunku – jęczał, a łzy cicho spływały mu po zapadniętych policzkach. – To jedyna szansa dla mojego kochanego dziecka.

– Niech to licho porwie! – podjąłem decyzję bez chwili zastanowienia. – Daj mi wasze paszporty i wnioski wizowe.

– Niech Allah ma cię w swojej opiece – cicho wymamrotał i spojrzał na mnie z taką wdzięcznością, że aż zrobiło mi się głupio.

– A ja ci życzę, żeby twój synek wyzdrowiał.

---

<sup>41</sup> Bab al-Jemen – Wrota Jemenu.

<sup>42</sup> Medina – miasto; stare miasto.

<sup>43</sup> *Khat* – gatunek zimozielonej rośliny o działaniu podobnym do amfetaminy. Silnie uzależnia i może powodować halucynacje.

<sup>44</sup> Rial – jednostka monetarna Jemenu, dzieli się na 100 filsów.

## ROZDZIAŁ 10

### RADOŚĆ OJCA

Dla przyzwyczajonej do luksusowego londyńskiego apartamentu Zosi warunki bytowe w domu szejka Nadżiba zaliczały się do isticie spartańskich. Chociaż był to najznakomitszy budynek w tej i wszystkich okolicznych wioskach, nigdzie nie doprowadzono bieżącej wody. W tych zagubionych w górach osiedlach nikomu nie śniło się o przyłączach wodociągowych. Kobiety nosiły ją w wiadrach z pobliskiej studni. Z tyłu gmachu znajdowała się ubikacja, która poniekąd przypominała polską sławojkę, bo była to drewniana budka. Tylko tu nie uświadczyło się muszli klozetowej z deską do siedzenia, a jedynie zamontowano na poziomie posadzki ceramiczną misę z podstawkami na stopy i z dziurą, nad którą się kucało. Śmierdziało tam straszliwie, a okrutna woń niosła się dookoła na parę metrów.

Na domiar złego Zubeida ulokowała Samira z rodziną w jego dawnym pokoju z lat dziecięcych, choć pustych pomieszczeń w części domu należącej kiedyś do jego matki Dżamili było bez liku. Wszystkie jednak zamknięte na klucz. Nie było to zbyt przestronne lokum i znajdowało się tam jedynie wąskie łóżko, na którym rodzice postanowili układać do snu swoje dzieci, a sami korzystać z rozłożonych na podłodze materaców. W dodatku, aby tam się dostać, należało mozolnie wspiąć się wąską kamienną klatką schodową, gdyż znajdowało się na najwyższej kondygnacji tej kilkupiętrowej wieży z cegieł. Jednak bezsprzeczną zaletą sypialni było to, że posiadała bezpośrednie wyjście na dach, skąd rozpościerał się malowniczy górski widok.

Wieczorem zgodnie z poleceniem leciwego szejka wszystko było gotowe do podjęcia licznych gości. Zosia wystroiła się w orientalną szatę, którą podarowała jej macocha Samira. Aksamitna suknia bogato wyszywana srebrną nicią ogromnie ją zaskoczyła. Nigdy by nie sądziła, że pod

ohydnym czarnym płaszczem tutejsze kobiety skrywają tak szykowne fatalaszki. Dla dziewczynek przygotowano kolorowe tiulowe sukienki ozdobione cekinami, w których małe psotnice wyglądały jak księżniczki. Z kolei Samirowi ojciec przekazał tradycyjny jemeński strój z nieodłącznym szalem, który – owinięty na głowie – tworzył rodzaj turbanu, i oczywiście niezbędny atrybut męskości, dzambiję w pochwie umieszczonej na kunsztownie wykonanym szerokim, misternie haftowanym pasie.

– Zupełnie się nie czuję w tym przyodziewku – stwierdził Samir, strojąc śmieszne miny i dla hecy udając groźnego wojownika z ostrym kindziałem w rękę. – Nie pamiętam już, kiedy coś takiego miałem na sobie. Odnoszę wrażenie, jakbym cofnął się w czasie.

– Zrób przyjemność swojemu staruszkowi – namawiała całkiem odmienionego męża żona. – Traktuj to jak odskocznię od naszego trochę nazbyt ułożonego życia. Taka przygoda nam nie zaszkodzi. Za chwilę wrócimy do zwyczajnej, komfortowej, a zarazem zamglonej i deszczowej rzeczywistości i nie wiadomo, czy jeszcze kiedyś zobaczysz i papę, i tę wioskę.

– Może masz i rację – zgodził się. – Ubrany po europejsku, wyglądałbym śmiesznie wśród tych urodzonych zabijaków, którzy nie tylko mają noże zatknięte za pasem, ale przede wszystkim trzymają giwery na podorędziu. W tym przebraniu z bólem, ale może jakoś zaakceptują moją osobę. Ojciec jak zwykle wiedział, co robi.

– Moja sukienka też jest niczego sobie.

Zosia okręciła się w kółko, aż dół jej kreacji podniósł się, odsłaniając zgrabne łydki.

– My też pięknie wyglądamy w nowych kieckach – zawtórowała jej rozbawiona Marysia, naśladując dzikie płasy mamusi.

– Niech żyje babcia Zubeida! – krzyknęła Ahlam, dołączając do wygłupów.

Gdy dziewczyny beztrósco oddawały się radosnej zabawie, drzwi gwałtownie się otworzyły i do środka wparowała macocha. Widząc matkę z córkami wywijającą na środku pokoju szalone hołubce, skrzywiła się z niesmakiem, lecz zanim ktokolwiek to zauważył, przyoblekła twarz w wymuszony uśmiech i rozpostarła ramiona w udawanej życzliwości.

– Prawie wszystkie panie zebrały się już w damskim salonie. Jedynie was jeszcze tam nie ma, moje drogie – powiedziała przymilnie po arabsku, wskazując na drzwi, a Zosia domyśliła się, o co chodzi. – Zapraszam! Chodźcie, a ty, Samir, też się pośpiesz. Ojciec czeka na ciebie wraz z innymi gośćmi w *mafradzu*<sup>45</sup>.

Dziewczynki z piskiem podbiegły do swojej przyszywanej babci, złapały ją za ręce i pociągnęły do wyjścia. W trójkę zgodnie pomaszzerowały korytarzem.

– Nie przejmuj się – Zosia pocieszała męża skwaszonego obłudną pozą Jemenki, zabawnie puszczając do niego oczko. – Pamiętaj, że i tak ich wszystkich kasujesz nie dość, że swoją aparycją, to intelektem i stanowiskiem, nie wspominając o majątku. Tego oszołoma Ismaila staraj się ignorować i nie daj mu się podpuścić. Wszystko będzie dobrze. – Ucałowała go czule i podążyła za córeczkami.

– Zapewne spotkamy się grubo po północy, bo takie imprezki szybko się nie kończą – krzyknął za nią Samir i z ciężkim westchnieniem poczłapał do sali, gdzie parę dziesiątek górali wyglądało ziomka z dalekiej Europy.

Zosia nie mogła się nadziwić strojom i zachowaniu kobiet, które wiedząc, że w pobliżu nie ma obcego mężczyzny, z odsłoniętymi radosnymi twarzami z apetytem pałaszowały wyszukane dania przygotowane przez Zubeidę. Niektóre miały kreacje bardziej fantazyjne, inne skromniejsze. Jednak każda z dumą nosiła misterną arabską biżuterię, którą zapewne otrzymała w posagu. Panie wesoło plotkowały i śmiały się beztrudnie, starając się nie myśleć o codziennych kłopotach i trudach wiejskiego życia. Usiłowały choć na moment zapomnieć o ich zdominowanej przez mężczyzn egzystencji, którzy decydowali o wszystkim, począwszy od ich ubioru, fryzury czy nawet jedzenia, a skończywszy na losie ich córek.

Wnet uprzątnięto rozłożone na podłodze tace z resztkami, wniesiono szisze i rozbrzmiała arabska muzyka. Jemenki oparły się na miękkich poduchach i wypuszczały kłęby aromatycznego gęstego białego dymu. Przy bulgocie fajek wodnych relaksowały się po obfitym posiłku. Każda miała ze sobą niewielki woreczek, z którego wyciągała drobne zielone listki i wkładała je do ust, by długo przeżuwać. Zgodnie ze zwyczajem trzymały

to zielsko pod jednym z policzków, formując z niego kulkę. Niebawem wyglądały, jakby włożyły tam piłeczkę pingpongową.

– Co wy mamlacie? – zainteresowała się Zosia, pytając siedzącą obok niej Zubeidę, która miała wydętą jak u chomika twarz i dodatkowo chciwie zaciągała się papierosem.

Gdy ta niczego nie zrozumiała, pokazała palcem na jej twarz.

– To są liście *khatu* – wyjaśniła z szelmowskim uśmiechem, pomagając sobie gestem. – Chcesz spróbować?

Podsunęła jej pod nos zielone zielsko.

– Dziękuję, raczej nie. Tego typu używki nigdy mnie nie pociągały – odmówiła przyjezdna, żywo przy tym machając rękami.

Po migowej rozmowie ze swoim gościem Zubeida wstała i z uśmiechem na ustach podeszła do siedzącej nieopodal grupy trajkoczących bab. Atmosfera stawała się coraz bardziej swobodna, a rozmowy i śmiech biesiadniczek zagłuszała głośna muzyka. Zdominowana rytmem bębnów i zawodzeniem piszczałek melodia poderwała niektóre młode do tańca. Marysia i Ahlam, siedzące w kącie z innymi dziewczynkami wystrojonymi jak małe modelki, też zaczęły podrygiwać. Uwagę Zosi przykuła trzymająca się na uboczu piękność, która wyglądała na jej rówieśnicę. W przeciwieństwie do Polki była bardziej krzepka i zaokrąglona, zwłaszcza w okolicy bioder, ale tutaj to chyba taka norma. Zachowywała się wyzywająco. To wskakiwała na środek pokoju i oddawała się szaleńczym pługom, to wracała do swojego samotnego legowiska i wsparta na poduchach, odpalała papierosa od papierosa. Najwidoczniej była na cenzurowanym, gdyż matrony, do których dosiadła się Zubeida, krytycznie na nią spoglądały i z wypiekami na twarzach szeptały między sobą. Pewnie ją obgadują, pomyślała Zosia i od razu przyszło jej na myśl, że ona sama też musi wzbudzać negatywne emocje u tych przykładnych jemeńskich żon. Ciekawiła się, co mówią na jej temat. Pewnie nie zostawiły na mnie suchej nitki, zaśmiała się w duchu, zadowolona, że to na szczęście krótka wizyta i lada dzień się stąd wyniesie.

Muzyka nabrała tak porywającego tempa, że nawet Zosia musiała się opanowywać, żeby nie rzucić się w tan. Lekceważąc zgorszenie, jakie wywoływała wśród współbiesiadniczek, wyzwolona wieśniaczka ponownie wyskoczyła na środek i zaczęła kręcić głową z taką werwą, że jej długie czarne włosy utworzyły coś na kształt parasola. Wreszcie się zatrzymała

i jak pijana na płaczących się nogach udała na swoje miejsce. Opadła jak bela na miękki materac i z ukosa spojrzała na samotną cudzoziemkę, która przyglądała jej się z zainteresowaniem. Ich spojrzenia się skrzyżowały i Zosia się speszyła, że została przyłapaną na tym, jak się na nią gapi. Najwidoczniej tamtej to nie przeszkadzało, gdyż machnęła do niej przyjaźnie, zachęcając, żeby się do niej dosiadła.

Nie wiadomo, czy to za sprawą *khatu*, czy ośmielona tym, że rozmawia z kimś spoza wioski, dziewczyna się otworzyła. Z jej ust wylał się potok słów i jak to tylko kobiety potrafią, w kilka minut streściła całe swoje życie. Na imię miała Hanan i skończyła studia w Sanie, dlatego знаła dość biegle angielski i mogła się porozumieć z nową koleżanką. Wyszła szczęśliwie za mąż i wszystko się dobrze układało do momentu, kiedy zaszła w ciążę. Pierwsze dziecko poroniła. Potem znów była brzemienna i powiła córeczkę, która wkrótce zmarła. Po powikłaniach ciążyowych lekarze stwierdzili, że nie może już mieć dzieci. To za bardzo nie zmartwiło jej męża. Błyskawicznie się z nią rozwiódł i odesłał do jej rodziny w Tanaamie. Potem wziął sobie inną żonę, która po dziewięciu miesiącach urodziła mu zdrowego syna, tym samym udowadniając jego stuprocentową męskość. Teraz Hanan jako rozwódka i na dokładkę bezpłodna w tutejszym świecie traktowana jest jak ułomna. Nie ma żadnych szans na znalezienie męża i jest zdana na łaskę i niełaskę swojego ojca.

– Któż będzie się chciał związać z jałową kobietą z odzysku? – smętnie zakończyła swoją przygnębiającą opowieść.

– Wciąż jesteś młoda i atrakcyjna – pocieszała ją Zosia. – Na pewno jakoś sobie ułożysz życie i spotkasz wyrozumiałego mężczyznę, który znajdzie spełnienie u twojego boku.

– W tej wiosce, gdzie nawet nie ma bieżącej wody? – Gorzko się zaśmiała. – Jaka ty jesteś naiwna! To nie Londyn, gdzie nawet leciwe i brzydkie jak noc babony łapią ciepłego wdowca lub zdesperowanego starego kawalera.

– Możliwe, że nie rozumiem waszych problemów, ale widzę otaczające nas kobiety. – Wskazała wzrokiem na towarzystwo. – Śmieją się i beztrudno pytają, co świadczy o tym, że są w miarę szczęśliwe.

– One?! – ryknęła gardłowym śmiechem Hanan. – Ta gruba obok Zubeidy jest wdową z trójką dzieci. Szwagier zagarnął całą ziemię jej męża i z łaski ich utrzymuje, żeby nie pomarli z głodu. Ślubny następnej wyjechał rok

temu do pracy w Arabii Saudyjskiej i do tej pory ani nie wrócił, ani nie posyła jej pieniędzy. Pewnie znalazł tam sobie nową żonę i wysrał się na nią. Kobita siedzi na garnuszku u teściów, ale nie wiadomo, jak długo ją będą znosić. Możliwe, że skończy na ulicy jako żebraczka. Mogłabym tak wymieniać bez końca, bo przeważnie nasi faceci leją swoje żony, często biorą sobie młodsze, a stare traktują jak służące w domu, który latami wspólnie wznosili.

– Nie ma tutaj ani jednej, której by się powiodło? – spytała zdeorientowana Zosia.

– Znalazłoby się kilka – odparła z namysłem – lecz większość klepie biedę i zmuszona jest od świtu do nocy harować w polu. Ciężka praca w piekącym słońcu powoduje, że mimo młodego wieku wyglądają jak zasuszone staruszki lub raczej mumie. Takie jest życie przeciętnej jemeńskiej kobiety. Na świecie wszyscy użalają się nad Saudyjkami, a nie pomyślą o nas. To przede wszystkim my jesteśmy pozbawione szans na edukację i opiekę zdrowotną, a na domiar złego przez naszych durnych bezwzględnych chłopów wykorzystywane i traktowane jak przedmiot, z którym mogą zrobić, co im się żywnie podoba.

– Te chichoty i wesołe rozmowy są udawane? – zdziwiła się Zosia.

– Może nie tyle udawane, ile raczej stanowią tarczę ochronną. Znosimy katusze w samotności i nie chcemy wyjawić innym, jak ciężka jest nasza dola. To dla każdej jest straszny wstyd.

– Nie miałam pojęcia o waszym cierpieniu. – Bardzo im współczuła.

– Są wśród nas wyjątki. – Hanan tajemniczo ściszyła głos. – Na przykład twoja teściowa Zubeida. Strzeż się jej i nie daj się omamić gładkim słówkom. To niebezpieczna żmija – ostrzegła z poważną miną. – Potrafi jak nikt inny manipulować mężczyznami i zawsze dostaje to, czego zapragnie.

W sąsiednim wysokim budynku, przylegającym do tego, w którym zebrały się kobiety, w znajdującym się na najwyższym piętrze *mafradżu* bawili się mężczyźni. Spotkanie rozpoczęło się od pokazów tanecznych młodzieńców, którzy poruszali się w rytm bębnów z obnażonymi dwiema dżambijami trzymanymi po jednej w każdej dłoni. Trudność polegała na tym, żeby kucnąć na jednej nodze, a pod drugą podniesioną skrzyżować ostre sztylety, wydające przy tym metaliczny dźwięk. Z minuty na minutę



występ stawał się coraz trudniejszy, gdyż wybijany rytm przyśpieszał. Wymagało to nie lada zręczności, żeby nie skaleczyć uda, pod którym śmigają noże.

Samir zawsze zazdrościł odwagi śmiałkom. Sam, jeszcze jako mały chłopiec, nigdy się nie zdobył, żeby popróbować tego tańca, w którym Ismail był mistrzem. Tym razem, gdy jego przyrodni brat zakończył niebezpieczne popisy, obyło się bez tradycyjnych kpin, na jakie był narażony w dzieciństwie.

Po tym ekscytującym muzyczno-zręcznościowym preludium służba wniosła półmiski z jedzeniem. Zgromadzeni mężczyźni rzucili się na nie, jakby umierali z głodu. Po posiłku rozłożyli się wygodnie na materacach, wspierając się na poduchach, i podobnie jak kobiety balujące za ścianą relaksowali się, żując *khat* i paląc sziszę. Jeden z bliźniaków, Adel, wyciągnął garść zielonych listków z woreczka, który miał przy pasie, i podał Samirowi.

– Koniecznie musisz tego spróbować. To daje takiego samego kopa jak amfetamina, lecz jest łagodniejsze i zdrowsze, bo naturalne. Czujesz się po tym, jakbyś był wolny jak ptak i mógł w każdej chwili unieść się w powietrze – powiedział, ciesząc się ze swojej elokwencji.

– Nigdy nie brałem żadnych narkotyków ani innych dopalaczy – nieśmiało odmówił prawnik, wiedząc, że popełnia towarzyskie *faux pas*<sup>46</sup>.

– Daj spokój panu mecenasowi – zgromił brata Ismail, strojąc ironiczne miny. – To rozrywka dobra wyłącznie dla nas, wieśniaków i prymitywów.

– Nie czepiajcie się Samira – wtrącił się ojciec. – Nie jest przyzwyczajony do naszego życia. To zapewne dla niego ogromny szok nagle znaleźć się w kraju swojego dzieciństwa po tylu latach spędzonych w nowoczesnej Europie.

– Zawsze trzymałeś jego stronę i na wszystkie jego wybryki przymykałeś oko – zeźlił się krewki Ismail.

– Dobra, Adel, dawaj to zielsko. Jeśli służy rozluźnieniu atmosfery i zacieśnieniu przyjaznych więzi, to spróbuję – niechętnie przystał na propozycję Samir, chcąc złagodzić rosnące napięcie.

– To rozumiem! – ucieszył się szejk.

Po zażegnaniu sporu zamilkli na moment, leniwie ruszając szczękami z policzkami wypchanymi *khatem*. Ismail z bliźniakami odpoczywali w pozycji pólężącej przy lewym boku ojca, a Samir po jego prawicy.

Szczęśliwy starzec nie mógł się nacieszyć widokiem swoich synów, których wyjątkowo miał wszystkich przy sobie. Najbardziej jednak był dumny z Samira. Owoc jego wieloletnich starań i trosk, uznany prawnik, znajdował się tuż przy nim. Czuł jego zapach i ciepło, słyszał jego stonowany, głęboki głos. Spoglądał na niego z uwielbieniem, co nie uszło uwagi zazdrosnego Ismaila, który momentalnie się zasepił, lecz zaraz oczy mu rozbłysły, bo widać wpadł mu do głowy jakiś dobry plan.

– Co byście powiedzieli, gdybyśmy jutro wybrali się na polowanie? – zaproponował niespodziewanie. – Jak za dawnych lat znów czterej bracia razem.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – zaproponował gość. – W życiu nie trzymałem strzelby w rękę, a poza tym chciałbym więcej czasu spędzić z ojcem, bo głównie dla niego tu jestem.

– Jutro akurat mam spotkanie z szejkami z naszej konfederacji i wyjeżdżam na prawie cały dzień. Wrócę dopiero wieczorem – poinformował starzec. – Możecie więc śmiało wypuścić się w góry we własnym gronie.

– Słyszałem, że w okolicy widziano ostatnio ślady lamparta – wyjawiał nowinę Adel. – Jeśli nam dopisze szczęście, to *baba* dostanie piękne cętkowane futro.

– Cóż, w takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak przystać na waszą propozycję. – Samir nadal się wahał, ale nie miał wyjścia. – Ale będę tylko obserwatorem, bo nie mam zielonego pojęcia, jak obchodzić się z takimi giwerami. – Wskazał na oparte o ścianę leciwe karabiny.

– Niepotrzebnie się tym martwisz – pocieszył go bliźniak Arif. – Każdy Jemeńczyk rodzi się z pukawką w dłoni.

Zrobiło się bardzo późno. Wszyscy goście opuścili już *mafradź* i udali do domów. Zniknęła także wielka sterta butów, które ścigali przed wejściem do salonu. Pozostały tam jedynie sandały należące do braci i gospodarza. Na pożegnanie synowie z szacunkiem ucałowali dłoń ojca i poszli do swoich pokoi.

– Zaczekaj! – zawołał Ismail, kiedy znalazł się sam na sam z Samirem na pustej klatce schodowej. – Zejdę z tobą na podwórko, gdyż czeka tam na mnie pewien interesujący gość. Założę się, że chętnie go poznasz.

Bracia pokonali kamienne schody i otworzywszy ciężką drewnianą bramę, pogrążyli się w mroku. Kiedy oczy przywykły do ciemności,

podeszli do pobliskiej studni. Zauważyli, jak zza rosnącego nieopodal drzewa wynurzył się ledwo widoczny cień. Szczupły mężczyzna ruszył w ich kierunku.

– Poznaj mojego wiernego parobka – Ismail z przekąsem przedstawił nieznanego.

W bladej poświacie księżyca stanął przed nimi młodzieniec ubrany identycznie jak wszyscy inni mieszkańcy Tanaamu. Jedyne, co go odróżniało, to długie kręcone pasma włosów pozostawione na skroniach, luźno powiewające po bokach twarzy.

– To jest Mosze, syn rabina Jaisza. Nasz ojciec toleruje tych Żydów, gdyż są całkiem użyteczni. Wyrabiają doskonałej jakości miód, dbają o naszą plantację migdałów, a nade wszystko uprawiają najlepsze na świecie rodzyнки, które przynoszą nam niezły dochód.

Samir przywitał się z izraelitą, który bojaźliwie się rozglądał, nie śmiąc spojrzeć im w oczy.

– Jestem bratem Ismaila – przedstawił się łagodnym głosem. – Przyjechałem z Anglii, żeby odwiedzić chorego ojca.

– Słyszałem, że pojawił się w wiosce syn szejka, prawnik, który na co dzień mieszka w Londynie, i przywiózł cudzoziemską żonę i dwie małe córeczki. – Mosze trochę się ośmielił życzliwym podejściem nieznanego.

– Przejdźmy do rzeczy, Żydku – bez pardonu wtrącił się do rozmowy gbur. – Przyniosłeś dla mnie bukłak?

Chłopak sięgnął za drzewo i wyciągnął stamtąd skórzany worek. Kiedy go podał, Ismail pośpiesznie go odkorkował i trzymając dwiema rękami, podniósł do ust. Łapczywie się do niego przyssał.

– Nie sądziłem, że używacie jeszcze bidonów z kozłej skóry do przechowywania wody – zdziwił się Samir.

– To dla niepoznaki, żeby ojciec niczego nie podejrzewał – chichrał brat.

– W rzeczywistości zawiera coś znacznie cenniejszego. Nie dałbyś wiary, jakimi mistrzami są ci Żydzi w produkcji wina. To ich najlepszy wyrób, nie licząc rodzynek. Chcesz skosztować?

– Jest zbyt późno. Trzeba kłaść się spać, jeśli jutro skoro świt wybieramy się na polowanie.

– Jak tam sobie chcesz. Ja z chęcią się jeszcze uraczę. Noc jest długa i do rana będę rześki jak skowronek. – Znów wziął spory łyk. – Mosze, tylko nie wydaj mnie przed ojcem! Jak piśniesz choćby słówko, to mnie

popamiętasz! – Agresywnie złapał go za opadający na ramię pejs i przyciągnął nieszczęśnika do siebie. – Spalę tę waszą osadę razem z synagogą i wreszcie wyniesiecie się do tej waszej zafajdanej Ziemi Obiecanej. Ze mną nie uda się wam tak jak z moim ojcem – nie dam się nabrać na tę waszą udawaną służalczość.

Mosze zawył z bólu, na co Samir złapał brata za nadgarstek i zdecydowanym ruchem wykręcił, uwalniając tym samym chłopaka, który z miejsca odskoczył od napastnika.

– Zostawże go w spokoju – syknął, bo nie tolerował sadyzmu.

– Nic nie rozumiesz, miejski gogusiu! Opływasz w luksusach w Londynie, a nas, biedniejszych od siebie, masz za wiejskich ćwoków – gardłował rozwścieczony furiat. – Gdybyś żył tu z nami, wiedziałbyś, jakim ci pejsiarze są dla nas wrzodem na dupie. – Odwrócił się w stronę oddalającego się Żyda i zawołał szyderczo: – Pozdrów swoją siostrzyczkę Rachelę! Wyrosła z niej ładna panna i chyba wkrótce złożę jej wizytę!

– Nie kłóćmy się – poprosił pojednawczo zbulwersowany podłymi manierami krewniaka Samir. – Nie po to tu przyjechałem. Sam zaproponowałeś wspólne łowy, żebyśmy poczuli braterską więź. Nie musimy się kochać, ale przynajmniej zacznijmy się tolerować. Ze względu na naszego ojca.

– Zgadzam się, przynajmniej tolerować. Doskonale to ująłeś – wycedził, krzywo się uśmiechając. – Widzimy się jutro.

Samir skierował się do wejścia do budynku, w którym kwaterował z rodziną, a Ismail usiadł na ziemi w ciemnościach i z zagadkowym grymasem odprowadził go wzrokiem. Dopiero gdy opróżnił prawie cały bukłak, ociężał się podniósł i powłókł do siebie.

Samir na palcach wspiął się na górę i ostrożnie nacisnął klamkę, starając się nie obudzić córek. Niestety, leciwe drzwi wydały przeciągły zgrzyt, który przeszył panującą nocną ciszę.

– Ciii! – zasyczała Zosia. – Dziewczynki dopiero co usnęły, takie były podekscytowane. Nie masz pojęcia, ile było atrakcji na babskim spotkaniu.

– Męska nasiadówka jak zawsze tchnęła nudą – wyszeptał Samir. – Pomimo to mam ci dużo do opowiedzenia. Chodźmy na taras, żeby nie obudzić naszych księżniczek. Noc jest tak ciepła, że można tam nawet spać.

Małżonkowie usiedli na materacu rozłożonym na betonowej podłodze i przez moment wpatrywali się w ugwieżdzone bezchmurne niebo. Rozświetlony nieboskłon rozpraszał mrok, jakby siedzieli przy nocnej lampce.

– Domyślam się, że to na tym tarasie mały Samirek chował się przed wrednymi braćmi i wpatrywał się w gwiazdy, tęskniąc za mamą – zagaiła Zosia.

– To były tragiczne czasy, gdyż wtedy byłem zagubioną pólsierotą. Teraz nawet tutaj jestem szczęśliwy, bo mam ciebie przy boku.

– Czyżby mojemu panu zebrało się na miłosne wyznania? – Zosia przyłgnęła do męża w długim namiętym pocałunku. – Miałeś mi o czymś powiedzieć. – Droczyła się z nim, niby odpychając jego ręce, gdy zdejmował z niej bieliznę.

– Gadki mogą poczekać – wymamrotał otumaniony ogarniającą go rozkoszą, gdy żona delikatnie dotknęła jego twardej jak beton męskości.

– Czy ty zażyłeś jakiś afrodyzjak? – spytała figlarnie, układając go na plecach.

– To chyba efekt tego zielska. Zmusili mnie, żebym dla towarzystwa żuł *khat*.

– Mnie im się nie udało namówić, chociaż możliwe, że trzeba było spróbować. – Spojrzała na niego kokieteryjnie, jednocześnie z łatwością zadzierając do góry jego *futhę*. – To chyba jedyna korzyść z tej męskiej spódniczki. Ze spodniami tak łatwo by mi nie poszło.

Gdy siadła na nim okrakiem, jęknęła z rozkoszy, czując go w sobie. Z rosnącą ekstazą unosiła się i opadała. Jej biodra poruszały się coraz szybciej. Poczowała pulsujące skurcze i fala gorąca zalała jej podbrzusze. Wygięła się do tyłu i zastygła w tej pozycji z przymkniętymi oczami, chcąc przedłużyć ten ulotny cudowny moment.

Kiedy ponownie rozchyliła powieki, ujrzała na przyległym tarasie sąsiedniego budynku stojącego dosłownie na wyciągnięcie ręki Ismaila. Bez skrępowania wpatrywał się w nią gorejącymi ślepiami. Zeskoczyła z krzykiem z Samira, chowając się za nim ze wstydu i strachu.

– Co się stało, kochanie? – zdziwił się zszokowany jej zachowaniem mąż. – Czyżbyś ujrzała zjawę? W tych górach to nie należy do rzadkości – żartował.

– Żaden duch! To był Ismail! – krzyknęła bezwiednie. – Bezczelnie gapił się na mnie!

– Niemożliwe, na pewno już dawno śpi. – Samir bagatelizował sprawę, bo tam, gdzie wskazywała, nikogo nie było. – Jutro jesteśmy umówieni na wspólny wypad w góry, żeby zapolować na dzikiego zwierza. To właśnie chciałem ci powiedzieć.

– Nie rób tego! – błagała go spanikowana. – Mam złe przeczucie, a kobiety ponoć mają szósty zmysł. Wracajmy do Londynu, choćby jutro.

– Nie przejmuj się – nadal czule ją uspokajał, gładząc po twarzy. – W tym regionie świata to nic takiego iść z braćmi na łowy. A za kilka dni będziemy już w domu i wszystko wróci do normy.

Samir i Zosia, trzymając się za ręce, wrócili do pokoju i rozłożyli pościel na materacu rzuconym na podłogę. On spał jak kamień, lecz ona przewracała się z boku na bok do białego rana. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że czai się na nią zły do szpiku kości mężczyzna, mężczyzna w spódnicy, którego według londyńskiej Cyganki miała się wystrzegać.

---

<sup>45</sup> *Mafradž* – pokój gościnny, gdzie mężczyźni zbierają się w celach towarzyskich, często żeby wspólnie żuć *khat*. W jemeńskim budownictwie zazwyczaj położony jest na najwyższym piętrze.

<sup>46</sup> *Faux pas* – nieumyślne naruszenie niepisanych reguł danej społeczności.

## ROZDZIAŁ 11

### JAK W KALEJDOSKOPIE

Nigdy nie podchodziłem poważnie do teorii Murphy'ego mówiącej o seryjności pecha. Nie zaliczałem się raczej do tych, którym posmarowana kromka chleba lądowała stroną z dżemem na podłodze. Mimo to tym razem wszystko szło jak po grudzie.

W dniu mojego wylotu lotnisko w Sanie zostało zamknięte z powodu nasilenia walk. Nazajutrz wszystko wróciło do normy i wznowiono ruch lotniczy. Niemniej odwołano moje bezpośrednie połączenie z Sany do Rijadu. Ostatecznie udało mi się znaleźć lot do Arabii Saudyjskiej, ale w nocy, i to z dwiema przesiadkami. Głodny i niewyspany z dwudniowym poślizgiem wylądowałem na miejscu we wczesnych godzinach porannych. Ponieważ nie mogłem sobie pozwolić na trzydniową absencję, poprosiłem Chalila, żeby zamiast do domu zawiózł mnie prosto do ambasady. Dojechaliśmy, zanim Zaid Reza zdążył otworzyć konsulat. Pomimo wczesnej pory przed drzwiami stała już spora kolejka zainteresowanych dostaniem wizy. Pełniący wartę Muhammad z karabinem jak zawsze gotowym do strzału ze swojej budki czujnie obserwował petentów, gotów do interwencji, gdyby ktoś stał się agresywny lub stwarzał realne zagrożenie.

Kiedy Wacek wpuścił mnie do środka, zaraz się zorientowałem, że nikt z kolegów nie dotarł jeszcze do biura. Jedyne Anton uwijał się w kuchni z miotłą i swoją nieodłączną czerwoną ściereczką. Poprosiłem go o przyniesienie mocnej kawy i powlokłem się do swojego pokoju.

Przed oczami wciąż miałem dramatyczne sceny, których nie tak dawno byłem świadkiem, i nie mogłem się skoncentrować na monotonnej papierkowej dłubaninie. Zawsze tak się działo, kiedy wracałem z terenu i przystępowałem do nudnej urzędniczej rutyny. Łyk mocnej kawy, którą



Anton arabskim zwyczajem długo gotował na wolnym ogniu, szybko postawił mnie na nogi. Skoncentrowałem się na priorytetach. Najpierw uruchomiłem procedurę wizową dla ciężko chorego chłopca i jego ojca, następnie zabrałem się za pozostałe jemeńskie sprawy. Do południa wszystkie zaległości wyprowadziłem na prostą i mogłem trochę odsapnąć.

Poczułem, jak w wewnętrznej kieszeni marynarki wibruje mój blackberry.

– Hej, Tomek! – usłyszałem w komórce wesoły głos Franka. – Co słychać? Podobno byłeś w Jemenie?

– Wróciłem dzisiaj rano i prosto z lotniska przyjechałem do biura – pozaliłem się kumpłowi. – Właśnie ćpam się używkami i gonię z robotą.

– Mój ambasador też teraz był tam w delegacji – poinformował i nie zwlekając, kontynuował podekscytowany: – Kiedy wyszedł ze spotkania w ministerstwie spraw wewnętrznych, doszło do eksplozji. Na szczęście nic mu się nie stało. Miał chłop farta.

– To jest nas dwóch! – wykrzyknąłem. – Mnie również udało się wyjść z ataku bez szwanku. Zwiedzałem akurat Stare Miasto. Nie mogłem zrozumieć, czemu właśnie to miejsce wybrano na atak terrorystyczny, ale teraz mnie olśniło. Przecież dokładnie tam znajduje się budynek tego niezbyt lubianego resortu.

– Oczywiście! To był główny cel Al-Kaidy – potwierdził moje domysły.

– Tylko że jak zwykle zginęli przypadkowi przechodnie, a gmach rządowy został nienaruszony – dodałem ze smutkiem, nie mogąc się pogodzić z bezsensowną śmiercią przypadkowych osób.

– Taka to już nasza bliskowschodnia rzeczywistość. Coraz więcej tych zamachów i niedługo tak nam spowszednieją jak wypadki drogowe – posepnie podsumował Frank. – Ale nie o tym chciałem z tobą rozmawiać. Przestańmy się umartwiać. Nie wybrałbyś się z nami w ten weekend na pustynię?

– Pobyt w Sanie totalnie mnie wykończył. W czwartek planuję walnąć się do wyra i spać przez dwa dni – odrzuciłem propozycję, czując, jak z niewyspania pieką mnie oczy. Nie mogąc się opanować, ziewnąłem przeciągle do słuchawki. – Zresztą pustynia nie ucieknie, dołączę do was przy następnej okazji.

– Akurat ta już tak szybko się nie nadarzy. Dopiero za rok.

– Piachy znikną? Wyparują? – ironizowałem.

– Jedziemy podziwiać pole kwitnących irysów w Dahna Lop – wyjaśnił podekscytowany. – Ten fenomen można zaobserwować tylko na wiosnę. Zresztą to chyba jest ostatni moment, bo mamy już połowę marca.

– Kwiaty to nie kaktusy. Jak mogą rosnąć na piaskach?

– Też się dziwiłem, lecz nasi przyjaciele Finowie byli tam w ubiegłym roku. Podobnież widok jest spektakularny. W samo południe irysy rozkwitają i zmieniają brunatnobezowy piasek w fioletową łąkę. Wszystko trwa tylko kilka godzin, a potem więdną, blakną i znikają bez śladu, zupełnie jakby była to fatamorgana.

– Jasny gwint, nigdy o czymś takim nie słyszałem. Daleko jest to miejsce?

– Łamałem się, czy czasem do nich nie dołączyć.

– Jak na tutejsze warunki całkiem blisko, bo niecałe półtorej godziny jazdy autostradą, a potem pół godzinki kamienisto-piaszczystym duktem.

– Kto jeszcze wybiera się z tobą oprócz Mikka i Kirsti?

Możliwość podziwiania unikalnego zjawiska i wyjazdu w odludne miejsce, gdzie człowiek czuje wolność i swobodę, sprawiła, że chwilowo zapomniałem o zmęczeniu.

– Amerykanie, których znasz, i Ghańczyk Anum. W sumie cała nasza paczka. Bierzemy namioty, bo zostaniemy tam na noc. Stary, śpiąc na świeżym powietrzu na bezkresnych piachach, gdzie psy dupą szczekają, szybciej się zregenerujesz i odzyskasz siły niż w tym swoim zapyziałym kompaundzie w centrum zapyłonego Rijadu.

– Okej, wchodzę w to! Wpisz mnie na listę! – zgodziłem się, już nie mogąc doczekać się wyprawy.

Kiedy miałem iść na lunch, Marek wezwał mnie do siebie.

– Mógłbyś mnie oświecić, czemu nie było cię w pracy przez ostatnie dni? – rozpoczął bez powitalnych wstępów, patrząc gniewnie w moją stronę. – Wiedziałeś przecież, że mamy na głowie delegatów z Warszawy, którzy przylecieli na kontrolę placówki.

– A ty wiedziałeś, że poleciałem z misją konsularną do Jemenu – natychmiast odparowałem podniesionym głosem. – Nie wróciłem planowo, gdyż nie miałem czym. Chyba czytasz prasę, co? Jesteś na bieżąco z sytuacją w Jemenie, którym nasza placówka się opiekuje?

– Już mi tu nie kozakuj! – bulgotał zapalczywie. – Przecież istnieje coś takiego jak telefon. Nie uważałeś za stosowne się ze mną skontaktować

i poinformować, co jest grane? Byłem przekonany, że gdzieś zabalowałeś, i już żałowałem, że cię ściągnąłem na moją placówkę.

– Nie miałem zasięgu. Nie działały nawet połączenia alarmowe, bo to Jemen. Jakbyś tam choć raz poleciał, tobyś wiedział.

– Najważniejsze, że szczęśliwie wróciłeś – jak gdyby nigdy nic wygłosił z uśmiechem na swej rumianej buźce. – Przejdźmy do najważniejszej kwestii: delegacji!

– Nie obchodzi cię, co załatwiłem w Sanie? – Uraził mnie jego totalny brak zainteresowania.

– Wszystkiego się dowiem z twojego raportu. Teraz nie mam czasu na takie pierdoły. – Wyraźnie zmartwiony podrapał się po łysinie. – Ci cholerni audytorzy nie dają mi spokoju. Myślałem, że skuszę ich jakąś wycieczką czy wyjazdem na zakupy, a ci nic, tylko siedzą w dziale księgowości i każą donosić kolejne segregatory.

– Przecież niedawno mieliśmy kontrolę i nic nieprawidłowego nie znaleźli. Tym razem też wszystko będzie w porządku – pocieszyłem szefa.

– Cholera ich wie. Może ktoś napisał donos, bo wygląda na to, że szukają czegoś konkretnego. – Jego brzydka gęba wyrażała zmartwienie i panikę. Wyglądał tak, jakby miał coś na sumieniu i tracił grunt pod nogami. – Szczęśliwie niedługo kończą i zaraz po weekendzie wracają do Warszawy.

– Skoro już wszystko omówiliśmy, nie masz nic przeciwko, jeśli się odmelduję?

– Coś taki w gorącej wodzie kąpany? – Zatrzymał mnie w progu. – Jest tylko jedna sprawa, którą chciałbym ci zlecić. Masz się zająć tymi urzędami przez weekend. To bardzo ważne, żeby wrócili do MSZ z jak najlepszą opinią o nas. Jeśli będą zadowoleni z opieki, jaką ich otoczyliśmy, to i wynik kontroli będzie pozytywny. Trzeba ich dopieścić.

– Ja mam się pieścić z dwoma facetami?! Też pomysł! – oburzyłem się i zaraz sobie przypomniałem ustalenia z Frankiem. – Planuję wyjechać na pustynię. Nie mam czasu.

– Chyba się przesłyszałem! – ryknął wściekle. – Goszczę tych ministerialnych upierdliwców w mojej rezydencji, Ania się uwija jak w ukropie i serwuje najlepsze frykasy, a ty chcesz wypiąć się na wszystko i włóczyć dupę po piaskach?

– Uspokój się! Nie wrzeszcz na mnie jak na wyrobnika! – Też się w końcu wściekłem, bo nikt nie ma nerwów ze stali. – Jak już tak bardzo

chcesz i prosisz – dodałem ironicznie – to zrezygnuję z moich prywatnych planów. Skoro mamy tak ważnych gości, którymi oprócz mnie nikt się nie może zająć... – Kiedy się uspokoiłem, zaproponowałem: – Wezmę ich na zwiedzanie fortu Masmak<sup>47</sup>, a w piątek do najlepszych domów towarowych na shopping. Zadowolony?

– Zaczekaj, coś mi nagle przyszło do głowy! – zawołał Marek z miną, jakby zjadł wszystkie rozumy. – Wyjazd na pustynię będzie dla nich o niebo atrakcyjniejszy niż medina, którą zwiedzali już poprzednio. Czy to wycieczka z grillem i noclegiem? – sondował, a ja niemo przytaknąłem, bo czułem pismo nosem. – To wspaniale! Będą mieli się czym pochwalić przed całym MSZ. Nie wiem tylko, czy to całkiem bezpieczne. Jeśliby coś się stało, to dopiero mielibyśmy kłopoty.

– Dahna Lop, gdzie jedziemy, znajduje się niedaleko Rijadu, a w dodatku będziemy w kilka samochodów z różnych ambasad – niemrawo tłumaczyłem, bo przecież i tak nie miałem szans na wymiganie się od niechcianego towarzystwa. – Jedyne, co nieprzewidzianego i nieprzyjemnego może się nam przytrafić, to to, że jakiś samochód zakopie się w piachu czy złapie kaptur. W takiej dużej grupie z łatwością sobie z tym poradzimy.

– Super! To doskonały pomysł! Jak się ciebie przycisnie, to zawsze znajdziesz najlepsze rozwiązanie – trajkotał jak nakręcony, starając się przegonić niemiłe wspomnienie słownej utarczki. – Wiesz co? Dołączymy do was z Anią. Też należy nam się trochę oddechu. Zmieścimy się chyba w twoim samochodzie?

Zaniemówiłem, zdumiony bezczelnością Marka. Wszystko się we mnie gotowało. Nie mogłem jednak stać jak słup soli, więc wydusiłem:

– Do mojej toyoty wejdzie nawet siedem osób. Nie mam jednak wystarczającej liczby namiotów.

– O to niech cię głowa nie boli. W rezydencji mamy ich aż nadto. Mój poprzednik chyba był fanem turystyki pustynnej i w magazynie widziałem ze cztery pałatki.

– Zatem w czwartek rano przyjadę po was, a na trasie złapiemy resztę grupy.

Sfrustrowany nie wróciłem już do biura. Postanowiłem olać moje przyziemne konsularne obowiązki, które okazały się dla mojego szefa o wiele mniej ważne niż dopieszczanie kontrolerów z MSZ.

Zgodnie z obietnicą punktualnie co do minuty stawiłem się pod rezydencją ambasadora. Na podwórku czekała już Ania w traperskim stroju. Owinięta wokół szyi arafatka na wypadek burzy piaskowej i specjalne zabudowane okulary przeciwsłoneczne, zabezpieczające oczy przed dostaniem się pyłu, świadczyły, że poważnie potraktowała ten wyjazd i przygotowała się na wszelkie niesprzyjające okoliczności. Towarzyszyło jej dwóch panów w średnim wieku, którzy mieli na sobie kurtki ortalionowe z kapturem, opinające ich pokaźne brzuchy. Do tego ubrali się w spodnie dresowe i skórzane sandały oraz typowe dla tego typu ludzi białe skarpetki. Nigdzie nie widziałem szefa.

– Marek musiał dzisiaj o świcie polecieć do Dzeddy – wyjaśniła jego żona, ubiegając moje pytanie. – Dostał zaproszenie na uroczystość powitania amerykańskiego krążownika, który zawinął do tamtejszego portu. Saudyjski protokół dyplomatyczny zgonił na tę fetę wszystkich ambasadorów, podstawiając po nich specjalny rządowy odrzutowiec.

– A to pech! – stwierdziłem z przekąsem, gdyż doskonale znałem uzależnienie Marka od mediów. On dałby się nawet posiekać za to, by jego zdjęcie z amerykańskim kapitanem ukazało się w tutejszej gazecie. Inaczej żadna siła nie byłaby w stanie zmusić go do takiej eskapady. – No to pakujemy się do wozu! – Nabrałem werwy i powrócił mi dobry humor, bo Ania była do pełnej mojej dyspozycji. Obecność Marka nieziemsko by mnie krępowała.

– Ładujże szybko bambetle i lodówki turystyczne do bagażnika! – Ania nieznoszącym sprzeciwu tonem wydała służącemu dyspozycje, a zdezorientowanych nagłą nieobecnością ambasadora kontrolerów poinformowała: – Nasze plany się nie zmieniły. Panie Józefie, proszę usiąść z panem Karolem na tylnym siedzeniu. Tam będziecie mieć wygodniej.

– Pośpieszcie się! – poganiałem, bojąc się, że jak stawimy się w miejscu zbiórki z opóźnieniem, nikogo tam już nie zastaniemy i z atrakcyjnej wycieczki będą nici. A wtedy my z Anką będziemy mieć na karku delegację przez bite dwa dni w piekielnie upalnej stolicy.

Wkrótce wszystko było gotowe i ruszyliśmy w drogę. Nie zdążyłem wyjechać za bramę, a już siedząca koło mnie Anka kazała się zatrzymać i otworzyła okno. Fala gorącego powietrza wtargnęła do środka, uderzając nas jak obuchem.

– Marcello! – wydarła się na całe gardło. – Błyskawicznie zamknij za nami bramę i nie pozwól Amikowi uciec. Popłakałabym się, gdy coś się stało mojemu dzidziusiowi – infantylnie modulowała słowa, a biała rozszczekana kulka, słysząc głosik paniusi, ruszyła biegiem w naszym kierunku. – Łap go! – krzyknęła jak w amoku, na co Filipińczyk zastąpił drogę niby-pieskowi i wziął go na ręce. – No, teraz już możemy jechać – oznajmiła z uśmiechem, a obserwujący ją ze zdziwieniem panowie zauważyli, jak jej ulżyło.

Niezwłocznie ruszyłem do punktu zbornego, do którego dotarliśmy w momencie, kiedy ostatni terenowy samochód z Frankiem i Anumem opuszczał parking. Pomachałem im na przywitanie i dosłownie przykleiłem się do ich wozu, żeby nie zgubić kolumny przeciskającej się przez miejskie korki. Wkrótce mknęliśmy autostradą z zawrotną szybkością.

Trasa prowadziła przez półpustynny obszar pokryty porostami. Na horyzoncie ciągnęło się pasmo brunatnych gór, których postrzępione erozją grzbiety tworzyły nierówną linię ostro odcinającą się na tle popielatego, zakurzonego nieba. Czasami mijaliśmy rzadko rozsiane arabskie wioski, które delegaci podziwiali w milczeniu, cykając fotka za fotką. Po ich minach widać było, że są urzeczeni. W pewnej chwili zrównał się z nami olbrzymi trójosiowy hummer o wydłużonym nadwoziu w jaskrawożółtym kolorze. Mijał nas lewym pasem, ale niebezpiecznie blisko. Na dachu znajdowały się olbrzymie głośniki, z których płynęła muzyka techno, a samochód dziwnie podskakiwał na resorach, chociaż pędził gładką szosą. Nie wiadomo było, co się tam dzieje, gdyż wszystkie szyby były zaciemnione folią. Raptem tylne okno się otworzyło i zobaczyliśmy roześmiane twarze młodzieńców w *tobach*, którzy wymachiwali otwartymi puszkami piwa. Pomimo że jechali co najmniej dwieście kilometrów na godzinę, jeszcze przyspieszyli i zniknęli za zakrętem.

– No tak, oto tutejsza młodzież bananowa! – cierpko stwierdził delegat Józef. – Nieźle im się powodzi!

– Nie podchodziłbym do tego w ten sposób. – Miałem w sobie więcej tolerancji. – Małolaty wszędzie potrzebują rozrywki, a w Królestwie jej nie uświadczysz. Pustynia to dla nich jedyna odskocznia od purytańskiej codzienności, w której zmuszeni są żyć. Tylko tam mogą być na totalnym luzie, dlatego reagują tak spontanicznie.

– Ależ niech się cieszą, tylko czemu stwarzają zagrożenie na drodze dla innych użytkowników? – poparł w surowym osądzie kolegę Karol.

Kolumna naszych dyplomatycznych samochodów zwolniła i zjechała z autostrady na kamienisty trakt. Auto niebezpiecznie podskakiwało na wybojach, a chmura pyłu, wydobywająca się spod kół jadącej przed nami terenówki, wdzierająca się do kabiny przez najmniejsze nawet szczeliny. Po chwili otaczał nas tylko piasek – znaleźliśmy się w szerokiej dolinie pośrodku wysokich stromych wydym. Czterokołowce się zatrzymały i prowadzący wycieczkę Mikko zarządził, by pojazdy ustawić w jednej linii, przodem do płaskiej niecki, a tyłem do diun.

– Witam wszystkich w Dahna Lop – pozdrowiła nas Kirsti, chodząc od auta do auta, ściskając dłonie i rozdając buziaki znajomym. – Już niedługo powinniśmy być świadkami niesamowitego zjawiska przyrodniczego. Ujrzymy, jak roztaczająca się przed nami piaszczysta niecka pokryje się fioletowym kolorem – ekscytowała się Finka, która wraz z mężem zorganizowała ten wyjazd. – Musicie się uzbroić w cierpliwość, bo kwiaty powinny się pojawić dopiero koło południa. Wykorzystajmy ten czas na przygotowanie noclegu i pikniku.

Uczestnicy otworzyli bagażniki i rozpoczęli wyładunek. Z niemałym trudem ustawili namioty w półokręgu, a przy każdym samochodzie pojawił się stolik, na który wyłożyli jedzenie i napoje. W pewnej odległości rozpalili grille, koło których umieścili duże baniaki z wodą do mycia rąk.

Każda grupa skupiła się wokół swojego miejsca w oczekiwaniu na zapowiadzaną atrakcję. Wszyscy rozparli się wygodnie na rozkładanych fotelach pod parasolami i przystąpili do konsumpcji. Polscy biwakowicze nie byli gorsi. Po przełamaniu pierwszych lodów Józef i Karol okazali się całkiem sympatyczni i bardzo pomocni. Po ogromnym wysiłku fizycznym, jakim było rozłożenie pałatek w temperaturze grubo ponad czterdziestu stopni, siedzieliśmy pod tropikiem z jednej strony przyczepionym do relingów dachowych auta, a z drugiej opartym na aluminiowych słupkach. Prowizoryczny dach z grubego drelichu doskonale chronił przed promieniami słońca, lecz delegaci i tak cierpieli i wachlowali się słomianymi kapeluszami, żeby choć trochę się ochłodzić.

Anka na plastikowych talerzykach zaserwowała sałatki, które przygotowała na ten wyjazd, i różne mięsne specjały. Smaczne jedzenie, spożywane nawet w takim skwarze, zawsze poprawia humory, a już kiedy

nasza gospodyni przyniosła z bagażnika plastikową turystyczną lodówkę i poczęstowała nas zimnym browarem, byliśmy wniebowzięci. Jedyne problem stanowił pot spływający nam po czole i policzkach i dostający się do oczu, ale wraz z każdym łykiem zimnego piwa coraz bardziej go lekceważyliśmy.

– Teraz nic więcej do szczęścia mi nie potrzeba – wysapał Józio, z rozkoszą oblizując z ust piankę. – Nawet jeśli nie zobaczę tych irysów, i tak warto tu było przyjechać. Chociażby dla tego niesamowitego krajobrazu.

Nagle zrobiło się zamieszanie i wszyscy pobiegli z aparatami w stronę doliny pokrytej piaskiem, która na naszych oczach zaczęła się zmieniać. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przybrała fioletowy odcień, który stawał się coraz intensywniejszy. Z jałowego gruntu wystrzeliły w górę kwiaty. Istny cud natury. Dołączyliśmy do grupy, a gdy już mieliśmy dość fotografowania, chciałem zamienić choć słowo z przyjaciółmi. Problem był taki, że nasi kontrolerzy może i potrafili dobrze liczyć, ale nie znali żadnego języka obcego. Stali zatem jak niemoty, nie odpowiadając nawet na najprostsze zagajenia. Nie mieliśmy innego wyjścia i wróciliśmy na swoje miejsce piknikowe. Ania przyniosła kolejną, mniejszą już lodóweczkę z niespodzianką – tym razem było to coś mocniejszego, co zostało przyjęte przez naszych gości z aplauzem.

Zgodnie z zapowiedzią Finów wkrótce beżowy piasek ponownie zdominował krajobraz. Kwiaty zniknęły tak samo niespodziewanie, jak się pojawiły, i gdyby nie nasze zdjęcia, nikt by nie uwierzył, czego przed chwilą byliśmy świadkami. Zajęci konsumpcją i coraz bardziej rozanieleni, na co niewątpliwie wpływ miała kolejna butelka whisky, którą w trosce o delegatów dostarczyła Ania, nawet nie zauważyliśmy, kiedy słońce schyliło się ku zachodowi i temperatura zdecydowanie spadła. Nawet zrobiło się rześko.

– Panowie, cały dzień spędziliśmy, siedząc na tyłkach! – radośnie krzyknęła Anka i klasnęła w dłonie. – Czas na mały spacer przed snem. Proponuję wspinaczkę przynajmniej na tę najbliższą wydnię. Kto będzie pierwszy na szczycie, dostanie w nagrodę puszkę zimnego piwa.

– Mnie jest tu tak dobrze, że nie mam zamiaru nigdzie się ruszać – zdecydował Karol, nalewając sobie kolejną porcję gorzałki.



– Po takim obżarstwie też nie widzę siebie wdrapującego się po grząskich piaskach. Zostaję tutaj. Stąd do namiotu mam tylko dwa kroki – poparł kolegę Józef. – Jestem za stary na gonienie po górach, zwłaszcza w takim zabójczym klimacie. Wy jesteście młodzi, idźcie, skoro rozsadza was energia.

– Racja, niech konsul reprezentuje męską część tej wycieczki. – Zgodnie pokiwali głowami i machnęli nam na pożegnanie.

Nie zwlekając, ruszyłem za Anką. Nie sądziłem, że zdobywanie diuny wiąże się z takim wysiłkiem. Nie należę do słabeuszy, a mięśnie nóg zawsze były moją mocną stroną, ale po chwili stały się jak z waty. Piasek był tak sypki, że zapadałem się prawie po kostki i nawet moje pustynne buty wojskowe, w które się zaopatrzyłem, niewiele mi pomogły. W przeciwieństwie do mnie Anka śmigała jak kozica i wdrapała się na wierzchołek grubo przede mną. Sapiąc z wysiłku, lałem za nią prawie na czworakach i ostatecznie padłem koło niej plackiem. Siedziała na piasku z podkurczonymi nogami, obserwując ostatnie promienie zachodzącego słońca. Sączyła heinekena przeznaczonego dla zwycięzcy.

– Dobra kobieto! Poratuj puszczką piwka biednego piaskowego ludka umierającego z pragnienia – zaskomlałem błagalnie, bo faktycznie uszły ze mnie siły witalne. Dogorywałem na wznak, ciężko dysząc, i czułem się jak z krzyża zdjęty.

– Puszczki nie mam, piaskowy ludku – zaszcebiotała, podejmując moje wygłupy. – Ale mogę dać ci małego łyeczka. Otwórz buzię, chłopczyku.

Kiedy to zrobiłem, wlała napój nie do ust, ale ochlapała mnie nim po twarzy.

– Ty mały wredna! – krzyknąłem, udając rozeźlonego.

Niespodzianie nawet dla samego siebie pełen wigoru skoczyłem na kolana i zmiądzylem ją w uścisku. Mocując się, straciliśmy równowagę i zlecieliśmy z wąskiego grzbietu na drugą stronę. Nasze ciała turlały się bezwładne jak lalki szmaciane, coraz szybciej opadając po stromym zboczu. Kiedy wyhamowaliśmy, znaleźliśmy się w zagłębieniu między wydmami.

– Nic ci nie jest? – spytałem z troską, podczołgując się do leżącej niedaleko Anki, gdyż po takiej karuzeli nie dałem rady utrzymać się na nogach.

Miała szeroko otwarte oczy i wpatrywała się w księżyc rozświetlający granatowe niebo. Łapczywie łapała powietrze.

– Pocałuj mnie, proszę – szepnęła podekscytowana i przywarła do mnie rozgrzanym ciałem.

Kochałem się kiedyś w ciepłym oceanie, często pod rozgwieżdżonym nieboskłonem, nigdy jednak na środku pustyni, i może dlatego nie przypuszczałem, że gorący piasek działa jak afrodyzjak. Otaczał nas ze wszystkich stron, otulał jak miękka kołdra. Ania w ekstazie zaciskała aż do bólu dłonie pełne jego drobinek.

Powrót do obozowiska zajął nam ponad godzinę. Musieliśmy obejść wielką wydmnę, z której spadliśmy, a potem wspiąć się na inną, stojącą nam na drodze. Z jej wierzchołka ujrzeliśmy ognisko, wokół którego tańczyli saudyjscy młodzieńcy w białych *tobach*. Obok stał żółty hummer z zapalonymi lampami i reflektorami na dachu. Dochodziła do nas rytmiczna arabska muzyka. Smukłe białe postacie wyglądające jak zjawy podrygiwały w takt bębnów, śpiewały, wtórując soliście, i klaskały nad głową w typowy dla Arabów sposób.

– Spójrz, każdy znajduje tutaj swoją wolność – szepnąłem do ukochanej i ponownie musnąłem ją wargami.

– Szkoda, że trzeba jutro wracać do Rijadu. Chciałabym tu zostać nawet kilka dni. – Oparła głowę na mojej piersi.

– Niestety, w sobotę muszę być w biurze, a ty przy boku swojego męża.

– Przestań! Nie psuj nastroju!

Zamilkliśmy na dobre, ogarnięci chwilową melancholią.

W oddali zobaczyliśmy nasz biwak. Najwidoczniej sen zmorzył wszystkich, bo na zewnątrz nie było żywej duszy. Kiedy mijaliśmy wydmnę, której szczyt udało nam się dzisiaj zdobyć, zerwał się gorący wiatr. Wirujące cząsteczki suchego piasku, przesuając się po zboczu, wydawały dźwięk podobny do zawodzenia. Na pożegnanie pustynia śpiewała nam swoją smętną kołysankę.

---

<sup>47</sup> Masmak – twierdza zbudowana z glinianych cegieł suszonych na słońcu, stanowiąca symbol władzy dynastii Al Saud.

## ROZDZIAŁ 12

### POLOWANIE

Rześki poranek wdarł się do sypialni przez uchylone okno, a radosny świergot ptaków obudził Samira. Skoczył na równe nogi i dokładnie zamknął lufcik, żeby odgłosy natury nie przerwały snu jego kochanym dziewczynom.

Uważał, że wczorajszym paradowaniem w arabskim stroju wystarczająco uszanował miejscowe zwyczaje, i na polowanie postanowił ubrać się na sportowo. Cichutko włożył swoje ulubione lekko sprane wranglery, na podkoszulek narzucił kraciastą flanelową koszulę, która doskonale nadawała się na wypad w góry, a na nogi wzuł wysłużone, lecz niezwykle wygodne skórzane mokasyny. Klęknął nad śpiącą na podłodze na materacu Zosią i czule otulił ją kołdrą. Żona coś niewyraźnie wymamrotała przez sen i przewróciwszy się na drugi bok, nie przestawała miarowo posapywać. Spojrzał jeszcze na śpiące w łóżku córeczki i uspokojony, że wszystko zostawia w jak najlepszym porządku, ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Zatrzymał się na moment w korytarzu i spojrzał przez mały świetlik. Wzgórza spowite delikatną mgiełką wyglądały zachwycająco. Promienie słoneczne stopniowo ją rozpraszały i dzień zapowiadał się upalnie. Na szczęście na tej wysokości ochłodzenie przychodziło dość szybko i popołudniami robiło się znacznie przyjemniej. Z jednej strony z przyjemnością myślał o wypadzie z braćmi na łono natury, bo nigdy nie przyzwyczał się do londyńskiej pluchy i chłódów, ale z drugiej – brakowało mu codziennych zawodowych obowiązków i tęsknił już za swoją kancelarią w City. Ciekawe, jak tam sobie radzą beze mnie, zastanawiał się. Na pewno uzbiera się niezła sterta pozwów. Dobrze, że niedługo wracamy – ucieszył się na tę myśl. Miał już dość prymitywnego

życia w głuszy i pragnął powrotu do normalności. Po chwili ocknął się z zamyślenia i dziarsko zbiegł na dół.

Wyszedł na podwórko, lecz chociaż tak się umawiali, braci tam nie znalazł. Ich wysłużony rodzinny pick-up, którym jeszcze w dzieciństwie jeździli z ojcem w góry, stał osłonięty plandeką i nikt się przy nim nie krzątał. Skierował się do sąsiedniego domu. Wszedł do kuchni i zobaczył, że Zubeida serwuje śniadanie. Na drewnianej desce leżały płaskie okrągłe chlebki posmarowane klarowanym masłem, a matka olbrzymią drewnianą chochlą nalewała do misek dymiący jeszcze *ful mudammas*<sup>48</sup>.

– Zjesz trochę gotowanego bobu? – spytała Samira, podstawiając pod nos siedzącym przy stole synom gliniane naczynia wypełnione po brzegi gorącą potrawą.

– Dla mnie to zbyt ciężkostrawne jak na pierwszy posiłek dnia – grzecznie odpowiedział. – Ograniczę się do jogurtu i chleba oraz herbaty z kardamonem.

Usiadł i z przyjemnością wziął łyk aromatycznego napoju przygotowanego przez macochę.

– Gdzie jest Adel? – zaniepokoił się, nigdzie go nie widząc. – Jeszcze śpi?

– Wyruszył, gdy jeszcze wszyscy kisiliśmy się w łózkach, żeby zawiesić na drzewie przynętę dla lamparta – wyjaśnił Arif.

Samir uważnie przyglądał się braciom. Bliźniak prezentował się doskonale, rozsadzała go energia i tryskał humorem. Natomiast Ismail wyglądał jak siedem nieszczęść. Nieogolony, z worami pod zaczerwienionymi oczami i rozczochranymi włosami co chwilę przeciągle ziewał.

– Wchodziłeś wczoraj w nocy na dach? – Samir poruszył sprawę, która go nurtowała.

– A po co miałbym to robić? – warknął opryskliwie skacowany pijak. – Miałem coś znacznie lepszego do roboty, a zaraz potem rąbnąłem się do wyra.

– Zofia twierdzi, że tam stałeś i nas obserwowałaś.

– Powiedz jej, że ma omamy! – odburknął podenerwowany. – Niech przestanie intrygować i lepiej zajmie się swoimi dziećmi.

– Trochę grzeczniej, proszę! – zaciętrzewił się Samir. – Mówisz o mojej żonie! Nie życzę sobie takich insynuacji.

– Chłopaki! Uspokójcie się! – poprosił Arif, czując, że awantura wisi w powietrzu. – Czas się zbierać, bo przecież Adel na nas czeka. Nie psujcie zabawy.

Zerwał się i pognął na podwórze. Za nim ruszył Samir, lecz Ismail się nie śpieszył. Dopił herbatę i odprowadzany kochającym spojrzeniem matki powlókł się za resztą. Kiedy do nich dołączył, Arif zdążył załadować do skrzyni pick-upa strzelby myśliwskie, amunicję i prowiant. Starszy brat obrzucił wszystko krytycznym wzrokiem, jednak nie miał do czego się przyczepić.

– Dawaj kluczyki! – zażądał despotycznie. – Nasz miastowy krewniak pojedzie ze mną w kabinie, a ty wskakuj na skrzynię.

– Nie sądziłem, że ten stary złom jest jeszcze na chodzie. Przywołuje tyle wspomnień... – rozmarzył się Samir, gdy ruszyli ostro pod górę.

– Cóż, rdza go toczy, ma mnóstwo wgnieceń, co jest główną zasługą Arifa – zaśmiał się pod nosem Ismail – ale w górskich warunkach sprawuje się znakomicie.

– Pamiętasz, ile razy jechaliśmy tędy z ojcem? – Niespodziewanie obrazy z dzieciństwa zamajaczyły przed oczami Samira.

– Tak, tylko ty zawsze siedziałeś z nim w środku, a ja z bliźniakami jak te barany na pace – zaperzył się zazdrośnik, choć nie wiadomo było, czy ma pretensje do niego, czy do ojca.

Samochód niebezpiecznie podskakiwał na wyboistej drodze, mimo to Ismail nie ściągał nogi z pedału gazu, jakby chciał wyładować na tym rzęchu całą zżerającą go od lat złość. Najgorzej miał siedzący z tyłu wśród załadunku Arif, który w pewnym momencie o mały włos nie wypadł z auta. Pomimo że darł się i z całych sił walił w dach kabiny, brat nie zwolnił. Był jak w transie i na nic nie reagował. W końcu wjechał w miękkie koryto wyschniętej rzeki i teraz pojazd bardziej się kolebał, niż skakał. Po przejechaniu kilku kilometrów wspiął się na otoczony górami płaskowyż. Ismail zatrzymał auto.

– Dalej musimy iść na piechotę – poinformował Samira, gdy wysiedli z szoferki. – Arif, zeskakuj na ziemię! Koniec leżycha! Bierzemy klamoty i idziemy!

Teraz nim wyciera sobie gębę, pomyślał Samir i żal mu się zrobiło bliźniaka, bo ten nie miał jak i dokąd uciec przed sadystycznym typem.

– Następnym razem ja prowadzę, a ty siedzisz na pace – jęknął obolały, gdy objuczeni sprzętem powoli wspinali się pod górę.

Po kilku minutach forsownego marszu dotarli na wzniesienie, skąd roztaczał się widok na położony poniżej zbiornik wodny, przy którym rosło kilka okazałych drzew.

– Rozumiecie, dlaczego musiałem nas tak wytrząść? – spytał Ismail. – Nie ma innej lepszej drogi, tylko ten skrót, ale dojechaliliśmy praktycznie pod samo żerowisko lamparta. Zaczaimy się na naszego zwierzaka, którego stąd mamy w zasięgu strzału. Widzimy i drzewo z przynętą, i wodopój, gdyby nasz kociak był spragniony.

Położyli na ziemi tobołki z prowiantem, a na nieprzemakalnej macie nabite sztucery. Samir ciągle rozglądał się za drugim bliźniakiem, Adelem.

– Mamy trochę czasu – jak zawsze dyrygował Ismail. – Wykorzystajmy go pożytecznie. Chodź, panie londyńczyku, nauczę cię strzelać. Zobaczysz, jakie to proste.

Chwycił strzelbę i usiłował wcisnąć ją w ręce zdumionego mieszcza.

– Nie chcę nawet próbować. Broń palna nie jest dla mnie – odmówił Samir zdecydowanie.

– Zatem patrz, jak robi to mistrz.

Ismail, stojąc, przyłożył kolbę do ramienia i jakby od niechcienia oddał strzał w kierunku drzewa. Usłyszeli huk, a zaraz potem trzask łamanej gałęzi. Zawieszona przynęta spadła na ziemię.

– Super! Spieprzyłeś całą moją ciężką pracę! – krzyknął Adel, który nieoczekiwanie wyłonił się z pobliskich zarośli. – Teraz sam drałuj i zawieś udziec na innym konarze, póki jakiś dziki zwierz go nie porwie. Ja nie mam zamiaru ponownie się trudzić.

– Ani mi się śni! – zaczepnym tonem ryknął zaciętrzewiony Ismail.

– Nie kłóćcie się! – Samir nie mógł znieść ciągłych swarów. – Ja to zrobię. Nie będę strzelać, ale przydam się do czego innego. Zaraz wracam.

Żartobliwie odepchnął skaczących sobie do gardeł braci. Był w połowie drogi, gdy usłyszał krzyk Ismaila. Zatrzymał się i zwrócił twarzą do niego.

– Nie musisz się za bardzo forsować, gamoni! – głośno śmiał się brat. – To ty jesteś naszym lampartem. Od początku na ciebie chcieliśmy zapolować.

Samir z niedowierzaniem spoglądał na swojego dręczyciela z chłopięcych lat, który stał z bronią wycelowaną prosto w niego i szczyrzył zęby. Za nim

jak zwykle stali bliźniacy. Wielka trójca z jego dziecięcych koszmarów. Tylko że tym razem wszystko działa się naprawdę, a on, sparaliżowany strachem, nie mógł się ruszyć ani wydobyć z siebie głosu. Czyżby to miało tak się skończyć? W tej głuszy, z dala od cywilizacji? Czemu niczego się nie domyśliłem? Zofia słusznie podejrzewała tego drania o najgorsze zamiary. Jak zwykle miała rację – ostatnia myśl przyszła mu do głowy. Zofia...

Jeszcze nie przebrzmiał grzmot wystrzału, jak Ismail rzucił karabin na ziemię i ruszył biegiem w stronę ciała znienawidzonego człowieka, któremu od lat życzył śmierci. Bliźniacy jak zawsze bez namysłu podążyli za nim. Zgodnie stanęli nad zwłokami brata, który leżał z rękami rozrzuconymi na boki. W jego piersi widniała duża poszarpana rana, z której wypływała żywoczerwona krew. Strzał był perfekcyjny, ofiara dostała prosto w serce.

– Co teraz? – spytał poblady Arif, bo na widok trupa żołądek podszedł mu do gardła i musiał zaciskać szczęki, żeby utrzymać jego zawartość.

– Zaniesiemy go do samochodu i zawieziemy do wioski – wydawał polecenia zadowolony Ismail.

– Dźwigać tyle kilogramów taki kawał drogi? Lepiej zakopmy drania na tym pustkowiu – zaproponował flegmatyczny Adel. – Przecież nikt tutaj go nie znajdzie, a ojcu wciśniemy kit, że się zgubił, gdy tropiliśmy zwierza.

– Nie! Trzymamy się planu matki – uciął dyskusję prowodyr. – Ma to wyglądać na wypadek. Powiemy, że zabiła go zbłąkana kula wystrzelona przez kogoś z plemienia Al-Tadžani.

– Chcesz znów wywołać bratobójczą wojnę? – Arif się zmartwił. – Pamiętasz, jak długo walczyliśmy ostatnim razem i ilu naszych zginęło, zanim zawarliśmy pokój?

– Teraz będzie inaczej. Wypadek to nie umyślne morderstwo. Jakoś się dogadają, ojciec jest w tym najlepszy. To urodzony negocjator – uspokajał Ismail. – Adel, rusz się i przynieś koc, żeby przenieść zwłoki do pick-upa.

Kiedy Adel posłusznie wypełniał rozkaz, nieoczekiwanie na szczycie pobliskiej góry pojawił się okazały koziorożec z olbrzymimi rogami w formie półksiężyców. Szkoda, że nie możemy na niego zapolować, pomyślał z żalem. Zmarnować taką okazję, ubolewał, nie zaprzatając sobie głowy bratobójstwem, którego przed chwilą był świadkiem.



\*\*\*

Zosia włożyła resztę rzeczy do ostatniej walizki i z trudem, ale ją zamknęła. Przymiarka do pakowania przed powrotem do Londynu wypadła znakomicie. Ubrania i buty oraz liczne prezenty zmieściły się bez problemu. Zostawiła tylko kilka ubrań na ostatnie dni, które na razie ułożyła w mały stosik. Chciałaby je wyprać, korzystając ze słonecznej pogody. Tylko jak to zrobić, skoro nie ma tu bieżącej wody? Samir pojechał z braćmi na cały dzień na polowanie, a córeczki bawiły się u Zubeidy, która niemal całkowicie je zaanektowała, więc Zosia miała czas dla siebie. Mogła odpocząć od fałszywej uprzejmości macochy i cichej adoracji wrednego szwagra Ismaila, który napawał ją lękiem. Zwłaszcza po wczorajszej nocy.

Zmęczona przysiadła na chwilę na brzegu łóżka i zastanawiała się, jak zrobić przepierkę, która w tym dzikim jemeńskim świecie stanowiła nie lada wyzwanie. Już chce do domu, żalśnie medytowała. Pragnę wrócić tam, gdzie żyje się łatwo i przyjemnie. Gdzie jest bieżąca woda i żeby nie trzeba było za potrzebą wychodzić do klopa na podwórko.

Wtem drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadły rozswawolone dziewczynki, a za nimi ich opiekunka.

– Mamusiu! Podobają ci się moje rączki? – krzyknęła radośnie Ahlam, machając dłońmi z misternymi malunkami wykonanymi henną. – Babcia je tak pięknie ozdobiła.

– A mnie obiecała znaleźć dobrego męża, który kupi mi mnóstwo zabawek – radośnie trajkotała Marysia, także prezentując wzory na swoich małych łapkach.

– Nie sądzisz, że są jeszcze za małe na takie upiększanie, a przede wszystkim na takie rozmowy? – zaskoczona Zosia zwróciła się do Zubeidy po angielsku, a widząc brak zrozumienia w jej oczach, zrobiła kwaśną minę. Wcale nie podzielała zachwyty córeczek i nie wydawało jej się zbyt stosowne, by zachowywały się jak panny na wydaniu.

– To tylko niewinna zabawa. *Fun* – zaśmiała się macocha, powtarzając jedno słówko, które przyszło jej do głowy: – *Fun*. Prawda, dziewczynki?

– Tak! – krzyknęły jak na komendę.

– Chcemy jeszcze przymierzyć te śliczne kolorowe sukieneczki, które nam, babciu, pokazywałaś – poprosiła przymilnie rezolutna sześciolatka.

– No, nie wiem, czy wasza mamusia się na to zgodzi – droczyła się z wnuczkami chytra starucha, złośliwie łypiąc na Zosię i czekając na jej reakcję.

– Wydaje mi się, że nie mam innego wyjścia – niechętnie przystała na tę propozycję, rywalizując z dwulicową macochą o względy córek. – W tym czasie zrobię pranie. Gdzie mogę przepłukać parę rzeczy, Zubeido?

Pokazała na ubrania w kącie i wykonała odpowiedni gest.

– W rzece, gdyż z naszej studni bierzemy wodę tylko do picia.

– Co?

– W rzece. – Podniesionym głosem Zubeida literowała arabskie słowo, a Polka czuła się całkiem zagubiona. – Widziałam, że twoja znajoma Hanan się wybiera. Poproszę, żeby na ciebie zaczekała, i przygotuję ci balię. Pójdziecie tam razem.

– Hanan? – Tylko to słówko dotarło do Zosi, ale odetchnęła z ulgą.

Niosąc w rękach ciężką drewnianą kadź wypełnioną ubraniami, Zosia z trudem dotrzymywała kroku Jemence. Obydwie ubrane w czarne obszerne abaje przypominały gigantyczne pingwiny. Hanan maszerowała żwawo z naczyniem z bielizną na głowie, co było znacznie wygodniejsze. Zosia oczywiście tak nie umiała i dlatego strasznie się męczyła, co chwilę przekładając ciężar z jednej ręki do drugiej. Hanan wzięła sobie za punkt honoru, żeby przy okazji wspólnego prania zapoznać nową koleżankę z realiami życia w jej wiosce. Idąc krętą drogą wśród porozrzucanych na wzgórzach kamiennych domów, pokazywała, gdzie mieszkańcy wypasają bydło i gdzie są pola uprawne. Wspomniała o żydowskiej enklawie, koło której przechodziły, i szeptem napomknęła o znajdujących się na jej terenie winnicach i wyrobie ponoć wspaniałego koszernego wina. Nad rzeką nie były same. Na małym drewnianym pomoście klęczała bosa dziewczyna, podobnie jak one odziana w abaję. Pracowicie wyżywała wypraną odzież i wrzucała do stojącej na brzegu balii. Od ciągłego zanurzania rąk w wodzie rękawy jej płaszczka całkowicie się zmoczyły i ściśle przylegały do żylastych i silnych ramion.

– Witaj, Rachelo! – krzyknęła Hanan na przywitanie. – To jest córka rabina – przedstawiła kobietę przyjezdnej. – Jej brata, Mosze, zapewne też wkrótce poznasz, gdyż często zagląda do domu szejka. Oni mówią po

angielsku, bo izraelici są lepiej wykształceni od muzułmanów, którzy nie gadają nawet po arabsku, tylko lokalną gwarą. Ale rodzina szejka Nadżiba jest w miarę kumata.

Młoda Żydówka skończyła niewdzięczną pracę, ale nie zamierzała wracać do domu. Zostawiła swoją misę w cieniu pod krzakiem i dołączyła do kobiet, które energicznie maczały ubrania w potoku i zwinnie je szorowały. Wysilek fizyczny i słońce spowodowały, że pod zwojami czarnego materiału piekły się niemiłosiernie. Jako że miejsce było ustronne, ściągnęły nielubiane łachy choć na chwilę. Rachela poszła za ich przykładem. Zosia przyglądała się jej smukłej sylwetce i smagłej twarzy o regularnych rysach. Podziwiała duże błyszczące oczy spoglądające na nią uważnie spod czarnych krzaczastych brwi. Dziewczyny wzięły Zosię na spytki, a gdy opowiadała o swoim życiu w odległym nowoczesnym kraju, z niedowierzaniem kręciły głowami. Na przyjemnej pogawędce czas minął im niepostrzeżenie i nawet się nie obejrzały, a słońce zaczęło chylić się ku zachodowi.

– Zagadałam się z wami na śmierć! – gwałtownie przerwała rozmowę Rachela. – Muszę lecieć. Ojciec mnie obsztorcuje, że tyle czasu mnie nie było.

– Zaczekaj! – poprosiła Hanan. – My już też idziemy. Odprowadzimy cię pod dom, bo i tak będziemy tamtędy przechodzić.

Po niespełna piętnastu minutach dotarły do skraju wioski, gdzie znajdowała się żydowska osada. Zatrzymały się na moment przed gospodarstwem, w którym mieszkała Rachela, bo ciężko im się było rozstać. Zosia rozglądała się z zaciekawieniem po całkiem odmiennej parterowej zabudowie, czystych i schludnych uliczkach osiedla... Wszędzie kręcili się pracownicy Żydzi, a prawie w każdym domu znajdował się jakiś warsztat: to szewc, to krawiec, to cieśla.

– Mosze opowiedział mi, jakim dobrym człowiekiem jest twój mąż – Żydówka zwróciła się do Polki na pożegnanie. – Wczoraj stanął w jego obronie i nie pozwolił temu zwyrodnialcowi Ismailowi go skrzywdzić. Niedługo mój braciszek zajrzy do was i przyniesie słodkie rodzyunki i migdały w ramach wdzięczności. Sama się przekonasz, że nie na darmo mówią, że nasze są najsmaczniejsze w całym Jemenie.

– To miłe – uśmiechnęła się zdumiona tą życzliwością Zosia. – Przekaż mu, żeby nie zwlekał z wizytą, bo niedługo wyjeżdżamy i raczej tu nie

wrócimy.

– Chodźmy już – ponagliła koleżankę Hanan. – Za chwilę zacznie się zmierzchać.

– Rzeczywiście! A ja zostawiłam córeczki prawie na pół dnia z praktycznie obcą osobą... – robiła sobie wyrzuty Zosia i gwałtownie przyspieszyła kroku.

Chociaż dziewczynki czuły się doskonale pod opieką leciwej Jemenki, matka nie była z tego zbyt zadowolona. Zachowanie Zubeidy jej nie odpowiadało. Parolatki w jej obecności zachowywały się co najmniej dziwnie, a od niej się odwracały. Może jednak trochę przesadzam z tą matczyną troską, skarciła siebie w duchu. Nie mogę być zazdrosna o starą Arabkę, o której dzieci, gdy tylko stąd wyjadą, zaraz zapomną.

Nie zauważyła, kiedy znalazły się przed domem szejka. Chciała jeszcze podziękować Hanan za pomoc w dotarciu do rzeki i sympatyczne towarzystwo, lecz jej uwagę przykuło dziwne poruszenie na podwórku. Wokół zaparkowanego samochodu kłębił się tłum mężczyzn, a kobiety zawodziły wniebogłosy. Jedne biły się po twarzy, inne targały włosy. Gdy podeszła bliżej, gawieź się rozstała i wszyscy na nią spojrzeli. Nastąpiła cisza jak makiem zasiał. Ismail z Arifem i Adelem ścigali z paki samochodu koc, na którym leżało zakrwawione ciało mężczyzny. Mrok zasnuł oczy Polki. To nie może być Samir! Przecież jeszcze dzisiaj rano czuła przez sen jego cudowny zapach i delikatny dotyk dłoni. Ten tutaj był sztywny i pozbawiony życia, a jej mąż zawsze emanował ciepłem i wigorem. Spojrzała na koszulę pobrudzoną zakrzepłą krwią. Poznała ją, to była jego ulubiona.

Jej serce gwałtownie szamotało się w piersi, a okrutny świat zawirował. Kurczowo trzymana miednica wyleciała jej z rąk i z łoskotem potoczyła się po kamieniach.

– Ludzie! Pomóżcie! – jak z zaświatów usłyszała spanikowany głos Hanan i zapadła się w ciemność.

---

<sup>48</sup> *Ful mudammas* – jemeńskie śniadanie przyrządzane z gotowanego suszonego bobu z dodatkiem czosnku, kminu i soku z cytryny.

## ROZDZIAŁ 13

### JEMEŃSKA WENDETA

Nadžib szarpnął z całych sił klamkę i stanął w progu jak wryty. W pomieszczeniu, w którym zazwyczaj magazynowali worki ze zbożem, na środku ustawiono stół, a na nim leżało ciało jego kochanego Samira. Ismail wraz z bliźniakami przemywali je z namaszczeniem. Na podłodze stała duża miednica z parującą wodą, a w powietrzu unosił się ostry zapach kamfory.

– Wynoście się stąd! Wynoście natychmiast! – zawył starzec drżącym ze wzburzenia głosem. – Sam przygotuję go do pochówku.

Wyjeżdżając dzisiaj rano na naradę szejków, nie mógł się doczekać, żeby pochwalić się, jakie spotkało go szczęście. Pragnął z wszystkimi podzielić się radością z odwiedzin syna, którego obawiał się już nigdy nie zobaczyć. Nawet do głowy mu nie przyszło, że gdy wróci, euforia zamieni się w czarną rozpacz. Zaledwie wysiadł z samochodu, a już otoczyła go gromada roztrzęsionych kobiet, przekazujących mu straszne wieści. Nie mógł w to uwierzyć. Wydawało mu się to niemożliwe, a teraz sam szykował ciało Samira do złożenia w grobie.

Jego chłopiec opuścił tę wieś wiele lat temu, a teraz jako dojrzały mężczyzna spocznie na cmentarzu, na którym Nadżib szykował miejsce dla siebie. Pogodził się ze zbliżającą się śmiercią i licząc się z możliwością rychłego opuszczenia tego świata, podjął nawet pewne formalne kroki dotyczące schedy po nim. Stało się inaczej, jego stan się poprawił, a do ziemi złożą nie jego, starego dziada, tylko młodego Samira. To największe nieszczęście, kiedy ojciec oddaje Bogu swoje dziecko. Nie taka miała być kolejność – żałośnie łkał w duchu.

Owinął ciało ostatnią warstwą całunu i zgodnie z muzułmańską tradycją związał sznurami w czterech miejscach. Wyprostował się i spojrzął na

swoje dzieło. Niespodziewanie pociemniało mu w oczach i ogarnęły go silne mdłości. Serce biło mu jak młotem. Natrętny szum w uszach nasilił się, zagłuszając wszystko wokół, i wydawało mu się, że podłoga ucieka mu spod stóp. Z trudem sięgnął do kieszeni i wyjął małą fiolkę. Ściągnął plastikową zatyczkę zębami i wypluł ją na podłogę. Wziął do ust dwie tabletki naraz, pogryzł je i z trudem połknął. Po chwili poczuł się na tyle dobrze, że mógł przywołać pozostałych synów, by przenieśli zmarłego tam, gdzie będą mogli godnie odmówić modlitwę, zanim kondukt wyruszy na cmentarz.

– Powiedz, jak do tego doszło... – zwrócił się do Ismaila, gdy ten pojawił się w asyście braci. – Chcę to jeszcze raz usłyszeć. Tym razem z twoich ust.

– Czekaliśmy w ukryciu z bronią gotową do strzału, aż pojawi się lampart – z niezwykłym spokojem syn powtarzał ułożoną wcześniej bajeczkę. – Wtedy przynęta spadła z drzewa i Samir zaoferował się, że ją ponownie zawiesi.

– Prosiłem, żeby tego nie robił, że to niebezpieczne – potwierdził historię brata Adel – ale nie dał się przekonać.

– Podeszedł do zbiornika z wodą, do którego te psy z plemienia Tadżani roszczą sobie pretensje – kłamał Ismail bez zająknięcia. – Nie zdążył nawet zanurzyć rąk w wodzie, kiedy padł strzał.

– Myśleliśmy, że to echo poniosło odgłos dalekiego polowania, lecz Samir się przewrócił i już nie podniósł.

– Kiedy do niego podeszliśmy, nie żył – włączył się Arif. – Rozglądaliśmy się wokoło, lecz nikogo nie udało nam się wypatrzeć. Nic tam było po nas, więc postanowiliśmy wrócić do domu.

– Jestem przekonany, że to sprawka kogoś z Tadżani! – oskarżał oburzony Ismail. – Zawsze nas atakowali bez żadnego powodu.

– To mi wystarczy. Tyle chciałem wiedzieć – zakończył rozmowę starzec i posępnie obserwował synów.

Wszyscy przyoblekli żałobną maskę i w milczeniu podnieśli ciało owinięte całunem.

Lament Zosi słyhać było niemal w całym budynku. Leżała na łóżku, trzęsąc się od spazmów i krzyków. Opanowały ją niekontrolowane drgawki.

Z całych sił zaciskała dłonie w pięści, a twarz ukryła w poduszce mokrej od łez.

– Muszę go ujrzeć! – błagała, zawodząc. – Ten ostatni raz, żeby się z nim pożegnać. Więcej już go nie zobaczę! Nigdy!

– To niemożliwe! – ostro odezwała się Zubeida, która miała za zadanie uspokoić odchodzącą od zmysłów wdowę. Okazało się, że jeśli tylko chce, potrafi sklecić zdanie po angielsku. – W muzułmańskiej tradycji kobietom nie wolno uczestniczyć w pochówku. Pójdziemy na cmentarz, gdy już będzie po wszystkim, żeby się pomodlić.

– Nie jestem muzułmanką! – zawołała Zosia, jednocześnie zanosząc się płaczem. – Mam gdzieś tę waszą tradycję i zwyczaje! – Miotła się z bezsilności, chociaż wiedziała, że nie na wiele się to zda. – Gdzie są moje córeczki? Natychmiast je tu przyprowadź! – Przypomniała sobie, że nie widziała ich od rana.

– Położyłam je spać – wyjaśniła Jemenka spokojnie.

– Powiedziałas im, co się stało? – dociekała Zosia. Podniosła się na łokciu i popatrzyła badawczo w oziębłą twarz macochy. – Dzieci powinny wiedzieć, że ich ojciec nie żyje.

– Chciałam im zaoszczędzić cierpienia. Sama je poinformujesz, jak się trochę lepiej będzieś miała.

– Z samego rana się stąd wynosimy – stanowczo oświadczyła, stopniowo odzyskując panowanie nad sobą. – Nie zostanę ani minuty dłużej w domu, w którym odmawia się żonie prawa do pożegnania męża.

Do pokoju wszedł szejik, który zdążył wrócić z cmentarza. Wyglądał, jakby w godzinę jeszcze bardziej się postarzał. Na pożółkłej twarzy malowała się bezdenna rozpacz, a z załzawionych oczu bił smutek.

– Trudno ci to wszystko zrozumieć, lecz przynajmniej się postaraj. Zrób to ze względu na pamięć mojego syna – łagodnie zwrócił się do szalejącej z żalu Zosi. – Jego śmierć mnie także dotknęła i ta boleść jest trudna do opisanie. Przez trzy dni będzie trwać żałoba. To szczególny czas dla nas wszystkich. Dlatego będę ci bardzo wdzięczny, jeśli to uszanujesz i zostaniesz z nami. Potem osobiście zawiozę cię razem z twoimi dziećmi na lotnisko w Sanie. Co ty na to?

– Nie powinnam postępować zbyt pochopnie... – zawahała się Zosia. – Jeśli opuszczę was jutro, to nawet się nie dowiem, gdzie znajduje się jego grób.



– Obiecuję, że zaprowadzę cię do niego. – Zubeida również namawiała ją do pozostania. – Pójdziemy tam razem z dziewczynkami.

– Chyba to będzie właściwy moment, żeby wyjaśnić im, co się przytrafiło Samirowi... – młoda wdowa przystała na wszystko.

– Teraz napij się herbatki – czule poprosiła Zubeida, przystawiając kubek do jej ust.

– Co to? – spytała Zosia zaniepokojona.

– Pomoże ci zasnąć. Musisz być wypoczęta, bo czeka cię ciężki dzień.

Powoli Zosia godziła się ze swoim losem. Przecież nie ma sensu walczyć z czymś, co i tak jest przesądzone. Poczula efekt działania naparu i fala ukojenia rozlała się po jej ciele. Przymknęła oczy i zapadła się w nicość.

Przez kolejne trzy doby przez żałobny namiot ustawiony przed domem Nadżiba przewinęły się setki osób. Wszyscy starali się pocieszyć pogrążonego w rozpacz ojca. Przynosili tace z jedzeniem lub słodyczami, żeby rodzina zmarłego mogła w spokoju uporać się z nieszczęściem i nie musiała martwić się o przyziemne sprawy. Szejek siedział ze spuszczoną głową i machinalnie dziękował za słowa pocieszenia. W ostatnim dniu pojawiali się już przeważnie sami obcy. Niektórych kojarzył z widzenia, innych zupełnie nie rozpoznawał. Teraz to była tylko kurtuazja ze strony tych, którym zależało na utrzymaniu poprawnych stosunków z „pierwszym wśród równych”, jak go nazywano ze względu na szacunek i życiowe doświadczenie. Naraz do jego uszu doszedł głos, który brzmiał znajomo.

– Niech Allah uleczy twą rozpacz.

Podniósł głowę i przyjrzał się przybyłemu.

– Dziękuję, szejku Sulejmani. – Ucieszył się na widok przyjaciela z sąsiedniej wioski. – Napij się herbaty i skosztuj naszego poczęstunku – zaprosił gościa, starając się pomimo trawiącego go żalu okazywać innym życzliwość.

– Nie przyszedłem, żeby się objadać – obcesowo rzucił Sulejmani. – Odwiedź mnie dziś wieczorem, gdyż ktoś pragnie zamienić z tobą kilka słów.

– Któż to taki? Muszę wiedzieć, jeśli mam się z nim spotkać.

– To Mansur Tadżani – wyjaśnił bez ogródek.

– Z tym łotrem zobaczę się tylko po to, by go zabić! – wykrzyknął Nadżib, spoglądając na mediatora wzrokiem pełnym nienawiści i aż trzęsąc się z oburzenia. – To któryś z jego ludzi zamordował mojego syna, a więc muszą mi za to zapłacić krwią.

– Dlatego chce stanąć z tobą oko w oko w meczecie, na gruncie neutralnym. Tam nie możecie skakać sobie do gardeł i sprofanować świętego miejsca.

– Ten tchórz boi się wojny ze mną?! – złowieszczo zaśmiał się Nadżib. – Wie, że nie spocznę, póki nie pomszczę mojego kochanego syna! Jedna śmierć to za mało, by ukoić moją boleść.

– Błagam, wysłuchaj, co ma do powiedzenia. Na prowadzenie wojny zawsze będzie czas – perswadował Sulejmani. – Walczyliście już przecież przez kilka lat i nikomu się to nie opłaciło, a żałoba na stałe zagościła w obu waszych wioskach.

– Powiedz mu, że tak łatwo się nie wykpi z zabójstwa! – zaciętrzewiony Nadżib nie zamierzał zmienić zdania.

– A jeśli nikt z tego plemienia nie przyłożył do tego ręki? Czy nie zależy ci, aby poznać prawdę i ukarać faktycznego mordercę?

– Któż inny może stać za tą zbrodnią?

– Którzy Tadżani mieliby interes w tym, żeby zabijać twojego syna, którego nie znali i który przyjechał tu raptem na kilka dni? Po cóż by ryzykowali nowy konflikt, kiedy po poprzednim rany jeszcze się nie zagoiły?

– Niech ci będzie! Wysłucham, co ten bydlak ma do powiedzenia, i uszanuję neutralny grunt, który nam oferujesz. Lecz powiedz mu, że następnym razem, gdy się spotkamy, tylko jeden z nas wyjdzie z tego żywy!

Późnym wieczorem na ciemnym niebie ukazał się błyszczący sierp półksiężyc i oświetlił zieloną kopułę małego wiejskiego meczetu. Wewnątrz w pobliżu *mihrabu*<sup>49</sup> na wzorzystym dywanie siedziało po turecku trzech szejków, lokalnych przywódców. Ich ponure miny i wyważone wypowiedzi świadczyły, że omawiają istotną sprawę, od której zależy los ich pobratymców. Jeden uspokajał pozostałych, gdy w swojej

zapalczywości podnosili głosy i bezwiednie zaciskali dłonie na rękojeściach sztyletów.

– Mam uwierzyć, że Samira zabił jego przyrodni brat?! – gardłował Nadżib. – Na własne oczy widziałem, jak po latach niechęci zawiązuje się między nimi nic porozumienia. Dlatego wybrali się razem na polowanie na lamparta. Chcieli mi wręczyć jego cenne futro na dowód swojej synowskiej miłości.

– Jakiego lamparta? – obruszył się Mansur Tadżani, żywo machając głową i wyrzucając ręce w górę. – W naszych okolicach od lat go nie uświadczysz, bo te rzadkie koty wyniosły się w wyższe partie gór. Moi synowie zasadzili się na zwykłego koziorożca, którego tropili prawie dwa dni. Wtedy przez czysty przypadek natknęli się na twoich i ukryci w zaroślach wszystko widzieli. Po cóż mieliby zabijać obcego człowieka, który nic złego im nie uczynił? No powiedz ty mi?!

– A jaki powód miałby Ismail, żeby zostać bratobójcą?

– Nie mam pojęcia. Najlepiej będzie, jak sam go o to spytasz, choć nie sądzę, żeby się przyznał. Nawet jeśli przedstawiś naocznych świadków.

– Wiem, że nie cofniesz się przed najbardziej haniebnymi oszczerstwami, żeby ratować swoje potomstwo, lecz mój żal może ukoić tylko ich krew. Inaczej nie zaznam spokoju! – znów wybuchnął Nadżib, zupełnie lekceważąc oskarżenia pod adresem syna.

– Zanim dojdzie do kolejnej wojny plemiennej, proponuję, Nadżibie, żebyś przycisnął Ismaila – włączył się rozjemca Sulejmani. – Błagam, zrób to! Może to był zwyczajny wypadek na polowaniu, a on, bojąc się twojego gniewu, zrzuca winę na innych. Uczyni to, nim będzie za późno. Jesteś doświadczonym starym i mądrym człowiekiem. Zdajesz sobie sprawę, że przemoc rodzi przemoc i na przelewie krwi wszyscy ucierpimy. Zemsta nie przyniesie nic prócz cierpienia kolejnych wdów i sierot.

Przywódcy plemienni rozstali się w milczeniu, nawet nie podając sobie ręki. Zadra w sercu Nadżiba była zbyt bolesna, żeby tak łatwo pogodził się ze stratą i odpuścił pomstę. Postanowił jednak jeszcze raz porozmawiać z synem.

Po powrocie do domu, szejka powitała w progu Zubeida, która od razu z twarzy męża wyczytała, że ważą się losy jej ukochanego dziecka.

Natarczywe prośby o wyjaśnienie przyczyn ogromnego wzburzenia Nadżib zbywał machnięciem ręki. Oganiał się od niej jak od natrętnej muchy. Zaządał, żeby wezwała Ismaila, i udał się do siebie.

Trudy całego dnia i wysiłek związany ze spotkaniem w świątyni sprawiły, że Nadżib bardzo źle się czuł. Przy każdej próbie wzięcia głębszego oddechu miał wrażenie, że niewidzialne kleszcze ściskają jego pierś. Zalewały go fale gorąca, a wypieki na twarzy świadczyły o tym, że ciśnienie krwi niebezpiecznie się podniosło. Serce biło mu tak nierówno, jakby przez jego klatkę piersiową przechodziła burza. Kiedy sięgnął po lekarstwo, bez pukania pewnym krokiem do pokoju wszedł Ismail.

– Matka powiedziała, że natychmiast chcesz ze mną rozmawiać – burknął, zatraskując drzwi. – Cóż to za pilna sprawa, która nie może zaczekać do rana?

– Mam świadków, którzy twierdzą, że byli na polowaniu w tym samym czasie i w tym samym miejscu, co wy, i widzieli z ukrycia, jak zabiłeś Samira – wycharczał z trudnością Nadżib, czując wzmagający się ból nad lewym obojczykiem. – Powiedz prawdę, synu! Jeśli ty to zrobiłeś, a w ramach niesłusznej zemsty poleje się niewinna krew, będziesz sprawcą jeszcze większych nieszczęść niż do tej pory.

– Wierzysz tym oszczercom?! – zaśmiał się złowrogo krzywoprzysięzca. – Dranie zapewne nudzili się, podchodząc koziorożca, i dla rozrywki zastrzelili Samira. Ot co!

– A ty polowałeś na lamparta? – Niepokój zalał serce starca i ogarnęła go fala niepewności i ogromnego ojcowskiego żalu.

– Zgadza się. A co, nie wolno? – atakował kłamca.

– W naszym regionie lampartów już od lat nie uświadczysz, synu.

– Bzdury! – Ismail wściekł się, że nie zweryfikował planu kobiety, która nie ma o łowach pojęcia. Lampart po prostu brzmiał dumnie.

– To może wyjawisz mi, jaki powód miałiby ci myśliwi, żeby zabić kogoś zupełnie obcego?

– A jaki powód miałeś ty, żeby zawsze przedkładać miłość do Samira nad uczucie do nas i naszej matki?! – wybuchł Ismail, który pod wpływem nadmiernej ilości wina i skumulowanych emocji stracił nad sobą panowanie. Tama gromadzonej latami nienawiści pękła i niekontrolowane potoki złości wypływały z jego ust. – Zawsze bardziej kochałeś jego matkę, Dżamilę, niż naszą. Przymykałeś oko na jego wybryki i chociażbyśmy

wyszli ze skóry, zachwycali się tylko jego osiągnięciami. Nie mówiąc już o tym, że sfinansowała jego edukację i dałaś świetlaną przyszłość w Londynie. Szkoda, że choć trochę o nas nie pomyślałaś.

– Staralem się traktować was na równi i każdego kochałem tak samo! – bronił się zszokowany ojciec.

– Naprawdę? – syczał przepęchiony wzdargą Ismail. – To dlatego, gdy sądziłaś, że nadchodzi twój kres, chciałaś sprzedać większą część nieruchomości i przelać Samirowi pieniądze za granicę, a nam zostawić to pożałowania godne domostwo i parę marnych groszy na otarcie łez?

– Więc chodziło o spadek?! Za mało byście dostali? Postanowiliście wszystko zagarnąć?!

– A co myślałaś? Że damy się ograbić temu bękartowi z czegoś, co nam się słusznie należy?

– To ja decyduję, co komu przypadnie w udziale, ty morderco i złodzieju! – na nic nie zważając, wyrzucił z siebie rozczarowany ojciec.

Niewyobrazalny ból chwycił go za pierś i ścisnął gardło. Nogi zrobiły się jak z waty i całym ciężarem padł na podłogę. Fiolka z lekarstwem, którą zawsze miał przy sobie, okazała się pusta. Z trudem doczołgał się do szafki nocnej i otworzył szufladę. Obraz rozmył mu się przed oczami i na chybił trafił obmacywał jej zawartość.

– Tego szukasz? – z drwiną spytał stojący nad nim Ismail i potrząsnął dłonią, w której trzymał buteleczkę z pastylkami, które mogłyby uratować ojcu życie.

Głowa Nadziba bezwładnie opadła, uderzając w twarde jak beton klepisko. Przez chwilę ich spojrzenia się skrzyżowały, a potem jedno oczy zasłży mgłą, a drugie w euforii rozbłysły. Do szejka dochodziło coraz mniej bodźców, coraz słabiej i słabiej słyszał szyderczy śmiech syna. Jeszcze próbował zaczerpnąć powietrza, lecz tylko bezradnie otwierał coraz bardziej sine usta. Ismail z cierpliwością drapieźcy obserwował go do chwili, aż starzec całkiem znieruchomiał. Triumfalnie napawał się swoim dziełem, ciesząc się na myśl, że wreszcie zajmie honorowe stanowisko, czego nie mógł się doczekać. Położył palce na powiekach ojca i przesunął je w dół, żeby zamknąć trupowi oczy, oskarżycielsko patrzące na niego.

Opuścił pokój. Na korytarzu zaraz natknął się na stojącą za drzwiami matkę.

– Szejk nie żyje – wyjawiał bez ogródek. – Tym razem serce zatrzymało mu się na dobre. Trzeba ogłosić żałobę, a także wszystkim obwieścić, że to ja przejmuję jego obowiązki.

Zubeida pobladła i natychmiast zalała się łzami. Skurczyła się i trzęsła, szlochając bez opamiętania. Wtem wzięła zamach i uderzyła pierworodnego na odlew w twarz.

– Mówiłam, że masz zabić tylko Samira! Taki był plan! Twój ojciec miał zostać wśród żywych. Co teraz ze mną będzie? Kto się zajmie starą wdową?

– Dopóki żyję, nie zaznasz biedy ani żadnej krzywdy. Otoczę cię lepszą opieką niż ten zgrzybiały niewdzięcznik.

Ismail czule ujął dłoń matki i chociaż czuł pulsowanie policzka, pocałował ją w rękę z takim oddaniem, jakie tylko może okazać szczerze kochający syn.

---

<sup>49</sup> *Mihrab* – nisza w ścianie meczetu wskazująca w czasie modlitwy kierunek na Mekkę (kiblę).

## ROZDZIAŁ 14

### GŁOS SIOSTRY

Sytuacja w Jemenie znacznie się pogorszyła i wciąż dochodziły do mnie wieści o zamachach terrorystycznych dokonywanych przez Al-Kaidę. Oddziały rządowe z marnym skutkiem toczyły na północy zażarte walki z buntownikami Huti, dlatego prezydent Ali Saleh dał siłom amerykańskim *carte blanche*<sup>50</sup> na przeprowadzenie ataków dronami na wrogie bojówki. Niestety, dane wywiadowcze często były błędne i zdarzało się, że zabijano niewinnych cywilów – nikt jednak z tego powodu nie ponosił żadnych konsekwencji, a liczba ofiar wciąż rosła. Dzięki naszym raportom i sugestiom MSZ zdecydowanie odradzało wyjazdy turystyczne do tego kraju, ale nadal przebywały w nim polsko-jemeńskie rodziny, których nie można było zostawić bez opieki.

Od mojej ostatniej delegacji do Sany minęły prawie dwa miesiące i z Warszawy do Rijadu przesłano paszporty, o które wystąpiły Polki podczas wizyty w gościnnym domu Małgosi i Ribata. Otrzymałem też kilka polskich aktów urodzenia ich dzieci. Wszystkie te dokumenty miałem w ręce, ale nie mogłem wysłać ich pocztą czy kurierem, gdyż w tej zawierusze przesyłka mogła zaginąć i kobiety nie mogłyby wrócić do Polski. Musiałem im dostarczyć je osobiście.

Na szczęście sytuacja w stolicy była względnie bezpieczna i pomimo drobnych utrudnień związanych z brakiem wody czy czasowym wyłączaniem prądu życie toczyło się tam normalnie. Właśnie zacząłem przygotowania do tej podróży, gdy na moim biurku zadzwonił telefon.

– Ktoś z Polski chce z panem rozmawiać – usłyszałem w słuchawce nieprzyjemne burknięcie Zaida Rezy, który natychmiast się rozłączył, pozostawiając na linii petenta.



– Czy mam przyjemność z konsulem? – usłyszałem melodyjny kobiecy głos należący do młodej osoby.

– Tomek Skalczyk. Czym mogę służyć? – rutynowo odpowiedziałem.

– Nazywam się Rozalia Nowak i chciałam zgłosić zaginięcie mojej siostry i jej rodziny.

Skuliłem się w sobie, bo zniknięcia czy porwania to najgorsze interwencje, jakie mogą się przydarzyć.

– Proszę dokładnie wyjaśnić, kto zaginął i gdzie.

– Moja siostra Zofia od dobrych kilku lat mieszka w Londynie – rozpoczęła smutno Rozalia. – Ponad miesiąc temu wyjechała z mężem, Brytyjczykiem jemeńskiego pochodzenia, i dwiema córeczkami do Jemenu. Mówiła, że udaje się tam na kilka dni, żeby Samir, jej mąż, pożegnał się z umierającym ojcem. Od tego czasu nie mam od niej żadnych wieści, a dawno już powinni być z powrotem w Anglii.

– Faktycznie nie wygląda to dobrze – przyznałem. – Zwłaszcza że w tej chwili zrobiło się tam dość niebezpiecznie.

– O to właśnie chodzi! – jęknęła kobieta płaczliwie. – Siostra utrzymuje ze mną bliski kontakt i nigdy tak długo nie milczała. Dlatego boję się, że coś złego im się przytrafiło. Czy mogę liczyć na pańską pomoc w poszukiwaniach?

– Oczywiście, zrobię, co tylko będzie możliwe – obiecałem pośpiesznie, od razu zastanawiając się, od czego by tu zacząć. – Proszę jak najszybciej przesłać mi dane dotyczące pani siostry, jej męża i dzieci, a także szczegóły związane z ich podróżą, a ja natychmiast uruchomię procedury.

– Jakie są widoki na jej odnalezienie? – Dziewczynie zapewne wydawało się, że jestem jasnowidzem czy cudotwórcą. – Kiedy wrócą do domu?

– Trudno mi cokolwiek obiecać. Zasada jest taka, że najpierw pisze się oficjalne pismo, w tym wypadku do władz jemeńskich. Nie należy jednak oczekiwać od nich błyskawicznej reakcji. Nasze monity zazwyczaj pozostają bez odpowiedzi – tłumaczyłem, starając się w przejrzysty sposób przedstawić metody działania i prawdopodobieństwo powodzenia. – Przede wszystkim liczę na moje nieoficjalne kontakty. Niedługo wybieram się do Sany i spróbuję rozpuścić wici o pani siostrze wśród tamtejszej Polonii. Dlatego im więcej informacji o niej pani mi prześle, tym większe będą szanse, że ktoś ją zlokalizuje. Jeśli nadal przebywa w tym kraju – dodałem mimochodem, bo wiedziałem, że jeśli szybko nie znajdę jakiegoś punktu

zaczepienia, to szukaj wiatru w polu. – W takiej sytuacji wiele zależy od szczęścia i przypadku.

– Spodziewałam się, że nie pójdzie jak z płatka – kobieta zareagowała nad podziw spokojnie. – Zdobędę zdjęcia i wskazówki i jak najszybciej przekażę je panu mailowo – obiecała, po czym błyskawicznie się rozłączyła, zapewne chcąc od razu przystąpić do dzieła.

Siedziałem przez moment nieruchomo, analizując rozmowę. Od czego by tu zacząć? – zastanawiałem się. Wysłanie oficjalnej noty to pestka, ale takie kroki i tak nic nie dadzą. Więcej niż pewne, że pismo przepadnie w biurokratycznej maszynie jak kamień w wodę. Wiedziałem, że Jemeńczycy nie ruszą palcem w bucie i nawet się nie pofatygują, by według szablonu odpowiedzieć. Jeśli miałem pomóc Zofii i jej córkom, musiałem zadziałać nieoficjalnie. Ale jak znaleźć kogoś chętnego do prawdopodobnie ryzykownej współpracy? Z kim by się tu skontaktować? Nagle doznałem olśnienia i sięgnąłem po komórkę.

– Hej, Tomek! Dobrze, że dzwonicz! – usłyszałem radosny głos Briana z amerykańskiej ambasady. – Ubiegłeś mnie. Miałem się z tobą skontaktować, bo razem z Joyce chcieliśmy zaprosić cię na imprezkę w czwartek. Organizujemy małą potańcówkę w naszej rezydencji.

– Dzięki, stary, ale raczej nie dam rady. Szykuję się do wyjazdu do Jemenu. Właśnie pojawił się tam kolejny nieciekawy problem konsularny. Właściwie o tym chciałem z tobą pogadać.

– Daj spokój, przecież w czwartek nic nie załatwisz. Koniecznie przyjdź! Trochę się rozerwiemy. Nie możemy żyć tylko pracą, bo inaczej zwariujemy i odwiozą nas w kaftanach do domu – namawiał, strojąc sobie żarty w typowy dla niego sposób. – Ma być sporo osób z różnych ambasad, może ktoś przyjdzie ci w sukurs.

– A czy znasz kogoś, kto zechciałby mi tam pomóc? – spytałem prosto z mostu, bo nie lubiłem niczego owijać w bawełnę.

– Jest pewien gość, który zajmuje się sprawami bezpieczeństwa w naszej ambasadzie w Sanie, lecz to nie rozmowa na telefon. Wpadnij, to pogadamy!

– Prawdę powiedziawszy, nie mam teraz głowy do balangowania, ale jeśli tylko na party mogę złapać kontakt z kimś, kto ma układy w Jemenu, to zajrzę do was na chwilę.

– Praca i zabawa się nie wykluczają, a wręcz uzupełniają. – Zaśmiał się beztrosko. – Kiedy się odstresujesz, będziesz bardziej wydajny.

– Już mnie tak nie przekonuj, bo wiesz, że uwielbiam imprezy. – Pogaduszki z beztroskim Brianem zawsze poprawiały mi humor.

– Tak przy okazji, Joyce zasugerowała, żebyś przyszedł z tą Anką, która była z tobą u Finów na afterparty. To całkiem rozrywkowa babka i superlaska, ty szczęściarzu!

– Jasne, jeśli tylko zechce. Dzięki za zaproszenie i pozdrów Joyce. Trzymajcie się!

Kiedy tylko skończyłem rozmowę, wybrałem następny numer. Długo nikt nie odbierał i kiedy już chciałem się rozłączyć, usłyszałem zniecierpliwiony głos mojej kochanki:

– Tomek? To ty?! – rzuciła opryskliwie. – Prosiłam, żebyś nie dzwonił za dnia. Zaraz siadamy do oficjalnego lunchu z ambasadorami i ich małżonkami. Mam może przy nich z tobą gruchać? Jeśli Marek nas nakryje, będziemy mieć poważne kłopoty.

– Nie zajmę ci dużo czasu. – Zignorowałem jej ważniacką pozę. – Brian ściąga trochę ludzi do siebie na party w czwartek. Uda ci się tam ze mną wyskoczyć? Z tego, co mówiłaś, weekendy spędzacie oddzielnie.

– Ten czwartek mam zajęty. – Totalnie zbiła mnie z tropu. – Marek otrzymał zaproszenie na ślub księcia Walida Awlaczego – oświadczyła z taką dumą, jakby była to wejściówka co najmniej na ceremonię kogoś z dynastii Windsorów.

– Przecież jak on dostał, to raczej na imprezę tylko dla facetów. Nie możesz mu towarzyszyć – zauważyłem, bo wydawało mi się, że zapomniała, jak wygląda arabski rytuał weselny. – Zresztą nawet gdyby udało ci się tam wkręcić, to uwierz mi, będzie nudno jak cholera. A u Briana prócz jego uroczej żony Joyce będzie jeszcze Kirsti, z którą kiedyś razem saunowaliśmy, i wiele innych interesujących osób z korpusu. Chodźmy razem, rozerwiemy się. Zobaczysz, nie pożałujesz – namawiałem niczym niezrażony.

– Oczywiście, że Marek będzie się bawić z mężczyznami – oficjalnie modulowała głos. – Mnie zaproszono na przyjęcie dla pań. Nie wyobrażasz chyba sobie, że zrezygnuję z bankietu z księżniczkami i pójdę z tobą na jakąś balangę z dyplomatami drugiego sortu – nieoczekiwanie wbiła mi szpilę, szpanując pozycją męża.

– Mówi się trudno i żyje się dalej – zakończyłem nieprzyjemną rozmowę. Powoli poznawałem prawdziwe oblicze Ani, ale cóż... nadal byłem w niej szalenie zakochany.

W czwartek nie mogłem się wyrwać z biura, gdyż miałem kłopoty ze znalezieniem dogodnego połączenia lotniczego do Sany i zrobieniem rezerwacji hotelowej. Kiedy już wszystko dopiąłem na ostatni guzik, nastał wieczór i ogarnęła mnie głęboka apatia. Zastanawiałem się, czy jest sens iść na imprezę o tak późnej porze i w takim stanie psychicznym. Dobijały mnie nawarstwiająca się problemy konsularne, których końca nie było widać, a wręcz co chwilę dochodziły nowe i z reguły coraz trudniejsze. Najgorsze jednak były nie komplikacje w pracy, lecz moja sercowa sytuacja. Nie wiedziałem, co mam myśleć o ostatniej wymianie zdań z Anią. Czy nagłe ochłodzenie stosunków oznaczało próbę jej dogadania się z Markiem? Czy było to tylko chwilowe zafascynowanie życiem saudyjskiego dworu i księżniczkami, a nasz związek nic nie miał do tego i nadal kwitł? Ostatecznie zwyciężył pragmatyzm i ruszyłem do Dzielnicy Dyplomatycznej, gdyż bardzo mi zależało na jemeńskim kontakcie, który obiecał mi mój amerykański kolega.

Do domu Briana i Joyce dotarłem z ogromnym poślizgiem, około dwudziestej pierwszej. Przyjęcie zorganizowano w amerykańskim stylu. Goście mieli do wyboru dwa dania: plaskate letnie hamburgery w kolorowych pudełkach i ledwo ciepłe hot dogi. Do tego serwowano frytki, jak się domyśliłem po walających się po podłodze przetłuszczonych jednorazowych tackach i resztkach przypalonych ziemniaków. Żeby nie komplikować sobie życia, bar serwował tylko jeden gatunek koktajlu alkoholowego. Była to margerita, którą gospodarze zawczasu przyszykowali w dwu- i trzylitrowych plastikowych kubekach po lodach w formie gotowej do spożycia. Barman wyciągał tylko z zamrażarki kolejną porcję, kruszył lód z wierzchu i lał do jednorazowych kubków. Na efekty ekspresowego spożycia alkoholu długo nie trzeba było czekać. Większość gości już się wykruszyła i tylko gdzieś tam szwendały się niedobitki imprezowiczów, którzy mieli mocniejsze głowy, lecz za bardzo nie dało się nawiązać z nimi werbalnego kontaktu.

Brian, jak przystało na gospodarza, był w dobrej formie i czuwał nad wszystkim. Nadzorował, aby ci, którzy opuszczali party, bezpiecznie dotarli do domu, więc nie pozwalał im siadać za kierownicą i organizował bezpieczną podwózkę. Pozostałym, którzy jeszcze mieli dość siły, by kontynuować zabawę, gwarantował nieprzerwaną dostawę schłodzonych drinków i zagryzki. Zostałem go przy drzwiach kuchennych, jak wydawał polecenia kelnerom i ustalał strategię z barmanem. Na mój widok uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Cieszę się, że jakoś się dowlokłeś – przywitał mnie radośnie. – Lepiej późno niż wcale.

– Miałem pewne opory – tłumaczyłem się. – Jak widzisz, jadę prosto z biura, nie zdążyłem się nawet przebrać.

– Garniak jest okej. Trochę pomięty, ale nie przejmuj się.

– Moja panienska wystawiła mnie do wiatru – poskarżyłem się kumpłowi.

– To już mniej okej, ale olej to. – Serdecznie poklepał mnie po ramieniu.  
– Jej strata.

– Baluje teraz z księżniczkami na jakimś weselichu.

– Na pewno nie wychyli tam takiej pysznej margerity – zażartował, wręczając mi potężny kubek z aromatycznym koktajlem.

– Muszę nauczyć się od ciebie niezachwianej pogody ducha. – Od razu poczułem ulgę i mój stres zaczął się ulatniać.

– Siądźmy tam w kącie. Nikt nam nie będzie przeszkadzać i na spokojnie omówimy twój problem.

Zajęliśmy miejsca w skąpo oświetlonej części pomieszczenia. Wprawdzie wokół grzmiała muzyka i od czasu do czasu w pobliżu przetaczały się roztańczone, ledwo trzymające się na nogach parki, ale nikt na nas nie zwracał uwagi.

– Trzymaj wizytówkę Stevena. To ten gość od bezpieczeństwa, o którym ci wspomniałem. – Amerykanin błyskawicznie przeszedł do konkretów. – Uprzedziłem go, że się z nim skontaktujesz. Zgodził się nawet, żebym podał ci numer jego telefonu komórkowego. – Wskazał na odręcznie nagryzmołone cyfry na rewersie. – Ręczę za niego. To równy gość i jeśli tylko da radę, na pewno ci pomoże.

– Czym on się faktycznie zajmuje? – spytałem naiwnie jak dyplomatyczny złotodziób.

– Mówiłem przecież, że bezpieczeństwem w placówce... – Brian zawiesił głos, zastanawiając się, co może mi powiedzieć, i w końcu wydusił: – Zbiera różne informacje i koordynuje takie tam projekty z organizacjami pozarządowymi. Co ci będę mówił? Sam się domyśl, człowieku! – Porozumiewawczo puścił do mnie oczko.

– I wszystko jasne. – Ucieszyłem się, bo przypuszczalnie facet był z CIA. – Zapewne właściwy kontakt w sytuacji kryzysowej.

– No właśnie... – Brian odetchnął z ulgą, że nic więcej nie musi mi klarować. – Teraz już relaks, dobra? Walnij sobie drinka, jednego, drugiego, i wyluzuj. Należy ci się trochę uciechy, zanim znów wpadniesz w kierat, a adrenalina nie da ci spać po nocach.

– A wy co tak się chowacie po kątach? – rozległ się nad nami rozbawiony głos Joyce, która podeszła do nas z nieznaną mi kobietą w obcisłej czarnej sukience podkreślającej jej zgrabną sylwetkę.

Jako dżentelmeni podnieśliśmy się jak na komendę. Brian zaśmiał się rubaszenie, wykrzykując:

– Co za gapa ze mnie! Zupełnie zapomniałem przedstawić ci Helgę z niemieckiej ambasady w Sanie. Przyjechała do Rijadu na unijne szkolenie konsularne. Już jutro wraca do Jemenu.

– A to jest nasz polski kolega, który tak jak ty, Helgo, jest konsulem – Joyce zaprezentowała mnie swojej koleżance.

Niemka wyciągnęła szczupłą dłoń. Poczulem zdecydowany uścisk, który zaskoczył mnie u filigranowej dziewczyny. Z zaciekawieniem spojrzałem na jej pociągłą twarz i ładne niebieskie oczy. Zdecydowanie była młodsza ode mnie, pewnie przyjechała na placówkę prosto po studiach, uznałem.

Chyba za długo się w nią wgapiałem, gdyż zażenowana lekko się cofnęła i nerwowo potrząsnęła włosami, po czym odruchowo dmuchnęła w grzywkę, która spadała jej na oczy.

– Cieszę się, że poznaliśmy się na prywatnym gruncie – powiedziała wreszcie, gdy już nabrała śmiałości. – Nasza ambasada wzięła na siebie opiekę konsularną nad Polakami zamieszkałymi w Jemenie, bo przecież nie macie tam swojej placówki. Pewnie jeszcze nieraz przyjdzie nam współpracować.

– Chętnie się z tobą spotkam w Sanie, żeby omówić bieżące sprawy – ucieszyłem się, że nieoczekiwanie mam kolejny punkt zaczepienia. –

Niewykluczone, że jeśli dalej będą się zaostrzały wewnętrzne walki, to trzeba będzie przystąpić do ewakuacji naszych obywateli.

– Ja już od jakiegoś czasu kompletuję listę Niemców przebywających w Jemenie – pochwaliła się Helga. – Rekomendujemy naszym, żeby jak najszybciej opuścili ten kraj.

– Z Polakami tak łatwo nie pójdzie – zażartowałem. – Dopóki z ich domostw nie pozostaną same zgliszcza, nigdzie się nie ruszą.

– Dość już o robocie! – wtrącił się Brian. – Impreza jeszcze się nie skończyła. Zapraszam wszystkich do baru na margeritę. Dziś bawimy się do białego rana, a zdychać będziemy jutro. Co ja mówię? Teraz nie myślmy o tym, co będzie jutro! Teraz idziemy się napić!

– A teraz idziemy na jednego, a teraz idziemy wódkę pić – zaintonowałem polską biesiadną przyśpiewkę, która międzynarodowej kompanii bardzo przypadła do gustu. Po paru godzinach Amerykanie, Finowie, Niemcy, a nawet Ghańczyk Anum, krztusząc się ze śmiechu, usiłowali śpiewać ją razem ze mną po polsku.

Brian dobrze mi doradził. Doborowe towarzystwo, wesoła zabawa i totalna beztroska warte są każdych pieniędzy. Przygotowania do delegacji nie ucierpiały, a dzięki koledze z korpusu złapałem dwa ważne kontakty, które mogły znacznie przyczynić się do powodzenia mojej misji w Jemenie. Najważniejsze jednak było to, że moje skołatane nerwy stały się oceanem spokoju. Tak skutecznie się wyciszyłem, iż zupełnie się nie przejmowałem tym, że niecały miesiąc wcześniej identyczny airbus Yemenii, w jakim teraz siedziałem, rozbił się u wybrzeża Komorów i nikt z pasażerów nie przeżył.

---

<sup>50</sup> *Carte blanche* – nieograniczone pełnomocnictwo, swoboda działania, wolna ręka.



## ROZDZIAŁ 15

### SYN RABINA

W noc przed zaplanowanym powrotem do cywilizacji Zosia nie zmrzyła oka. Leżała nieruchomo jak kłoda, wsłuchując się w regularne oddechy córeczek, które spały obok niej. W łóżku było ciasno i nie mogła się ruszyć, żeby ich nie obudzić. Czuła mrowienie we wszystkich kończynach, lecz znacznie większy ból przeszywał jej serce. Po stracie męża zapanowała wokół niej przerażająca pustka, której nikt ani nic nie mogło wypełnić. Dziewczynki pozostały jedynym łącznikiem między teraźniejszością a tym, co minęło bezpowrotnie. Pocieszała się, że przynajmniej jakaś część Samira zachowała się w tych małych istotkach. Dlatego też chciała mieć je ciągle przy sobie, czuć ich zapach, być pewną, że nic im nie zagraża. Lęk, że także je może stracić, nie paraliżował, ale dodawał jej sił. Gotowa była jak lwica broniąca swoich młodych rzucić się na każdego, kto dybałby na nie, a w razie konieczności oddać swoje życie, by je ratować.

Stopniowo pokój wypełniało światło brzasku. Zosia szybko się ubrała, a potem przystąpiła do budzenia córeczek. Marysia, gdy tylko otworzyła oczy, karnie włożyła przygotowane przez mamę ciuszki. Z Ahlam sprawa przedstawiała się znacznie gorzej. Rozglądała się wokół nieprzytomnym wzrokiem, przeciągała i przeciągle ziewała. Ani jej się śniło opuścić łóżko.

– Wstawaj, Ahlam! – ponaglała ją zniecierpliwiona mama. – Twoja siostra jest już gotowa. Zaraz szejk zawiezie nas na lotnisko i jutro będziemy w naszym domku.

– Tatuś tam na nas czeka? – spytała czterolatka, jakby to, co się wydarzyło, było tylko koszmarem sennym, a nie tragiczną rzeczywistością. Jej dziecięcy umysł negował okrutne fakty.

– Tatuś nie żyje, głupia! – ze złością fuknęła na siostrę Marysia. – Zostawił ciebie, mnie i mamę i już nigdy, przenigdy go nie zobaczymy.

– Zrozumcie, kochane moje – tłumaczyła Zosia, połykając łzy – że tata nas nie zostawił, ale wbrew swej woli odszedł. Ktoś skrócił mu życie i żadna w tym jego wina. Teraz jest w niebie i spogląda na nas z góry.

– A jeśli będę grzeczna i przysięgnę, że nie będę kłócić się z Marysią, czy wtedy wróci? – chlipała cichutko Ahlam.

– Skarbie, on odszedł na zawsze. – Zosia ledwie panowała nad szlochem.

– Czy ty też umrzesz? – panikowała kruszynka i nerwowo wsadziła kciuk do buzi.

– Każdy kiedyś umrze! – krzyknęła rozwścieczona Marysia, która na rozgrywający się dramat reagowała nie rozpaczą, ale agresją.

– Spokój, dziewczynki! – stanowczo poprosiła Zosia. – Teraz powinniśmy trzymać się razem i okazywać sobie miłość, a nie kłócić się i naskakiwać na siebie.

Musiała w tej sytuacji wykazać się niebywałym hartem, więc przysiadła na łóżku i wzięła na kolana zagubioną Ahlam. Przywołała też rozgoryczoną Marysię. Objęła córeczki obiema rękami, wtulając w ich włosy swą twarz, i mocno przycisnęła do piersi.

– Na pewno będziemy żyć długo w szczęściu i zdrowiu. Nikt nie zdoła nas rozdzielić, a wasz tatuś, choć już go nie zobaczymy, będzie nad nami czuwał duchem i nie pozwoli nas skrzywdzić – podbudowywała zrozpaczone dzieci, całując je w główki. Po chwili dodała: – Posiedźmy tu jeszcze chwilkę przed podróżą, a potem pójdziemy do dziadka Nadżiba.

Na parterze bliźniaczego domu panowało wielkie poruszenie i słychać było niezwykle hałas dochodzący z obszernego holu. Kiedy Zosia z córkami tam dotarła, spostrzegła Ismaila wydającego podniesionym głosem polecenia biegającym wokół ludziom. Energiczna zazwyczaj Zubeida siedziała na ziemi na poduchach oparta plecami o ścianę i milcząco wpatrywała się przed siebie. Jej nieruchoma jak maska twarz nie zdradzała żadnych uczuć, tylko zaczerwienione oczy świadczyły o długim płaczu.

Zdziwiona sytuacją, Zosia podeszła do macochy, a dziewczynki natychmiast do niej przyłgnęły. Zubeida spojrzała na nie ze zdziwieniem, jakby nagle wybudziła się z głębokiego snu, lecz nadal nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Gdzie jest szejk? – spytała macochę Zofia. – Pan Nadżib obiecał nas dzisiaj odwiedzić na lotnisko. Czy mógłby mi ktoś pomóc znieść walizki do samochodu? – naciskała niezrażona nerwową atmosferą.

Odpowiedź była tak porażająca, że Zosia aż usiadła na podłodze.

– Ojciec odszedł dziś w nocy, pozostawiając nas w głębokim smutku – ogłosił Ismail, jednak na jego twarzy nie gościła rozpacz, ale raczej błyskały ogniki dzikiej satysfakcji i zadowolenia. – Jego serce nie wytrzymało utraty ukochanego syna – dorzucił z ledwie wyczuwalnym sarkazmem.

– W takim razie kto nas zawiezie?

– Nie rozumiesz, że wszyscy opłakujemy zmarłego?! Teraz najważniejszy jest pogrzeb. Przed domem zgromadzili się szejkowie z okolicznych wsi i za chwilę rusza orszak na cmentarz. Nasz ojciec cieszył się wielkim poważaniem, dlatego każdy chce oddać mu hołd.

– Stary szejk Nadżib zarezerwował nam lot na dzisiaj wieczorem – klarowała niewzruszona Zosia. – Jeśli spóźnimy się na samolot, bilety nam przepadną. Ty nam kupisz nowe?! – miała się wszelkich argumentów, żeby go przekonać. – Na pewno znalazłby się ktoś, kto by nas odwiózł, wystarczy, że go tylko poprosisz.

– Jak śmiesz do mnie mówić takim tonem, kobieto?! – ryknął i złapał ją za gęste blond włosy na karku, podnosząc z podłogi jak niesfornego psiaka. – Nigdzie się stąd nie ruszysz! Zrozumiano?! Teraz tutaj jest twój dom! – Odepchnął ją z taką siłą, że upadła na ziemię.

– Ale szejk mi obiecał... – powtórzyła, chlipiąc, choć czuła, że jej słowa odbijają się od szwagra jak od ściany.

– Teraz ja jestem szejkiem i moje decyzje się liczą. Wynoś się do swojego pokoju i żebym cię tu nie widział!

– Chodźmy, dziewczynki. – Podniosła się cała obolała.

– One zostają z Zubeidą! Tylko twoja obecność mnie mierzi! – wyznał rozsierdzony Jemeńczyk.

– To są moje córki i mam prawo z nimi przebywać! – odpyskowała, nie bacząc, że może ją to kosztować kolejny ból, bo instynkt macierzyński wziął górę nad strachem.

– Na razie zajmie się nimi moja matka, a ty bez gadania marsz na górę! Pókim dobry! – Przyskoczył do niej, grożąc kułakiem, na co przerażone

dziewczynki, wtulone w Zubeidę, wybuchły gromkim płaczem. – Zamknijcie się, bo każę waszej babce zamknąć was w komórce!

Dzieci wytrzeszczyły na niego oczka i starały się stłumić szloch.

– Ahlam, Marysiu, bardzo was kocham – szepnęła do córeczek na pocieszenie Zosia. – Nic się nie bójcie, wszystko będzie dobrze.

Powoli ruszyła w stronę schodów prowadzących na górę. Zanim opuściła hol, usłyszała jeszcze łomotanie do drzwi wejściowych, które Ismail błyskawicznie otworzył. Nie obchodziło jej, kto przyszedł, więc niezwłocznie poszła do siebie. Teraz pokój Samira stał się jej jedynym schronieniem.

W progu stał przestraszony Mosze jak zwykle z bukłakiem wina przewieszonym przez ramię, a w ręce trzymał całkiem spore zawiniątko.

– Witaj, szejku! – pozdrowił go, wręczając upragniony napitek.

– Nareszcie! Już myślałem, że się nie doczekam – wyjątkowo łagodnie rzucił Ismail, kierując się w stronę stojącej za domem szopy. – Przyda mi się ten napój, kiedy wrócę z cmentarza. – Mam co świętować, dorzucił w myśli i niecierpliwie wyrwał z rąk syna rabina słodki ciężar.

– Jeśli to nie problem dla ciebie, chętnie odwozę panią Sofię z dziećmi na lotnisko. Wasz imam nie zgadza się, żeby żydzi brali udział w pogrzebie, więc mam czas.

– Podśluchiwałaś?! – zezłościł się Ismail, którego nastrój zmieniał się jak chorągiewka na wietrze. – To są nasze sprawy rodzinne! Radzę, żebyś nie wsadzał w nie swego żydowskiego nosa – zacietrzewiał się coraz bardziej. – Żona mojego zmarłego brata i jego córki zostaną w wiosce! Nigdy nie pozwolę im stąd wyjechać! – zakończył złowrogo.

– Skoro taka jest twoja wola, nie śmiem się jej przeciwstawiać – Mosze uspokajał furiata. – Chciałem ci tylko jeszcze przypomnieć, że przyjeżdża do nas delegacja z Sany, żeby omówić budowę nowego zbiornika na wodę.

– Pamiętam o tym i podejmę ich, jak należy. Zwłaszcza że angażują się w załagodzenie naszego sporu z tymi psubratami Tadżani. – Niezrównoważony emocjonalnie Ismail znów był zadowolony. – A teraz znikaj, bo swoją obecnością naruszasz naszą żałobę.

– Już mnie nie ma! Ale... mam ponadto jedną błahą rzecz. Czy zezwolisz, bym wręczył drobny prezent, który kiedyś obiecałem pani Zofii? Czy mógłbyś ją zawołać?

– Teraz nie może tu przyjść. Źle się czuje.

– Nie ma problemu, poproszę Hanan, żeby jutro jej przekazała. Zaprzyjaźniły się.

– Zaczekaj! Dawaj mi, sam jej oddam. Co to jest?

– Migdały i rodzynki z naszej plantacji dla jej córeczek.

– Dobra! Wynoś się już! – Stanowczo popchnął go w kierunku ścieżki. – Poproś Hanan, żeby tu zajrzała. Tylko dzięki niej można się sprawnie porozumieć z tą Polką. Na dłuższą metę nikt nie będzie sobie łamał języka na tym angielskim.

Żyd oddalił się o parę kroków i zaraz zatrzymał. Kiedy odwrócił się, ujrzał, jak Ismail po drodze do domu sięgnął wielką garbą do pakunku, a potem wsadził sobie pełną garść migdałów przemieszanych ze słodkimi rodzynkami do ust i z napchanymi policzkami wszedł do środka. „Obyś się udławił owocem naszej krwawicy!” – chciał krzyknąć Mosze, lecz rozsądek zwyciężył i tylko ciężko westchnął. Jak pomóc tej biednej kobiecie? – zastanawiał się. Że też tacy porządni ludzie giną, a szumowiny pozostają na tym naszym padole. Co za los!

Następnego dnia Ismail jak gdyby nigdy nic z uśmiechem wparował do pokoju bratowej z niemal do połowy opróżnioną paczką od Mosze.

– To prezent od tego Żyda, syna rabina. – Położył podarunek na stoliku.

Zosia z opuchniętą od płaczu twarzą i podkrążonymi z niewyspania oczami spojrzała na swego ciemieżcę z nienawiścią. Siedziała na ziemi w tym samym stroju co wczoraj, gdyż nie miała ochoty ani się przebrać, ani umyć. Brakło już jej łez, a tylko ogromna żałość ścisnęła serce.

– Zabieraj to, a oddaj mi moje dzieci! – wychrypiała.

– Krzywda im się nie dzieje. Niepotrzebnie się martwisz. Moja matka dba o nie jak o własne. Są zadowolone, zwłaszcza Ahlam.

– Przeklęta starucha namieszała im w głowach. Ostrzegano mnie, że to intrygantka i manipulorka, lecz nie sądziłam, że obierze sobie za cel moje córeczki. Co jej po nich? Przecież przyjechałyśmy tu tylko na kilka dni. – Zebrała się na odwagę i zapytała: – Kiedy nas stąd wypuścisz? Po żałobie?

– Chyba się nie rozumiemy! – wycharczał Ismail. – Jesteś wdową po moim bracie, więc mam obowiązek zaopiekować się tobą i jego potomstwem. Dlatego zamierzam pojąć cię za żonę.

– Co?! – wykrzyknęła Zosia. – To niemożliwe!

– Czemu tak ci się wydaje? – Szelmowsko się uśmiechnął. – Jak nakazuje islam, musi tylko od śmierci twojego męża upłynąć cztery miesiące i dziesięć dni, i wtedy wolno już wyprawiać weselisko.

– Nigdy nie będę twoja! Prędeż zginę, niż się tobie oddam!

– Jakie to romantyczne – ironizował. – A czy pomyślałaś, co się stanie z Ahlam i Miriam, kiedy będziesz mi tak szła na nerwy? – Celowo użył arabskiej wersji imienia dziewczynki. – Wiesz, jaką teraz mam władzę? Mogę je trzymać w piwnicy lub sprzedać, a jak zechcę, to nawet zabić. Nikt i nic mnie przed tym nie powstrzyma.

– Ty draniu! Nie masz skrupułów, co? Pewnie żałujesz, że to nie ty zabiłeś Samira? Tak bardzo go nienawidziłeś...

– A skąd wiesz, że to nie ja? Jakimż łatwym celem był ten idiota... – Ismail ujawnił swoją tajemnicę, bo wobec tej kobiety czuł się całkiem bezkarny.

Zosię na chwilę zamurowało.

– Morderco! Od początku domyślałam się, że to twoja sprawka. – Ledwo wydobyła z siebie głos, lecz zaraz się pozbierała i ryknęła: – Od moich córeczek wara! Nie wiesz, do czego zdolna jest matka w obronie swoich dzieci! A szczególnie matka Polka!

– Jeśli chcesz je chronić, masz mi być posłuszna! – Walnął pięścią w stół, aż pakunek podskoczył i spadł, a migdały z rodzynkami rozsypały się po podłodze. – Przemyśl to sobie. Zaraz przyjdzie do ciebie Hanan, by zapoznać cię z rutyną naszego skromnego wiejskiego życia. Mam nadzieję, że przemówi ci do rozumu.

\*\*\*

Spotkanie z przedstawicielami ministerstwa wody i ochrony środowiska zakończyło się sukcesem. Szejk Ismail i shejk Mansur Tadżani zawarli ugodę dla dobra mieszkańców swoich wiosek. Doprowadzenie wody ze spornego ujęcia do dwóch osobnych zbiorników miało zakończyć wszelkie waśnie. Przywódcy plemienni postanowili zaprzestać walk i odtąd żyć w pokoju. Nowe rezerwuary rozwiążą problem nawadniania plantacji, co przyczyni się do zwiększenia zbiorów, a tym samym poprawy poziomu życia wieśniaków. Dzięki temu wzmocni się także pozycja lokalnych

przywódców, gdyż to im pobratymcy będą zawdzięczać dobrobyt, za co zapewne będą im dozgonnie wdzięczni.

W wiosce Tanaam na nadzorcę robót Ismail wyznaczył sprytnego Mosze. Syn rabina zorganizował brygadę robotników, w której skład wchodził wyłącznie mieszkańcy żydowskiej enklawy, gdyż znali się na rzemiośle i mieli jakiegokolwiek pojęcie o murarce. Arabowie z dziada pradziada zajmowali się tylko i wyłącznie uprawą roli i myślistwem, dlatego zupełnie nie nadawali się do tej pracy. Po miesiącu od zawarcia porozumienia ministerstwo, które nadzorowało inwestycję, przysłało do wioski pierwsze materiały budowlane i ekipę specjalistów pod kierownictwem Ribata Baidzina. Uroczyście wkopano kamień węgielny i rozpoczęto stawianie zbiornika. Z tej okazji szejk Ismail wydał wykwintny obiad, na który zaprosił delegację z Sany i żydowskich wykonawców.

Goście rozsiedli się wygodnie na miękkich kolorowych wełnianych dywanach, opierając plecy na poduchach rozłożonych wzdłuż ścian *mafradzu*. Na środek pokoju wniesiono tace pełne różnorodnego jadła. Jak zwykle królował ryż pod różnymi postaciami, bogato przyprawiony wonnymi ziołami, ale największym wzięciem cieszyła się duszona baranina serwowana w ogromnych ręcznie malowanych glinianych misach. Uczestnicy ochoczo sięgali tłustymi od sosu palcami po kolejne kawałki, a wokół słychać było tylko głośnie mlaskanie i pobekiwanie. Kiedy usługujące im kobiety wszystko uprzątnęły, mężczyźni oddali się tradycyjnemu żuciu *khatu*.

– Kim jest ta pani o jasnej cerze, która podawała nam jedzenie? – spytał Ribat gospodarza, gdy poczuł relaksujące działanie narkotyku.

– Ach, ta? – niepewnie zaczął Ismail. – To wdowa po moim przyrodnim bracie.

– Nie pochodzi chyba stąd? Ma raczej europejskie rysy twarzy – dociekał urzędnik z Sany.

– To Polka – wyjaśnił szejk. – Przyjechała z moim bratem Samirem, żeby odwiedzić ojca, który był ciężko chory. Teraz obaj nie żyją, a ta biedaczka jest pod moją kuratelą.

– Co za zbieg okoliczności! – żywiłowo zareagował Ribat. – Moja żona też jest Polką! Koniecznie powinny się spotkać, przecież to dwie rodaczki żyjące z dala od ojczyzny. Zresztą w Sanie jest więcej Polek – rozradowany

inżynier się rozgadał. – Może odwiedzić nas kiedyś? Zapraszam do siebie, mam dość przestronną willę.

– Zofia jest w żałobie. – Ismail w życiu by się nie spodziewał takiego obrotu sprawy. Wtedy nie pozwoliłby szwagierce wyściubić nawet czubka nosa z kuchni. – Dziękuję za zaproszenie, na pewno skorzystamy – łągał jak z nut.

– Czasami odwiedzam krewnych w Sanie – nieoczekiwanie wtrącił się Mosze. – Gdyby pańska żona, panie Ribat, chciała coś przekazać naszej Polce, służę pomocą.

– To zbędne! – warknął rozeźlony gospodarz. – Sam też często jeżdżę do stolicy. Ty lepiej zajmij się swoją robotą, bo zbliża się lato i woda jest nam niezbędna.

Wkrótce przyjęcie się zakończyło i goście opuścili dom szejka. W *mafradzu* został jedynie Ismail, który złym spojrzeniem odprowadził wychodzącego Mosze, przeklinając, że w ogóle zaprosił żydowskich wyrobników do swojego domu. Jeszcze się z nim policzę! – odgrażał się w myślach. Przyjdzie jego kolej.

Wyciągnął swój ulubiony bukłak ukryty w kącie pod materacem i pociągnął spory łyk wina. Potem kolejny i kolejny. Kiedy rozprawił się z zawartością pojemnika, rozłożył się wygodnie i oddał słodkiej pijackiej drzemce.

\*\*\*

Zosia chodziła tam i z powrotem po pokoju, nie mogąc usiedzieć na miejscu. Hanan tkwiła na krześle i czekała, aż koleżanka się opanuje.

– Uspokój się wreszcie! – krzyknęła Jemenka, która nie mogła znieść widoku jej rozgorączkowania. – Mam ci coś ważnego do powiedzenia, ale ty nawet mnie nie usłyszysz, kiedy będziesz się tak rzucać.

– Co konkretnie?

– Kiedy uprzątnęłyśmy tace i faceci zaczęli żuć *khat*, usłyszałam, jak jeden inżynier z ministerstwa pytał Ismaila o ciebie, a potem powiedział, że jego żona też jest Polką. Ponoć w stolicy prócz niej mieszka jeszcze kilka twoich rodaczek.

– Poważnie?! – Zosia nie miała o tym zielonego pojęcia.



– Mówię po arabsku od dziecka i w przeciwieństwie do ciebie rozumiałam, o czym gadali – zaperzyła się.

– Muszę złapać kontakt do tej kobiety. To dla mnie jedyna szansa na wyrwanie się z Jemenu.

– Jak zamierzasz tego dokonać? Najpierw trzeba się wyrwać stąd, a to jest najtrudniejsza część planu.

– Nie mam pojęcia. Niewykluczone, że Mosze mi pomoże, bo to jedyny życzliwy mi człowiek w tej głuszy. – Zosia nieśmiało zaczęła odzyskiwać nadzieję.

– A ja to co?! – rzuciła rozzalona Hanan. – Przecież gdybym ci nie powiedziała, co w trawie piszczy, w życiu nie dowiedziałabyś się o żadnej Polce.

– Tak, masz rację. Przepraszam. – Czule objęła towarzyszkę niedoli. – Tylko że ty nie masz samochodu i nigdzie się stąd nie wyrwiesz. W zasadzie jesteś taką samą więźniarką jak ja.

– Za to jestem przebiegłą arabską kobietą i bezproblemowo pomogę ci uśpić czujność Ismaila. Znam go jak zły szeląg.

– To doradź mi, co robić...

– Przede wszystkim nie zapominaj, że nie jesteś sama. Masz córeczki, które zaanektowała ta zołza Zubeida. Ostrzegałam cię przed nią, pamiętasz?

– Pamiętam, tylko co z tego, skoro najgorsze już się wydarzyło. Jak mam wybrnąć z tej opresji?

– Musisz udawać, że pogodziłaś się ze swoim losem.

– To będzie trudne, ale do zrobienia. I co dalej?

– Do końca żałoby, a zatem do waszego ślubu, zostały jeszcze trzy miesiące – kreatywna Hanan na oczekaniu wymyślała strategię. – Powiedz temu skurczybykowi, że już pragniesz przygotowywać się do uroczystości i dlatego chcesz nauczyć się arabskiego.

– Arabskiego!?! – Hanan zaskoczyła Zosię. – W życiu nie poświęcę nawet minuty na naukę tego charczącego obrzydliwego żargonu.

– A jeśli powiem ci, że jedynym nauczycielem w naszej wiosce, który mógłby dawać ci lekcje, jest Mosze, nieźle wyedukowany chłopak znający chyba z pięć języków?

– Ty sprytna bestio! – Rozradowana klasnęła w dłonie, całkiem już zapominając o swoim załamaniu. – Na to Ismail musi mi pozwolić, a ja poprzez Mosze skontaktuję się z tą Polką z Sany.

Konspiratorki jeszcze długo rozważały wszelkie za i przeciw. Jednak pomysł nauki arabskiego u młodego Żyda wydawał się najbardziej obiecujący. Miał też tę zaletę, że Zosia będzie mogła zrozumieć Ahlam i Marysię, które coraz lepiej mówiły po arabsku i nie chciały z nią rozmawiać ani po polsku, ani po angielsku. Ot, taka dziecięca przekora.

– Znajomość języka wroga jest bezcenna – stwierdziła na koniec Zosia. – To się sprawdzało przed wiekami i nadal jest aktualne.

– Ale ani ja, jemeńska Arabka, ani Mosze, jemeński Żyd, twoimi wrogami nie jesteśmy? – zapytała Hanan smutno.

– Absolutnie nie! Jesteście najlepszymi przyjaciółmi!

## ROZDZIAŁ 16

### SANA W CIEMNOŚCI

Tradycyjnie z lotniska w Sanie odebrał mnie konsul honorowy Mahmud Szeibani, by bezpiecznie zawieźć do hotelu. Jego nieodłączni ochroniarze zajęli się moimi bagażami i wkrótce nasz samochód wtopił się w ciemność, która spowijała miasto. Pomimo późnej pory i braku prądu stolica tętniła życiem. Mijane po drodze bazary oświetlało tysiące lampek kempingowych na propan-butan. Przez szybę naszego pojazdu, który zwalniał, mijając pełne ludzi targowisko, dostrzegłem handlarzy pracowicie uwijających się przy swoich stoiskach oraz zażarcie targujących się kupujących. Gdzieś tam stały wielkie żeliwne grille, na których piekły się szaszłyki baranie, a młodzi chłopcy w białych *tobach* i ażurowych *takijach* na głowach roznosili tace ze szklaneczkami gorącej herbaty. Zupełnie nie czuło się zagrożenia działaniami wojennymi, jakby otaczający wszystko gęsty mrok gwarantował mieszkańcom nietykalność.

Wyjechaliśmy na przedmieścia stolicy, gdzie dominowała niska willowa zabudowa. Kierowca zatrzymał auto na parkingu przed parterowym budynkiem z czerwonej cegły, który oświetlały zawieszane na hakach lampiony, także podłączone do butli z gazem. Nad wejściem wisiał afisz pokryty dziecięcymi rysunkami przedstawiającymi sieć rybacką pełną różnokolorowych rybek i żyjątek morskich. Centralną część banera zajmował napis: „Restauracja rybna”.

– Co my tu robimy? – spytałem zdziwiony. – Przecież miałeś mnie odwieźć do hotelu.

– Zapraszam na najlepsze krewetki w Sanie, które serwują tu na dziesiątki sposobów. Są naprawdę znakomite – odparł Szeibani z uśmiechem, po czym poważnie dodał: – Muszę z tobą porozmawiać w cztery oczy. Zarezerwowałem dla nas stolik w ustronnym miejscu.

Przy drzwiach znajdowało się zdjęcie karabinu otoczone czerwonym okręgiem przekreślonym grubą krechą jak na drogowym znaku zakazu. Nie było żadnej wątpliwości, że do lokalu nie można wnosić broni. Prawie jak na Dzikim Zachodzie, przyszło mi do głowy. Tylko zamiast rewolwerów ograniczenie dotyczyło broni maszynowej.

W środku pomimo późnej pory znajdowało się sporo gości, bo w krajach arabskich kolację często jada się koło północy. Kelnerzy uwijali się jak w ukropie. Obsługa błyskawicznie zastawiła prawie cały nasz stół patelnikami, w których skwierczały krewetki w różnych sosach.

– Nie mogłeś z tym poczekać do jutra? – Nie byłem zbyt zadowolony z nocnej nasiadówki.

– Jutro muszę wylecieć w interesach do Omanu – wyjaśnił. – Dlatego chcę przekazać ci informację jeszcze dzisiaj, gdyż dotyczy ona Zuzanny Anejzi. Pamiętasz, jak prosiłeś, żebym pośredniczył w rozmowach z jej męskim opiekunem? Załatwienie pozwolenia na powrót matki z półjemeńskimi dziećmi do Polski to nie byle co.

– Uderzałem też do innych wysoko postawionych w Jemenie osób, lecz nie przyniosło to żadnych rezultatów. Sądziłem, że ty o niej zapomniałeś albo sprawa jest nie do ruszenia.

– Tu jesteś w błędzie. – Szeibani spojrział na mnie z entuzjazmem. – Udało mi się i twoja rodaczka będzie mogła wyjechać z grupą ewakuowanych.

– Hura! To oznacza, że kolejny trudny polonijny problem mamy rozwiązany! – ucieszyłem się i serdecznie poklepałem współpracownika po plecach. – Jak tego dokonałeś?

– Nie chwaląc się, mam wpływowych przyjaciół i krewnych w sferach rządowych. – Konsul honorowy znacząco uniósł brew.

– No i?

– Mój kuzyn z ministerstwa spraw wewnętrznych odwiedził męża Zuzanny w mamrze.

– Mówże szybciej! – denerwowałem się, jakbym to ja wybrał się do karceru. – Ten niereformowalny ślubny Zuzy nagle zmienił zdanie i ot tak dał jej zgodę?

– Nawet pisemną – roześmiał się kpiarsko Szeibani. – W zamian za zwolnienie warunkowe.

– Aż nie chce się wierzyć! Takie rzeczy są możliwe tylko w Jemenie – stwierdziłem zbulwersowany.

– Mąż Zuzanny i tak wyszedłby warunkowo. Jego przestępstwo jak na nasze realia nie zalicza się do zbyt ciężkich, a więzienia w Sanie pękają w szwach. Oczywiście ten dureń o tym nie wiedział i podpisał papiery bez mrugnięcia powieką.

– Nie wiem, jak ci się odwdzięczę. – Kręciłem głową z niedowierzaniem, a całe zmęczenie ze mnie pierzło. – Swoją drogą dobrze, że tu wpadliśmy na kolację.

– Co masz na myśli?

– W życiu nie jadłem tak pysznych i świeżych krewetek.

Następnego dnia rano wyruszyłem do willi Ribata i Małgosi. Cieszyłem się, że jadę samochodem konsula honorowego na rządowych tablicach rejestracyjnych, gdyż patrole wojskowe rozstawione na każdym kroku przepuszczały nas bez kontroli. Z niepokojem i przykrością obserwowałem ślady niedawnych walk, które oszpeciły ulice. Przerazały stojące na poboczach spalone wraki samochodów i podziurawione kulami fasady budynków. Czarne otwory wypalonych okien ziały pustką i sprawiały wrażenie martwych oczodołów. Chodniki były zavalone gruzem i odłamkami szkła z rozbitych witryn. Widok ten wzbudzał zgrozę. Sana stała się zupełnie innym miastem, niż kiedy byłem tu ostatnim razem. Chłonałem ten widok destrukcji i zniszczenia, czując, jak z nerwów serce chce mi wyskoczyć z piersi, a krew pulsuje w skroniach. W każdej chwili walki mogły się na nowo rozpocząć.

W dzielnicy willowej było całkiem inaczej, spokojnie i bezpiecznie. Jakby wojna tutaj nie dotarła. Z ulgą przywitałem się z gospodarzami i od razu rozdałem zgromadzonym Polkom paszporty, które dla nich przywiozłem. Radości nie było końca. Kobiety niecierpliwie kartkowały pachnące nowością dokumenty, które umożliwiały im wyjazd z tego niebezpiecznego kraju. Korzystając z okazji, że wszystkie były na miejscu, położyłem na stole plik kartek i poprosiłem panie o wpisanie danych swoich oraz dzieci, by stworzyć kompletną listę ewakuacyjną. Wykaz obejmował również mężów Jemeńczyków, którzy chcieli towarzyszyć swoim rodzinom. Wśród krzyków i pisków maluchów, z którymi

oczywiście przyszły, nie było to łatwe, ale przy pomocy Małgosi po jakimś czasie udało się zarejestrować chętnych.

W tym rozgardiaszu podszedł do mnie Ribat z nieznaną mi Polką z niemowlęciem na ręku i dwójką dzieci uczepionych jej obszernej abai. Twarz miała mizerną, a cerę w żółtym, niezdrowym odcieniu. Jako jedyna w tym towarzystwie prócz muzułmańskiego płaszcza nosiła *hidżab* szczelnie zasłaniający włosy.

– Poznaj Zuzannę Anejzi, która ostatnim razem się nie zjawiała – przedstawił ją gospodarz. – Jemeńska rodzina, jak wiesz, długo nie chciała zgodzić się na jej wyjazd. Ponieważ sytuacja w Sanie stała się wyjątkowo niebezpieczna, udało mi się ich przekonać, by pozwolili jej opuścić Jemen razem z dziećmi.

– Bardzo się cieszę – pogratulowałem kobiecie i zdziwiony spojrzałem na Ribata, bo nie miałem pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Komu tak naprawdę Polka zawdzięcza wolność? Ribatowi czy Szeibanemu? Jako że nie miało to żadnego znaczenia, nie drążyłem tematu.

– Wyjeżdżam tylko na czas wojny – usprawiedliwiająco wyszeptała Zuza.

– Gdy sytuacja się unormuje, wrócę do Sany.

– Najpierw załatwmy wyjazd, potem będziemy myśleć o powrocie – stwierdziłem rozsądnie, chcąc skierować rozmowę na właściwe tory. – Czy potrzebuje pani nowego paszportu?

– Nie, wszystkie dokumenty wyjazdowe dla mnie i dzieci mam ważne.

– W takim razie proszę się dopisać na listę ewakuacyjną i czekać na informację o terminie przelotu.

Przed wyjściem spytałem, czy któraś nie słyszała o nowej rodaczce.

– Ma na imię Zofia i jakiś miesiąc temu przyleciała tu z mężem Jemeńczykiem i dwójką córeczek.

– Blondynka? W jakim wieku? Ile lat mają dzieci? – ciągnęły mnie za język.

Było raczej mało prawdopodobne, by któraś z nich cokolwiek wiedziała o zaginionej lub na nią przypadkiem wpadła, ale liczyłem na nieoczekiwany fart, choć rzadko go doświadczałem. Pożegnałem się, wziąłem teczkę i skierowałem do drzwi.

– Poczekaj moment – poprosił Ribat, który jak przystało na wzorowego gospodarza odprowadzał mnie do samochodu. – Ja chyba będę mógł ci pomóc.

– Tylko szybciotko, przyjacielu – pospieszałem go nerwowo. – Zaraz mam mityng z niemiecką konsul.

– Mówiłem ci, że pracuję dla rządu.

– Tak, pamiętam. Coś związanego z ochroną środowiska i wodą – niecierpliwiłem się, bo ustalenia z Helgą dotyczące ewakuacji lotniczej były teraz najważniejsze.

– Otóż razem z amerykańską ambasadą, która finansuje projekt zaopatrzenia wioski w wodę, byłem we wsi Tanaam, gdzie rozpoczęliśmy budowę dużego zbiornika.

– Wybacz, ale naprawdę już powinienem być pod ambasadą niemiecką – przerwałem mu niegrzecznie, gdyż zanosilo się na długą opowieść w arabskim stylu.

– Widziałem tam nieznaną mi Polkę! – ku mojemu całkowitemu zaskoczeniu nieoczekiwanie wypalił. – Nie wiem tylko, czy to ta, o którą rozpytujesz. Blondyna z górskiej osady jest wdową. No i nie mam pojęcia, czy posiada dzieci.

– Skąd wiesz, że to akurat Polka? Może być Niemką, Czeszką, Bułgarką. Nie tylko mieszkanki znad Wisły mają blond włosy i niebieskie oczy.

– Szejk, który nas zaprosił na uroczysty obiad, nie krył się z tym. Dodał jeszcze, że kobieta jest w żałobie po jego przyrodnim bracie. Dlatego nie przyjął mojego zaproszenia, kiedy zaproponowałem, żeby mnie i Małgosię odwiedzili w Sanie.

– Dlaczego od razu od tego nie zacząłeś?! – wykrzyknąłem z pretensją. – Przecież to dla mnie cholernie istotna informacja.

– Bo ciągle mi przerywałeś i nie dawałeś dojść do głosu. – Spojrzał na mnie z wyrzutem, a mnie zrobiło się głupio, że tak arogancko go potraktowałem.

– Koniecznie musimy się dowiedzieć, kim ona jest i co tam robi. – Usiłowałem wymyślić jakiś dobry gryplan. – Kiedy się tam ponownie wybierasz?

– Z tym właśnie problem, gdyż wstrzymaliśmy prace. – Zmartwienie malowało się na jego poczciwej twarzy. – Podobno szejk Ismail, wyjątkowy pyszałek i psubrat, który objął funkcję po niedawno zmarłym ojcu, ma złe skłonności i sprzyja buntownikom Huti, których bojówki krążą po tamtym terenie. W wiosce stało się zbyt niebezpiecznie dla naszych pracowników, a także mieszkających tam Żydów, którzy są wykonawcami zbiornika.

- Dobrze sobie! Żydzi? W Jemenie?! – nie dowierzałem. – Poważnie?
  - Żyją tam od pokoleń i zawsze mieli dobre układy z tamtejszymi Arabami – wyjaśnił. – Przynajmniej tak było za starego szejka Nadżiba, który był stronnikiem władz w Sanie. Niestety, jego synalek Ismail jest inny. W tej sprawie jadę na naradę do ambasady amerykańskiej.
  - Kiedy?
  - Jutro – odpowiedział błyskawicznie.
  - Ja też! Jestem umówiony z niejakim Stevenem. Spotkajmy się tam razem, to może przy okazji uda się coś ustalić w sprawie tej Polki.
  - Co za zbieg okoliczności! Steven to mój partner z amerykańskiej pomocy humanitarnej! – zawołał Ribat i aż klasnął. – Dobrze się składa, bo i tak chciałem się z tobą zobaczyć, gdyż muszę cię gdzieś zabrać.
  - Dokąd? – spytałem zaintrygowany.
  - Dowiesz się w swoim czasie, to niespodzianka – odpowiedział wymijająco.
- Ogromnie liczyłem na Ribata. Może dzięki niemu błyskawicznie uda się zlokalizować Zosię i jej rodzinę?

Pracę ambasady niemieckiej w Sanie dostosowano do warunków wojennych. Liczbę dyplomatów zredukowano do niezbędnego minimum i nikogo niezatrudnionego nie wpuszczano do środka. Zanim udało mi się sforsować obwarowany ciężkimi płytami betonowymi punkt kontroli i uzyskać przepustkę, minęło prawie pół godziny. Helga podeszła ze zrozumieniem do mojego spóźnienia. Nie zdążyliśmy nawet usiąść, gdy na jej biurku zadzwonił telefon. Kiedy odłożyła słuchawkę, przeszedłem do sedna, lecz naszą rozmowę co chwilę przerywał kolejny dzwonek.

– Rodziny z Niemiec niepokoją się o swoich bliskich – wyjaśniła z przepaszającym uśmiechem. – Nie zawsze mogę im udzielić wyczerpujących informacji, dlatego z reguły rozmowy te są bardzo trudne i nerwowe.

– Nie musisz mi tłumaczyć. To typowe w pracy konsularnej. Jak nikt inny musimy mieć nerwy ze stali, inaczej trudno by było poradzić sobie w sytuacji kryzysowej.

– Jeśli o mnie chodzi, to dopiero się tego uczę i od razu trafiłam na wojnę – ciężko westchnęła debiutantka. – W dodatku na razie nic nie wiadomo



o terminie przylotu czarteru ewakuacyjnego.

– Nie będę ci w takim razie zawracać głowy. – Szybko podniosłem się z krzesła i wręczyłem wykaz osób deklarujących chęć wyjazdu z Jemenu. – Jakbyś mogła dołączyć te Polki z dziećmi do waszej listy pasażerów. Pamiętaj, że to są tylko wstępne dane i na pewno dojdzie jeszcze kilka osób. Jesteśmy w mailowym kontakcie, więc aktualizację będę ci przysyłać na bieżąco.

– Jak tylko podadzą mi datę, natychmiast dam ci znać.

Helga odprowadziła mnie na podwórzec otoczony wysokim betonowym murem, zwieńczonym zasiekami z drutu kolczastego. Pożegnaliśmy się i bez większych przeszkód dotarłem do swojego samochodu. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że jest późne popołudnie. Z tego wszystkiego zupełnie straciłem poczucie czasu. Po wyczerpującym maratonie konsularnym byłem tak zmęczony, że nie czułem nawet głodu. Postanowiłem wrócić bezpośrednio do hotelu i przegryźć coś na miejscu. Kolejny dzień zapowiadał się nie mniej pracowicie. Marzyłem, żeby jak najszybciej znaleźć się w łóżku, by się zregenerować. Spałem jak zabity i nawet dalekie odgłosy detonacji, które powodowały drzenie szyb w oknach, nie były w stanie mnie obudzić.

Żołnierz marines z ochrony ambasady poddał nas dokładnej kontroli bezpieczeństwa i wprowadził do sali konferencyjnej. Siedziałem tam z Ribatem już prawie godzinę, pijąc lurę, którą Amerykanie dumnie nazywali kawą. Czekaliśmy na Stevena.

W końcu pojawiło się dwóch mężczyzn w średnim wieku. Jeden wysoki, dobrze zbudowany, z krótko przyciętymi siwymi włosami, miał na sobie dobrze dopasowany szary garnitur i do połysku wyglancowane czarne półbuty. Poruszał się jak wojskowy. Z jego aparycji wywnioskowałem, że w jego naturze było raczej wydawanie rozkazów niż ich wykonywanie. Towarzyszył mu mężczyzna z niewielkim brzuszkiem. Na koszulę typu safari narzucił wysłużoną skórzaną kamizelkę, a przykrótkie nogawki drelichowych spodni odsłaniały cholewy pustynnych butów. Przyglądał nam się z rozbijającym uśmiechem, a jego pocziwa twarz wzbudzała zaufanie.

– Witaj, Steven! – Ribat doskoczył do człowieka w garniturze i serdecznie potrząsał jego dłonią. – Poznaj Tomka z polskiej ambasady w Rijadzie.

– Miło mi. Brian mi o tobie wspominał – powiedział Amerykanin, miażdżąc mi w uścisku palce. – Nie mam dla was dobrych wieści. Huti nacierają coraz zuchwalej i poza stolicą jest już bardzo niebezpiecznie. Dlatego musieliście na nas tyle czekać, bo nieoczekiwanie wypadła nam narada w związku z kolejnymi atakami na cudzoziemców.

– A co z budową zbiornika? – niepokoił się Ribat. – Wioska bez wody poważnie ucierpi i przyszłe zbiory będą marne.

– Teraz jesteśmy zmuszeni zatrzymać wszelkie prace.

– Liczyłem, że dzięki waszym pracownikom dowiem się, kim jest moja rodaczka, którą ostatnio widział tam Ribat. – Byłem rozczarowany, gdyż jedyna szansa na kontakt właśnie zniknęła.

– Mamy pewien plan i dlatego jest tutaj ze mną Natan – wyjaśnił Steven, wzbudzając we mnie odrobinę nadziei, że jeszcze nie wszystko stracone. – Reprezentuje Agencję Żydowską dla Izraela i zajmuje się pomocą Żydom w ucieczce z regionów zagrożonych. Natanie, wyjaśnij panom, jak wygląda sytuacja w Tanaamie.

– Nie jest wesoło, lecz tamtejsi izraelici jeszcze nie chcą opuścić swych domów. To dla nich zbyt bolesne i trudne, by po tylu stuleciach zostawić cały swój rodowy dobytek i udać się na poniewierkę – klarował Natan. – Na razie obserwujemy rozwój wypadków i jeśli to będzie konieczne, przetransportujemy ich na kompaund znajdujący się przy naszej ambasadzie w Sanie.

– Czy istnieje możliwość bezpośredniego kontaktu z tymi ludźmi? – Koniecznie chciałem ustalić tożsamość Polki.

– Naszym jedynym łącznikiem jest Mosze, syn tamtejszego rabina – wyjaśnił Natan. – Wszystkie informacje otrzymujemy za jego pośrednictwem. To on da hasło do ewakuacji, kiedy zrobi się naprawdę gorąco i wojska Huti bezpośrednio zagrożą mieszkającym tam Żydom.

– Czy ten Mosze ma komórkę? – włączył się do rozmowy Ribat. – Nie miałem okazji wymienić się z nim numerem telefonu.

– Oczywiście. Ale nie mam pewności, czy z każdym będzie chciał szczerze rozmawiać.

– Już na kolacji u szejka zaoferował swoją pomoc, więc myślę, że nawiążemy kontakt. To bardzo miły człowiek.

– Czy za jego pośrednictwem możecie już teraz zasięgnąć języka o żyjącej tam cudzoziemce? – drążyłem, patrząc to na jednego, to na drugiego mężczyznę.

– Da się zrobić – obiecał Steven.

– Trzeba by przede wszystkim sprawdzić, jak ma na imię. Moja zaginiona to Zofia z dwójką córeczek, czteroletnią Ahlam i sześciolatką Marią. Przyleciała tu z mężem, Jemeńczykiem Samirem – zdawałem relację, a żaden z moich amerykańskich rozmówców nie notował. Chłonęli moje słowa i zapewne wszystko już mieli w głowie. – Czy w razie ewakuacji waszych ludzi wzięlibyście ją pod uwagę?

– Przy takiej liczbie uciekinierów jedna czy cztery osoby więcej nie zrobią żadnej różnicy. – Natan trochę mnie uspokoił. – Jeśli tylko będzie chciała się z nimi zabrać, na pewno znajdzie się dla niej miejsce.

Jechaliśmy opuszczonymi ulicami Sany. Czasami tylko drogę przebiegała samotna kobieca postać w abai, by szybko skryć się w najbliższym zaułku. Mężczyźni zazwyczaj poruszali się na motorach, rzadko samochodami, które były notorycznie kontrolowane na licznych posterunkach wojskowych.

Ribat zatrzymał auto w okolicy Starego Miasta.

– Czy nie mieszka tu Wadi Dachidż? – upewniałem się.

– Masz dobrą pamięć – pochwalił mnie Jemeńczyk. – Prosił, żebym cię za wszelką cenę do niego przywiózł. Musisz coś koniecznie zobaczyć. To jest właśnie ta niespodzianka.

Po chwili serdecznie witaliśmy się z Wadim, który wyglądał na niezwykle szczęśliwego. Wprowadził nas do jasnego i przestronnego salonu ozdobionego kwiatami i kolorowymi balonikami. Naraz klasnął w dłonie i jak na komendę dołączył do nas chłopiec ubrany w szkolny granatowy mundur i z białą *takiją* na czubku głowy.

– Czy poznajecie mojego synka Junisa?! – krzyknął radośnie ojciec. – To ten zdechłak, który leżał tu ostatnio pod monitorem. Patrzcie, jak teraz wygląda! Operacja się udała! Będzie żył długie lata i przeżyje mnie, i swoją matkę, gdyż taka powinna być kolej rzeczy na tym świecie. – Wzniósł oczy i na głos chwalił Allaha, po czym z wdzięcznością spojrział na mnie.

Junis wręczył mi kolorową laurkę z własnoręcznie narysowanym czerwonym sercem i wykaligrafowanymi podziękowaniami. Potem stanął na baczność i wyrecytował poemat Dżibrila Chalila wychwalający ludzką egzystencję. Gdy skończył, skłonił się i uciekł do siebie zawstydzony.

– Tobie, panie konsul, mój chłopak zawdzięcza drugie życie – wyszeptał wzruszony tata, nie kryjąc łez.

– Przecież to zasługa lekarzy – broniłem się zażenowany. – Ja wystawiłem wam tylko wizy. Resztę zdziałały pieniądze, terapia i silny organizm twojego syna, który zwalczył raka.

– Ale gdybyś nie wystawił tych wiz, Junisa nie byłoby wśród nas. Nigdy o tym nie zapomnę i będę ci wdzięczny po kres mych dni.

– Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło. – Peany na moją cześć bardzo mnie krępowały. – Zrobiłem to, co do mnie należało. Pozostańcie w zdrowiu.

Czasami tak niewiele potrzeba, żeby kogoś uratować, przeszło mi przez myśl. Niejednokrotnie wystarczy jedynie nie być obojętnym na cudzą krzywdę, ból i cierpienie. Niestety, często się zdarza, że ludzi na to nie stać, chociaż stawką jest życie innego człowieka.

## ROZDZIAŁ 17

### WE WŁADZY SZEJKA

Ruszaj się, ty leniwa dziewczko! – Jak tylko skończyła się żałoba po szejku Nadżibie, każdego ranka budził Zosię wrzask znienawidzonej macochy. – To nie Londyn! Tu nie będziesz się wylegiwać!

Sytuacja Polki i jej córeczek diametralnie się zmieniła. Pozostała wprawdzie w pokoju swego męża z lat dziecięcych, lecz córeczki z wielką chęcią przenieśli się do obszernej komnaty Zubeidy, która za punkt honoru wzięła sobie ich rozpieszczanie i podjudzanie przeciwko matce. Nie przeszkadzało im, że stara babka w nocy chrapie, pierdzi i nieziemsko śmierdzi niemytym kobiecym ciałem i popuszczanym moczem. Stała się dla nich wzorem i ideałem, a matka – odległą osobą z innego świata. Uznały za pewnik, że nieustannie przy nich trwa, i nawet do głowy im nie przyszło, że mogłaby nagle zniknąć i pozostawić je same sobie. Zosia zawsze była wymagająca tak wobec siebie, jak i dzieci, a teraz małe stały się nieposłuszne i rozpuszczone jak dziadowski bicz. Jemenka co chwilę wynajdywała dla nich niezwykle atrakcje, obsypywała je prezentami i pozwalała na wszystko. Zakochane do tej pory w matce dzieci szybko zapomniały o swoim dotychczasowym życiu i przelały uczucia na babcię, która zawładnęła ich małymi serduszkami i sterowała nimi, jak jej się żywnie podobało. A miała w tym wprawę, bowiem ciągle manipulowała otaczającymi ją dorosłymi ludźmi.

– Dzisiaj idź za dom i wyczyść wychodek! – Zubeida nigdy nie zwracała się do Zosi normalnym tonem, lecz zawsze pełnym pretensji. – Zabierz ze sobą wiadro, ryżowe szczotki i chlor.

Stara wdowa, widząc, że przy Ismailu może sobie na wszystko pozwolić i jest tak, jak syn jej obiecał, błyskawicznie stanęła na nogi i stała się jeszcze bardziej apodyktyczna.

Polka już nie dyskutowała i nie sprzeciwiała się poleceniom, bo taką postawą mogła tylko sobie zaszkodzić. Miała ułożony razem z przyjaciółką Hanan plan i postanowiła go systematycznie realizować. Wszystko by zrobiła i wszystko zniosła, byleby tylko wyrwać się ze szponów młodego sadystycznego szejka i jego mamusi. Byle uratować głupiutkie córeczki przed zgubnym losem, jaki im ta dwójka szykowała. Zatem zabrała wszystkie środki czystości, jakie znalazła w domu, i udała się do miejsca, które na wdech dało się wyczuć z kilku metrów. Kiedy sama korzystała z tej wątpliwej toalety, zbierało jej się na wymioty. Teraz miała ją doprowadzić do stanu używalności, choć nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle ktoś próbował tego dokonać. Gdy przekroczyła próg sławojki, od razu ścisnął jej się żołądek i wybiegła na dwór. Łapała szybkie oddechy jak ryba wyrzucona z wody. Ślina napłynęła jej do ust i ledwo hamowała torsje. Kazano jej nosić abaję, kiedy tylko opuszczała domostwo, ale teraz długa i obszerna czarna suknia nie tyle ograniczała jej ruchy, ile taplała się w ekskrementach zalegających na podłodze. Zdjęła ją, pozostając w legginsach i podkoszulku z krótkim rękawem, a usta i nos zakryła chustą, którą kilkakrotnie owinęła dookoła głowy. Jako że chodziła tu w plastikowych klapkach, zleżały mocz i luźne odchody przepływały jej między palcami stóp. Najpierw polała podłogę i ściany chlorem, a jego dusząca woń okazała się o niebo lepsza niż fetor fekaliiów. Kiedy łapały ją mdłości, wachała środek dezynfekujący, nie przejmując się tym, że może się nim zatruć. Sprzątanie zajęło jej parę ładnych godzin, lecz dała z siebie wszystko. Ceramiczna misa tureckiej ubikacji w niektórych miejscach nawet odzyskała pierwotny kolor. Zosia była z siebie tak dumna, jakby dokonała niemożliwego.

– Czemu chodzisz po dworze taka rozneglizowana?! – usłyszała za sobą znienawidzony głos. – Przestań prowokować mężczyzn, jeśli nie chcesz, żebym dał ci nauczkę! – Ismail coraz częściej traktował ją jak swoją własność.

– Co ty bzdurzysz, człowieku?! – nie zapanowała nad sobą, gdyż frustracja i zmęczenie wzięły górę nad rozsądkiem. – Śmierdzą waszymi gównami, więc nie wiem, kogo mogłabym prowokować.

– Natychmiast wkładaj abaję! – wrzasnął jak szalony, a Zosia zauważyła, że pomimo wczesnej pory już jest pijany. – Ty rozpustnico! I ja mam taką wziąć za żonę?!

– To nie bierz i wypuść mnie stąd!

Na tę ripostę Jemeńczyk odwinął się i strzelił ją na odlew w twarz. Poleciała jak piłka, gdyż silny cios mógł powalić niejednego mężczyznę, a co dopiero takie drobne chucherko. Była całkiem bezbronna, kiedy obłąkany facet kopał ją leżącą na zalanej chlorem posadzce sanitariatu. By wyprowadzić silniejsze uderzenie i nie stracić równowagi, trzymał się futryny.

Ich krzyki dotarły aż do domu, bo po chwili Zosia dostrzegła na ścieżce brudne stare stopy w damskich zdeptanych klapkach i małe w kolorowych sandałkach.

– Zostaw ją! – nie wiadomo czemu Zubeida stanęła w jej obronie. – Już ją ukarałeś, synku – przemawiała do bandyty jak do kilkulatek.

– Lubieżna szarmuta<sup>51</sup>! Nierządnica! Niewierna!

Każdy epitet akcentował kolejnym ciosem, nie zważając, że Zosia ledwo już łapała powietrze. W końcu pozwolił się odciągnąć matce i chwiejnym krokiem udał się do komórki, gdzie przechowywał zapasy wina. Kiedy oprawca odszedł, do Zosi podskoczyły roześmiane córeczki i naśladując ruchy wujka, machały małymi nóżkami przed jej twarzą.

– A masz! – wykrzykiwały, traktując to jako dobrą zabawę. – A masz!

– *Uskut*<sup>52</sup>! Spokój!

Stara Jemenka ścisnęła zęby, bo przeczuwała, że w jej rodzinie zanosi się na kolejne nieszczęście. Pomimo całej swej miłości do syna zdawała sobie sprawę, że Ismail jest nieobliczalny. Jakby doszło do najgorszego, trudno będzie ukryć śmierć tej obcej, gdyż prędzej czy później ktoś z zagranicy się o nią upomni.

– Słuchaj się go, głupia – wyszeptwała konspiracyjnie, pochylając się nad pobitą i okrywając jej poturbowane ciało czarną abają. – Bądź mu posłuszna.

Pierwsza lekcja arabskiego odbyła się w domu szejka w *mafradzu* pod okiem bliźniaków, Arifa i Adela. Z pomysłem wyszła oczywiście Hanan, trzymając się ich przebiegłego planu. Agresja Ismaila niczego w strategii nie zmieniła, a wręcz przyspieszyła jej realizację. Inicjatywie przyklasnęła Zubeida, której spodobał się pomysł, bo o niebo łatwiej będzie się jej

z przyszłą synową porozumiewać w ojczystym języku. Także domowy despota w końcu przystał na tę propozycję.

– *As-salamu alejkum* – uprzejmie przywitał się młody Żyd. – Mam coś dla panów.

Wręczył braciom spory pęk *khatu*, a tym rozbłysły oczy, bo uprawy tego zielska w żydowskiej enklawie były najobfitsze i najwyższej jakości.

– Dziękujemy.

Bracia byliby nawet sympatyczni, gdyby nie to, że ulegali złym wpływom Ismaila i matki, którzy czynili z nich bezwolne potwory.

Profesor i dorosła uczennica usiedli pod oknem, a bracia w najdalszym kącie wielkiego salonu, gdzie zaczęli wpychać sobie do ust ciemnozielone soczyste liście naturalnej amfetaminy. Mosze bardzo chciał pomóc Polce, ale nie zdawał sobie sprawy, że te lekcje są częścią planu, który wymyśliła sprytna Hanan. Był w zasadzie ostatnią nadzieją uwięzionej na wyrwanie się ze szponów szejka.

Rozmawiali cicho po angielsku i liczyli tylko na to, że bliźniacy nic nie zrozumieją z ich konwersacji, bo w obcym języku znali tylko kilka grzecznościowych zwrotów – więcej nie było im do niczego potrzebne.

– Wiesz, Zofio, że niedawno poznałem pana Ribata, inspektora z Sany, który nadzoruje budowę nowego zbiornika na wodę?

Kobieta w milczeniu potaknęła.

– Okazało się, że jego żona jest Polką! – Z podekscytowania podniósł głos, na co przebiegła Zosia szybko otworzyła podręcznik i żeby zmylić czujność pilnujących, zaczęła na głos recytować zwroty, które zapadły jej w pamięć:

– *As-salamu alejkum. Wa alejkum as-salam*<sup>53</sup>. *Ahlan wa sahan*<sup>54</sup>. *Marhaban*<sup>55</sup>.

– *Aflan, ja saida*<sup>56</sup>. – Żyd z trudem panował nad sobą, bo nie przywykł do spiskowania.

– *Szukran dzazilan*<sup>57</sup> – odpowiedziała zadowolona z siebie. – Masz jakiś kontakt z tym Ribatem? – zapytała, gdy zauważyła rozanielone twarze odurzonych *khatem* bliźniaków i ich całkowity brak zainteresowania.

– Niebawem znów do nas przyjedzie.

– Mosze, działaj! – Spojrzała na niego błagalnie. – Ja tu dłużej już nie wytrzymam.



– Na razie ogłędnie naświetliłem mu twoją sytuację, a jeśli pozwolisz, przejdziemy do konkretów.

– Jakże, jeśli pozwolę?! – tym razem Zosia krzyknęła, ale zaraz, zgrywając pilną studentkę, dorzuciła: – *Salamu alejkum. Salamu alejkum.*

– Ten Jemeńczyk to porządny gość. Od razu obiecał pomóc. Zaproponował wywiezienie nie tylko ciebie, ale oczywiście też twoich córeczek do Sany. Tam przekazałby was w ręce polskiego konsula.

– To takie proste? – Głos Zosi zadrżał i czuła, że zaraz wybuchnie płaczem.

– No powtarzaj! – huknął Mosze, usiłując zapanować nad ich nerwami: – *Marhaban! Marhaban! Marhaban!*

Rozbawił tym Zosię, która gruchnęła śmiechem, zalewając się przy tym łzami.

Ismail z dnia na dzień coraz bardziej umacniał się na stołku szejka, chociaż mieszkańcy nie darzyli go takim szacunkiem i zaufaniem jak jego ojca. Żyjąc po sąsiedzku, znali jego tajemnice, a przede wszystkim wiedzieli o nałogu, który niezbyt umiejętnie ukrywał. Jemeńczycy, będący na nieustannym haju z powodu codziennego żucia *khatu*, są narodem tolerancyjnym, ale niezbyt cieszyli się z łamania zakazów Koranu przez ich przywódcę plemiennego. Mimo to następca Nadżiba sprawował władzę i rozstrzygał spory, a wieśniacy przychodzili do niego z każdym problemem jak do jego dobrego i wrażliwego na ludzką krzywdę ojca. Wiejskie sądy są jednoosobowe. Nie ma w nich adwokatów czy prokuratora, lecz tak jak na całym świecie nieraz i tutaj podczas procesu zbiera się liczna publika. Zależy to od sprawy, którą sędzia ma rozstrzygnąć. Nikogo nie interesuje ukradziona koza czy zatłuczona owca, ale kwestie międzyludzkie zawsze były i będą najbardziej emocjonujące. W górskiej głuszy stanowiły temat plotek i nie lada rozrywkę.

– Kto następny? – Wysilek umysłowy szybko męczył Ismaila, bo do tej pory jego działania wiązały się przeważnie z wysiłkiem fizycznym: uprawiał rolę, zajmował się bydłem i chodził na polowania. Często całe dnie spędzał w łóżku, lecząc kaca, na co uwielbiająca pierworodnego matka przymykała oko i kryła go przed wymagającym ojcem. – Może już starczy

na dzisiaj? – Głowa go bolała i pragnął poczuć na języku słodko-kwaśny smak koszernego wina.

– Jeszcze my, panie!

Przed rzednący tłumek wyszedł trzydziestolatek, ciągnąc za sobą kobietę w bliżej nieokreślonym wieku, bo w pełni zakwefioną. Nawet oczy zasłaniała jej gęsta siateczka.

– Szejku, wydaj sprawiedliwy wyrok! – błagał idący za nimi o lasce starzec. – To moja piętnastoletnia córka! – załkał żałośnie.

– Nieważne, że ma dopiero piętnaście lat, bo od trzech jest moją żoną! Ladacznica!

Nieliczna publika aż jęknęła z podekscytowania. Wieść o sprawie lotem błyskawicy się poniosła po okolicy i coraz więcej górali siadało w kręgu i nadstawiało uszu.

– Dlaczego ladacznica? – Sędziego nic nie interesowało, bo uzależnienie ssało go w żołądku. – Mów szybko! – poganiał.

– Zdradziła mnie nikczemnie!

– To nie tak! – ojciec bronił córki, a ona, pozbawiona głosu jak czarny kopczyk, siedziała z boku. – Dziewczyna została zgwałcona przez nieznaną żołnierz.

– Gdzie? U nas w wiosce? – dopytywał szejka. – Nie słyszałem, żeby gdzieś w okolicy stacjonowała jakaś jednostka.

– To pewnie Huti... Huti... Huti... – zaszemrał tłumek, bo większość wieśniaków bała się rebeliantów i nikt nie popierał ich idei.

– Ten leniwy łapserdak – starzec wskazał brudnym reumatycznym palcem na swego zięcia – wysłał ją samotnie po *khat* na targ do pobliskiego miasteczka. Nie mógł chwilę poczekać, aż dostawa dotrze do nas, bo to nierób i narkoman. Spójrz na jego zęby!

– Pewnie... Pewnie... – ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził oskarżyciel, ale mówił przez zaciśnięte wargi, nie chcąc pokazać swego pokrytego ciemnym nalotem uzębienia.

– Gdyby otaczał ją należyta opieką, nigdy by do tego nie doszło – dodał ojciec, a gawiedź potakiwała, popierając jego słowa.

– Czy dziewczyna się broniła? – dopytywał niezadowolony szejka, bo sprawa zaczynała się komplikować, a on musiał stanąć po stronie któregoś z mężczyzn. Było to o wiele trudniejsze niż w przypadku wydania wyroku na kobietę, za którą nikt się nie ujmuje. – Gadajcie!

– Gdyby się broniła, to nie byłoby tego procesu, tylko pogrzeb – zaryczał mąż. – Mój honor nie zostałby wtedy zbrukany.

– Twój honor?! – kpił z niego starzec. – Jestem pewien, że gdybyś był na jej miejscu, bo żołdacy Huti z taką samą lubością gwałcą zarówno kobiety, jak i mężczyzn, w ogóle byś nie stawiał oporu. Potulnie nadstawiłbyś tyłek, byleby przeżyć.

– Zamilcz, starcze! – zacharczał, czerwieniąc się ze wstydu, gdyż teść znał go jak zły szeląg. – To ją teraz sądzimy i jestem pewien, że gdy ją posiadli, tylko bezwstydnie rozkładała nogi.

– Szanowny szejku – starzec chylił swe siwe skronie przed młodocianym, niedoświadczonym i podłym z natury sędzią – znalazłem moją malutką Zahrę na progu, nieprzytomną i całą we krwi – wyjaśniał. – Wniosłem biedulkę do domu i moja żona ją opatrzyła. Sądziliśmy, że nie przeżyje... – Twardy góral pochlipywał żałośnie, a wszystkim obecnym serca na ten widok pękały. Widać kochał swoją córkę nad życie, a nawet ponad honor arabskiego mężczyzny. – Allah jest miłosierny. Pamiętaj o tym, panie, wydając swój wyrok. Allah wszechmocny chce, by moja niewinna, a jedynie pokrzywdzona przez los córeczka pozostała wśród nas.

– To tak poważna sprawa, że trzeba się nad nią zastanowić. – Ismail nie potrafił wytrzymać na kacu ani minuty dłużej. – Zrobimy przerwę do popołudniowej modlitwy. Allah nas oświeci. – Mydlił oczy muzułmanom, podążając prosto do swej komórki.

\*\*\*

Zahra świetnie знаła drogę do niedalekiego miasteczka, ale jeszcze nigdy nie szła tędy sama. Zawsze towarzyszył jej ojciec, mąż czy któryś z braci. Dzisiaj nikt z nich nie miał czasu. Nastolatka bardzo się bała, bo przecież wszyscy wiedzieli, że po okolicy krążą lotne brygady Huti, które nie tylko ograbiają biednych wieśniaków, ale też dopuszczają się pobić, gwałtów czy nawet zabójstw. Strzelała oczami na boki i co chwilę poprawiała nikab<sup>58</sup>, żeby czasami jej się nie przekrzywił. Abaję trzymała garścią na piersi, bo zatraski nieraz się rozpinały. Gdyby jakiś prawowierny muzułmanin zobaczył jej kolorowe spodnie ubranie, byłaby skończona. Truchtała, chcąc jak najszybciej znaleźć się z powrotem w domu. Że też jej mąż nie mógł poczekać do wieczora, gdy plantator miał przywieźć nową dostawę *khatu*,

gorzkiego jak piołun i wykrzywającego twarz. Ale mężczyzna był już tak uzależniony, że musiał żuć tę roślinę od rana do nocy, z czego Zahra nie zdawała sobie sprawy. Dla Jemeńczyków żucie *khatu* było stylem życia i niczym więcej.

Kiedy dziewczyna zbiegła ze wzgórza, zobaczyła pierwsze domy miasteczka. Jakże ją to ucieszyło. Pomimo zmęczenia jeszcze przyspieszyła kroku. Gdy minęła pierwszą chałupkę, wyglądającą na opuszczoną, usłyszała trzask gałęzi. Nie miała dobrej widoczności przez niewielki otwór na oczy, a z przestachu jeszcze je zamknęła. To był błąd. Stała stopą obutą w czarne zdeптane i za duże mokasyny w dziurę w drodze i straciła równowagę. Padła jak długa na zakurzoną ścieżkę. W zwojach materiału trudno było jej się pozbierać, bo hamowały ruchy rąk i pętały nogi. Nagle tuż nad nią stanęło trzech silnych i wysokich wojskowych w polowych mundurach. Oprócz kałasznikowów mieli jeszcze dzambije za pasem. Wlepiali w nią pełne pożądania ślepie.

– Allah nam sprzyja! – wykrzyknął pierwszy.

– *Allahu akbar*<sup>59</sup>! – dołączyło do zawołania dwóch pozostałych, wychwalając Boga, który zsyła im nagrodę.

Podnieśli dziewczynę jak piórko, bo przecież była młodziutka i szczupła, i wrzucili do wnętrza zrujnowanej chaty. Wiele się nie namyślając, przystąpili do dzieła. Nie mieli najmniejszych wątpliwości, czy słusznie czynią, żaden nie oponował, bo żądze rozsadały im lędźwie i mroczyły ich umysły.

– Zostawcie mnie! – pisnęła bezradnie przerażona dziewczyna. – Mam męża!

– To trzeba było zostać przy nim, a nie włóczyć się samotnie po bezdrożach – rechotali oblesnie, obłapiając ją i usiłując wydobyć z owijającej ją czarnej materii. – Na pewno idziesz do miasta kupczyć ciałem.

– A żołnierzom za darmo to nie łaska dać?

– Jakbyśmy mieli jakiś grosz, to byłabyś przychylniejsza? Co?

– Litości! Mylicie się! – błagała.

– Zamknij się, dziwko!

– Ratunku! – Zahra już nie wierzyła, że zdoła ich odwieść od przemocy. – Na pomoc!

Lider złoczyńców trzasnął ją w twarz, inny wyciągnął ostry jak brzytwa kozik i rozciął płaszcz, kalecząc ją aż do krwi. Pochylił się nad raną i zlizął czerwoną posokę.

– Słodka gołąbeczka. – Obleśnie się oblizywał. – Jak cukiereczek.

Piętnastolatka wiła się jak piskorz. Co wyrwała rękę z uścisku, to chwyciła za potargane ubranie, zasłaniając swoją nagość. Innym razem udało jej się uderzyć napastnika w zarośniętą obmierzłą gębę. Kopała na prawo i lewo, czasami trafiając agresorów w kolano czy biodro. Gwałciciele zmęczeni się tą szamotaniną. Coraz bardziej się denerwowali, bo każdy potrzebował spełnienia. Dotyk kobiecego ciała doprowadzał ich do ekstazy. Jeden nie wytrzymał podniecenia i zanim się do niej zbliżył, gorący wytrysk zmoczył jego spodnie.

– Dość tej zabawy! – ryknął przywódca i pięścią uderzył Zahrę w skroń.

Natychmiast straciła przytomność, a gdy ją odzyskała, była już głęboka noc. Nadal leżała na klepisku, ale wokół panowała cisza jak makiem zasiał. Nie było żywego ducha. Wszystko ją bolało i to w takich miejscach, na które wstydziła się spojrzeć. Nigdy ich nie dotykała, nawet podczas mycia.

– Grzech! – wycharczała. – Na Allaha! Co ja teraz pocnę? Kto mi pomoże? *Baba...* – Załkała żałośnie. – Papo, ratuj. Tyś dobry... Tyś uczciwy... Bogobojny...

Z trudem się poruszyła. Nie była w stanie ustać na nogach. W końcu, opierając się o ścianę, złapała równowagę. Nie zważając na palący ogień, jaki czuła w kroczu, krok za kroczkiem zmierzała ku wyjściu. W otworze, gdzie kiedyś były drzwi, zamigotał księżyc. Oświetlał dziewczynie ciernistą drogę do domu.

\*\*\*

Oczywiście wieść o głośnym procesie dotarła zarówno do domowniczek szejka, jak i chyba wszystkich mieszkańców wsi, bo w promieniach zachodzącego słońca zebrały się tłumy. Zosia, Zubeida z Ahlam i Marysią, Hanan i Rachela oglądały przedstawienie z tarasu na dachu. Macocha była podekscytowana, podobnie jak nic nierozumiejące dziewczynki, a pozostałe trzy kobiety przerażone.

Dookoła szejka zbrali się tylko mężczyźni, a na ziemi nadal siedziała oskarżona Zahra, jakby się stamtąd w ogóle nie ruszyła.

– Gdyby ta kobieta była uczciwa, broniłaby się do końca, gdyż lepsza śmierć niż taka hańba! – ogłosił Ismail, któremu od spożycia wina i żucia *khatu* na policzki wyszły bordowe rumieńce.

– Panie... – jęknął ojciec, spodziewając się kary ostatecznej.

– Jedyne zbrodnia honorowa zmyje plamę z tej rodziny – szejek z upiornym wyrazem twarzy ogłosił okrutny wyrok.

Zadowolony mąż zerwał się na równe nogi i z dumą oświadczył:

– Aby ratować moje i mego rodu dobre imię, jestem gotów zabić tę wywłokę choćby tutaj na miejscu.

Wyciągnął sztylet i zbliżył się do ofiary, czekając tylko na znak.

Zosia, Hanan i Rachel przykucnęły za murem tarasu, nie chcąc widzieć tej rzezi. Zatykały sobie usta, by nie krzyczeć, niemo zalewały się łzami. Kiedy Polka spojrzała w górę, zobaczyła upiornie uśmiechniętą twarz Zubeidy. Stara cieszyła się całą sobą z rozgrywającego się widowiska, zacierała ręce i aż dreptała w miejscu. Córeczki Zosi podskakiwały razem z nią, jakby były w lunaparku.

– Ale fajnie, babciu! – cieniutkim głosikiem wykrzyknęła Marysia, widząc zadowoloną twarz staruchy.

– Ale będzie zabawa! – Ahlam wtulała się w szerokie szaty Jemenki, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że to nie zabawa, tylko walka o życie niewinnej kobiety.

Macocha wyczuła, że jest obserwowana, i rzuciła na swą przyszłą synową pełne pogardy zwycięskie spojrzenie. Przez chwilę mierzyły się wzrokiem, lecz słabsza przegrała ten pojedynek. To jeszcze nie koniec! – obiecała sobie Polka. Jeszcze ci pójdzie w pięty.

Wstała i z zapartym tchem śledziła, co dzieje się na dole. Musi być twarda. Musi przejść najcięższy test w życiu, żeby przetrwać tę gehennę i stąd uciec.

– Szanowny szejku – ojciec kajał się przed bezwzględny tyranem, zasłaniając swym ciałem skazaną. – Pozwól mi wykonać karę. Błagam! Ja dałem jej życie i teraz pozwól, abym je odebrał.

– Niech ci będzie – zgodził się Ismail tylko z tego względu, że nie chciał mieć krwi na podwórzu. Do juchy schodzą się dzikie zwierzęta, a jemu niepotrzebni tacy goście.

\*\*\*

Następnego dnia z samego rana wieśniak zabrał swą nieszczęsną córkę w góry.

– Papo, ty wiesz, że to nie była moja wina, prawda? – upewniała się dziewczyna.

– Ależ oczywiście, słoneczko ty moje – potwierdził bez wahania. – Wszystko rozumiem. Taki los... Taka dola...

– Och, dziękuję! – wykrzyknęła radośnie, bo kamień spadł jej z serca. – Kocham cię, *baba*. – Zarzuciła ojcu ramiona na szyję i delikatnie pocałowała go w szorstki od zarostu policzek.

– Hańba nie hańba, ale nikt obcy nie będzie decydował o twoim życiu czy śmierci – wygłosił przez ściśnięte gardło. – Nie pozwolę na to!

Gdy wspięli się na szczyt niewysokiego wzniesienia, słońce przygrzewało już dość mocno. Byli znużeni, więc przysiedli pod rozłożystym cydrem. Mężczyzna wyciągnął z pojemnego worka podpłomyki i grubo posmarował je miodem. Dziewczyna zajadała się z wielkim apetytem, bo to jej ulubione danie z dzieciństwa. Nasycona i wyczerpana zasnęła w cieniu. Jakże czuła się bezpiecznie przy swoim ojcu. Jemeńczyk siedział jak skamieniały i patrzył na Zahrę z ogromną miłością. Po jakimś czasie znów sięgnął do torby i wyciągnął z niej nieduży obrzyn. Jego niezawodna ręka myśliwego nawet nie drgnęła – strzelił śpiącej córce prosto w skroń. Z bólem w sercu spojrzął na swoje dzieło, po czym przeniósł smętny wzrok na położoną w dolinie malowniczą wioskę.

Po chwili echo poniosło krzyk zrozpaczonego ojca, który przerwał kolejny wystrzał. Potem zapadła cisza.

- 
- <sup>51</sup> *Szarmuta* – dziwka, prostytutka.
- <sup>52</sup> *Uskut* – spokój, cisza, zamilcz.
- <sup>53</sup> *As-salamu alejkum* – pokój z tobą, dzień dobry, witaj. Odpowiedź: *Wa alejkum as-salam* – z tobą także (pokój).
- <sup>54</sup> *Ahlan wa sahan* – Witam, cześć.
- <sup>55</sup> *Marhaban* – Cześć, witaj.
- <sup>56</sup> *Aflan, ja saida* – Przepraszam panią.
- <sup>57</sup> *Szukran dzazilan* – Bardzo dziękuję.
- <sup>58</sup> *Nikab* – tradycyjna muzułmańska zasłona twarzy kobiety, odsłaniająca jedynie oczy, czasami kawałek czoła.
- <sup>59</sup> *Allahu akbar* – Allah jest największy; Bóg jest wielki.



## ROZDZIAŁ 18

### ZIMNY PRYSZNIC

Kiedy tylko wróciłem do ambasady, z miejsca zabrałem się za ogarnianie chaosu, jaki zastałem na swoim biurku. Zacząłem od aplikacji wizowych przygotowanych przez Zaida Rezę, a następnie skupiłem się na korespondencji mailowej. Rutynową sprawozdawczość, o którą dopominała się Warszawa, odłożyłem na później i wziąłem na tapetę bieżące sprawy. Najważniejszą wiadomość wysłała siostra zaginionej. W załącznikach znajdowały się zdjęcia wszystkich członków rodziny. Fotografii Zosi z miejsca wysłałem do Ribata z prośbą o potwierdzenie, czy to właśnie ją widział na obiedzie wydanym przez szejka w wiosce Tanaam, po czym wybrałem numer Rozalii w Polsce.

– Słucham – usłyszałem zaspány głos.

– Konsul w Rijadzie się kłania. Pani Rozalia?

– Pan konsul! – ucieszyła się. – Czy doszły do pana fotki? Przydadzą się na coś?

– Wszystko mam. Dzięki informacjom, które pani przekazała, oraz fotografiom będę mógł dla pani siostry i jej córek przygotować dokumenty podróży. Jeśli zajdzie taka potrzeba.

– A czy coś wiadomo o miejscu ich pobytu?

– Do tej pory nie udało mi się nic dokładnie ustalić, chociaż mam pewne poszlaki. Czy pamięta pani nazwę miejscowości, do której wybierała się siostra? Czy to była stolica, Sana? A może inne duże miasto, na przykład Aden?

– Nie, absolutnie żadna metropolia – żywo zaprzeczyła. – To była jakaś dziwna nazwa, zupełnie nie do zapamiętania.

– Może pani spróbuje? – namawiałem, bo bez tego ani rusz.

– Coś tam wspominała, lecz wyleciało mi z głowy – przyznała się. – Chociaż chwileczkę... Chyba kiedyś mi napisała, bo za nic nie mogłam sobie wbić tego do mojej pustej łepetyny – chichotała jak podłotek, którym prawdopodobnie była. – Potrzebuję trochę czasu, żeby znaleźć tego maila. Jak tylko go zlokalizuję, zaraz oddzwonię.

Po tej krótkiej rozmowie wysłałem podziękowania Brianowi za umożliwienie owocnego spotkania ze Stevenem i napisałem do Helgi, pocieszając ją jako starszy kolega, że na pewno sobie poradzi w tej jakże trudnej dla niej sytuacji. Wtem usłyszałem sygnał przychodzącego esemesa. Ania proponowała mi spotkanie po lunchu u mnie w Las Palmas. Zaraz serce zaczęło mi żwawiej bić i oczywiście potwierdziłem randkę. Wyobrażałem sobie nasze gorące przywitanie, bo nie widzieliśmy się od pamiętnego wypadu na pustynię. Z zamyślenia wyrwał mnie interkom. Marek bardzo oficjalnym i oschłym tonem wzywał mnie do siebie na rozmowę.

– Znów dostałem ponaglenie z MSZ, żeby wysłać sprawozdanie konsularne, które powinienesz być dać mi do podpisu już tydzień temu! – wykrzyczał na przywitanie, pomijając dzień dobry i wszelkie inne uprzejmości.

– Czy ty wiesz, jaka sytuacja jest w Jemenie?! – spytałem ze ściśniętym gardłem, bo podniósł mi ciśnienie. – Aktualnie najważniejsza dla mnie jest ewakuacja polsko-jemeńskich rodzin z kraju, w którym wrze jak w tyglu. To jest priorytet i na tym się koncentruję. Zresztą ledwie wczoraj w nocy wróciłem z Sany, a dzisiaj już z samego rana siadłem do komputera.

– Mam dość twoich wojaży! Zabrałbyś się wreszcie do uczciwej roboty i zaczął wywiązywać ze swoich obowiązków! – wydzierał się na cały gabinet.

Na jego wysokie czoło wystąpiły grube krople potu, a opuchnięta twarz, zdradzająca coraz większą skłonność do alkoholu, zrobiła się jeszcze bardziej czerwona niż zazwyczaj.

– Robię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie było skarg od Polaków, i staram się opanować sytuację kryzysową w Sanie.

– Mam gdzieś skargi jakichś pańienek, którym zachciało się dawać dupy Jemeńczykom! Same sobie są winne! Dla mnie nadrzędna jest ocena mojej placówki przez MSZ, a ta przez twoją indolencję zapewne zostanie obniżona.

– Zasuwałam na pełnych obrotach. Staram się pogodzić biurową pisaninę z pomocą autentycznie potrzebującym, a ty jeszcze masz do mnie pretensje?

Awantura nabierała rozpędu, bo żaden z nas nie potrafił się opanować: Marek kipiał z wściekłości i szukał ofiary, żeby się na niej wyżyć. Ja z kolei byłem tragicznie zmęczony i zaangażowany w to, co jego całkiem nie obchodziło.

– Widocznie pracujesz za wolno! – dalej mną pomiatał. – Jesteś patentowanym leniem! To był mój największy błąd, że ciebie tu ściągnąłem. Powinienem być przyjąć kandydaturę oferowaną przez biuro kadr, a nie kierować się głupimi sentymentami.

– Z powodu jednego raportu, który równie dobrze można wysłać do Polski za miesiąc, bo i tak nikt nie będzie go czytać, robisz taką aferę? Nie doceniasz tego, jak tyram dla dobra placówki. To, że nikt publicznie nas nie obsmarowuje, nic dla ciebie nie znaczy? Gdyby nie moje natychmiastowe interwencje, nie opędziłbyś się od dziennikarzy, a twoje nazwisko byłoby odmieniane przez wszystkie przypadki w polskich tabloidach, które tylko czekają na takie sensacje.

– Nie mówię, że to nie jest ważne – Marek nieoczekiwanie zmienił ton. Zawsze tak było: gdy ktoś mu się zdecydowanie przeciwstawił, wycofywał się rakiem. – Chciałbym tylko, żebyś wykonywał moje polecenia. Tak jak inni. Bierz przykład z naszego administracyjnego. Jemu nie muszę dwa razy powtarzać. Zanim jeszcze zdążę pomyśleć, to już na biurku mam jego sprawozdanie.

– Z tego, co pamiętam, to ostatnie zostało odrzucone ze względu na liczne błędy merytoryczne – kpina aż dusiła mnie w gardle. – Poprawa trwała nieskończenie długo. Tak długo, że aż dostał naganę.

– Rusz dupsko i bierz się za pisanie! – Złapany na mijaniu się z prawdą, pan ambasador znów się nakręcił i nie zapanował nad sobą. – Dzisiaj twój raport konsularny ma się znaleźć w moich rękach. Najdalej za dwie godziny.

– Co za naiwniak ze mnie! Sądziłem, że mi odpuszczisz i nawet pozwolisz trochę wcześniej pójść do domu. – Byłem roztrzęsiony, bo niebawem miała pojawić się u mnie w Las Palmas Ania. – Przecież nic się nie stanie, jak wyślemy sprawozdanie jutro.

– Powiedziałem coś! – zaskrzeczał wściekle.

– Oczywiście, mój przyjacielu – potulnie potwierdziłem, dobrodusznie się uśmiechając, żeby zatuszować kpinę, czym jeszcze bardziej go rozsierdziłem.

Zamknąłem za sobą drzwi, za którymi nadal słyszałem inwektywy pod swoim adresem, z czego „kretyn” i „idiota” należały do najłagodniejszych.

– Musiałeś go tak zdenerwować? – Sekretarka Ala spojrzała na mnie z wyrzutem. – Teraz będzie się na mnie wyżywał i zleci jakieś idiotyzmy typu przepisywanie ksiąg archiwum. Znów będę musiała tu tkwić po godzinach, a przecież nikt mi za to nie zapłaci.

– Nie przejmuj się – pocieszyłem biedaczkę. – Pokrzyczy, pokrzyczy i się uspokoi. To niegroźny pieniacz. Zrób mu kawę z koniaczkiem i po sprawie. Zaraz się stanie przymilny i przypomni sobie o swoich dobrych dyplomatycznych manierach.

Nie znosiłem robić coś na odwal się. Skoro jednak szef postawił sprawę na ostrzu noża, wykonałem, co do mnie należało. Skopiowałem stary raport sprzed dwóch lat, skorygowałem dane i po wprowadzeniu kilku kosmetycznych zmian zaniósłem gotowy dokument do akceptacji.

– To rozumiem. – Pokiwał głową z zadowoleniem. – Szkoda tylko, że zanim wypełniłeś moje polecenie, doprowadziłeś mnie do białej gorączki. Kiedyś przez ciebie żyłka mi pęknie i wykorkuję. Pewnie sprawiłoby ci to przyjemność?

– Ależ, Marku, gdzieżby znowu! Po prostu działamy w ciągłym stresie i czasami ponoszą nas emocje...

– Dobra, dobra. Spadaj do domu. Dzisiaj już nic od ciebie nie będę potrzebować.

Popatrzyłem na zegarek. Nie było tak źle. Niecałe dziesięć minut spóźnienia można jeszcze jakoś przełknąć.

\*\*\*

Anka nie lubiła oficjalnych lunchów w korpusie, bo przeważnie były nudne, a żony ambasadorów zazwyczaj grubo od niej starsze i pyszałkowate. Ale w gronie prawie dwustu ambasadorowych zawsze można znaleźć kilka bezpośrednich kobiet i z nimi się przyjaźniła. Szczęśliwym trafem na dzisiejszą kobiecą nasiadówkę księżniczka Amira zaprosiła kilka jej serdecznych koleżanek. Oprócz nich były też Saudyjki,

krewniaczki i koleżanki gospodyni, kobiety wyzwolone, a nie uciemiężone, nad którymi rozwodzą się media. Kiedy wszystkie już przybyły, z wielką pompą pojawiła się pani domu. Była to piękna Arabka o typowych rysach mieszkanki Półwyspu Arabskiego i kremowej karnacji. Zebranych jednak dzisiaj olśniła nie tyle jej uroda, ile to, co na siebie włożyła. Jako że spotykały się w środku dnia, długa do ziemi suknia miała kolor pastelowy, zaakcentowany tęczą lamówką.

– Myślisz, że kupiła tę kieckę na pokazie mody w Mediolanie czy Londynie? – zawistnie szepnęła do Daliji, hinduskiej ambasadorowej, Anka.

– Obstawiałabym raczej Nowy Jork – mruknęła rozbawiona towarzyszka. – Dobrze, że ja mam jeden nieskomplikowany styl. – Z zadowoleniem wygładzała swoje satynowe bordowe sari, z którego wylewał się tłusty brzuszek.

– Zawsze czuję się na takich babskich mityngach z Saudyjkami jak uboga krewna.

– To normalne. – Uśmiechnęła się beztrąsko Azjatka. – W porównaniu z nimi nie tyle jesteście biedne, ile ubożuchne jak żebraczki.

– O czym tak szepczecie, moje drogie? – Księżniczka okazała się lepiej wychowana od dyplomatek. Obmawianie jej w towarzystwie zawsze wyprowadzało ją z równowagi.

– Kochana Amiro! – Dalija była bezpośrednia i urocza, więc zaraz rozbroiła arystokratkę – zazdrościmy ci twojej kreacji – szczerze wypaliła, na co wszystkie gruchnęły gromkim śmiechem. – Wybacz nam ten nietakt, ale w końcu jesteśmy typowymi babami.

– Moje kuzynki ubrały się nieodpowiednio. – Amira wskazała na Arabki w markowym, choć tuzinkowym przyodziewku.

– Czemuż to? Wyglądają rewelacyjnie!

– To ciuchy dobre na lunch w byle jakiej knajpie. Mogły się bardziej postarać.

– Ja w takim razie muszę opuścić to zgromadzenie, bo na taką garderobę jak twoja mnie nie stać.

Ubrana w niegustowną kwiecistą sukienkę przypominającą podomkę ambasadorowa brytyjska spojrzała na drzwi.

– Nie wychodź, Susan! Prędzej ja pójdę się przebrać – wybuchła rozgoryczona Amira.

– Nie! Absolutnie! Nie ma mowy! – wykrzykiwały jedna przez drugą, otaczając modniśnię ciasnym wianuszkciem.

– My, saudyjskie kobiety, możemy się wystroić tylko na takie zamknięte party – tłumaczyła orientalna piękność. – Tak że wybaczcie mi tę pompę. Nie robię tego dla szpanu.

W tej chwili do salonu weszły azjatyckie kelnerki w uniformach z tacami pełnymi kieliszków z szampanem. Jedna trzymała w rękach oszronioną butlę Dom Pérignon.

– Za waszą wolność, którą macie od urodzenia, i za nasze wyzwolenie, o które musimy walczyć – wzniosła toast Amira.

Panie wypiły i z rozkoszą oblizywały wargi. Cudzoziemki zastanawiały się, skąd w Saudii, gdzie obowiązuje prohibicja, tak znakomity trunek, i na dokładkę w domu członkini rodu rządzącego.

– Mój brat ma firmę przywożącą tirami alkohol z Dubaju – odpowiedziała, jakby czytając im w myślach.

Żadna tego nie skomentowała, choć to ewidentnie świadczyło o stosowaniu podwójnych standardów w kraju będącym kolebką ortodoksyjnego islamu: przyjezdni muszą przestrzegać prawa szariatu, choć muzułmanami nie są, a lokalni wahabici robią, co chcą, i są bezkarni.

Obsługa zaczęła roznosić tace z kanapeczkami, a największym powodzeniem cieszył się czarny i czerwony kawior na grzankach. Biesiadniczki usiadły na wielkiej sofie, inne w fotelach lub na tapicerowanych taboretach i chwilę milczały, rozkoszując się wytwornymi bąbelkami i ekskluzywnym poczęstunkiem.

– Dobrze, że mamy króla Abdullaha – zagaiła Amira. – Ten władca jest największym reformatorem od czasu powstania Królestwa.

– Jakim reformatorem? – Anka nie powstrzymała się od komentarza, bo nie mogła się nadziwić temu, co słyszy. – Czyż to nie u was notorycznie łamie się prawa człowieka, a życie kobiet jest nawet cięższe niż w Sudanie Południowym?

– Czy mnie jest źle? – Księżniczka rozłożyła ręce, zwracając ich uwagę na modernistyczny wystrój prawie stumetrowego salonu. – Czy wam dzieje się jakaś krzywda? – zwróciła się do swoich rodaczek.

– To, co podają media, dzielcie przez dwa. Bazują głównie na skrajnych incydentach, by zwiększyć oglądalność stacji czy poczytność dzienników – poparła ją krajanka.

– Z pewnością zwykle Saudyjki, które nigdzie nie mogą się ruszyć bez *mahrama*, a jak już gdzieś wyjdą, to pieką się na słońcu w czarnych abajach i za nikabem, nie zgodziłyby się z wami – nie ustępowała ambasadorowa.

– Jesteście uprzywilejowane, moje księżniczki – dorzuciła Hinduska cichutko, a pozostałe zebrane jakby połknęły język. – Zwykle kobiety niewiele u was mogą.

– Król musi postępować bardzo ostrożnie i stosować przemyślnie fortele, żeby nie podpaść konserwatywnym, wpływowym i niesamowicie radykalnym duchownym. W przeciwnym razie groziłaby nam rewolucja podobna do tej z Iranu, kiedy obalono szacha – tłumaczyła całkiem niezłe zorientowana w polityce arystokratka.

– Ani my, Saudyjki, ani wy, dyplomatki, byśmy tego nie chciały – dodała inna lokalna emancypantka.

– Zatem cóż takiego zawdzięczają Allahowi przeciętne Saudyjki? – spytała Anka.

– Przede wszystkim zreformował system edukacji. Obecnie prawie wszyscy saudyjscy studenci, którym ufundował zagraniczne stypendia, to kobiety.

– Naprawdę? Niemożliwe! To cudownie! – zachwyciły się ambasadorowe, które o realiach życia w tym kraju nie miały pojęcia, bytując w dyplomatycznym kokonie.

– Za przykład podam wam mojego syna – szczerza Amira za wszelką cenę chciała je przekonać.

– Co z nim? Dostał stypendium? Dokąd?

– Nam niepotrzebne są granty, już dość czerpiemy z królewskiego skarbcza. Poza tym mój synek nie ma najmniejszej ochoty do nauki – wybuchła śmiechem. – Ledwo co skończył gimnazjum.

– Ale nasze córki tak jak my – włączyła się kuzynka gospodyni – pokończyły brytyjskie czy amerykańskie szkoły średnie w Rijadzie i studiują albo u nas, albo w świecie.

– A co się dzieje, kiedy skończą naukę? – Anna miała wykształcenie orientalistyczne i doskonale znała arabską kulturę i tradycję. – Z tytułem magistra wrócą do swoich tradycyjnych rodzin i tak czy siak zostaną zmuszone do małżeństwa. Wszystko, czego się nauczyły, zostanie zaprzepaszczone.

– Nie zgodzę się z tobą. – Amira machnęła ręką na kelnerki, by znów napełniły szkło, bo chciało jej się pić przy takiej burzliwej dyskusji. – Musisz wiedzieć, że król Abdullah postawił na nauki ścisłe, w tym głównie medycynę. Studia medyczne są drogie, dlatego świeżo upieczone lekarki czy pielęgniarki od razu znajdują pracę w służbie zdrowia, bo nikt nie odważy się zmarnować pieniędzy zainwestowanych przez monarchę w ich edukację.

– Jestem mecenaską. – Podniosła rękę przyjaciółka księżnej. – Mam własną kancelarię adwokacką.

– A ja mam tytuł doktora i specjalizuję się w onkologii.

– Nauczam na uniwersytecie.

– A nasza Amirka w przyszłym miesiącu otworzy wystawę swoich fotografii.

Wszystkie uczestniczki były zmęczone poważną rozmową, bo zazwyczaj podczas babskich lunchów jedynie się plotkuje i nie męczy głowy poważnymi tematami. Dzisiaj to w Ankę coś złego wstąpiło. Może z tego względu, że jednak trochę denerwowała się przed spotkaniem z Tomkiem. Niby nic, a jednak nie wiedziała, jak ono przebiegnie. Chciałaby już mieć je za sobą.

\*\*\*

Jak na złość z powodu popołudniowych korków droga do domu zajęła mi dwa razy więcej czasu niż zazwyczaj. Zanim policja udroźniła przejazd, moje spóźnienie wzrosło do godziny. Kląłem w duchu, na czym świat stoi, ale przecież nic to nie pomagało, jedynie potęgowało moje wzburzenie.

Ania siedziała na ganku i właśnie nerwowo zapalała kolejnego papierosa. Rozrzucone wokół pety świadczyły o tym, że czekała na mnie dość długo. Chociaż była w cieniu, gorąc i tak dawał się jej we znaki, bo elegancką wiskozową suknię miała mokrą pod pachami, a wokół dekoltu znaczyły się białe od wyschniętego potu plamy.

– Myślałam, że już się nie pojawisz i będę zmuszona dzwonić po Marcella, żeby po mnie przyjechał – przywitała mnie wściekle, wyrzucając kopący się niedopałek. – Ciekawe, co by na to powiedział Marek...

– Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale to przez niego się spóźniłem – tłumaczyłem się jak uczeń, czując, że wszystko przybiera inny obrót, niż



sobie zaplanowałem. – Zażądał raportu, który musiałem mu natychmiast dostarczyć.

– Gównu mnie to obchodzi! – odburknęła. – Zawieź mnie do domu.

– Przynajmniej wejdź na chwilkę do środka. Ochłodziś się, zrobię ci drinka, pogadamy – napraszałem się. – Tak dawno się nie widzieliśmy.

– Nie ma takiej potrzeby. Jestem tuż po lunchu u księżniczki Amiry. – Zrobiła wyniosłą minę. – Nawet nie masz pojęcia, jakie tam jadłam smakołyki i jakie serwowano drinki.

– Nie złość się. Proszę...

Usiłowałem ją przytulić, lecz odepchnęła mnie z pogardą.

– Jesteś niesłownym i nieodpowiedzialnym gówniarzem! Zawsze taki byłeś! – wybuchła. – Gdybym wiedziała, że będę tkwić w ponadpięćdziesięciostopniowym ukropie na tym zapyziałym Las Palmas, poprosiłabym moją koleżankę, hinduską ambasadorkę, żeby zawiozła mnie prosto do domu. No ja pierdołę!

– Uspokój się, kochanie. Jesteś zdenerwowana i jeszcze powiesz coś, czego potem będziesz żałować – niezrażony dalej próbowałem ją obłaskawić.

– Czy ja wyglądam na osobę, która kieruje się emocjami i podejmuje pochopne decyzje? – wysyczała gniewnie, odtrącając moją rękę, a ja jak totalny głupek zrobiłem żalospną minę. – Nie jestem zdenerwowana, tylko zawiedziona twoją postawą. Zwłaszcza po tym, jak przez ciebie piekłam się tu, zamiast wylegiwać nad basenem w swojej rezydencji. – Odpowiednio to zaakcentowała, by podkreślić swą pozycję. Chwyciła torebkę i skierowała się do furtki prowadzącej na parking. – Odwiesz mnie czy nie?!

Całą drogę do Dzielnicy Dyplomatycznej siedziała nadąsana i nie odezwała się ani słowem. Starłem się znaleźć jakieś sensowne wyjaśnienie tego niepotrzebnego spięcia. Próbowałem coś wymyślić, żeby ją rozkrochmalić, choć jej obrażona mina nie wróżyła niczego dobrego, a mnie nic sensownego do głowy nie przychodziło.

– Za tydzień wracam do Polski – oznajmiła mi z tego, ni z owego, gdy już prawie dojeżdżaliśmy.

– Skąd to nagłe postanowienie? – Byłem zdezorientowany. Spodziewałem się wszystkiego, tylko nie tego.

– Marek dostał nieoficjalną informację, że za dwa miesiące dostanie odwołanie – odpowiedziała beznamiętnie. – Muszę polecieć wcześniej,

żeby przygotować nasze mieszkanie na jego powrót. Remont, przemeblowanie i takie tam drobiazgi.

– Z tego, co pamiętam, planowaliśmy naszą przyszłość razem – wyszeptalem, nie kryjąc zaskoczenia i bólu, jaki znów mi zadała. – Mówiłaś, że po powrocie wystąpisz o rozwód i przeprowadzisz się do mnie.

– Mówiłam... Mówiłam... – powtarzała z sarkazmem. – Wiele rzeczy sobie mówiliśmy. To jednak niczego nie zmienia. Teraz nie mogę zostawić Marka. Przez tyle lat zżyliśmy się ze sobą i on beze mnie sobie nie poradzi. Zwłaszcza w obecnej sytuacji. Zacznie żreć i jeszcze więcej chlać. Opuści się w pracy i wtedy na pewno go wyleją. Nie mogę zaprzepaścić jego kariery, na którą wspólnie pracowaliśmy.

– Wciąż powtarzałaś, że mnie kochasz! – rozpaczliwie przypominałem jej słowa. – Twierdziłaś, że teraz nic już nie stanie na drodze naszemu szczęściu.

– Choć chłystek, jesteś twardy, samodzielny i przebojowy. Nie to, co mój delikatny i wrażliwy mąż. – W jej opinii o Marku wychwyciłem wyraźnie ciepłą nutę. – Odwołanie z placówki i moje odejście mogłoby go nawet zabić.

– Czyli koniec z nami? – upewniłem się, zupełnie nie mogąc w to uwierzyć.

– Jakbyś zgadł. – Podniosła dumnie czoło i ścisnęła usta. – Zatrzymaj się przy tym markecie. – Wskazała palcem. – Rezydencja jest niedaleko. Pójdę ten kawałek piechotą.

Wysiadła, zanim jeszcze samochód całkiem wyhamował. Z rozmachem trzasnęła drzwiami i nie oglądając się, sprężystym krokiem ruszyła przed siebie. Po chwili zniknęła za zakrętem.

Nie mam pojęcia, jak długo całkowicie ogłupiały siedziałem, ściskając kierownicę. Nie wolno mi się załamać! – nakazałem sobie, godząc się ze swoim losem i patrząc prawdzie w oczy. Zbyt wiele osób liczy na mnie, od mojej pomocy zależy ich życie. Nie mogę sobie pozwolić na najmniejszą chwilę słabości.

Wsunąłem do odtwarzacza ulubioną płytę Iron Maiden i maksymalnie zgłośniłem. Z kopyta ruszyłem w stronę ambasady. Dzięki rozsadzającemu czaszkę heavymetalowemu bitowi wyganiałem z siebie rozpacz. Przed sobą miałem nie rijadzką drogę, lecz zapomniane już upokorzenie, jakiego doznałem w sądzie podczas rozprawy rozwodowej z Wiolką. Wspominałem

szczęśliwe chwile z Anką, która przebojem na nowo podbiła moje serce, by ostatecznie tak brutalnie wdeptać mnie w ziemię. Gdy dojeżdżałem do biura, wzburzenie pomалу słabło. Nie miałem najmniejszych wątpliwości: żeby zapomnieć o własnych problemach, należało rzucić się w wir spraw konsularnych, a najważniejszą z nich było odnalezienie Zofii i jej rodziny.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Wacek otworzył przede mną bramę placówki. Mój wygląd musiał chyba wzbudzić jego litość, gdyż bez zbędnych ceregieli wpuścił mnie do środka i odbezpieczył alarm, żebym mógł wejść do swojego gabinetu.

W ambasadzie nie było żywej duszy, bo nikt o zdrowych zmysłach o tej porze już nie pracuje. Obecnie liczyło się tylko zapewnienie moim podopiecznym bezpiecznej ewakuacji, choć Helga nie przekazała mi jeszcze żadnych danych dotyczących przelotu. Najistotniejszą wiadomość, na którą czekałem, przesłał mi Ribat. Stwierdziłem, że nie będę z nim korespondował, bo najszybciej będzie pogadać. Potrzebowałem też usłyszeć czyjś życzliwy głos, bo dzisiaj spotykało mnie jedno upokorzenie za drugim.

– Witaj, przyjacielu! – choć nadal całkiem rozbity, z ulgą rozpocząłem rozmowę. – Odczytałem maila.

– Cieszę się, że cię słyszę! – wykrzyknął pogodnie. – Jak już pisałem, moim zdaniem blondynka, którą spotkałem na przyjęciu u szejka Ismaila, to twoja zaginiona, choć kiedy wysyłałem wiadomość, nie miałem stuprocentowej pewności.

– Jak to nie?! – Pierwotna euforia topniała.

– Gdy serwowała kolację, włosy miała skromnie spięte i była bez makijażu. Wydawała mi się też o wiele szczuplejsza. Niestety, nie ma żadnych cech charakterystycznych, ale teraz już wiem, że to ona.

– Dzięki czemu?

– Zadzwoiłem do Mosze, syna rabina, o którym opowiadali Amerykanie i którego sam już zdążyłem dobrze poznać.

– Mów, człowieku, bo zaraz zwariuję. – Roześmiałem się nerwowo.

– Żyd potwierdza, że Polka ma na imię Zofia i ma dwie córeczki. Żyją.

– Kto żyje? Dziewczynki?

– Zgadza się. Są w dobrym zdrowiu.

– A kto umarł?

– Stary porządny szejik Nadzib, ale także mąż tej Zofii. To pokrywa się z tym, co powiedział Ismail, że kobieta jest wdową.

– Rozchorował się? – zarzucałem rozmówcę pytaniami, bo chciałem jak najwięcej dowiedzieć się o sytuacji Polki, którą za wszelką cenę trzeba było wyciągnąć z jemeńskiej głuszy.

– Ponoć faceta zabili – Ribat ściszył głos. – Mosze twierdzi, że morderstwa dopuścił się przyrodni brat Samira, a teraz szejik Ismail, przywódca Tanaamu.

– Jeśli doszło do morderstwa, dlaczego nikt nie powiadomił policji? – spytałem naiwnie.

– Chyba żartujesz – zachnął się Ribat. – To szejik stanowi władzę. Jest więc nietykalny.

– Co ta biedaczka musi przeżywać... Jak ją tam traktują?

– Nic się nie martw – pocieszał mnie jemeński przyjaciel, bo zachowywałem się całkiem nieprofesjonalnie. – Teraz już ja i Mosze trzymamy rękę na pulsie.

Skoro zaginiona Polka została zlokalizowana, to należało już tylko dograć sposób, w jaki ją stamtąd wydostaniemy. Bo nadal nie było dla mnie całkiem jasne, czemu ona wciąż tam przebywa i dlaczego nie skontaktowała się z siostrą.

Z rozmyślań wyrwał mnie dzwonek komórki. Usłyszałem głos podekscytowanej Rozalii:

– To Tanaam!

Na takie ostateczne potwierdzenie czekałem.

– Pisała, że jedzie do tej wiochy, by Samir, jej mąż, mógł pożegnać się z umierającym ojcem.

Oczywiście nie wspomniałem ani słowem o tym, że jej szwagier nie żyje. Rozważnie dobieierałem słowa, bo nie chciałem robić dziewczynie zbyt dużych nadziei:

– Aktualnie w tym regionie pojawiły się lotne brygady rebeliantów Huti, którzy chcą zdobyć władzę w Jemenie. Dostanie się tam wiąże się z ogromnym ryzykiem, ale mam kilka opcji, jak dotrzeć do pani Zofii.

– Błagam, niech ją pan ratuje! – prosiła, płacząc do słuchawki jak mała dziewczynka. – Panie konsulu kochany!

## ROZDZIAŁ 19

### UCIECZKA

Na zakończenie kolejnej lekcji arabskiego Mosze zapoznał Zosię ze szczegółami planu i wreszcie podał termin.

– Dziś wieczorem, gdy większość mieszkańców wioski uda się do meczetu na modlitwę, nasza przyjaciółka przyniesie mu wino – specjalnie nie używał imion, żeby nie wzbudzić zainteresowania Arifa, który dzisiaj nadzorował spotkanie i znudzony spał w kącie.

– Dlaczego nie ty? – zaniepokoiła się konspiratorka.

– Zaraz po naszej nasiadówce wsiądę do auta i niby wyjadę do Sany, żeby podejrzenie nie spadło na mnie.

– Obawiasz się zemsty Ismaila?

– Ten typ jest mściwy jak diabli, a jego odwet zapewne będzie okrutny – przyznał z lękiem.

– Boże, ileż ty ryzykujesz! Przykro mi, że cię w to angażuję.

– I tak chciałem się stąd wynieść. W Tanaamie zaczyna być niebezpiecznie. Oddziały Huti są coraz bliżej.

– To ci, co zgwałcili nieszczęsną piętnastolatkę?

– Najprawdopodobniej. Słyszałem o ich bestialstwie i mordach, których dokonują, a przede wszystkim o zabójstwach wyznawców Jehowy. Dlatego już jakiś czas temu postanowiłem uciec z wioski i przenieść się do stolicy, gdzie ludność żydowska spokojnie mieszka na osiedlu w pobliżu amerykańskiej ambasady. Moi bracia nie chcą na razie się stąd ruszyć, ale ja nie mam zamiaru czekać do ostatniej chwili. Tak że pomoc tobie tylko przyspiesza mój wyjazd. Nic się nie bój, będę na ciebie czekał w samochodzie ukrytym za żywopłotem z opuncji.

– A Hanan? Będzie musiała przewyciężyć całą swoją niechęć. Przecież ona go nie znosi.

– Już nieraz u niego bywała – uświadomił ją Mosze.

Zosia nie we wszystkie tajemnice osady była wtajemniczona, bo nigdy jej to za bardzo nie interesowało. Obchodziła ją tylko i wyłącznie jej rodzina, a teraz ucieczka.

– Z bukłakiem wina rozmowa lepiej się klei. – Uśmiechnął się złośliwie wszytkowiedzący Żyd.

– I co dalej? – ponaglała niepewna, czy w ogóle plan się powiedzie.

– Do wina dosypię środek nasenny – szeptął. – Kiedy ten pijak jak co wieczór padnie i uśnie, Hanan zniknie, a ty wymkniesz się z domu z dziewczynkami.

– I tu jest największy problem.

– Jaki, kobieto? Przecież to twoje dzieci!

– Już nie za bardzo. Macocha zrobiła im sieczkę z mózgu... – prawie wyszeptała z bólem. – Całkiem je zbajerowała.

– Musisz je czymś zachęcić – doradzał spryciarz. – Może podrzucę reklamówkę z migdałami i rodzynkami?

– To za mało.

– Ciasteczka miodowe z bakaliami? Wszystkie maluchy je uwielbiają. Powiesz, że więcej dostaną w aucie.

– To inteligentne dzieci, a nie głupie zwierzątka.

Zastanawiała się intensywnie. Naraz pogodnie się uśmiechnęła.

– Mam pomysł!

– Mów szybko, bo jak Arif się obudzi, to błyskawicznie zakończy nasze spotkanie.

– Obiecuję im wypad do Legolandu w Windsorze. Mieliśmy się tam wybrać jeszcze z Samirem, ale wyjazd tutaj był priorytetowy i nie mogliśmy zwlekać ani minuty.

– Widzisz, że łąbska z ciebie kobieta – ucieszył się Mosze.

– Jeszcze jedno. Napisz mi to po arabsku, a ja nauczę się na pamięć i przekażę w tym paskudnym języku, bo inaczej już całkiem nie chcą gadać.

– Genialnie!

Nauczyciel chwycił za długopis i kartkę i kaligrafował tekst, który Zosia dyktowała mu po angielsku.

– Kochane córeczki... – zaczęła ze łzami w oczach, bo straszne było, że musiała używać fortelu, by małe zechciały do niej dołączyć. – Pamiętacie, jak jeszcze z tatusiem planowaliśmy wycieczkę do Legolandu? Jak tylko

wrócimy do Londynu, pojedziemy tam i skorzystamy ze wszystkich atrakcji. Popływamy kolorowymi łódkami, w dolinie Duplo pobawimy się w strażaków i będziemy polewać wodą z plastikowych sikawek. A potem pójdziemy do wielkiej sali ze stosami klocków Lego i wybudujemy zamek albo kolorowe miasto.

– Dość, nie zapamiętasz tego wszystkiego. Poza tym za dużo informacji je znudzi.

– Masz rację. Ale jak myślisz? Dobra zachęta?

– Sam bym tam pojechał. A teraz powtarzaj.

Reszta czasu zeszła im na czytaniu, a Zosi coraz lepiej wchodziło do głowy znienawidzony język. Kiedy się rozstali, byli pełni dobrych myśli.

Wieczór zanosił się piękny i ciepły. Zosia wyrwała córeczki ze szponów macochy, ale nie chcąc się z nimi afiszować na podwórku podczas przejścia do budynku, w którym mieszkała, zabrała je na taras w domu szejka. Pocieszała się, że pod latarnią jest najciemniej, a zresztą będą tam tylko chwilę, króciutkie pół godziny. Kiedy powiedziała panienkom o Legolandzie, o dziwo, o niczym innym nie chciały słuchać i automatycznie przeszły na polski, od czasu do czasu wtrącając angielskie słówko. Córki były jeszcze do uratowania.

– A pójdziemy do McDonalda? – zapytała Marysia, która uwielbiała niezdrowe jedzenie.

– Pewnie, czemu nie? – Zosia zawsze była temu przeciwna, ale teraz obiecałyby im gwiazdkę z nieba.

– Ja zamówię cheeseburgera. – Ahlam aż się oblizywała.

– Może ciocia Różia z nami się wybierze? – Sześciolatka zaczęła przypominać sobie minione życie.

– Ja też chcę zobaczyć ciocię. Jest taka wesoła, nie to co ci tutaj – podsumowała dobra, choć mała obserwatorka.

We trzy siedziały na tarasie, który był idealnym punktem obserwacyjnym, gdyż Polka widziała stąd całą posesję i ścieżkę prowadzącą do szutrowej drogi. Za zakrętem miał czekać na nie Mosze. Kiedy promienie zachodzącego słońca zabarwiły świat na pomarańczowo, Hanan, okryta czarną abają, pod którą zapewne schowała baniak z winem, pojawiła się przed wejściem. Spojrzała w górę i dyskretnie dała znak koleżance. Z jej

oczu wyzierał smutek. Nie wiadomo, czy dlatego, że musiała zadawać się z podłym Ismailem, który zapewne wykorzystywał ją seksualnie, czy że sama nie miała jak stąd uciec... Jeszcze pół godziny, powtarzała sobie w duchu Zosia. Z nerwów i niepewności aż szumiało jej w głowie. Żeby tylko Marysia i Ahlam się nie znudziły – serce matki biło jak młotem.

\*\*\*

– Jak się masz, mój szejku? – Hanan już promieniała radością i emanowała seksem. – Dopisuje ci dzisiaj humor?

Ismail zmierzył ją od stóp do głów, bo wyglądała jeszcze piękniej niż zazwyczaj. Jak tylko weszła, zrzuciła z siebie czarny płaszcz i ukazała swe młode atrakcyjne ciało. Na tę okazję włożyła niezwykle wyzywającą suknię w czerwonym kolorze z głębokim dekoltem z przodu i jeszcze głębszym z tyłu, a lejący materiał utrzymywał się na cienkich ramiączkach. Kiedyś, w innym życiu, kupiła ją na wystawne wesele kuzynki w hotelu w Sanie i tam też wśród otaczających ją pań i dziewcząt robiła w niej furorę. Nie wiedziała, po co zabiera ją w taką głuszę, ale teraz przydała się jak znalazł. Jemeńczyk przygarnął ją do siebie, przygniótł jej obfite piersi swą twardą i umięśnioną klatką, chwycił całą garścią za zgrabny pośladek i głęboko pocałował. To Hanan nauczyła go wyuzdanej odważnej miłości, w której wieśniak zasmakował. Jednak jego drugie uzależnienie było mocniejsze, więc przechylił bukłak i wziął duży łyk wina. Skrzywił się i otrzepał. Oj, niedobrze, zadrżała dziewczyna. Czyżby Mosze przesadził z wywarem z *khatu*? Trzeba było dodać miodu.

– Jakieś gorzkie dzisiaj. – Ismail z niesmakiem odstawił manierkę i pociągnął ją na łóżko. – Ty za to jesteś słodziutka jak dżem z morwy.

Hanan i Ismail zeszli się zaraz po powrocie rozwódki do Tanaamu. Mężczyzna oczywiście nie myślał o ożenku, lecz nie odmawiał sobie z nią przyjemności. Utrzymywali swój związek w tajemnicy, bo inaczej ojciec rozpustnicy mógłby ją sromotnie ukarać, nawet wykonując na niej zbrodnię honorową. Ze strony starego szejka, który się domyślał, co łączy jego syna z ponętą młodą kobietą, nic im nie groziło, lecz nie wiadomo było, jak postąpiłby, gdyby sprawa ujrzała światło dzienne i mieszkańcy wioski o wszystkim by się dowiedzieli. Zatem ukrywali swoją relację, a groźba ujawnienia zakazanych kontaktów dodawała ich spotkaniom pikanterii.



Jemenka ciągle się łudziła, że Ismail darzy ją prawdziwym uczuciem i że jednak się z nią ożeni. Niechby miał żonę do zapładniania i rodzenia dzieci, a ją do kochania. Poszłaby na taki układ. Trochę się też bała, czy mężczyzna czasami nie przeleje wszystkich swoich uczuć na Zosię, i również dlatego chciała się jej pozbyć z wioski. Ładna niebieskooka blondynka była dla niej nie lada konkurencją.

– Osłódź mi życie – wycharczał podniecony, miażdżąc piersi Hanan. – Zrób mi to, co najbardziej lubię.

Uśmiechnął się rozpalony do czerwoności, a jego fallus sam wysuwał się z fałdów *futhy*.

– Mam go wziąć w dłonie? – droczyła się.

– Wsadź go do ust... Ssij, dziwko!

Jego prymitywna natura ujawniała się w każdych okolicznościach, lecz Hanan tego nie zauważała, bo jej łono pulsowało, jakby kołysane falami oceanu.

– No dalej! Dawaj!

Szarpał ją za upięte w wysoki kok włosy, które spadły kaskadą na gołe plecy.

– Czy tak?

Dotknęła napęczniałej odkrytej żołądki czubkiem języka, a Ismail wydał z siebie ryk jak dziki zwierz.

– A może w ten sposób?

Pokazała mężczyźnie zalety głębokiego gardła.

Ismail w ekstazie, drżąc i wijąc się pod mocnymi dłońmi i zachłannymi ustami swej flamy, błyskawicznie osiągnął spełnienie. Leżał bezwolny i bezbronny jak dziecko, z rozrzuconymi nogami i błogim wyrazem twarzy. Po chwili sięgnął po bukłak i łąpczywie upił zaprawionego wina.

Nałożnica złożyła głowę na jego podbrzuszu, nie zważając, że sperma okleja jej czarne bujne włosy. Była wyczerpana, ale też szczęśliwa. Z takimi sztuczkami uda jej się zachęcić każdego chłopca do ożenku. Lepiej być nawet drugą czy trzecią żoną niż rozwódką na garnuszku ojca. A mieć za męża szejka, to dopiero nobilitacja. Musi tylko pozbyć się z wioski tej przeklętej Polki.

Dyskretnie skontrolowała spożycie alkoholu przez pijusa, ale i niezłego ogiera. Zaraz nasenny napar powinien zacząć działać, stwierdziła w duchu. Zmykaj stąd, Zofio, i nigdy nie wracaj! Nic tu po tobie!

\*\*\*

Zosia odczekała umówione pół godziny i dla pewności dołożyła jeszcze pięć minut. Miała nadzieję, że Ismail, zmorzony alkoholem i narkotycznym środkiem, już śpi. Mosze przekonywał, że w Jemenie matki parzą *khat* i poją nim dzieci mające problemy z zasypianiem. Musiała mu uwierzyć, choć sądziła, że ta używka raczej działa pobudzająco.

– Chodźmy na dół – zachęciła córki. – Zabawmy się w podchody i skradajmy się na paluszkach. Tak żeby nikt nas nie usłyszał i nikt nie znalazł.

– Super, mamuś! – wykrzyknęła Marysia, a Ahlam aż piszczała z radości.

– Ciiii... – Uciekinierka przyłożyła palec do ust, bo gest może bardziej przekona małe głupotki niż słowa.

Trzymając córeczki mocno za ręce, jedynie z przewieszoną przez ramię małą torebką, zgrabnie zbiegała po kamiennych schodach. Nie spodziewała się, że o tak późnej jak na wiejskie warunki porze w kuchni będzie urzędować Zubeida. Może głód ją wygnał z łóżka? Była spragniona? Nie wiadomo, czy nie obudziły jej odgłosy seksualnych wybryków dochodzące z pokoju syna.

Starucha nadstawiła uszu, a słuch nadal miała bardzo dobry. Zaniepokoiły ją ciche kroki i kłapanie butów. Wyjrzała na korytarz. Zosia w nieodłącznej czarnej abai, by w półmroku trudno było ją dostrzec, przywarła do ściany. Ale spostrzegawcze dziewczynki wyrwały się matce i podbiegły do Jemenki.

– Babciu! Babciu! – śmiały się beztrosko. – Pojedziesz z nami do Legolandu?

– Lego co?! – zdziwiła się seniorka. – Co wy gadacie?!

– Legoland – klarowała Ahlam i mrugała gwałtownie, nie rozumiejąc, czemu miła babunia tak się złości. – W Londynie – przeszła na arabski, bo dzieci bezbłędnie potrafią wyczuć, z kim w jakim języku należy rozmawiać.

– W Anglii?! – grzmiała na cały dom złościca. – A jak wy się do tej Anglii dostaniecie?

Spojrzała prosto w spanikowane oczy Zosi, chwyciła ją pod brodę, wbijając długie pazury w skórę, i przyciągnęła do siebie.

– Co?!

– Nie macie prawa... – Polka wiedziała, że ta próba ucieczki została zaprzeczona. – Nie wolno wam mnie więzić...

– Szejkowi ktoś tego zabroni? – Zubeida była rozbawiona. Odepchnęła kobietę z całej siły i ryknęła: – Ismail!

Jej gromki głos martwego by obudził, a co dopiero jedynie zaćmionego alkoholem i narkotykiem syna, który na wezwanie matki przybiegał zawsze, nie zważając na okoliczności. Chwiejnym krokiem zszedł do nich. Za jego plecami mignęła sylwetka Hanan. Spojrzenia koleżanek skrzyżowały się na ułamek sekundy, po czym współniczka pognała w górę na taras, a stamtąd zeskoczyła na sąsiedni dach i na sąsiedni, i zniknęła w mroku nocy. Zapewne popędziła ostrzec Mosze, żeby zmykał z umówionego miejsca, pomyślała Zosia. Oby tylko Ismail nie domyślił się jego udziału w spisku.

– Gdzieś się wybierasz? – Ismail wychrypiał przez spieczone gardło. – Jedynie z taką małą elegancką torebką?

– Powinna wrócić do domu – wyszeptała, choć wiedziała, że lepiej by jej było język połknąć. – Do mojego świata.

– A czy ja ci na to pozwoliłem? – Pijak powoli dochodził do siebie.

– Nie jesteś ani moim ojcem, ni bratem, ni swatem – rozkręcała się rozgoryczona. – A nawet gdybyś był, gównem byś miał do powiedzenia!

– Twój wspaniały wielki zachodni świat pełen zgnilizny i zepsucia... – Ismail teatralnie zawiesił głos, a jego twarz zasnuł grymas pogardy i nienawiści. – W moim muzułmańskim świecie szwagier opiekuje się żoną zmarłego brata i jego dziećmi. Tak jest od wieków, od czasów proroka Muhammada. Negujesz to?

– Nie wyznaję waszej religii!

– Jako zaślubiona muzułmaninowi musiałaś przejść na islam.

– Nie! – wykrzyknęła oburzona, na co reakcja była natychmiastowa.

Pierwszy dosięgnął jej siarczysty policzek, potem kułaki spadły na jej plecy, a gdy padła na podłogę, krzepki mężczyzna kopał ją bez opamiętania. Dziewczynki jedyne schronienie znów znalazły w fałdach szat Zubeidy. Tym razem się nie śmiały, lecz stały przerażone – szybko się uczyły, jednak dalej nic z tego, co się dookoła nich działo, nie rozumiały. Były rozdarte, bo przed chwilą tak bardzo się cieszyły, a teraz drżały ze strachu. W ich główkach pojawiła się więc tylko jedna myśl: mamusia robi same złe

rzeczy, mówi złe rzeczy, bo przecież wujek nie biłby jej bez powodu. Mamusia jest po prostu zła.

Kiedy Ismail się zmęczył, zaciągnął zmalretowaną Zosię do jej nowego lokum. Jako że była w jego domu, postanowił ją tu zostawić. Będzie miał na nią oko. Na najwyższej kondygnacji, tuż przy wyjściu na taras, znajdowała się mała komórka, z której od dawna nikt nie korzystał. To będzie idealne miejsce dla tej hardej baby. Wrzucił ją tam i zamknął masywne drzwi na cztery spusty. Zajrzał do jej torebki, a kiedy znalazł w niej polskie paszporty, wręczył je matce.

– Schowaj to dokładnie, żeby znów ktoś nie wywiódł cię w pole – instruował z przyganą. – I sumiennie zajmij się tymi małymi niedojdami. Starszej trzeba poszukać męża, bo ja nie mam zamiaru się z nimi wszystkimi użerać.

– Tak, synu. – Matka kornie pochyliła głowę. – Będzie, jak rozkażesz.

Po zrobieniu porządku we własnym domu szejek udał się na zasłużony odpoczynek.

\*\*\*

Po nocy pełnej wrażeń wykończony Ismail zasnął natychmiast, kiedy tylko przyłożył głowę do poduszki. O brzasku zbudził go dobiegający z podwórza ryk silników samochodowych, a zaraz potem krzyki.

– Cóż, do diaska?! – wściekł się, bo jak zawsze wstał z bólem głowy, dziś nawet silniejszym niż zazwyczaj.

Zbiegł na dół i zbaraniał. Z siedmiu zaparkowanych wojskowych pick-upów wysypała się hurma umundurowanych mężczyzn. Uzbrojeni w karabiny maszynowe żołdacy nosili polowe uniformy w piaskowym kolorze. Głowy mieli owinięte arafatkami lub zakryte czarnymi kominiarkami, z których wyglądały im tylko rozognione oczy.

– Kto jest panem tego domostwa? – Jeden z przybyłych zastąpił Ismailowi drogę.

– Ja. Szejek tej osady. – Butny Jemeńczyk wcale się nie przestraszył watażki i odpowiedział z dumnie podniesionym czołem. – A kto mnie najeżdża?

– Nie najeżdża, lecz przybywa z wizytą – spuścił z tonu przybysz, ściągając zasłonę z twarzy. – Jestem Abu Siradż, dowódca tego walecznego

oddziału Huti.

Mężczyźni na zgodę uścisnęli sobie dłonie.

– Jeśli tak, to bądź, drogi przyjacielu, moim gościem honorowym. Zaraz każę matce przygotować strawę. Poślę też po pomocnice, bo sama sobie nie poradzi z taką liczbą gości.

– Czy moi żołnierze mogą skorzystać ze studni i się umyć? Daliby też moro do prania. Wracamy z ciężkich walk i chłopaki potrzebują się ogarnąć, bo przecież żadna z nas hołota, ale regularne wojsko, szczytujące się licznymi zwycięstwami.

Ismail wydał rozkazy swym parobkom i wyrobnikom, więc wkrótce na podwórku pojawiło się kilka szczelnie zakwefionych kobiet, a wśród nich przestraszone Rachela i Hanan. Za nimi podążał Mosze, kłaniający się na prawo i lewo, bo z żydowskiej enklawy ściągnięto tu także gospodynie specjalizujące się w wypieku chleba i ciastek. Dostał od rebege zadanie, by ich pilnować i nie dać im zrobić krzywdy.

– Zapraszam do *mafradzu*...

Gospodarz wskazał kierunek watażce i jego adiutantom. Zwykli żołnierze dostali miejsce w stajniach, gdzie sypnięto im świeżego siana. Posnęli na nim jak dzieci.

Po krótkim relaksie i wymianie uprzejmości całe zakryte na czarno kobiety wniosły do salonu misy z aromatycznymi potrawami. Tym razem nie było już wśród nich Zosi, która właśnie stała się prawdziwą więźniarką. Wygłodniali mężczyźni rzucili się na potrawy i ze smakiem pałaszowali rękami, czasami pomagając sobie płaskim chlebkiem z kolendrą. Błyskawicznie po kozinie i pieczonych kurczakach pozostały jedynie ogryzione kości.

Po posiłku, przy świeżo prażonej jemeńskiej zielonej kawie z kardamonem, żując z zapałem *khat*, mężczyźni złapali nić porozumienia.

– Miałbyś ochotę mnie wesprzeć? – z szacunkiem zwrócił się Abu Siradż do szejka, co Ismailowi bardzo pochlebiało, gdyż nie cieszył się w wiosce taką charyzmą jak jego zmarły ojciec. – Masz jakichś walecznych chłopów, którzy chcieliby służyć naszej sprawie?

– Ależ oczywiście! Moi młodszy bracia, bliźniacy Arif i Adel, z chęcią do ciebie dołączą.

– Bracia samego szejka! – kadził zadufanemu Ismailowi Abu Siradż, czym całkiem podbił jego serce.

– Kilku silnych pacholków też mógłbyś wziąć na przeszkolenie. Takich, co się do pracy na roli nie nadają, ale do twoich celów możliwe, że będą pasować idealnie.

– W zamian za wsparcie moich oddziałów obiecuję ci finansową pomoc, co wzmocni twoją pozycję jako szejka.

– Pieniądze?! – wyrwało się zszokowanemu Ismailowi.

– Nie brakuje nam ich, bo mamy możnych sponsorów.

Wszyscy wiedzieli, że szyickie Huti jest wspierane przez Iran.

Przywódca machnął ręką na jednego z adiutantów, a ten błyskawicznie skoczył na nogi i wręczył mu spory skórzany worek. Wódz z namaszczeniem rozwiązał rzemienie i obrócił sakwę do góry dnem. Na puszysty dywan wysypały się amerykańskie banknoty o wysokich nominałach: same pięćdziesiątki i setki. Była ich spora górka. Gospodarz aż przełknął ślinę.

– To wszystko jest twoje, a może być tego jeszcze więcej – mamił Abu Siradz. – Mam nadzieję, że w przeciwieństwie do twojego ojca, który popierał władze w Sanie, okażesz się lojalny wobec nas, szyickich bojowników.

– Szejk Nadżib był wyjątkowym głupcem – syn kłał pamięć niedawno zmarłego uczciwego ojca. – Zawsze źle lokował swoje uczucia i niewłaściwym ludziom rozdawał bonusy. – Oczywiście miał na myśli Samira, którego nawet po śmierci żywo nienawdził.

Żeby zabawić bogatego gościa, Zubeida sama wyszła z inicjatywą. Umalowała i wystroiła w odświętne kolorowe arabskie sukienki Marysię i Ahlam, a następnie w drzwiach do *mafradzu* postawiła stary magnetofon. Wsadziła do środka kasetę i na pełny regulator włączyła muzykę. Potem zagoniła dziewczynki do środka i kazała im tańczyć.

Po przejściach ostatniej nocy dzieci były niewyspane i zagubione. Bały się, że może je spotkać taka sama kara jak ich mamę, jeśli nie będą wykonywać wszystkiego, co się im każe. Dlatego też, choć stremowane, całkiem zgrabnie podrygiwały w centralnym miejscu wielkiego salonu. Abu Siradz był oczarowany niezwykłym pięknem dziewczynek, ich perfekcyjnymi regularnymi rysami, lekko opaloną karnacją i ciemnymi oczami. Nie wiedział, że w genach pańienek płynie mieszana krew ich sńiadego ojca z Adenu i białej jak śnieg mamy ze Śląska.

– Podobają ci się, nieprawdaż? – zagaił Ismail, aż zacierając ręce, bo marzyło mu się więcej takich saków z dolarami.

– Ta... Ta... Jest niesamowita... – Okrutny watażka stracił mowę i ledwo dukał, wskazując na sześcioletnią Marysię.

– Zatem na potwierdzenie naszego paktu oddaję ci te małe aniołki – zaoferował Ismail, co nawet Zubeidę zamurowało. Na swój sposób pokochała przyszywane wnuczki.

– Och, jaka szkoda! Teraz nie mogę ich zabrać – ubolewał Abu Siradz. – Jadę na akcję i dowództwo by mnie poświęciło.

– W porządku. – Szejk i tak się cieszył, bo uważał, że to najlepszy sposób na pozbycie się niechcianego ciężaru. – Zaopiekuję się nimi do czasu, gdy twój oddział skończy misję w terenie.

– Proszę, proszę, dobry człowieku!

Abu Siradz znów machnął ręką, a adiutant już wiedział, o co chodzi. Te dwa worki zielonych to i tak niewiele za takie dwie nieletnie dziewczęta. Na wolnym rynku na Półwyspie Arabskim pójdą za co najmniej sto tysięcy dolarów każda. Uznał więc, że szef ma dobrą rękę do interesów, choć kontrahenta miał wyjątkowo łatwego, zwykłego durnego wieśniaka.

Nowi przyjaciele rozstali się późnym popołudniem, bo wojacy mieli swe kwatery w niedostępnych partiach gór, gdzie czuli się najbezpieczniej. Na pożegnanie Abu Siradz zwrócił Ismailowi uwagę na jeden gardłowy problem:

– W twojej wiosce mieszka spora grupa Żydów!

– Żyją tu od setek lat i mój ojciec oraz jego poprzednicy gwarantowali im nietykalność – usprawiedliwiał się szejk.

– Czas najwyższy to zmienić i wypędzić tałatajstwo do Izraela – stwierdził herszt Huti z diabolicznym śmiechem, po czym wsiadł do pick-upa i śpiesznie odjechał, a za nim ruszyły pozostałe pojazdy oddziału, wzniesając tumany pyłu.

– Zanim się ich przepędzi, można jeszcze co nieco na tym skorzystać – powiedział do siebie Ismail z cierpkim uśmiechem na ustach. – Te Żydówki to baby niczego sobie, a szczególnie Rachela.

Mosze, ukryty za drzewem z kolejną dostawą wina, wszystko słyszał. Przez dobrą chwilę stał jak skamieniały. Zaczyna się, pomyślał i zadrzał.

Przyzwoity Ribat sam z siebie wyszedł z inicjatywą i osobiście udał się w góry do wioski Tanaam, by zabezpieczyć biura i zorientować się w sytuacji. Nie chciał wszystkiego zostawiać chytrym wieśniakom i morderczym Huti. Postanowił zaryzykować. Chciał też zorientować się w sytuacji Polki, której poszukiwał konsul Tomek.

– Panie Ribat! – Kiedy tylko inspektor się pojawił, Mosze przybiegł na plac budowy wielce zaniepokojony. – Tragedia goni tragedię!

– Co się znowu stało? Czemu nie przywiozłeś Zofii i jej dzieci do Sany, tak jak umawialiśmy się telefonicznie? Jak tak można?! Czekałem na was jak głupi, a moja żona odchodziła od zmysłów z niepokoju.

– Nie powiodło się. – Młodzieńcowi aż się płakać chciało, a jego rozpacz nie była udawana. – Od tamtego czasu kobieta jest pod kluczem, nigdzie nie wychodzi i nikt nie ma do niej dostępu.

– A czemu nie zadzwoniłeś?

– Nie mam pojęcia, co się dzieje, ale ciągle nie ma zasięgu. Może to wina coraz bardziej zaogniającej się wojny? Może rząd wyłączył nadajniki?

– Ale co ten szejek wyczynia? – Inżynier był przerażony. – Jakże można bezprawnie więzić człowieka? Wiesz, gdzie ją trzyma?

– Hanan twierdzi, że zamknął ją w jakiejś klitce na najwyższej kondygnacji i stamtąd nie wypuszcza. Ani na siku, ani na jedzenie.

– Na Allaha! Coś z tym trzeba zrobić!

– Ja już nic nie mogę, bo ostatnimi czasy w wiosce pojawili się żołnierze Huti. Nasze życie wisi na włosku. W ogóle nie wiem, czemu jeszcze żyjemy... – Nie wytrzymał i uronił parę łez.

– Nie jestem żołnierzem, nie potrafię bić się czy strzelać – ze smutkiem wyznał wykształcony sanijczyk. – By was wyzwolić ze szponów szejka, potrzebne będą brygady specjalne.

– Ostatnia szansa w Amerykanach – potwierdził Mosze.

– Zgadza się. Trzeba jak najszybciej ich poinformować. Już dłużej nie zwlekajcie!

– Zatem proszę przekazać Natanowi i Stevenowi, że błagam o natychmiastową ewakuację naszej diaspory. Ja teraz stąd się na krok nie ruszę, muszę wspierać starego ojca i naszych ludzi. Zatem czekam z wszystkimi wyznawcami Jehowy w pełnej gotowości.

– Myślisz o wywiezieniu całej waszej grupy? Za jednym zamachem? To będzie ponad sto osób. – Ribat się zdziwił, bo zanosilo się na wielką akcję.



– Myślałem, że wyjedziecie stąd po kilka rodzin.

– Niestety, przyjacielu, nie będzie to spokojna zmiana miejsca zamieszkania. – Młody Żyd był zrozpaczony. – Szejk Ismail to zwykły pęta i pijak, ale teraz, gdy zbratał się z jednostką Huti, izraelitom grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. To obrzydliwi antysemita i urodzeni mordercy.

## ROZDZIAŁ 20

### PLAN AWARYJNY

Kolejny dzień w biurze toczył się beznamiętnie. Za oknami szalała burza piaskowa i kłęby pomarańczowożółtego piasku z hukiem waliły w szyby. Nie wiem, czy to za sprawą rozszalałego żywiołu, ale żaden pracownik ambasady nie opuszczał swojego pokoju i wszyscy pochłonięci byli pracą. Nikt mi nie przeszkadzał, mogłem się więc skupić na swoich obowiązkach.

Nagle zerwanie z Anią zburzyło wszystkie moje plany na przyszłość. Cios był bolesny, lecz niespodziewanie szybko stanąłem na nogi. Widocznie kolejna porażka sercowa sprawiła, że stałem się bardziej odporny na miłosne rozczarowania. Niebagatelną rolę w mojej uczuciowej rekonwalescencji odegrały przygotowania do wyjazdu rodzin jemeńskich. Działiałem jak automat. Kompletowałem dokumenty, aktualizowałem wykaz osób szykujących się do ewakuacji i wciąż kontaktowałem się z Ribatem, gdyż nadal niejasny był los Zosi i jej córeczek.

– Ucieczka nie wypaliła – oznajmił Ribat ponuro, zaczynając naszą kolejną rozmowę.

– Czy to pewna wiadomość?

– Osobiście tam pojechałem pod pretekstem inspekcji naszego oddziału w Tanaamie – wyjaśniał. – Mosze, który obiecał je przywieźć do Sany, też się nie odzywał, więc nie miałem innego wyjścia.

– Jak teraz wygląda jej sytuacja?

– Prawdopodobnie została uwięziona przez szejka, lecz nic konkretnego nie wiem.

– Masz pomysł, jak ją stamtąd wydobyć? – spytałem, gdyż dzielący nas ponad tysiąc kilometrów dystans sprawiał, że byłem bezradny.

– Pamiętasz, że nasz znajomy Natan szykuje ewakuację Żydów z tej wioski? To jedyna szansa, żeby ją stamtąd wydostać, i to razem z dziećmi.

– Jeśli ją znajdą w ogromnym domu – stawałem się sceptyczny. – Sam wspominałeś, że to gmach jak wieża, podobny do tych w Sanie. Poza tym ten wredny szejek równie dobrze mógł ją już dawno wywieźć gdzieś w góry.

– Mosze cały czas tam się kręci i jest przekonany, że Ismail wciąż ją przetrzymuje w wiosce – zapewnił Ribat pełen wiary. – Żydowską diasporę będą wywozić żołnierze jemeńskiej armii, więc twoją Polkę z dziećmi też zabiorą. Chociaż dobrze by było, żeby dostali odgórny rozkaz.

– Znam kogoś z koneksjami w sferach rządowych – natychmiast przypomniałem sobie Mahmuda Szeibaniego, który jako jedyny mógłby to załatwić. – Niemniej wciąż pozostaje kwestia znalezienia miejsca jej izolacji.

– Tym bym się nie martwił – pocieszył mnie. – Mam ciągły kontakt z synem rabina, który będzie na miejscu, a poza tym nad wszystkim czuwa lotniczy wywiad naszych amerykańskich sojuszników. Oni przy pomocy drona potrafią wykryć każdy cel.

– A kiedy planujecie tę akcję? – Żywo się tym ciekawiłem.

– Na dniach. Dokładnie nigdy ci nie powiedzą, gdyż jak się domyślasz, jest to raczej tajne. W ostatniej chwili poinformują też samych zainteresowanych, czyli Żydów z Tanaamu.

– Kiedy moja rodaczka przyjedzie do Sany, mógłbyś się nią zaopiekować do czasu, aż Niemcy podstawią ewakuacyjny czarter?

– To się rozumie samo przez się – zapewnił.

– Skoro jesteśmy przy ewakuacji... Czy Małgosię i ciebie mam ująć na liście opuszczających Jemen?

– Chyba żartujesz! – Ribat był zdecydowany. – Zdajesz sobie sprawę, że na moim stanowisku i z takim majątkiem oraz w obecnej niepewnej sytuacji nie mogę opuścić mojego kraju nawet na tydzień. W Polsce nigdy nie urządziłbym się na takim poziomie. Poza tym, nawet gdybym podjął taką próbę, a ta spaliłaby na panewce, nie miałbym do czego wracać. Wszystko by rozkradli, nie mówiąc już o utracie stanowiska w ministerstwie. Jakoś sobie damy radę. Już niejedną wojnę tutaj przeżyliśmy.

– Na twoim miejscu pewnie postąpiłbym tak samo – przyznałem mu rację. – W takim razie daj znać, gdy Zosia z dziećmi dotrze do Sany.

Zaledwie skończyłem rozmowę z Ribatem, gdy zadzwoniła Rozalia. Na jej pytanie, czy udało mi się odnaleźć siostrę, odpowiedziałem twierdząco. Poprosiłem ją jednak o cierpliwość, gdyż nie mogłem jednoznacznie

określić, kiedy Zosia wyjedzie z Jemenu. Poinformowałem ją tylko, że na razie opracowuję plan jej ewakuacji i gdy będę znać konkrety, natychmiast o wszystkim się dowie. Pomiąłem szczegóły dotyczące nieudanej ucieczki i uwięzienia przez szejka, żeby jej dodatkowo nie denerwować. Wystarczyło, że mnie spędzało to sen z powiek. Miałem tylko nadzieję, że nie stanę się posłańcem przynoszącym jej złe wieści.

Do Mahmuda, który był mi teraz tak potrzebny, nie mogłem się dodzwonić. W telefonie konsula honorowego za każdym razem włączała się poczta głosowa. Próbując się uspokoić, spojrzałem na widok za oknem – kłębiące się tumany pyłu ustępującej już burzy piaskowej działały wyciszająco.

Starąłem się uporządkować myśli, gdy niespodziewanie oddzwonił Szeibani.

– Jak się masz, Tomku? – usłyszałem jego wesoły głos. – Wciąż się do mnie dobijasz. Czy coś się stało?

– Dlaczego nie odbierasz? – naskoczyłem na niego z wyrzutem.

– W samolocie komórki raczej nie działają – spokojnie tłumaczył. – Od razu po wylądowaniu się z tobą kontaktuję. Czemu jesteś taki nerwowy, przyjacielu?

– Znów fruwasz w biznesach... – ciężko westchnąłem, trochę mu zazdroszcząc. – Kiedy będziesz w Sanie? Koniecznie muszę z tobą omówić pewną delikatną kwestię.

– Jeśli to pilne, możemy się zobaczyć nawet za godzinę, gdyż aktualnie jestem na lotnisku w Rijadzie.

– Co za licho przywiało cię właśnie tutaj?

– W Jemenie jest ciągły problem z dostawami prądu. W Saudii mam na oku niezły interes na dostawę generatorów prądotwórczych. W Sanie to teraz gorący towar.

– Czegokolwiek dotkniesz, przynosi ci niezły dochód – łechtałem jego ego. – Teraz jednak potrzebne mi są twoje koneksje.

– Jakie konkretnie?

– Wszystko opowiem podczas lunchu. Tym razem ja cię zapraszam.

Koniecznie chciałem mu się zrewanżować.

– Jaka restauracja?

– Tokio, przy ulicy Al-Uruba. Serwują tam najlepsze sushi w Rijadzie i jest blisko polskiej ambasady. Dla mnie to idealne miejsce, gdyż mogę

wyrwać się tylko na chwilę. Mamy sytuację kryzysową w Jemenie, jakbyś nie wiedział – zażartowałem.

– Dla jednych to sytuacja kryzysowa, a dla takich jak ja – okazja do zarobku – szczerzy aż do bólu zakpił i odłożył słuchawkę.

Przed wyjściem zajrzałem do Marka, żeby zdać mu relację z dotychczasowych działań dotyczących ewakuacji polsko-jemeńskich rodzin. Słuchał bez zainteresowania, skrobiąc coś w swoim notesie, i wydawał się nieobecny duchem. Czyżby faktycznie jego odwołanie miało przyjść na dniach i pan ambasador nie mógł się z tym oswoić? Ożywił się, dopiero gdy poprosiłem go o zgodę na wyjście z ambasady.

– Tylko żebyś się nie zasiedział w tej knajpie! – burknął na pożegnanie. – Musimy jeszcze dzisiaj wysłać do kraju dwa raporty, które masz napisać.

– Postaram się wrócić do godziny. Specjalnie wybrałem Tokio, bo znajduje się rzut beretem od nas.

– Tokio?! – wrzasnął i spojrzał na mnie jak na szaleńca. – Toż to najdroższa restauracja w mieście! Nasz fundusz reprezentacyjny jest na wyczerpaniu. Czemu nie wybrałaś czegoś tańszego?

Za często nie korzystałem z takich przywilejów, które były głównie w gestii ambasadora, choć każdy dyplomata powinien dostać z puli przyznanych środków jakąś ich część. Zbyt jednak zaangażowałem się w sprawy jemeńskie, by teraz kruszyć kopię o parę groszy.

– Nie sądziłem, że będzie z tym problem. Nie przejmuj się, pokryję wyjście z własnej kieszeni.

Kiedy dotarłem do lokalu, kierownik sali wprowadził mnie do pogrążonego w półmroku saloniku z dyskretnie rozpraszającymi ciemność papierowymi lampionami w czerwonym kolorze i nastrojowymi malunkami gejsz z parasolkami, japońskich wiejskich krajobrazów i zwierząt. Przy stoliku siedział Szeibani ubrany w jasny garnitur i rozmawiał przez telefon. Na mój widok rozłączył się, serdecznie przywitał ze mną, całując trzykrotnie w oba policzki, i zaprosił, bym usiadł. Kelnerzy sprawnie zrealizowali nasze zamówienie i zostawili nas samych. Nie niepokojeni przez nikogo, mogliśmy oddać się konsumpcji i porozmawiać.

– Jak mogę ci pomóc? – od razu spytał Mahmud, wpychając do ust spory kawałek sashimi z łososia.

– Wkrótce ma się odbyć ewakuacja żydowskich mieszkańców wioski Tanaam do Sany – naświetlałem skomplikowany problem.

– Słyszałem coś niecoś na ten temat – przytaknął, potwierdzając słuszność mojej decyzji, żeby się z nim skontaktować.

– Naprawdę? Jak to możliwe, że takie poufne informacje do ciebie docierają? – Stwierdziłem, że jednak trochę go nie doceniałem.

– Wspominałem ci przecież o moim kuzynie z ministerstwa spraw wewnętrznych – odparł beztrzesko. – To największa akcja od czasu operacji „Latający dywan”. Jest w nią zaangażowane jemeńskie wojsko. Dlatego w pewnych służbach aż huczy na ten temat, zwłaszcza że mają kooperować z Amerykanami, naszymi sprzymierzeńcami do walki z terroryzmem.

– W pewnych służbach, powiadasz? – powtórzyłem z namysłem, a w głowie zaczynało mi świtać, dlaczego ten Jemeńczyk może swobodnie wjeżdżać do zamkniętej dla obywateli tego kraju Arabii Saudyjskiej i robić tam interesy.

– Nie rozumiem tylko, co ty masz z tym wspólnego? – spytał, odkładając pałeczki do sushi na podstawkę i sięgając po czarkę jaśminowej herbaty.

– W wiosce Tanaam znajduje się Polka z dwójką dzieci i muszę je stamtąd wydostać przy okazji tej akcji.

– Nie widzę żadnego problemu, żeby przy wyjeździe tak licznej grupy dodatkowo zabrać kilka osób.

– Mówisz jak mój znajomy Steve z amerykańskiej ambasady.

– Steve’a znam od ładnych paru lat – przyznał się do współpracy z agentem CIA, więc wszystko było już jasne. – Dalej nie wiem, na czym polega kłopot.

– Sytuacja się skomplikowała. Zofia została uwięziona i trzeba ją najpierw namierzyć. To samo dotyczy jej dzieci – objaśniając, podałem mu kopertę ze zdjęciami. – Dobrze by było, gdyby ktoś decyzyjny przekazał te fotografie waszym wojskowym i wydał polecenie, żeby za wszelką cenę odnaleźć te osoby i dołączyć do ewakuacji żydowskiej diaspory. W końcu transport mają zagwarantować wasze siły rządowe, więc muszą mieć glejt na wzięcie do auta dodatkowych pasażerów. Amerykanom może na nich tak bardzo nie zależeć i kiedy pojawi się jakaś trudność, to je zostawią.

– Dobrze, że mi o tym mówisz. W końcu pomoc Polakom na terenie Jemenu to także mój obowiązek jako waszego konsula honorowego.

Przekażę te fotki, komu trzeba. Nie martw się. Wydobędziemy je nawet spod ziemi. Oby tylko były jeszcze żywe.

– Nawet nie mów takich rzeczy! – podniosłem głos, starając się odpędzić złe myśli, które cały czas mnie dręczyły. – Na miejscu mamy zaprzyjaźnionego człowieka, który jest zaangażowany w ich ratunek. Pomoże waszym chłopcom je zlokalizować.

Uzgodniwszy najważniejsze sprawy, pożegnaliśmy się i Szeibani szybko opuścił restaurację, tłumacząc się kolejnym spotkaniem. Wezwałem kelnera, żeby zapłacić rachunek.

– Ten pan, który wyszedł, wszystko już uregulował – powiedział zdziwiony moją prośbą.

Schowałem portfel i zażenowany udałem się na parking. Rozumiałem, że bogaty biznesmen nie chciał narażać mnie na koszty, ale ja byłem dumnym Polakiem, który zawsze się rewanżował, a nie tylko korzystał z czyjejś hojności. Najważniejsze jednak, że mogłem liczyć na pomoc Mahmuda w odbiciu Zosi. Teraz w akcję było już zaangażowanych tyle osób, że musiała się powieść.

Podbudowany rozmową z Szeibanim wróciłem do ambasady i pełen animuszu skończyłem nikomu do niczego niepotrzebny materiał o Polsce widzianej oczami Saudyjczyków, na który czekał Marek, żeby oczywiście wysłać go do MSZ. Nie zdążyłem oderwać się od biurka, żeby udać się do gabinetu ambasadora, gdy moja komórka zawibrowała.

– Cześć, Tomek! – usłyszałem podenerwowany głos Helgi. – Mam bardzo złe wieści.

– Co się stało?

– Moje ministerstwo odwołało lot ewakuacyjny.

Wydawało mi się, że niemiecka konsul jest bliska płaczu.

– Jak to możliwe? Przecież już od kilku tygodni opracowujemy listę pasażerów, a Polonia w Sanie tylko czeka na moje hasło, żeby pojawić się na lotnisku.

– Niestety, wszyscy szukają oszczędności. Powiadomiono mnie, że skoro lotnisko w Sanie wciąż funkcjonuje i obsługuje samoloty komercyjne, to nasi obywatele mogą w ten sposób wrócić do Niemiec.

– Tylko że Polaków mieszkających w Jemenie nie stać na zakup takich biletów. Obiecałem im, że polecą za darmo w ramach unijnych środków.

– Musisz poradzić sobie w inny sposób – skwitowała oschle. – Nie mogę dłużej rozmawiać, u mnie też jest pożar i telefony się urywają. Pozdrawiam.

Nie chciało mi się wierzyć w to, co przed chwilą usłyszałem. Cały precyzyjny plan diabli wzięli. Pewien ekspert od bezpieczeństwa powiedział kiedyś, że wszystkie plany ewakuacyjne przygotowywane przez kilku organizatorów mają jedną wspólną cechę: w przypadku sytuacji kryzysowej nigdy się nie sprawdzają i ostatecznie każdy musi liczyć tylko na siebie. Co właśnie się stało. Teraz największym wyzwaniem było znalezienie najtańszego przewoźnika lotniczego. Po skorzystaniu z przeglądarki cenowej od razu stwierdziłem, że bardziej okazynego połączenia niż tureckimi liniami nie znajdę. Pozostała tylko kwestia ustalenia, kto za to zapłaci. Znów musiałem przekonać ambasadora do tego, czego nie znosił – wyłożenia forsy na stół.

Postanowiłem, że zanim zapoznam Marka z trudnościami w ewakuacji Polonii z Sany, najpierw dam mu pisemne raporty, które koniecznie chciał wysłać do MSZ. Ale przypominało to sen schizofrenika – z jednej strony ważyły się ludzkie losy, a z drugiej bawiliśmy się w pustostowie.

– Na czym polega problem? – spytał niechętnie, jakbym go nagabywał. – Przecież mówiłeś, że wszystko jest dograne z niemiecką ambasadą w Jemenie.

– W tym tkwi szkopuł – wyjaśniałem. – Niemcy wycofali się i w ostatniej chwili odwołali ewakuacyjny samolot rządowy. Ich zdaniem każdy może wylecieć z Sany liniami komercyjnymi.

– Nadal nie rozumiem, z czym nie dajesz sobie rady... – denerwował się coraz bardziej.

– Polonia jemeńska to biedni ludzie i z dnia na dzień nie wyłożą blisko pięciuset dolarów na bilet. Zwłaszcza że są to rodziny wielodzietne i dla nich ta kwota może wzrosnąć do kilku tysięcy.

– A nie ma bardziej okazynego oferty?

– Najtańsze połączenie jest przez Sztambuł. Inne są o wiele droższe.

Wręczyłem mu zestawienie, które zawczasu przygotowałem.

– Bez naszego administracyjnego nie mogę podjąć decyzji – oświadczył, zbierając dokumenty z biurka i wsadzając je do teczki. – Spotkamy się u mnie jutro z samego rana, żeby to przedyskutować. Teraz wychodzę, bo



muszę odwiedzić Anię na lotnisko, a ty mi zawracasz gitarę jakimiś bzdurami. Zmyje mi głowę, jeśli dotrę do rezydencji spóźniony. Już od kilku tygodni jest w nerwach i wciąż przepakuje walizki. Zapewne wiesz, że moja żona wraca na stałe do Polski? – zapytał, spoglądając na mnie wymownie, i wybiegł z gabinetu.

Nazajutrz, kiedy ambasador koło południa pojawił się w biurze, już na niego czekałem. Janek też siedział w sekretariacie i niespiesznie zajadał bułkę z czosnkową kiełbasą, którą troskliwa żona mu zaserwowała. Biuro czadziło, zamiast pachnieć odświeżaczem powietrza.

– Czy mógłbyś odłożyć te pyszności i wejść ze mną do środka? – poprosiłem łagodnie, choć ciśnienie mi rosło. Wyglądało na to, że nikogo prócz mnie nie obchodzili rodacy, którym zagrażała wojenna zawierucha.

– Daj mu spokojnie zjeść! – Ala stanęła w obronie męża. – Przecież szef dopiero co przyjechał, nawet nie zdążyłam mu zrobić kawy.

– Rozumiem waszą rutynę – powiedziałem zgryźliwie – lecz niektórych spraw nie można odkładać na później. Szczególnie gdy ważą się ludzkie losy.

– Wejdźcie, panowie – zaprosił nas Marek, kiedy przez uchylone drzwi usłyszał mój podminowany ton. – Alu, przynieś nam wszystkim kawę.

Kiedy weszliśmy do środka i usiedliśmy w wypoczynkowym kącie gabinetu, sekretarka z obrażoną miną ustawiła przed nami filiżanki. Gdy zniknęła, ambasador przystąpił do rzeczy:

– Panie Janku, mamy napiętą sytuację w Jemenie. – Przymilnie uśmiechnął się do administracyjnego, którego darzył ogromną sympatią. – Konsul potrzebuje jakichś dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, żeby kupić bilety lotnicze dla polsko-jemeńskich rodzin, które szykują się do ucieczki przed wojną i pragną wrócić do kraju. Czy możemy sobie pozwolić na taki wydatek?

– Wszystkie pieniądze, jakie mieliśmy na podróże, zostały już rozdysponowane – oświadczył kolega, patrząc na mnie z dziką satysfakcją, jak gdyby chodziło o mój prywatny wyjazd na egzotyczne wakacje. – W ogóle nie ma takiej możliwości – zakończył autorytatywnie i westchnął, a z jego ust wydobył się ostry welon zapachu czosnku.

– Przecież z uwagi na zaistniałą sytuację możemy wystąpić do MSZ o refundację. Tu chodzi o ratowanie życia Polaków! – zdecydowanie się postawiłem, oczekując od Marka wsparcia. W końcu gdyby ktoś z Polaków zginął z powodu naszego zaniedbania, to on odpowiadałby za to przed ministrem jako szef placówki.

– No właśnie, panie Janku – przyszedł mi jednak w sukurs. – Czy nie moglibyśmy wystąpić o dodatkowe pieniądze?

– Istnieje taka opcja – przyznał z pewnym oporem administracyjny – ale wymaga odpowiedniej procedury i czasu.

– Robotę papierkową biorę na siebie, wypełnię wszystkie potrzebne druczki – przystałem z ulgą, gdyż sprawa zaczęła zmierzać we właściwym kierunku. – Co do czasu, to tego niestety nie mamy. Musimy działać szybko, lotnisko mogą zamknąć w każdej chwili i wtedy nasi rodacy zostaną uwięzieni, gdyż z Sany można się ewakuować wyłącznie drogą lotniczą.

– Niestety, tego nie przeskoczymy – oświadczył zimno ambasador. – Uruchomcie formalności, a gdy przyjdzie zgoda, konsul kupi bilety. Na tym kończymy naradę. Dziękuję panom.

– Chwileczkę! – przerwałem szefowi, nie dając za wygraną. – Przecież mogę wziąć te pieniądze z kasy placówki w formie pożyczki. Wystarczy tylko twój podpis.

– To byłoby pewne rozwiązanie, choć dla ciebie dość ryzykowne – przytaknął Marek z zastanowieniem. – Pamiętaj, że to nie ja zostanę obciążony tą kwotą, jeśli Warszawa nam odmówi, ale ty.

– Dokładnie – zawtórował mu młody kutwa. – Zwłaszcza że jemeńscy mężowie nie są naszymi obywatelami i nie widzą potrzeby fundowania im przelotu.

– Tylko że bez nich ich żony same z dziećmi nie opuszczą Jemenu. Nie każdy muzułmanin zgadza się na samodzielny wyjazd swojej rodziny – uświadomiłem im, na czym polega problem. – Niezależnie od decyzji MSZ przystępuję do załatwiania przelotu komercyjnego. Robię to na własną odpowiedzialność – zakończyłem rozwścieczony i wyszedłem z trzaśnięciem drzwiami.

Sytuacja w Sanie zmieniała się jak w kalejdoskopie. Lotnisko raz wstrzymywało ruch powietrzny, raz wznawiało. Najważniejsze w tym wszystkim było to, że tureckie samoloty wciąż latały. Po kilku zarwanych nocach miałem wreszcie gotowe wszystkie rezerwacje. Dzięki dyrektorowi linii lotniczych na razie nie musiałem za nie płacić. Obiecał trzymać je do ostatniej chwili. Okazało się, że obce osoby wykazały się większym zrozumieniem i empatią niż moi rodacy i współpracownicy. Pamiętałem oczywiście o biletach dla Zosi i jej córeczek. Spodziewając się, że akcja ratunkowa w Tanaamie niebawem się rozpocznie, ustaliłem termin wylotu za dziesięć dni. Wszystkim to odpowiadało, gdyż jak zwykle w takiej sytuacji każdy miał do załatwienia mnóstwo spraw. Dwa dni przed planowanym wylotem otrzymaliśmy zgodę z MSZ na refundację biletów lotniczych, o które wystąpiłem. Satysfakcja gwarantowana, ale starganych nerwów nikt mi nie odda, podsumowałem i tak zadowolony.

– Wszystko załatwione po twojej myśli. – Marek wręczył mi akceptację wydatków. – Wysyłaj bilety mailem i zamykamy sprawę.

– Nie ma takiej możliwości! – wykrzyknąłem podminowany, bo na takie rozwiązanie absolutnie się nie zgadzałem. – Muszę osobiście polecieć do Sany i zawieźć im oryginały dokumentów, bez których nie wpuszczą ich do Polski.

– Co to za dokumenty? Wcześniej mi o tym nie wspominałeś. Po prostu znów chcesz się przewietrzyć, zamiast siedzieć w biurze i uczciwie pracować.

– Przedtem gwarantowano im status uchodźców, więc zostaliby wpuszczeni do Europy bezproblemowo – wyjaśniłem niuans związany z odwołaniem samolotu ewakuacyjnego. – Teraz lecą normalnymi liniami i będą traktowani jak zwykli cudzoziemcy, a więc Jemeńczycy muszą mieć ważne wizy.

– Czy nie może tego zrobić twój kolega z naszego konsulatu w Stambule?

– Kolejny, który ma wszystko w dupie. – Byłem rozgoryczony. – Ponoć potrzebuje na to dwóch tygodni. Czy wyobrażasz sobie, żeby te rodziny z maluchami koczowały przez dwa tygodnie na lotnisku w Stambule?

Marek myślał i myślał, gładząc się po łysinie, aż w końcu ogłosił:

– Podróż do Sany obecnie jest zbyt ryzykowna i nie mogę cię tam wysłać. Kto odpowie, jeśli coś ci się stanie?

– Nie przejmuj się, przyjacielu! Polecę na własne ryzyko. Mam ci podpisać jakiś papier? – naciskałem pełen sarkazmu, znając odpowiedź. – Zresztą jeśli się tam nie pojawię, to przepadną wszystkie bilety, a wtedy Janek sobie nie odpuści, żeby mnie obciążyć kosztami.

– Jak chcesz, w końcu jesteś dorosłym chłopczykiem. – Wydał pogardliwie wargi. – W każdym razie ja do niczego cię nie zmuszam.

– Wyluzuj! Nic mi się nie stanie, jestem w czepku urodzony. W Sanie, przynajmniej na lotnisku, jest w miarę bezpiecznie.

– Obiecuj, że poza terminal się nie ruszysz. Mimo wszystko nie chcę mieć cię na sumieniu.

– O mnie się nie martw. Dam sobie radę – pocieszyłem szefa, którego nawet nie zamierzałem wtajemniczać w komandoską akcję uwolnienia Zosi.

– Zatem wracaj szczęśliwie.

## ROZDZIAŁ 21

### EXODUS

Zosia nawet w najgorszych koszmarach nie spodziewałaby się, że jej życie tak się ułoży. Nie wiodło jej się najlepiej ani w dzieciństwie, ani w młodości. Wyjazd do Anglii okazał się całkowitą porażką, ale poznanie Samira diametralnie odmieniło jej los. Był nadzwyczajny, nietuzinkowy, nawet jak na warunki europejskie. Zauroczył ją do tego stopnia, że czasami zapominała o jego arabskim pochodzeniu. Był na wskroś nowoczesny i zachodni, traktował ją więcej niż dobrze i kochał córeczki całym sercem. To, co ją teraz spotkało, było niewyobrażalną tragedią, a śmierć męża tylko zapoczątkowała dramatyczne następstwo wypadków. Nigdy nie przypuszczała, że ktoś obcy będzie chciał ją zdominować, uwięzić, zniszczyć... Dlaczego? Czym ona temu typowi spod ciemnej gwiazdy, Ismailowi, zawiniła? Teraz siedziała w zatęchłej dziupli bez światła i wody, bez żadnych warunków do egzystencji.

– Co ja zrobię? – szeptała do siebie, chcąc usłyszeć ludzki głos. – Co zrobię? A moje córeczki, malutka Ahlam i niewiele większa Marysia? Samirku kochany, gdzieżeś ty nas przywiózł?

Na szczęście miała przy sobie w tylnej kieszeni džinsów schowaną komórkę, której Ismail nie zauważył.

– Czemu nie chciałam, żeby Samir także mnie kupił jemeńską kartę SIM? – pytała teraz siebie. – Czemu wykazałam się taką głupotą? Bo mieliśmy tu być tylko kilka dni, do cholery! – zaraz sobie odpowiedziała, a łzy rozpaczy zalały jej policzki.

Włączyła telefon i uruchomiła latarkę.

– Co to za syf?! – wykrzyknęła, a jej głos brzmiał jak ze studni.

Pomieszczenie było wysokie jak wszystkie pokoje w tym domu, lecz od ściany do ściany było może ze dwa metry. Przypominało szyb.

W jednym kącie porzucono stare zardzewiałe i dziurawe wiadra, grabie i widły z wyłamanymi zębami, w drugim wśród śmieci i gruzu plastikowe pojemniki na farbę. Na środku stał solidny drewniany stół, a przy jednej ze ścian – starodawne metalowe łóżko ze sprężynami. Za materac służył siennik, na którym leżał skotłowany koc.

– Oni mnie tu wrzucili na śmierć? – Zatrzęsła się, bo słyszała o takich pokojach, w których Arabowie zamykali swe nieposłuszne krewniaczki. – Przyjdzie mi tu umrzeć?

Ze strachu nie mogła utrzymać się na nogach. Przycupnęła na kamiennej podłodze i skuliła się, ciasno obejmując kolana ramionami. Ale atak paniki nie mijał. Wbiła paznokcie w skórę. Nic nie czuła. Przejechała nimi aż do krwi. Ból powoli do niej dochodził. Wtedy też przypomniała sobie o obitych przez Ismaila plecach, spuchniętym policzku i obłuczonym krzyżu.

– Nie poddam się – zdecydowała. – Tam na dole są moje malutkie córeczki. Nie pozwolę, by je skrzywdzono. Jeśli mam tu dokonać swych dni, to niech tak się stanie, ale do ostatniego tchu będę walczyć o naszą wolność.

Wstała i zgięta w pół podeszła do pryczy. Ostrożnie usiadła na jej brzegu, a na dźwięk łamiącej się, szeleszczącej słomy aż podskoczyła. Nie miała jednak wyjścia. Zrzuciła derkę i przyjęła pozycję embrionalną. Otuliła się obszerną abają, kryjąc w niej nawet twarz. Wyłączyła latarkę. Sprawdziła jeszcze zasięg komórki, ale niestety nie łapała żadnej sieci.

– Dobranoc, Samirku – wyszeptła do zmarłego męża, wierząc głęboko, że jego duch jej nie opuści. – Jutro jest nowy dzień i stoczę kolejny pojedynek. Mosze i Hanan na pewno mnie wspomogą.

– Pani Zubeido! – obudził Zosię głos koleżanki. – Pani Zubeido! – Stawał się coraz bardziej natarczywy i coraz bliższy, choć Hanan stała po drugiej stronie ściany.

– Czego chcesz?! – burknęła stara, ciężko dysząc po pokonaniu dwóch kondygnacji stromych schodów. – Ismaila nie ma!

Doskonale wiedziała o bezwstydnym związku swego syna, lecz dla niej winną była tylko kobieta.

– Gdzie jest Zofia? – Hanan przeszła od razu do rzeczy.

Zosia nie wiedziała, czy krzyczeć o pomoc, czy siedzieć cicho, nasłuchiwać i czekać na rozwój wypadków. Jeśli się odezwę, to mogą przenieść mnie tam, gdzie nikt mnie nie znajdzie, wysnuła rozsądny wniosek. Zresztą była tak obolała, że i tak nie mogła się ruszyć, więc stwierdziła, że lepiej na razie leżeć cicho. Hanan na pewno tak jej nie zostawi, więc prędzej czy później znajdzie sposób, żeby się z nią skontaktować.

– Co cię obchodzi głupia Polka? No co? Nic ci do tego! – babsko coraz bardziej się wściekało. – Nie wsadzaj nosa w nie swoje sprawy, bo się doigrasz.

– Cioteczko – zwróciła się Hanan do nielubianej żoły familiarnie. – Wy się doigracie. Ta cudzoziemka to nie byle kto. Zaczną jej szukać. Już jej szukają! – Wymownie popatrzyła starej w oczy. – Wypuście ją i zapomnijcie o całej sprawie.

– Nie ma mowy!

– A Ismail gdzie?

– Mówiłam, że go nie ma – powtórzyła kobieta już trochę łagodniej.

Zubeidzie sytuacja coraz mniej się podobała. Syn dostał amoku na punkcie tej bladolicej, a kiedy Zofia zacznie mu być posłuszna i go omami, to może ją, matkę, odsunąć na dalszy plan. Pierworodny ma prawo nawet wywieźć staruszkę do Sany i zostawić na ulicy jak żebraczkę. Dwaj jej pozostali synalkowie byli nie dość, że głupi, to jeszcze podatni na jego wpływy, i na pewno daliby się na to namówić. A jeśli jako szejek oskarży ją o coś? Jemenka coraz bardziej bała się swojego pupilka. Widziała, do czego był zdolny, ale kiedy krzywdził innych, nie obchodziło jej to. Teraz jednak dotarło do niej, że może przyjść i jej kolej.

– Gdybym nawet przymknęła oko, to niby jak ona stąd ucieknie? Na piechotę? – Jednak się tym zainteresowała, a podsłuchująca Zosia aż wstrzymała dech. – Zaraz rozszarpią ją w górach dzikie psy lub zeżrą wilki.

– O to się nie martw. – Hanan stała się słodka jak miód. – Gdzie ona jest?

– Muszę to przemyśleć... – Nie była to prosta decyzja dla starej: przeciwstawić się synowi to niewyobrażalne. A jeśli wpadnie w szal? Jeśli ją zabije? – Ale moje wnuczki zostają ze mną – przypomniała sobie o ulubienicach.

– Matka nie odejdzie bez dzieci.

– No to nie! – Klamka zapadła, a uwięzionej krzyk cisnął się na usta. – Wynocha mi stąd!

– Co ty tam masz?

Dopiero teraz Hanan zauważyła bukłak z wodą i miskę ze strawą, którą stara aż tu przytaczała i zostawiła na najwyższym stopniu schodów.

– Dla kogo to?!

– Nie dla ciebie, nierządnico! – wykrzyknęła choleryczka, podnosząc kułak.

Przetrzymywana usłyszała tylko szybkie lekkie kroki oddalające się wzdłuż tarasu. Znała skróty góralki i wiedziała, że ta potrafi wspinać się jak kozica. Prawdopodobnie wielokrotnie tą drogą dostawała się do swego toksycznego kochanka.

Hanan od razu poszła do enklawy żydowskiej. W końcu Zofia miała tu tylko dwójkę przyjaciół, ją, Arabkę, i Żyda.

– Mosze! – krzyknęła w progu domostwa, które stało otworem. – Rachela!

– *Szalom alejchem*<sup>60</sup>. – Siwiuteńki jak gołabek rebe siedział w półcieniu i trzymał na kolanach piękną srebrną chanukę. – Przyszłaś nam pomóc? – zapytał słabym, trzęsącym się głosem.

– W czym? – zaniepokoiła się. – Jednak wyjeżdżacie?!

– Mój syn twierdzi, że dłużej nie ma co zwlekać.

– Może to burza w szklance wody? – Nie wyobrażała sobie ich wioski bez tych pracowitych i przyjaznych Żydów. – Jak zawsze rozejdzie się po kościach.

– Sam szejk Ismail nie jest aż tak niebezpieczny, ale przy wsparciu krwiożerczych Huti stanowi dla nas śmiertelne zagrożenie. Wysłałem właśnie Mosze do Sany, by ustalił ostateczny termin ewakuacji. – Dziadek westchnął żałośnie. – Jakże my zabierzemy te wszystkie dobra, na które mozolili się wiekami nasi przodkowie? A co z synagogą i symbolami naszej religii? – Głos mu się rwał.

Do pokoju wbiegła olśniewająca niezwykłą urodą Rachela i objęła koleżankę, z którą były nierozłączne od urodzenia.

– Papo, nie rozpaczaj – zwróciła się do ojca. – Mężczyźni właśnie zbili drewniane skrzynie i ładują do nich wszystkie bezcenne dewocjonia. Nie



zostawimy tym złoczyńcom naszych świętych ksiąg, tym bardziej kilkusetletniej Tory. Nic się nie bój.

– To może rzeczywiście wam pomogę? – Hanan, która nienawidziła swojej rodzinnej wioski, wpadł do głowy szalony pomysł. – Nie wzięlibyście mnie ze sobą? – wypaliła.

– To exodus nasz, żydowski – odparł rebe. – Ty jesteś Arabką, muzułmanką.

– A gdybym tak zmieniła religię? – Kobieta była gotowa na wszystko, bo ewakuacja stanowiła szansę nie tylko dla izraelitów i Polki, ale także dla niej. – Nie jestem głęboko wierząca.

Starzec wstał, podszedł do zdesperowanej i ujął jej dłonie w swoje roztrzęsione ręce. Długo spoglądał jej w oczy, a potem pokręcił głową i wrócił na fotel.

– Dlaczego nie?! Rachelo! Przekonaj ojca!

– Po pierwsze – tłumaczył – przyjęcie judaizmu nie jest takie proste i błyskawiczne jak przejście na islam. Nie wystarczy wypowiedzieć formułkę jak wasza szahada<sup>61</sup> i po wszystkim. Wy każdego przyjmiecie, a u nas na bycie izraelitą trzeba sobie zasłużyć.

– Zasłużyć! – wykrzyknęła zapalczywie.

– Papo! Przygarnijmy ją. Kto to będzie sprawdzał? – Rachelo pragnęła mieć przyjaciółkę przy sobie. – Przecież Bóg jest miłosierny.

– W ramach ratowania życia... – Hanan była nie tylko wykształcona, ale też sprytna. – Ismail mnie zabije, jeśli tu zostanę.

– Chciałabyś pojechać z nami do Ziemi Obiecanej? Być wiecznym Żydem tułaczem? – starał się ją zniechęcić.

– Pojadę z wami nawet na księżyc, żeby tylko się stąd wyrwać – oświadczyła zdecydowanie, a stary tylko semickim zwyczajem cykał językiem o podniebienie. – Rachelo, w czym wam pomóc? – Arabka czuła, że jednak dopnie swego. – Kiedy wróci Mosze?

– Lada chwila!

Kobiety wybiegły z domu i skierowały się do synagogi.

– Byle Ismail do tego czasu się nie pojawił.

– Byle nie przywłókł tu ze sobą tego łotra Abu Siradza – dodała Hanan.

– A co z Zofią? – Żydówka gwałtownie się zatrzymała. – Żyje jeszcze?

– Mam nadzieję i nawet chyba wiem, gdzie ją przetrzymują.

Tuż przed zmierzchem Mosze wrócił z Sany. Sam jechał pick-upem, a za nim podążała półciężarówka mitsubishi. Młody mężczyzna nie był ani nauczycielem, ani uczonym cadykiem, ale godnie zastępował ojca w przewodzeniu współwyznawcom. Stary Żyd całkiem się załamał i podupadł na zdrowiu, kiedy nadeszła chwila opuszczenia ukochanych przez niego ziem.

Rachela i Hanan czekały na rozstaju dróg, gdzie zatrzymały konwój. Ledwo Mosze wysiadł z szoferki, podbiegły do niego.

– Po co robić tyle hałasu z tym transportem? – Arabka była zaniepokojona. – Mieliście stąd wyjechać po cichu, a nie z hukiem i fajerwerkami.

– Braciszku, to głupi pomysł – siostra też krytykowała. – Kiedy hałas zaalarmuje brygady Huti, to zaraz się tu zwałą i nie tylko wyrzną nas w pień, ale zabiorą już spakowany majątek. Ułatwimy im tylko robotę.

– Do ewakuacji mają podstawić tylko dwie czy trzy wojskowe ciężarówki, na które ledwo ludzie się zmieszczą – wyjaśniał zdenerwowany Mosze, strzelając na boki oczami. – Chcesz zostawić im święte symbole naszej wiary? Narzędzia pracy? Nasi rzemieślnicy będą siedzieć na ulicy i żebrać, kiedy mają fach w rękę?

– Zatem pospieszmy się! – poganiała Hanan.

– A ty co tu robisz? – zdziwił się Mosze, który skrycie kochał się w Arabce od zawsze. – Pakujesz nas?

– Pakuje się z nami – poinformowała go Rachela, a on tylko się uśmiechnął na myśl, że mogą spełnić się jego najskrytsze marzenia.

Żydowscy uciekinierzy pracowali w pocie czoła. Kiedy najważniejsze precjoza mieli już spakowane, każdy przystąpił do segregacji dóbr własnych. Sprzęty domowe musieli zostawić, niektórzy brali tylko narzędzia murarskie, szewskie, maszynę do szycia, bo to dzięki nim zarobią na wygnaniu na chleb. Zdawali sobie sprawę, że już nigdzie nie będą tak szczęśliwi jak tutaj, bo Tanaam to był ich dom. Te wzgórza, po których biegały ich dzieci, ta rzeka, w której żydowskie kobiety robiły pranie, i żyzna ziemia, którą troskliwie uprawiali dla swojego szejka. Już nigdy nie poczują odurzającego zapachu cedrów o zmierzchu i ulotnej woni kwitnących migdałowców o brzasku. Tu się rodzili i w spokoju ducha umierali. W kotlinie na cmentarzu zostaną szczątki ich przodków, nad którymi nikt się już nie pomodli. Nie zostawi karteczki z życzeniami pod

kamieniem. Jakże to było dla nich straszne, jak okrutne. Ziemia Święta dla każdego Żyda jest tą wymarzoną krainą, ale bywa, że gorsze od niespełnionych marzeń są marzenia spełnione. Żydzi z Jemenu wcale nie mieli ochoty tam się przenieść – zostali do tego zmuszeni.

Izraelici w grobowej ciszy, bez zwykłych u nich krzyków i przekomarzań, ładowali swoje dobra na pakę ciężarówka. Dosłownie w pół godziny wszystko było gotowe i wóz wyruszył do Sany. Teraz Mosze mógł się zająć drugą palącą sprawą.

– Gdzie jest Zofia? Ewakuacja odbędzie się nocą dziś lub jutro. Nie możemy jej tu zostawić.

– Jak tylko się ściemni, to sprawdzę. Jeśli potwierdzą się moje przypuszczenia, to uwięzili ją naprzeciwko komnaty Ismaila.

– Braciszku, jak to dziś lub jutro? – Rachela chwyciła go za język. – Takie akcje raczej mają dokładnie określoną datę i godzinę. – Niepokoiła się tak jak wszyscy jej ziomkowie albo nawet bardziej, bo doskonale zdawała sobie sprawę, że szejk Ismail ma na nią chrapkę.

– Czekają na zielone światło – wyjaśniał kobietom organizator. – Amerykanie nie mogą w obcym kraju walić rakietami w to, co im się żywnie podoba. Musi przyjść rozkaz z samej góry.

– Pieprzenie! – podsumowała prawdomówna Hanan. – Ileż razy mieli niby zlikwidować bazę Al-Kaidy, a potem się okazywało, że śladu po terrorystach tam nie było, a zabili dwustu Bogu ducha winnych cywilów. Nawet w przyjęcie weselne przywalili!

– Ty się, Hanan, do nas, Żydów, idealnie nadasz – podsumował Mosze. – Zawsze jesteś niezadowolona i szukasz dziury w całym.

– A dziękuję bardzo – nie przejęła się krytyką.

– Jak każą czekać, to będziemy cierpliwie czekać. No bo powiedz mi, kto inny by nas stąd wywiózł, jeśli nie nasi pobratymcy z Izraela? Kto podałyby nam pomocną dłoń?

– Mosze, ja idę na wszystko.

Góralka wzięła go czule pod ramię, a Rachela tylko chichrała w kułak, bo prawiczek zaczerwienił się po linię włosów.

– Tylko nie zapomnijcie o mnie.

– Chyba mój braciszek nie potrafiłby.

Żydówka zaśmiewała się, bo to była jedyna zabawna sytuacja od długiego czasu.

– Lecę sprawdzić, co z Polką. – Hanan już truchtała po kamienistej ścieżce. – Dacie znać, jakby co? Nie zostawcie mnie. – Jej czarne oczy błyszczały jak w gorączce.

Znów wspięła się na wzgórze do centralnej części wioski, potem zbliżyła do komórki, przy której był kamienny wysoki murek. Podniosła tunikę i zgrabnie wspięła się na niego. Rozejrzała się dookoła. Od tej strony zazwyczaj można było zobaczyć domowników lub służbę szejka. Dzisiaj podwórze było jak wymarłe. Odetchnęła z ulgą, choć było to bardzo nietypowe. Za czasów Nadżiba dziedziniec i dom tętniły życiem. Gospodarz siadywał pod drzewem, witał wszystkich zieloną herbatą z miętą, częstował *khatem* i oddawał się pouczającym rozmowom. A jego syn? Nie miał tu ani przyjaciół, ani popleczników. Teraz siedział w górach z obcymi sobie bojownikami Huti. Ale gdzie podziewali się Arif i Adel? Gdzie było to podłe babsko, ich mamusia? Nikogo z sąsiadów też nie szło uświadczyć – możliwe, że po ostatnim okrutnym wyroku na Zahrę żaden już nie chciał zasięgać u Ismaila rady. Ludzie najwyraźniej się go bali.

Hanan zgrabnie przeskakiwała z kamienia na kamień. Stawiała stopy obute w ręcznej roboty kierpce na naturalnie wyżłobionych w skale stopniach. Przed nią musiało tędy podążać wiele osób, bo głazy miały wypolerowaną powierzchnię. Kiedy wspięła się na wysokość najwyższej kondygnacji budynku, musiała oprzeć się na rękach, by nie spaść. Przerzuciła nogę przez kamienną balustradę i już była na tarasie. Przykucnęła na chwilę i rozejrzała się dookoła. Nie miała czasu, by podziwiać widoki, a były one oszałamiające. Wioska Tanaam w zachodzącym słońcu i przy krystalicznym powietrzu wyglądała malowniczo. Kolory były tak żywe, linie zabudowy ostre, widać stąd było nie tylko minaret meczetu, ale także kopułę bożnicy. Jemenka cicho podeszła do niczym niezabezpieczonego wejścia do środka domostwa. Zaraz po prawej stronie znajdowały się solidne drzwi z desek zbitych metalowymi ćwiekami. Zamykane były na zasuwę, a na grubym na palec skoblu wisiała potężna kłódka. Oprócz tego była w nich metalowa masywna klamka z zamkiem na staromodny duży klucz. Hanan, nasłuchując, zrobiła dwa kroki ciemnym korytarzem w głąb domu, a potem znów wróciła na taras. Zauważyła małe zakratowane okienko zabite

dechami. Toż to jakiś karcer! – przeszło jej przez myśl. Kogo lub co oni tu trzymają? Rodzina szejków ma wiele tajemnic, ale musi się to skończyć. Tak dalej być nie może! Czyżby sądzili, że są bezkarni?

W tym momencie usłyszała jakiś hałas, więc szybko schowała się za winklem. Zobaczyła ciężko sapiącą zniszczoną życiem Zubeidę. Przez ramię zwisał jej skórzany pojemnik, a w ręku trzymała miskę zapewne z jadem, bo roznosił się od niej aromat ziół i przypraw. Czyżby zaczęła spożywać posiłki na tarasie? – zakpiła Hanan. Czemu nie pozwoli odejść tej cudzoziemce? Żeby kobieta kobiecie zgotowała taki los? Żeby wspierała podłego mężczyznę? Choćby był jej synem, powinna mu się sprzeciwić! – aż wrzała z wściekłości. To nie jest już miejsce dla mnie – pomyślała jeszcze Jemenka, zanim rozległo się wołanie:

– Hej! Ty! Polka! – Zubeida po otwarciu drzwi darła się do środka. – Żyjesz?

Starucha niczego nie widziała, bo we wnętrzu było ciemno choć oko wykol.

– Przyniosłam ci jedzenie i wodę.

Nikt nie odpowiedział na zawołanie, nikt się nie pojawił, więc Arabka zostawiła za progiem miskę i bukłak i ponownie zaryglowała drzwi. Ciężko noga za nogą polazła na niższe poziomy budynku. Hanan serce zamarło ze strachu, bo doszła do wniosku, że Zofia nie żyje. Inaczej rzuciłaby się zapewne na ciemną korytarz, zwłaszcza że jest młoda i sprawna, a babka stara i schorowana, a przez tuszę ledwo się porusza.

– Zofio, jesteś tam?

Przyklękła przed solidnymi drzwiami komórki, ciągle oglądając się za siebie. Komnata Ismaila za jej plecami wywoływała dreszcz przerażenia, bo szejek mógł przecież wrócić w każdej chwili.

– Zofio, odezwij się!

W korytarzu panowała grobowa cisza. Jemenka bała się podnieść głos, żeby nie zaalarmować mieszkańców domu, choć wyglądał na wymarły. Ale nawet gdyby uwięzioną udało się stąd wydostać, to jak odnaleźć dziewczynki? Gdzie się znajdują? A może babka trzyma je ciągle przy sobie? Hanan na żadne pytanie nie znała odpowiedzi i to ją zatrzymało. Wprawdzie jeszcze niedawno uważała blondynę za rywalkę, ale teraz serce jej się krajało, że przyjdzie im ją tu zostawić. Sama sobie tu nie poradzi...

Będę musiała z nią zostać... Rozbita taką perspektywą, klapnęła na kamienną posadzkę, oparła czoło o drzwi i gwałtownie zaszlochała.

– Hanan? – usłyszała wreszcie szept. – To ty?

Kobiety dzieliła tylko grubość desek, lecz była to dla nich zaporą nie do pokonania.

– Trzymaj się! – wykrzyknęła, drętwiejąc teraz ze strachu. – Twoje wybawienie dotrze tu niedługo.

– Kto? Mosze, który boi się własnego cienia? Pan Ribat z Sany? Konsul? – łkała żałośnie Zosia. – Co za bzdury opowiadasz? Zostanę tu na zawsze na łasce i niełasce tych sadystów.

– Amerykanie, a raczej żydowska organizacja, zamierzają przeprowadzić ewakuację tutejszych wyznawców Jehowy.

– Nie chce mi się wierzyć. Mogą tak? W obcym kraju?

– Oni wszystko mogą. Tutejsi Żydzi to ich współwyznawcy, więc niczego się nie ulękną.

– Ale ja nie jestem Żydówką. – Zosia nie wierzyła w takie cuda. W nic już nie wierzyła.

– Pomoc tobie załatwili akurat twoi rodacy. Też mają swoje układy – tłumaczyła spokojnie Hanan. – Tylko nie daj się stąd wyprowadzić. Żebyś broń Boże nie zmieniła miejsca izolacji, bo to im wskażę.

– A moje córeczki?! – jęknęła zrozpaczona matka. – Bez nich się stąd nie ruszę.

– Wiem. Zaraz postaram się je zlokalizować.

– Jesteś cudowna, Hanan – roztkliwiła się więźniarka.

– Czy coś poważnego ci zrobili? Możesz chodzić? – upewniała się jeszcze.

– Dotkliwie pobili. Ale to nic.

– Rzeczywiście. To u nas norma. Kobiety notorycznie są nie tylko bite i gwałcone, ale też wykańczane psychicznie.

– Kiedy mnie uwolnią? Długo tu nie wytrzymam.

– Dziś, najdalej jutro.

– Jak to?! Co to znaczy dziś lub jutro? Takie akcje zawsze są ściśle planowane... – Zosia buczała żałośnie, bo czuła, że wymyka jej się ostatnia szansa ocalenia.

– Też byłam zdziwiona. Ponoć czekają na jakies zgody. Jednak cóż to jest dzień czy dwa wobec całego życia na wolności.

– Masz rację. Dam radę.

Hanan bezszelestnie skradała się klatką schodową. Minęła *mafradź* i na palcach zeszła na drugą kondygnację, należącą do bliźniaków. Wystawiła głowę na korytarz. Cisza i pustki. Drzwi do pokoi pozamykane. Puściła się biegiem w dół. Od razu doszedł ją zapach smażonych podpłomyków i topionego masła. Aż ślinka jej się w ustach zebrała. Skryła się w małej wnęce tuż przy wejściu do kuchni.

– Jedzcie! I to już! Nie będziecie mi tu fochów stroić! – darła się Zubeida, stojąc nad dwiema po arabsku ubranymi dziewczynkami, które tylko zaciskały usta i patrzyły w poplamiony blat stołu. – Żreć!

– Nie! Ja chcę do mamy! – pierwsza krzyknęła starsza i odważniejsza Marysia. – Gdzie jest mama?!

– Chcę do mamy! – dołączyła do siostry młodsza, od razu zanosząc się płaczem.

Instykt dzieciom podpowiedział, że to nie mama jest zła, ale ci obcy, ponurzy i dziwni ludzie. Mama jest dobra, serdeczna i czuła, mama je weźmie do domu i Legolandu. Do cioci Rózi.

– Masz jeść! Masła i miodu nie będę marnować dla takiego świńskiego pomiotła! – Jemenka wzięła placek i na siłę chciała nim nakarmić Ahlam, brudząc jej buzię od brody aż po nos, lecz uparciucha nadal miała zaciśnięte usta.

– Zostaw ją, ty czorna babo! – zawołała sześciolatka, trzaskając swym talerzem na podłogę. – Czorna baba!

– Baba-Jaga! – dołączyła młodsza.

– Tylko miotły ci brakuje!

Dziewczynki nie spodziewały się, że może je spotkać podobna krzywda jak ich matkę. Sądziły, że są uprzywilejowane, jakkolwiek by się zachowywały. Zubeida pomimo wieku była silna jak wół, a wściekłość dodawała jej jeszcze wigoru. Z rozmachem strzeliła najpierw jedną, a zaraz drugą krnąbrną pannę w policzek, chwyciła rozczapierzonymi palcami za bujne włosy i pociągnęła za sobą. Hanan chciałaby interweniować, ale ciągle obawiała się powrotu mężczyzn. Gdyby ją tu zastali szamoczącą się z ich matką, na pewno nie uszłaby z życiem. Postanowiła więc zobaczyć, gdzie Zubeida zamknie dzieci. Niech resztę zrobią żołnierze, Amerykanie

czy Jemeńczycy, nic jej to nie obchodziło. Jak ustrzelą Ismaila, to wyzwolą wszystkich. Miała nadzieję, że tej starej też się oberwie.

Zubeida zeszła z wierzgającymi i opierającymi się dziewczynkami na sam dół, otworzyła ze skobla drzwi do opuszczonej stajni, gdyż kozy były teraz na wypasie w górach, rzuciła małe na kopę siana i wyszła. Wielkim kluczem, który miała w kieszeni obszernego płaszcza, zamknęła zamek. Podłużne okienko wychodzące na podwórko było zakratowane. Kolejna idealna cela w tym domu, podsumowała Hanan i pobiegła o wszystkim poinformować Mosze. Niechże przyspieszą tę ewakuację. Póki nie ma szejka w domu, póki jego bracia są nie wiadomo gdzie, a Huti siedzą w górach. Inaczej dojdzie tu do krwawej jatki, w której niewinni mieszkańcy Tanaamu też ucierpią.



---

<sup>60</sup> *Szalom alejchem* – dzień dobry, pokój z tobą.

<sup>61</sup> Szahada – muzułmańskie wyznanie wiary; by przejść na islam, należy trzykrotnie świadomie i celowo publicznie wypowiedzieć szahadę: *Aszshadu la ilaha illa'llah, wa Muhammad rasulu'llah* (Zaświadczam, że nie ma Boga prócz Allaha, a Muhammad jest jego prorokiem).

## ROZDZIAŁ 22

### OCALENIE

Zosia długo nie mogła zmrzyć oka w nocy, balansując między jawą a snem. To była znów w Londynie z Samirem, jeszcze uśmiechniętym i szczęśliwym, pełnym pomysłów i ciepła, to przekomarzała się z Rózią w Polsce albo słyszała śmiech rozbrykanych córeczek, Ahlam i Marysi, które wiodły beztrudne życie w Anglii. Ich opowieści z przedszkola zawsze były pełne niezwykłych przygód, a postępy w edukacji ogromne. Zastanawiali się nieraz z Samirem, która będzie lekarką, a która prawniczką, a może piosenkarką i tancerką, bo często przygotowywały dla rodziców domowe występy. Jakże to wszystko było odległe. Rzeczywistość spadła na Zosię jak grom z jasnego nieba. Z dnia na dzień zabrano jej męża, bestialsko go zabijając, a głupiutkie córeczki omamiono. Gdyby nie przyjaciele, Mosze i Hanan, już dawno straciłaby wszelką wiarę w ocalenie. Dzięki nim tliła się ona w jej złamanym sercu słabą iskierką. Jemenka była taka przebojowa, a Żyd dobry i czuły na ludzką krzywdę. Pan Bóg nad Zosią czuwał, że zesłał jej tu tych dwoje ludzi. Poza tym, kiedy Amerykanie się za coś zabiorą, to musi zakończyć się to sukcesem, happy endem jak z filmu, przekonywała samą siebie. Ale krótkie chwile optymizmu pierzchały z głowy Zosi tak szybko, jak się pojawiały. Bo skoro pierwsza próba ucieczki się nie powiodła, to jak będzie z drugą?

W pewnej chwili doszedł do uszu więźniarki wyczekiwany dźwięk. To nie była chmara komarów czy rój pszczół. Polka rzuciła się przed siebie, kręcąc po karcerze i szukając miejsca, gdzie mogłaby się schronić. Żeby tylko nie rąbnęli w moją kryjówkę! – wykrzyknęła niemo. Żeby im się strony korytarza nie pomyliły! Pokój Ismaila jest tak blisko! Czy on już wrócił? Czy jest u siebie?

Mosze przekazał wskazówki bardzo dokładnie i pilot zdalnie sterowanego drona wystrzelił pocisk precyzyjnie. Dom zatrzęsł się w posadach, ale nadal stał przyklejony do skalistego wzgórza i dodatkowo wsparty na sąsiednim bliźniaku.

Kiedy wyprowadzona z niewoli Polka z nadmiaru emocji, odwodnienia i niedożywienia straciła przytomność, mundurowi chcieli spełnić jej prośbę, lecz jak znaleźć w tym potężnym zrujnowanym gmachu dwójkę małych dzieci? Ich odległy i przytłumiony szloch wbijał się wszystkim w uszy.

– Gdzie jest Zofia?! – mimo ryzyka na podwórze wbiegł Mosze, trzymając za rękę Hanan. – Co z nią? Żyje?

– Znajdziecie ją na pace! – wykrzyknął Steven. – Co to za maluchy płaczą? Czy ktoś może mnie oświecić?

– Zapomnieliście, że Polka była z dwiema córeczkami? – Syn rabina był oburzony, bo przecież wszyscy im o tym przypominali.

– Uwięziona została oswobodzona. – Steven był twardy. – Z nią w karczerze nikogo nie było, więc nie myślicie chyba, że będę przekopywał całą posiadłość, szukając igły w stogu siana. Grunt nam się pali pod nogami. W każdej chwili mogą tu pojawić się Huti i nie obejdzie się bez ofiar.

– Dzieci są w bydłowej komórce. Może byśmy je jednak zabrali?! – Żyd uchodził za tchórza, ale był tylko rozważny. Teraz postanowił postawić się samemu dowódcy.

– Oczywiście, Mosze, oczywiście. – Natan też wybrał się na tę akcję, bo to on był koordynatorem ewakuacji izraelitów, a Steven z CIA odpowiadał jedynie za wojskowe działania.

– Lecę po dziewczynki.

Hanan, nie czekając na odgórne decyzje, skierowała się do stajni, do której wejście do połowy wysokości było zasypane gruzem. Twardym wzrokiem spoglądała na ludzkie szczątki przykryte przez Amerykanów plastikowymi workami, spod których wystawała czarna abaja i starcza damska stopa z ozdobnym tatuażem z henny.

– Niech teraz ta zołza piecze się w piekle. *Allahu akbar!* – skwitowała po muzułmańsku sytuację, ale zaraz się poprawiła: – Jehowa jest sprawiedliwy.

– Niechże pani się tam nie pcha! – Agent stanął góralce na drodze. – Nie ma pani ani przeszkolenia, ani odpowiedniego stroju. W każdej chwili budynek może runąć.

– Ale mam serce, proszę pana.

Ahlam i Marysia błyskawicznie zostały wyciągnięte przez wyszkolonych żołnierzy, którzy przekazali je, zapłakane, Arabce i Żydowi. Teraz już nie było chwili do stracenia. Wskoczyli do wojskowego wozu i ruszyli z kopyta.

Dziewczynki przyłgnęły do nieprzytomnej matki, która czując ich obecność, otworzyła oczy.

– Córeczki moje kochane! – wychrypiała. – Moje skarby malutkie! Jesteśmy uratowane!

Amerykanie byli zawiedzeni, że w czasie ataku szejka nie było w domu. Tak mieliby kolejny problem z głowy, bo zdrów i na wolności przysporzy im jeszcze немало kłopotów.

Jemeńczyk miał szczęście. Pojechał do górskiej kryjówki Abu Siradza, by jak najszybciej przedstawić nowemu sprzymierzeńcy pomysł, jak wyrzucić Żydów z wioski. Kiedy nad ranem razem z bojówkami Huti wrócił do wioski, wszyscy zbaranieli. Ismail na miękkich nogach wysiadł z auta. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Jego najbogatszy, najokazalszy dom we wsi był ruiną. Ściany jeszcze trzymały się skały, ale byle wichura zapewne je obali.

– Kto to zrobił?! – ryknął w pustkę, bo nikogo z domowników tam nie było. – Kto śmiał?!

Nie oglądając się za siebie, wbiegł schodami, które jakimś cudem ocalały, na najwyższe piętro. Rzucił okiem na dziurę, która kiedyś była jego lokum, a zaraz potem zauważył staranowane solidne drzwi do domowego karceru, w którym przetrzymywali Polkę.

– A to suka! *Szarmuta* przebrzydła! – gardłował. – Córka świni z ojca osła! – bluzgał w arabskim stylu.

Uwięzienie Polki było poważnym wykroczeniem i wiedziało o tym zbyt wiele osób: inspektor Ribat z Sany, Hanan, no i Mosze. A on sam jak idiota przyznał się szwagierce, że zabił jej męża. Przed oczami stanęło mu widmo więzienia. Teraz już nie mógł cofnąć się z obranej drogi, ale przy wsparciu

okrutnych Huti może jeszcze wszystko mu się upiecze i znów będzie bezkarny.

– Kto śmiał? Żydy?!

Nie mógł w to uwierzyć, bo według niego izraelici byli potulni jak owieczki, idealni do tego, żeby nimi pomiatać. Nigdy nie nadawali się do walki.

– Arif! Adel! – wołał bliźniaków. – Po co żem was tu wysłał? Jak broniliście mojego honoru i honoru rodziny, psubraty?!

Ogarnięty furią zeskakiwał po dwa stopnie. Abu Siradż ruszył w jego kierunku. Widać było, że chce mu coś powiedzieć, ale nie za bardzo wiedział jak. Zaciskał tylko wargi i rozkładał ręce. Ustąpił mu z drogi.

Na ziemi, poukładani jedno obok drugiego, leżeli najbliżsi Ismaila: ukochana matka i dwaj bracia. Zubeida ewidentnie dostała odłamkiem rakiety, bo jej czaszka była zmiażdżona, ale mężczyźni mieli w czołach otwory po kulach. Ktoś im strzelił w łeb.

Nikczemnik padł na kolana i zalał się łzami, bił po twarzy i wyrywał sobie włosy. Otaczający go wianuszkami bojówkarze z pogardą obserwowali twardziela, który zachowywał się jak baba. Dla muzułmanina okazywanie żalu po śmierci współwyznawcy, nawet najbliższego krewnego, jest nie tyle niegodne, ile wiarołomne, gdyż przecież zmarły udaje się do raju, gdzie czekają na niego siedemdziesiąt dwie hurysy, wieczne dziewice, oraz rzeki miodem i winem płynące. Ismail powinien więc śmierć braci świętować.

– Zapłacą mi za to! – zamiast tego krzyknął w końcu szejk. – Po kolei. Każdy z osobna i wszyscy razem. Na Żydów! – wykrzyknął i wskoczył do auta, zapominając o obowiązku pośmiertnej ablucji i pochówku zmarłych krewniaków.

Kiedy dotarli do żydowskiej enklawy, świeciła pustką. Huti biegali od domu do domu, otwierali drzwi, wywracali sprzęty. Zaślepiła ich nienawiść. Nawet nie byli za bardzo zainteresowani grabieżą, bo marzyły im się przemoc, mord i gwałt. A Ismail dosłownie płonął żądzą zemsty.

– Zrównajmy to siedlisko szatana z ziemią – zaproponował, na co jego nowi kompani przystali z radością. – Kamień na kamieniu niech tu nie pozostanie.

Na pakach terenówek mieli kilka kanistrów z benzyną, którą teraz polali stajnie i zagrody. Zajęły się one od jednej zapalniczki. Ale zarówno Arabowie,

jak i Żydzi budowali swe domostwa z cegieł i kamienia, więc nie wszystko tak dobrze się paliło. Szkielety domów nadal tkwiły na swoim miejscu. Abu Siradż, nie chcąc dłużej męczyć swoich ludzi, zdecydował się na wypróbowany i niezawodny środek: ustawił raketnicę, wycelował i pierwszą wziął na muszkę synagogę. Potem załadował ponownie i jeszcze raz.

Mieszkańcy górskiej wioski Tanaam, której długie lata przewodził prawy szejk Nadżib, z odległości obserwowali poczynania jego syna i następcy. Żadnemu z nich Żydzi nie przeszkadzali tak bardzo jak ten zepsuty do szpiku kości człowiek.

## ROZDZIAŁ 23

### BLOKADA LOTNISKA

Do Sany przyleciałem w niedzielę ostatnim w tym dniu rejsem. Kiedy wyszedłem z lotniska, otuliła mnie bezwietrzna noc, która emanowała spokojem. Wydawało się, iż zaostarzająca się wojna omija stolicę Jemenu. Nie było słychać ani strzałów, ani ryku przelatujących myśliwców. O napiętej sytuacji świadczyły tylko gęsto rozstawione posterunki wojskowe.

Na parkingu czekali na mnie konsul honorowy Szeibani i Ribat. Mieli zadowolone miny i na mój widok wesoło pomachali. To był dobry znak.

– Zosia i dziewczynki są już bezpieczne. Małgosia się nimi zajmuje. – Ribat serdecznie mnie uściskał. – Pomału wychodzą z traumy, jaką zgotował im Ismail, ale nie mogą się doczekać, kiedy opuszczą Jemen. Na to, by całkiem doszły do siebie, potrzeba długiego czasu.

– To najlepsza wiadomość od miesięcy! Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny! – Ucieszyłem się na wieść o ich uwolnieniu.

– Podziękowania należą się także Szeibanemu – dodał, wskazując na konsula honorowego. – To on załatwił odgórny rozkaz, aby bezwzględnie je odnaleźć i przywieźć do Sany razem z innymi uciekinierami z Tanaamu. Jakimś cudem zdobył także zgodę z biura emigracyjnego, bez której ani Zosia, ani jej córki nie mogłyby opuścić Sany.

– Mahmud, twoje usługi są bezcenne. – Z uznaniem potrząsałem jego dłonią. – Nie pierwszy raz pomagasz mi w sytuacji, która wydaje się beznadziejna.

– Daj spokój – powiedział skromnie z kiepsko ukrywanym wzruszeniem. – Zrobiłem to tylko ze względu na ciebie, bo dla mnie jesteś jak brat. Mówisz po arabsku lepiej ode mnie – zażartował – i rozumiesz naszą kulturę jak żaden inny cudzoziemiec.

– A co z moją przepustką na lotnisko? – spytałem Szeibaniego, zmieniając temat, bo rozczulenie też chwyciło mnie za gardło.

– Oto ona.

Wręczył mi plastikowy identyfikator z moim zdjęciem.

– Umożliwi ci odprowadzenie do samego rękawa samolotu wszystkich twoich podopiecznych.

– Jedźmy teraz do Ribata – zarządziłem podekscytowany. – Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć tę słynną Zofię na własne oczy. Chyba że jest zbyt późno, to przełożmy spotkanie na jutro. Jak sądzicie?

– Właśnie to chciałem wam zaproponować. Moja żona czeka na nas z kolacją i zapowiedziała mi, że jeśli was nie przywiozę prosto z lotniska, to wyrzuci mnie z domu – dowcipkował Ribat.

– W takim razie w drogę – popędzałem.

Wkrótce z ciemności wyłoniła się dobrze mi znana brama i zaparkowaliśmy tuż przy willi jemeńskiego urzędnika. Wysiedliśmy z samochodu i wkrótce usłyszałem zgrzyt metalowych zawiasów. Wrota się otworzyły i Małgosia wprowadziła nas do środka.

– To jest Zosia, o którą tak walczyłeś.

Gospodyni przedstawiła mi drobną blondynkę w czarnej sukience, o wymizerowanej twarzy. Spoglądała z przestachem, a za nią chowały się dwie szczupłe dziewczynki.

– Wiele słyszałam o panu od Małgosi, a także od mojej siostry, z którą już jestem w kontakcie. Nawet nie wie pan, jak bardzo jestem wdzięczna za pańską pomoc i umożliwienie mi wyjazdu z tego niebezpiecznego kraju.

Pomimo dojmującego smutku z jej oczu wyzierała radość. Wciąż jednak była spięta i zachłannie przyciskała do siebie córeczki, jakby się bała, że może je znów stracić.

– Cieszę się, że ucieczka zakończyła się pomyślnie i jest pani cała i zdrowa. Podziękowania należą się przede wszystkim Ribatowi i konsulowi honorowemu Szeibanemu, nie wspominając już o udziale ambasady amerykańskiej. – Starłem się jej uzmysłwić, ilu osobom zawdzięcza swoją wolność. – Mój wkład to tylko koordynowanie działań tych ludzi.

– Proszę nie ujmować sobie zasług. Bez pana nie byłoby mnie tutaj – chlupała żałośnie, aż serce się krajało. – Nadal gniłabym w górskich



kazamatach, zdana na łaskę i niełaskę mordercy mojego męża, łotra Ismaila.

Siedliśmy na chwilę w salonie, żeby Zosia się uspokoiła. Jej córeczki były zaniepokojone podenerwowaniem matki i w ich wystraszonych oczach też zbierały się łzy. Małgosia przycupnęła przy nich i ogarnęła je ramieniem. Mocno przytuliła.

– Musi pani jak najszybciej zapomnieć o tym koszmarze – doradzałem, jakby było to takie proste. – Oto paszporty dla waszej trójki. Teraz możecie bezpiecznie opuścić Jemen.

Wręczyłem jej szarą kopertę, a drugą, znacznie większą, z dokumentami dla pozostałych uciekinierów przekazałem Ribatowi.

– Rozdaj to wyjeżdżającym, gdy tylko pojawią się na lotnisku, żeby od razu mogli pójść do odprawy.

– Nie ma sprawy. Jestem tak tą ewakuacją przejęty, że zapewne będę tam przed wszystkimi. Nie musisz się już tym martwić. Zrobiłeś to, co do ciebie należało, a resztę zostaw mnie – zobowiązał się Ribat.

– Zapraszam do stołu – zarządziła gospodyni, prowadząc wszystkich do jadalni. – Już jest straszliwie późno. Jedźcie i do spania, bo jutro czeka was ciężki dzień. Trzeba wstać bardzo wcześnie, żeby zdążyć na samolot.

– Raczej pojutrze – nieoczekiwanie odezwał się milcząco dotąd Szeibani.  
– Dostałem cynk, że jutro lotnisko będzie zamknięte dla cywilów. Siły powietrzne mają zaplanowaną akcję w rejonie Marib<sup>62</sup> i wystartują stamtąd tylko migi. Loty pasażerskie wznowią dopiero następnego dnia.

– Jesteś tego pewny? – Frustrowały mnie takie nieoczekiwane zmiany, bo wydawało się, że nigdy tej sprawy nie zamknę.

– Tutaj nigdy niczego nie można być pewnym – odpowiedział Jemeńczyk z przekąsem.

Po kolacji około drugiej w nocy byłem już tak zmęczony, że jak najszybciej pożegnałem się z domownikami oraz Zosią i Mahmud odwiózł mnie do hotelu.

– Czekaj na wiadomość ode mnie – powiedział na koniec. – Gdy tylko dam znać, szukaj grupę do wyjazdu na lotnisko.

Oczywiście Mahmud był dobrze poinformowany. Wkrótce dostałem maila od tureckich linii potwierdzającego przesunięcie wylotu. Jedyne

godzina startu pozostała bez zmian, choć w obecnych warunkach i to nie było zagwarantowane. Szczęśliwie telefony i łączność internetowa działały bez zarzutu. Bez trudu połączyłem się z dyrektorem biura, żeby sprawdzić, czy wpłynęły pieniądze za wystawione awansem bilety. Potwierdził, że płatność została uregulowana, więc odetchnąłem z ulgą. Poprosił, żeby na wszelki wypadek moja grupa repatriantów stawiała się cztery godziny przed odlotem. Drugi telefon wykonałem z pewnymi oporami, bo od jakiegoś czasu rozmowy z Markiem były drażliwe i każda kończyła się kłótnią. O dziwo, kiedy powiedziałem mu, że mój pobyt w Jemenie znów się przedłuży, zupełnie się nie zdenerwował, wręcz przeciwnie, życzył udanej ewakuacji i szczęśliwego powrotu do Rijadu. Pewnie ktoś z MSZ pogonił mu kota, pomyślałem drwiąco, albo żądni sensacji dziennikarze zaczęli szturmować biuro rzecznika w tej sprawie, więc jak nie będzie mi rzucał kłód pod nogi i wszystko zakończy się sukcesem, będzie miał się czym pochwalić.

W dniu wylotu pojechałem na lotnisko razem z Szeibanim. Kiedy parkowaliśmy, z oddali spostrzegłem Ribata w otoczeniu sporej grupki mężczyzn i kobiet, którzy wzięli ze sobą chyba cały swój ruchomy dobytek. Na wózkach bagażowych piętrzyły się wielkie walizy, torby podróżne, a nawet tobołki. Wokół zebranych goniła dziatwa w przeróżnym wieku, gdyż rozbrykane maluchy oczywiście nie zdawały sobie sprawy z powagi sytuacji. Wiedziały tylko, że lecą do Polski i wkrótce spotkają się ze swoimi dziadkami czy babkami, ciociami i wujkami, kuzynostwem, którego albo dawno, albo wcale nie widzieli.

– Czas iść do odprawy – pogoniłem towarzystwo. – To duży samolot i zabiera wielu pasażerów, więc nadanie bagażu i kontrola bezpieczeństwa mogą zająć ponad dwie godziny.

– Dobrze, panie konsulu! Tak jest, panie konsulu – potwierdzali, choć niewiele sobie robili z mojego gadania. Dla nich teraz najważniejsze było pożegnanie tych, którzy zostawali w Sanie, więc uściskom, całusom oraz ostatnim poradom nie było końca.

– Pani Zosiu, proszę trzymać się blisko mnie i konsula Szeibaniego, który pomoże w razie problemów z kontrolą paszportową.

W końcu wszyscy skierowali się do hali odlotów. Próbowałem ukryć zdenerwowanie, które ogarnęło mnie na widok tego całego chaosu. Nie wyobrażałem sobie, co by się stało, gdyby samolot odleciał bez nich. Tyle

starań i wysiłków poszłoby na marne. Gra toczyła się o najwyższą stawkę – szansę na nowe lepsze życie w bezpiecznym kraju.

W środku jeszcze raz sprawdziłem listę wylatujących, czy czasem kogoś nie brakuje. Gdy odhaczyłem ostatnie nazwisko, do Zosi podeszła młoda Arabka z młodzieńcem w jarmułce i z długimi pejsami.

– Panie konsulu, to jest Hanan i Mosze – przedstawiła ich Polka. – Moi przyjaciele w niedoli, którzy pomogli mi przetrwać najgorsze chwile, gdy we wszystko zwątpiłam i sądziłam, że cały świat się ode mnie odwrócił.

– Ribat wypowiadał się o was w samych superlatywach. – Ścisnąłem odważnym ludziom dłonie. – Niestety, na nas już czas.

– Dziękuję, Hanan, za wszystko, co zrobiłaś dla mnie i moich dzieci. Jesteś wspaniałą przyjaciółką. – Zosia wycałowała Jemenkę. – Do końca życia o tym nie zapomnę. Gdy tylko okrzepnę w Polsce, zaraz przyślę ci zaproszenie. Koniecznie musisz mnie odwiedzić.

– A co z Londynem?

– Bez Samira nie będę już tam szczęśliwa. Pozostaje mi przekreślić całą przeszłość i zacząć wszystko od nowa w ojczyźnie. Mój kraj jest piękny i na pewno żyje się w nim coraz lepiej.

– A może ty przyjedziesz do nas do Izraela?

– Do nas? Czyli kogo? – zdziwiła się Zosia.

– Mosze zabiera mnie do Ziemi Obiecanej. Tam się pobierzemy i od razu dostaniemy mieszkanie. Ich rząd prowadzi specjalny program pomocowy dla żydowskich przesiedleńców.

– Cieszę się, że los się do was uśmiechnął. Życzę wam dużo szczęścia.

Wszystkie procedury na lotnisku, łącznie z odprawą paszportową, przeszły bez większych problemów, więc Szeibani nie musiał dla nas tracić więcej czasu. Serdecznie się z nim pożegnaliśmy i przeszliśmy do poczekalni przy bramce prowadzącej do samolotu lecącego do Stambułu.

Do odlotu zostało jeszcze sporo czasu, zostawiłem więc wszystkich i poszedłem po kawę. Nagle mignęła mi przed oczami znajoma postać.

– Helga?! – krzyknąłem zaskoczony. – Co ty tutaj robisz?

– Cześć, Tomku! – Zbaraniała na mój widok. – Pilotuję ewakuację niemieckich obywateli – tłumaczyła się z niepewną miną. – Ostatecznie ministerstwo zdecydowało się przysłać czarter.

– Jak to tak? – oburzyłem się. – Przecież mieliśmy wspólną listę i obiecałaś, że zabierzecie także Polaków! Tak ustalaliśmy, czyż nie? – Kiepsko wychodziło mi panowanie nad sobą. – Wysrałaś się na mnie i moich biednych uchodźców!

– Co miałam zrobić, kiedy przysłali o połowę mniejszy samolot? Nawet nie wszyscy moi ludzie dostali się na ten lot. Zresztą słyszałam, że wysyłasz polską grupę tureckimi liniami, więc nie ma problemu... O co się tak wkurzasz?

– Nie sądzisz, że to nie w porządku? – Zazgrzytałem zębami, ale ostatecznie zakończyłem polubownie: – Oczywiście nic się nie stało.

Niezależnie od wszystkiego obiecaliśmy sobie w dalszym ciągu współpracować, ponieważ w Jemenie nadal przebywało sporo obywateli naszych krajów. Niezwłocznie wróciłem do poczekalni, gdyż usłyszałem komunikat, że pasażerowie udający się do Stambułu proszeni są do odprawy. Wszyscy Polacy już ustawili się w kolejce. Pracownicy tureckich linii sprawnie sprawdzali bilety i dokumenty podróży i po kolei wpuszczali wszystkich do korytarza wiodącego do samolotu. Ponieważ mój identyfikator pozwalał na wejście na pokład, postanowiłem towarzyszyć Zosi do samego odlotu. Wziąłem bagaż podręczny i jej młodszą córeczkę na ręce i podeszliśmy do bramki kontrolnej. Kiedy nadeszła nasza kolej, zauważyłem biegnącego w naszym kierunku Ribata.

– Zaczekajcie! – wołał. – Nie wchodźcie do środka!

\*\*\*

Rozpędzona wojskowa toyota omal nie potrafiła Mosze, który w ostatniej chwili zatrzymał się na skraju przejścia dla pieszych. Chociaż mknący samochód natychmiast skręcił w stronę awaryjnego wjazdu prowadzącego na płytę lotniska, młody Żyd zdążył zauważyć zniechęconą twarz swojego śmiertelnego wroga. W pojeździe znajdowali się uzbrojeni mężczyźni w mundurach ochrony portu lotniczego. Za kierownicą siedział Abu Siradż, a obok niego klnący na cały świat Ismail.

– Dziękuj Allahowi, że mój bratanek pracuje w straży granicznej na lotnisku! – krzyczał dowódca Huti, hamując z piskiem kół przed szlabanem. – Inaczej w życiu byś się nie dowiedział, że ta twoja polska szarmuta wylatuje dzisiaj do Stambułu. Zaraz ją dorwiemy.

Gestem rozkazał wartownikom, by ich wpuścili do środka, a ci tylko zasalutowali i wykonali polecenie.

– Ale odpowiednie uniformy załatwił mój kuzyn – przechwalał się hardy szejk. – To nasza wspólna akcja. Od teraz razem będziemy występować przeciw naszym wrogom!

– *Allahu akbar!* – zawył wniebogłosy Abu Siradz.

– *Allahu akbar* – wtórował mu Ismail.

Terenowy samochód bez dachu w barwach pustynnych pędził po płycie lotniska. Kierowca trąbił jak oszalały, by wymusić pierwszeństwo. O mały włos nie zderzył się z wózkiem akumulatorowym ciągnącym wagoniki z bagażami pasażerów. Minął go na milimetry i znów przyśpieszył, gdyż przed nimi jak na wyciągnięcie dłoni stał boeing z wymalowanym logo tureckich linii na ogonie. Zahamowali z piskiem opon i rzucili się biegiem bocznymi schodami prowadzącymi do wejścia do samolotu.

– Na pokładzie znajduje się niebezpieczna terrorystka! – krzyczał Ismail, wymachując kałachem i wzbudzając panikę wśród podróżnych. – Zostać na miejscach i nie utrudniać przeszukania samolotu! – wydierał się.

Stewardesa blada ze strachu zastygła w miejscu, gdzieniegdzie rozległ się płacz dziecka, a rozwścieczeni mundurowi sprawdzali fotel po fotelu.

\*\*\*

– Mosze widział Ismaila z żołnierzami! – doszły do mnie słowa Ribata. – Bierz Zosię z dziećmi i uciekaj z nimi z lotniska. Oni zaraz tu będą.

– Co robić? Nie da się ot tak stąd wyjść. – Wpadłem w panikę. – One są odprawione, wbito im pieczątki wyjazdowe do paszportów i nie mają prawa wrócić do Sany.

Zosia niebezpiecznie pobladła, a Ahlam i Marysia trzęsły się jak w febrze. Histeria to pierwszy krok do katastrofy, starałem się więc uspokoić. Zrobiłem kilka głębokich wdechów i nagle mnie oświeciło.

– Wszystko będzie dobrze. Nic się nie bójcie.

Mocno chwyciłem Zosię za rękę i wraz z dziewczynkami pobiegliśmy do sąsiedniego rękawa.

Helga stała przy bramce kontrolnej i odprawiała ostatniego pasażera. Przy wejściu do rękawa prowadzącego do samolotu tkwił pracownik z kluczem, by zaraz je zamknąć.

– Helgo! – krzyknąłem do niemieckiej koleżanki. – To mały samolot, ale przynajmniej dla nich musisz znaleźć miejsce. Nie chcę nawet myśleć, co się stanie, jeśli ta Polka zaraz stąd nie wyleci. To sprawa życia lub śmierci. Przecież masz moją listę osób do ewakuacji. Ona i jej dzieci na niej się znajdują.

– Zlituj się, też jesteś kobietą! Ratuj mnie i moje córeczki – błagała Zosia.

– Zmykaj stąd – powiedziała Helga do mnie cicho, a na jej twarzy pojawił się strach pomieszany ze współczuciem. – Zajmę się nią i sama zaprowadzę do mojego samolotu.

– Helgo, jesteś wielka! – wykrzyknąłem i zaraz spokojniej zapytałem: – Jak ci się odwdzięczę?

– Wystarczy zwykłe dziękuję – powiedziała ta drobna dziewczyna, która w moich oczach urosła teraz do rangi anioła. – My, konsularnicy, musimy się wspierać.

Patrzyłem, jak się oddalają, i z niewypowiedzianą ulgą pomachałem im na do widzenia. Gdy wróciłem do hali, żadnego z moich podopiecznych już nie zastałem. Wszyscy weszli do samolotu. Tylko popielaty z nerwów Ribat siedział na ławce i trzymał się za głowę.

– Co my teraz zrobimy?! – zapytał mnie przerażony.

– Już nic – odparłem z beztróskim uśmiechem, szokując go moją postawą do tego stopnia, że aż otworzył usta. – Zosia i jej córeczki są już bezpieczne. Lecą do Berlina.

– Chwała niech będzie Allahowi najwyższemu! – Odetchnął z ulgą. – Zmywajmy się stąd, zanim Ismail i jego żołdacy się pojawią, bo będzie z nami krucho.

– Ribat, to ty jak najszybciej znikaj. Dość mi już pomogłeś. – Poklepałem przyjaciela po plecach.

– A co będzie z tobą?

– Muszę się spotkać z Ismailem i zamienić z nim parę słów. Może przemówię mu do rozumu?

– Nie masz szans. To niebezpieczny psychopata.

– O mnie się nie martw. Mam immunitet dyplomatyczny i nawet taki typ nic mi nie zrobi, zwłaszcza w publicznym miejscu. Zresztą jeszcze dzisiaj wylatuję do Rijadu – uspokajałem go. – Lepiej będzie, jeśli całą swoją frustrację przeleje na mnie, a ciebie nie skojarzy z tą akcją. Ty przecież nie masz zamiaru opuścić Sany, a poza tym masz rodzinę.

Patrzyłem, jak Ribat zjeżdża ruchomymi schodami i wtapia się w tłum podróżnych.

Stałem przy tablicy informującej, że boarding do Stambułu się zakończył, i dumny z siebie uśmiechałem się pod nosem. Przejściem prowadzącym do tureckiego samolotu niosły się coraz głośniejsze krzyki. Na koniec usłyszałem tupanie wojskowych buciorów, którego nawet miękka wykładzina nie mogła wytłumić. Uzbrojeni żołdacy, którzy skończyli przeszukiwać samolot i nie znaleźli Zosi, wybiegli na zewnątrz. Z miejsca skierowali się w moją stronę.

– Gdzie ona jest?! – krzyczał wściekle barczysty wojak z ogorzałą twarzą.  
– Gdzie się schowała? Gdzie ją ukryłeś?! Oddaj ją po dobroci, bo i tak ją znajdziemy.

– Nie wiem, o kim pan mówi – odparłem, będąc pewny, że rozmawiam z Ismailem. Jego groźby nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia. Wiedziałem, że w publicznym miejscu nic mi nie grozi.

– Skontaktuj się z wieżą i sprawdź, czy jeszcze jakiś inny samolot odlatuje dzisiaj do Europy – rozkazał żołnierzowi w mundurze ochrony lotniska szejka, a ten od razu chwycił za krótkofalówkę.

– Przed kwadransem wystartował czarter do Berlina – beznamiętnie poinformował, na co Ismail dostał szału.

– Zawrócić go! – darł się jak opętany. – Natychmiast zatrzymać! Ona na pewno tam jest!

– Nic nie możemy zrobić, gdyż opuścił już jemeńską strefę powietrzną – tłumaczył spokojnie kompan.

Nie mogąc nic na to poradzić, Ismail spojrzał na mnie z bezsilną wściekłością i tłumiąc przekleństwa pod nosem, z całej siły walnął pięścią Bogu ducha winnego żołnierza, który zatoczył się i padł bez czucia.

– To wszystko wina tych cholernych Żydów! – nadal krzyczał jak w amoku. – Jeszcze mi za to zapłacą! Jeszcze gorzko tego pożałują!

Widząc, że już nic nie wskórają, mściwy szejka dał znak do odwrotu. Jego ludzie pozbiali zamroczonego kolegę z podłogi i wycofali się w głąb korytarza.

Stojąc przed wielką szybą widokową, obserwowałem, jak zbiegają bocznymi schodami na płytę lotniska i błyskawicznie odjeżdżają

wojskowym autem.

\*\*\*

Ismail wraz z Abu Siradżem zmierzał terenowym nissanem w stronę rodzinnej wioski Tanaam. Samochód obciążony bronią i amunicją z trudem pokonywał wzniesienia.

– Jeszcze im się z nawiązką odwdzięczymy – pocieszał górala dowódca Huti. – Dorwiemy twoją bratową i tego młodego Żydka, który myśli, że jest bezpieczny pod opieką Amerykanów.

– Z pomocą Allaha znajdę na to sposób – odgrażał się młody szejk. – Macki naszych bojowników sięgają daleko. Wkrótce ta dziwka się o tym przekona oraz wszyscy ci, co jej pomagali.

\*\*\*

W obszernej klimatyzowanej hali stał rząd monitorów, na których migwały kolorowe obrazy. Sala tonęła w półmroku, żeby przekazywane ujęcia były lepiej widoczne. Przy jednym z komputerów siedział młody człowiek w mundurze z ręką na dżojstiku. Obok niego stał ubrany po cywilnemu mężczyzna w średnim wieku i śledził zmieniający się górski krajobraz. Na ekranie widoczna była wąska kręta droga, po której sunął samochód terenowy. Dron przekazywał obraz na żywo, a widziany z lotu ptaka pojazd wyglądał jak zabawka. Operator starał się prowadzić kamerę w taki sposób, by ciągle mieć auto na celowniku.

– Przybliź – komenderował obserwator, a gdy żołnierz wykonał polecenie, stwierdził: – Nie ma wątpliwości, to Abu Siradż.

– A jeśli znajdują się tam także cywile, panie pułkowniku? – niepewnie spytał młodzieniec.

– W walce z terroryzmem musimy liczyć się z niezamierzonymi ofiarami. Ceną jest życie tysięcy niewinnych osób, które zginęłyby z rąk tych bezwzględnych oprawców. Odpalić! – wydał rozkaz Steven.

Rozbłysk wybuchu zakryły chmury pyłu, po czym na ekranie pojawił się śnieżny obraz.



---

<sup>62</sup> Marib – miejscowość położona około stu dwudziestu kilometrów na wschód od Sany. Toczyły się tam ciężkie walki z oddziałami Huti.

## EPILOG

Przewidywania Ani się sprawdziły. Marek otrzymał oficjalne odwołanie. W zaciszu gabinetu ambasadora przejąłem placówkę i podpisałem protokoły przekazania. Od tej chwili stałem się szefem w oczekiwaniu na nowego zwierzchnika. Nie wiadomo było, jak długo ten przejściowy okres potrwa. Powinienem się cieszyć, ale jakoś nic nie sprawiało mi radości i nie dawało ukojenia. Chociaż kolejny raz odniosłem zawodowy sukces, to niestety poniosłem całkowite fiasko osobiste.

Nie byliśmy z Markiem zbyt rozmowni, bo i okoliczności były nieciekawe. Kiedy zamknęliśmy sprawy formalne, zapadła krępująca cisza.

– Siądźmy na chwilę na spokojnie i pogadajmy – zaproponował, wskazując kącik wypoczynkowy. – Chciałbym pogratulować ci udanej ewakuacji Polaków z zagrożonego Jemenu. – Uśmiechnął się ciepło. – Mam też do przekazania oficjalne pismo z Departamentu Konsularnego MSZ, wyrażające uznanie dla twoich zasług.

– Miło. – Bez entuzjazmu trzymałem w ręku firmowy papier z rutynowym tekstem.

– Wpiszą ci ten sukces w akta – nagle ze złośliwością skwitował. – Może ci się przydać, gdy znów będziesz szukał pracy.

– Na razie nigdzie się stąd nie wybieram.

Zaniepokoiłem się. Czyżby chciał mnie pociągnąć za sobą na zieloną trawkę?

– Zostały mi jeszcze dwa lata do zakończenia misji. Może nikt mnie nie odwoła.

– Z tymi dymisjami różnie bywa – stwierdził enigmatycznie. – Nieraz wychodzą człowiekowi na dobre.

Milczałem, czekając na ciąg dalszy. Zapewne był optymistyczny, bo lśniąca potem różowiułka gęba Marka aż promieniała. W końcu z dużą satysfakcją z siebie wyrzucił:

– Też mi możesz powinszować. Wyjeżdżam wprawdzie z tego wahabickiego wądołka przed czasem, ale udaję się w zdecydowanie lepsze miejsce. Dostałem nominację na ambasadora w Londynie.

Słowa te były jak cios prosto w serce. Więc o to chodziło, o status pani ambasadorowej w Zjednoczonym Królestwie, a nie żadne skrupuły moralne, nasunęła mi się gorzka refleksja. Marek albo czytał w moich myślach, albo miałem wszystko wypisane na mojej niepoprawnie szczerej twarzy, bo zaśmiał się szyderczo i powiedział:

– Sądziłeś, że Ania wybierze takiego pozał się Boże konsulinę bez żadnych perspektyw?

Zamurowało mnie.

– Myślałeś, że o niczym nie wiedziałem? – kontynuował. – Przyznaję, że przechodziliśmy pewien kryzys. Być może zbyt zaangażowałem się w sprawy służbowe i zaniedbywałem moją żonkę, lecz dzięki tobie zrozumiałem, jaki skarb posiadam, i byłbym skończonym idiotą, gdybym go stracił. Zresztą Ania też poszła po rozum do głowy i wybrała kogoś, kto zapewni jej życie na odpowiednim poziomie, a nie jakiegoś wagabundę, który sam nie wie, czego chce.

Przeżywając totalną porażkę, wolno wstałem i powlokłem się jak skazaniec. Bardzo chciałem dać mu w mordę lub przynajmniej powiedzieć, co o nim sędzę, ale nic takiego nie zrobiłem. Chociaż nim gardziłem, w sumie było mi go żal. Nawet taki gnojek jak on nie zasługiwał na tak wyrachowaną żonę.

– Życzę ci szczęścia w Londynie – w progu wydobyłem wreszcie z siebie głos. – Wam obojgu! Przekaż to Ani. Swojej kochanej małżonce.

– Nie omieszka – z radością obiecał Marek rozwalony na skórzanym fotelu.

Brzuch wylewał mu się ze spodni, a pod pachami wykwiwały plamy potu. Takiego miałem konkurenta do serca kobiety, którą tak mocno kochałem. I kogoś takiego wybrała.

– Tak do twojej wiadomości – dorzucił, rozkoszując się zwycięstwem. – Twój nowy szef przyjedzie bez żony. Nie będziesz więc miał z nim tyle problemów, co ze mną.

## OD AUTORA

Drodzy Czytelnicy

Chciałbym zacząć od podziękowania wszystkim fanom tematyki orientalnej, gdyż to tylko dzięki Wam i Waszemu przychylnemu odbiorowi *Islamskiego fatum* powstała kolejna część z serii *Zakazanych związków* pt. *We władzy szejka*.

Opierając się na moich doświadczeniach i przejściach, niezłomny powieściowy konsul Tomek ewakuuje polsko-jemeńskie rodziny z ogarniętego pożogą wojenną Jemenu. To główny wątek tej powieści, ale oprócz tego konsul wplątuje się w sieć niebezpiecznych wydarzeń z udziałem radykalnych islamistów, wchodzi w związek z piękną kobietą, a w ambasadzie boryka się z dyplomatami o nie zawsze czystych intencjach. Ukazane tutaj atmosfera i stosunki pracy w placówce niewiele różnią się od rzeczywistych, co może stanowić kopalnię wiedzy dla osób zainteresowanych dyplomacją. Pamiętajcie, że to nie tylko blichtr i recepcje, lecz także ciężka i stresująca praca, przeciwstawianie się mobbingowi i radzenie sobie z brakiem zrozumienia ze strony najbliższych, a także wypaleniem zawodowym, które wielu moich kolegów przypłaciło utratą zdrowia, a nawet życia.

*We władzy szejka* to miłosna epopeja, która zaczyna się w czasach Brytyjskiego Protektoratu Adenu, a kończy krwawymi walkami z Al-Kaidą Półwyspu Arabskiego i buntownikami z ruchu Huti w 2009 roku. Przekazuję w niej sporo wiedzy orientalistycznej, którą zdobyłem nie tylko na uniwersytecie podczas studiów, ale przede wszystkim w trakcie mojej prawie dwudziestoletniej przygody z dyplomacją w krajach arabskich.

Stolica Jemenu, Sana, której Stare Miasto zostało wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, jest do tego stopnia unikalna, że sporo miejsca poświęciłem na jej opis. Ze względu na pełnioną funkcję wielokrotnie odwiedzałem to miasto i w każdej wolnej chwili snułem się po

zaułkach medyny, a w powieści starałem się jak najlepiej oddać jego niepowtarzalny klimat.

Pragnę w tym miejscu podziękować mojej redaktor prowadzącej Annie Derengowskiej za cierpliwość i wyrozumiałość, a także wiarę w moje możliwości. To tylko dzięki niej udało mi się wkroczyć w zaczarowany świat twórców literatury, który do tej pory wydawał się dla mnie zamknięty. Dziękuję także całemu zespołowi Wydawnictwa Prószyński Media, gdyż tylko dzięki niestrudzonej pracy Was wszystkich książka ta w takiej formie trafia w ręce czytelnika.

Szczególne wyrazy wdzięczności kieruję do mojej małżonki. Gdyby nie jej wsparcie, cenne rady i ustawiczne motywowanie, nigdy nie doszedłbym tam, gdzie razem zawędrowaliśmy.

Igor Kaczmarczyk

## SŁOWNICZEK

- abaja* – wierzchnie okrycie w krajach muzułmańskich; szeroki, luźny płaszcz noszony przez kobiety i mężczyzn
- achdam* – dosł.: służący; najniższa grupa społeczna o ciemnym kolorze skóry, która prawdopodobnie przybyła do Jemenu z Afryki Wschodniej jeszcze w czasach przedmuzułmańskich
- aftan, ja saida* – przepraszam panią
- ahlan wa sahan* – witam, cześć
- Allahu akbar* – Allah jest największy, Bóg jest wielki
- Allah jachdek* – dosł.: Niech Bóg zabierze twoją duszę. Używane, gdy komuś życzy się śmierci. Polski odpowiednik: „Obyś szczeł”
- as-salamu alejkum* – Pokój z tobą, dzień dobry, witaj. Odpowiedź: *Wa alejkum as-salam* – z tobą także (pokój)
- baba* – ojciec
- Bab al-Jemen* – Wrota Jemenu
- bi sahatik* – na zdrowie
- chutba* – muzułmańskie kazanie wygłaszane podczas piątkowej wspólnej modlitwy
- dżambija* – tradycyjny jemeński nóż o krótkim obustronnym ostrzu, noszony w zakrzywionej pochwie włożonej za szeroki bogato inkrustowany pas
- ful mudammas* – jemeńskie śniadanie przyrządzane z gotowanego suszonego bobu z dodatkiem czosnku, kminu i soku z cytryny
- futha* – pas materiału zakładany przez mężczyzn jak spódnica w wiejskich rejonach Jemenu i południowej Arabii Saudyjskiej
- galabija* – męski lub damski strój w formie długiej sukni/płaszczka z rozcięciem pod szyją, zapinany na guziki lub nie
- ghibli* – gorący wiatr w Afryce Północnej wiejący znad Sahary
- ghutra* – męska kwadratowa chusta w czerwono-białą lub czarno-białą kratę

*hidżab* – chusta noszona przez muzułmanki, która zakrywa włosy, uszy i szyję

*Huti* – jemeński ruch o charakterze polityczno-militarnym, skupiający plemiona zajdyckie (jeden z odłamów szyizmu), zamieszkujące w większości północno-zachodni Jemen

*iqama* – dowód osobisty

*jalla* – pierwotnie: zawołanie na wielbłądy; kolokwialnie: ruchy, chodź, wychodź, w drogę

*kafil* – sponsor w systemie *kafala*, pracodawca

*khat* – gatunek zimozielonej rośliny o działaniu podobnym do amfetaminy; silnie uzależnia i może powodować halucynacje

*Królestwo Saba* – jedno z największych królestw przedislamskich, które znajdowało się na terenie obecnego Jemenu. Znane z produkcji mirry i kadzidła

*kul chara* – dosł.: jedź gównem

*mafradż* – pokój gościnny, gdzie mężczyźni zbierają się w celach towarzyskich

*mahram* – muzułmański prawny opiekun kobiety w czasie podróży

*marhaban* – cześć, witaj

*Marib* – miejscowość położona około 120 kilometrów na wschód od Sany, gdzie toczyły się ciężkie walki z oddziałami Huti

*Masmak* – twierdza zbudowana z glinianych cegieł suszonych na słońcu, stanowiąca symbol władzy dynastii Al Saud

*maszallah* – zwrot wyrażający podziw

*medina* – miasto, stare miasto

*mihrab* – nisza w ścianie meczetu wskazująca w czasie modlitwy kierunek na Mekkę

*mutawa* – członek policji religijnej w Arabii Saudyjskiej

*nikab* – tradycyjna muzułmańska zasłona twarzy kobiety

*Pakol* – pejoratywne określenie Pakistańczyka

*rial* – jednostka monetarna Jemenu, dzieli się na 100 filsów

*sarong* – rodzaj spódnicy upiętej z jednego płata tkaniny

*szahada* – muzułmańskie wyznanie wiary; by przejść na islam należy trzykrotnie świadomie i celowo publicznie wypowiedzieć szahadę:  
*Aszszahadu la ilaha illa'llah, wa Muhammad rasulu'llah*

(Zaświadczam, że nie ma Boga prócz Allaha, a Muhammad jest jego prorokiem)

*szalom alejchem* – dzień dobry, pokój z tobą

*szalwar kamiz* – tradycyjny pakistański strój składający się z workowatych, zwężonych na dole spodni i luźnej koszuli

*szarmuta* – dziwka, prostytutka

*szejk* – dosł.: starzec, naczelnik; określenie arabskiego władcy, przywódcy plemienia lub terytorium, a także tytuł honorowy wyższej rangi duchownego muzułmańskiego

*szukran dżazilan* – bardzo dziękuję

*takija* – muzułmańska czapeczka przykrywająca czubek głowy

*toba (thoba)* – męska długa biała suknia

*umm* – matka

*uskut* – spokój, cisza, zamilcz

*wadi* – sucha dolina na pustyniach wypełniająca się wodą w porze deszczowej

*wahabita* – wyznawca wahabizmu, ultrakonserwatywnego islamskiego ruchu religijnego i politycznego

*zuhur* – czas muzułmańskiej modlitwy południowej



# Spis treści

PROLOG

ROZDZIAŁ 1. NOWY POCZĄTEK STAREGO

ROZDZIAŁ 2. SAMIR I ZOSIA

ROZDZIAŁ 3. RIJAD WITA

ROZDZIAŁ 4. Z DESZCZU POD RYNNĘ

ROZDZIAŁ 5. PRZYWITANIA I POŻEGNANIA

ROZDZIAŁ 6. ZEW KRWI

ROZDZIAŁ 7. ŻYCIE W KORPUSIE

ROZDZIAŁ 8. ZJAZD RODZINNY

ROZDZIAŁ 9. MIASTO Z PIERNIKA

ROZDZIAŁ 10. RADOŚĆ OJCA

ROZDZIAŁ 11. JAK W KALEJDOSKOPIE

ROZDZIAŁ 12. POLOWANIE

ROZDZIAŁ 13. JEMEŃSKA WENDETA

ROZDZIAŁ 14. GŁOS SIOSTRY

ROZDZIAŁ 15. SYN RABINA

ROZDZIAŁ 16. SANA W CIEMNOŚCI

ROZDZIAŁ 17. WE WŁADZY SZEJKA

ROZDZIAŁ 18. ZIMNY PRYSZNIC

ROZDZIAŁ 19. UCIECZKA

ROZDZIAŁ 20. PLAN AWARYJNY

ROZDZIAŁ 21. EXODUS

ROZDZIAŁ 22. OCALENIE

ROZDZIAŁ 23. BLOKADA LOTNISKA

EPILOG

OD AUTORA

SŁOWNICZEK